

Ironia Pozorow

Maciej hr. Lubienski

The Project Gutenberg EBook of Ironia Pozorow, by Maciej hr. Lubienski

Copyright laws are changing all over the world. Be sure to check the copyright laws for your country before downloading or redistributing this or any other Project Gutenberg eBook.

This header should be the first thing seen when viewing this Project Gutenberg file. Please do not remove it. Do not change or edit the header without written permission.

Please read the "legal small print," and other information about the eBook and Project Gutenberg at the bottom of this file. Included is important information about your specific rights and restrictions in how the file may be used. You can also find out about how to make a donation to Project Gutenberg, and how to get involved.

Welcome To The World of Free Plain Vanilla Electronic Texts

eBooks Readable By Both Humans and By Computers, Since 1971

*****These eBooks Were Prepared By Thousands of Volunteers!*****

Title: Ironia Pozorow

Author: Maciej hr. Lubienski

Release Date: June, 2004 [EBook #6000]
[Yes, we are more than one year ahead of schedule]
[This file was first posted on September 22, 2002]

Edition: 10

Language: Polish

Character set encoding: ISO-8859-2

*** START OF THE PROJECT GUTENBERG EBOOK IRONIA POZOROW ***

Etext produced by Michalina Makowska, Szczecin, Poland,
Eve Sobol, South Bend, IN, USA, and Julia Jezierska, Stawiszyn, Poland.

Livros Grátis

<http://www.livrosgratis.com.br>

Milhares de livros grátis para download.

Title: "Ironia Pozorów"

Author: Maciej hr. Łubieński

PROLOG

Dnia^o...

Leniwo, sennie pierzcha^y mg^y przezrocze, tul[±]ce si^ê dot[±]d w niemej pieszczocie do ¶ cian wielkiego grodu i wodnej, p^³yn[±]cej u stóp jego fali.

Wreszcie - znik^y...

Na wzgórzach ukaza^o si^ê miasto. Z wysoka, iglicami katedry, licznymi gmachami i z^łó^³k[±] zieleni[±] ogrodów przejrza^o si^ê dumnie w nurtach szarych rzeki, a po szybach okien domów jego zamigota^³ równocze ¶ nie pierwszy bladawy promyk chmurnego jesienno ¶ witu.

Na poddaszach krytego ceg[±] staromiejskiego domku nieprzes^ooni^ête niczem okno jedno za ¶ mia^o si^ê weselej od innych do matowego porannego ¶ wiat^³a. Ciekawie do wn^êtrza facyatki w ¶ lizn[±] si^ê brzask sm^êtny.

W pokoiku, o paru najniezb^êdniejszych tylko sprz^êtach, na razie nie by^o nikogo.

Po ¶ ciel nienaruszona bieli^³a si^ê do ¶ æ schludnie, wszystko woko^o za ¶ wskazywa^o wyra^¼nie, i[¿] w^³a ¶ ciciela siedziby tej od wczoraj ju[¿] nie by^o, puls bowiem kie^³kuj[±]cej tu jakiego ¶ jednego ¿ ycia, zastyg^y w panuj[±]cym wsz^êdzie nieporz[±]dku, wyra^¼nie oczekiwa^æ si^ê zdawa^³ cierpliwie na swego pana i w^³adc^ê.

Tymczasem za ¶ tylko po niezamiecionych k[±]tach b^³±ka^y si^ê pustka i nuda, a nietrudno by^o domy ¶ le^æ si^ê, ¿ e bieda w swej ziemskiej w^êdrówce zag[±]da^æ tu nieraz musia^³a...

Go ¶ cin^ê jej bowiem zdradza^o tutaj - wszystko. A wi^êc i ubo[¿]yzna mebli i atmosfera jaka ¶ duszna, wreszcie to co ¶ niewidzialnego, nieokre ¶ lonego, z k[±]tów, ze ¶ cian, zewsz[±]d, wyzieraj[±]cego, co, jak widma cieñ, szeptem jakby, mówi wci[±]¿ o sobie i ^³zawo si^ê skar[¿]y.

W przedziwnie zgodnej, panuj[±]cej tu ogólnie harmonii szarzyzny, melancholii i smutku, d^¼wi^êcza^³a jednak, drga^³a, niby u ¶ mieszek radosny, jasny, nuta weselsza. By^³a za ¶ ni[±] stoj[±]ca w rogu pokoju, na komódce staro ¶ wieckiej, zniszczonej, w inkrustowane, wykwintne ramy oprawna fotografia gabinetowa m^³odej dziewczyny, ku której z obok stoj[±]cej szklaneczki ma^³ej wychyla^³a si^ê pieszczotliwie w rozkwicie swym ¶ liczna aksamitna p[±]sowa ¶ wie[¿]a ró[¿]a.

Dziewcz^ê i ró[¿]a patrzy^y na siebie, lecz król^owa kwiatów z s[±]siedztwa swego dumn[±] by^æ tylko mog^³a.

Z martwej bowiem kartki kartonu, spogl[±]da^³a na ¶ wiat du[¿]emi oczyma cudna twarz dziewczyny, a zakł^êty w rysach i uk^³adzie ca^³ej postaci nieuj^êty jaki ¶ wdzi^êk - ta si^³a najwi^êksza kobiety, oporna na lata i burze ¿ ycia,

Wciąża zawsze, jak kwiecie wiosny - szła na widza i chwytała go za serce, czarując natychmiast swym słabym białym tylko artystycznym ludzkiego odbiciem.

Odosobnienie za wyrażone rogu izdebki, gdzie stała fotografia, od otaczających i rozrzuconych po pokoju sprzętów, oraz pewna czystość staranna, cechująca to miejsce - świadczyły sobie równie, a i nadto, że nieobecny właściciel mieszkanka tego dbała wielce o ten zakątek, zdradzając przytem, że i on w biedzie swej miał może jakąś chwilę jasną, jakieś swoje marzenie!...

Tak, niewątpliwie!...

Siła bowiem jakby ukryta, a nieujęta jednocześnie i dziwna, była od tego kącika pamiątek; zdawała się być on jedynym uśmiechem smutnego zduńca tu bytu i jedyna równie, kapliczka, nikłego zduńca zapewne jakiegoś szczęścia, ale zawsze - szczęścia.

W szarym nędze istnienia "pana", zamkniętej w tych ścianach biedy, życie wplątało widać jakąś nieśmiałość, rzuciło na osłonięte hojnie i litościwie pięć duchowych promieni!...

Tymczasem w ciszy izdebki nie przerywało nic zgoła... Przez małe okienko widać tu było spiętrzone dachy z czerwonej cegły, kominy; dalej, w dole, srebrzyła się rzeka, a środkiem niej cicho sunęła w stronę berlinka, zdążając ku miejskiej przystani.

Z wieży którejś z pobliskich wież w ogólnym milczeniu melodyjnie rozległa się niebawem dźwięk sygnaturki porannej. Monotonne nieco popłynęło w dal echo z dzwonu, a zawtórowały mu wkrótce wstawki licznych fabryk, turkot wozów z mlekiem i pieczywem, oraz inne, płynące zewsząd odgłosy.

Powolnie budziło się już miasto.

Krętymi uliczkami staromiejskiej dzielnicy zdążał krokiem równym i szybkim ku opisanej powyżej siedziby swojej młody mężczyzna, rosły i gibki, ubrany w jesienne palto i pognieciony miękki kaptur, nadający się do obliczu jego i bujnemu zarostowi wyrażony typ jakby podróżniaka z Zachodu. Szedł on, pogwizdując z cicha, z rękami w kieszeniach, zamknięty, a po wyminięciu kilku przechodniów, skręcając w uliczkę wąską i głąką, znalazł się na niej sam zupełnie.

Po chwili jednak z poza węgła starożytnego domu, tworzącego róg tej ulicy, wysunęła się pewna postać i poczęła iść w ślad za nim.

Była to biedna jakaś babina, a snać nieco podpita, bo zataczała się z lekka, krzykliwie podśpiewywała coś sobie. Mała, krępa, okręcona czerwonym wełnianym chustką i w takiejże spódnicy, kołysała się ona zabawnie, przystając co kroków kilka, i niby baletnica szybko wykręcając się na jednej nodze.

W swe kościste ręce spódnicy ujmowała przytem pocieszonym ruchem, a z pełnym komizmu gracyą unosząc ją wyrażnie i głośnie powtarzała ostatnią piosenkę zwrotkę, i szła dalej, aby w parę minut ponownie wykonać tę samą identycznie produkcję.

Idący ulicą mężczyzna przystanął i patrzył ciekawie na babinę, wkrótce jednak, znudzony, obojętnie odwrócił się i poczęła iść dalej.

W tej samej chwili pos³ysza³ za sob± wo³anie:

- Hej, panoczku, panoczku! Stójcie-no ino tam, stójcie!...

M³ody cz³owiek odwróci³ siê i ujrza³ zmierzaj±c± ku niemu kobiecinê; trzyma³a co¶ w rêku i kiwa³a nañ. Zdziwiony podszed³ bli¿ej i zapyta³:

- C¿ to, czego¿ ode mnie chcecie?

Babina za¶, podaj±c mu jaki¶ przedmiot, obja¶ni³a:

- A dyæ zgubili¶ta to panoczku!... Przez ma³a psewróci³abym se bez tê torbê...

Nieznajomy machinalnie uj±³ w rêkê, co mu dawano.

Trzyma³ pugilares du¿y, ciê¿ki i elegancki; by³ on ze skóry koloru wi¶niowego i mile dotkniêciem swem pie¶ci³.

Na ten widok zarumienione od porannego ch³odu oblicze m³odzieñca zblad³o, rêka mu zadr¿a³a nerwowo, a na ustach, które z lekka poruszy³y siê niedostrzegalnie, zamar³y, jakby niewypowiedziane jakie¶ s³owa.

Jednocze¶nie spojrzenie jego du¿ych ciemnych oczu obrzuci³o badawczo uliczkê: wokó³ nie by³o nikogo, tylko zapuszczone stopy licznych okien u domów patrzy³y przed siebie martwym okiem - w ciszy u¶pienia jeszcze drzema³o tu miasto.

Przenikliwy, rozumny wzrok nieznajomego spocz±³ z kolei na twarzy stoj±cej przed nim kobiecin, i zatrzyma³ siê na niej d³ug± chwilê...

Zdawa³a siê ona byæ ze wsi, a Bogu duszê winna, uciera³a w tej chwili swój nos zamasy¶cie, nieestetycznym i prymitywnym, ludowi naszemu w³a¶ciwym sposobem, mrugaj±c równocze¶nie ma³emi, zas³emi krwi±, jak u królika, oczkami. Niew±tpliwie by³a przytem powesela³± od trunku, a nie pijan± przed chwil± widaæ ¶piewaj±c± tylko - tak sobie, gwoli zado¶æuczynienia nastrojowi swemu, czy te¿ mo¿e zbytкови przyrodzonego temperamentu.

- Dziêkujê wam! - Lakonicznie rzuci³ nagle nieznajomy, prosto w piegowat± i czerwon± twarz babiny i odwróciwszy siê z po¶piechem, podniós³ ko³nierz paltota, wtuli³ w niego g³owê, nasun±³ na oczy kapelusz i pocz±³ i¶æ bardzo szybko, wkrótce za¶ pu¶ci³ siê prawie ¿e biegiem.

- A to ci leci!... Niby ta elektryka, zrozumienia nijakiego niemaj±ca, - zawyrokowa³a g³o¶no do siebie, wzruszaj±c ramionami, kobiecina.

Ra¼no z miejsca ruszy³a i ¶piewaæ znowu poczê³a, echo za¶ jej piosenki, odbiwszy siê o mury charakterystycznych, przygarbionych wiekiem kamienic Starego Miasta - pogna³o za nikh±cym ju¿ w g³êbi uliczki mê¿czyn±, ostatni± sw±, dwukrotnie powtórzon±, zwrotk±:

"A kto kocha, ten jest zdrów,
A kto kocha - ten jest zdrów..."

Zgrzytn±³ klucz w zamku cichej facyatki, otworzy³y siê gwa³townie drzwiczki, i na progu stan±³ w³a¶ciiciel tego mieszkanka. Od powiewu,

wywołanego prądem powietrza, zadrżały firanki u małego okienka, ze szklanego zał kielicha pochyliła się ku fotografii młodej dziewczyny różą aksamitna, jakby pragnęła z nią wspólnie powitać pana swego.

- Nareszcie!... - wyszeptano z ulgi usta przybyłego i ruchem nerwowym, zamknęwszy cicho drzwi za sobą, przekręcił klucz w zamku.

Rzecz dziwna - natychmiast w czterech ścianach smutnej dotąd izdebki zrobiło się jakoś weselej i jaśniej!...

Młodość bowiem i siła szczytowa, biała od młodego mieszkańca facyatki, i niby brakujący promień światła, ożywiły, zda się, wewnątrz poddasza.

Rzuciwszy kapelusz i paltot na krzesło, młodziwiec bacznie rozejrzał się po swym pokoiku, a zmarszczywszy brwi i jakby coś rozważając, pozostał w pozycji stojącej dłuższą chwilę.

Poruszył się jednak niebawem i podszedł do drzwi, nadsłuchując równocześnie. Postawiwszy zał tam minut parę, zbliżył się następnie do okna, a wpatrzywszy się w nie przez sekundę może, po krótkim wahaniu, powolnym ruchem spuścił roletę.

Szarawa ciemność zaległa izdebkę.

Młodziwiec podszedł do kanapy, przed którą stał stoliczek mahoniowy, i usiadł. Wkrótce w ciszy rozległ się zgrzyt zapalniczki. Po chwili mała lampka oświetliła już poddasze, młody człowiek zał, raz jeszcze obejrzawszy się wokoło, szybko, sięgnął do kieszeni swego ubrania.

Nerwowo, śpiesznie wydobyl stamtąd wręczony niedawno portfel skórzany i, z bayskim ciekawością w oczach roztworzył go, położył na stole.

Z sześciu, zapiętych małymi kłapkami, przedziałów złożony, z wielkimi spodniami, idącymi przez całą długość jego kieszeni, w oczekiwaniu, cicho, pugilares patrzył się zdawał na siedzącego między nimi...

Ręce jego jednak, dotknęwszy się tylko pobieżnie wypięzionych kryjówek, zatrzymały się chwilę bezczynnie, a na nerwowej twarzy odbiło zdumienie, porażone jakby z przestraszeniem.

- Jak to, więc tak duża to czegocóż? - mówił wyraźnie wielkie, wyrazu pełne oczy młodziwieca, i jednocześnie pytał się zdawał niepewnie: - Czy tylko to aby pieniądze?..

I dziwna reakcja odbywała się w duszy jego.

Gdy krętymi uliczkami leciał do swego mieszkania, palił go chęć ujrzania, co zawiera portfel, a obecnie?... Lęk oto jaki niewytłumaczony zawładnął nim nagle.

Przecucie mówiło mu wyraźnie, że tu, przed nim, w pugilaresie tym, ukryty na razie od oczu ludzkich, mieści się majątek może, tkwi pieniądze - ten talizman ludzkiego dobrobytu i szczęścia, drzemała światła tego potęga - zoto...

A jednak nie poruszył on dotąd wcale portfela... Dlaczego?

Bo z przecuciem bogactw, które czeka się zdawał tylko dotknięcia jego, czuł dobrze, zdawał sobie on sprawę z czegocóż innego również.

To by³a w³asno¶æ cudza!...

Upomn± siê o ni± niew±tliwie; on za¶, nie wiez±c, co siê tam znajduje, mo¿eby móg³ jeszcze, pomimo swej nêdzy, zwróciæ w³a¶cicielowi ten oto przedmiot, czy uczyni to jednak, unurzawszy rêce w zawarto¶ci jego?

Z rêk± na portfelu opart± mê¿czyzna zamy¶li³ siê bardziej jeszcze.

Wszak, choæ z pozoru wes³ i syty, nie posiada³ on w istocie na razie z³amanego szel±ga przy duszy. Ostatnie pieniêdze wyda³ na bilet kolejowy, który pozwoli³ mu wróciæ w ¶ciany poddasza z wczorajszej zamiejskiej wycieczki, zwi±zanej z nadziej± otrzymania posady.

Nie otrzyma³ jej - wraca³ z niczem; g³odne dzisiaj ju¿ teraz pytaj±co zagl±da³o mu w oczy zimnym nieub³aganym spojrzeniem.

A tu, przed nim!...

M³odzieniec zerwa³ siê z kanapki i przebieg³ pokój kilka razy. Nagle, wytrzymaæ snad¼ ju¿ nie mog±c, pochwyci³ w dr¿±ce rêce le¿±cy portfel i rozpi±³ ruchem gwa³townym po kolei wszystkie jego kieszonki...

I oto z jednego przedzia³u natychmiast z przyciszonym brzêkiem posypa³y siê na wyszarza± serwetê stolika rulony z³ota, b³yszcz±ce, nowe - zamigota³y w niepewnym ¶wietle lampy i u³o¿y³y siê cicho... W ¶lad za nimi z innych kieszonek portfela z szelestem wypad³y pliki storublówek, w opakach, a z kryjówek jego spodniej wysunê³y siê do po³owy wielkie kwadraty piêæsetrubówek!...

Wiêc nie by³o to urojeniem, marzeniem, mrzonk±!.. Rzeczywi¶cie zatem drzema³ tu pieniêdz w swym majestacie!..

M³ody cz³owiek odskoczy³ od sto³u i wpatrzy³ siê w nagromadzon± kupê grosza.

Na twarz jego wyst±pi³ wyraz chciwo¶ci i oszpeci³ j±, oczy g³êbokie, du¿e, przybra³y po³ysk koci i wpi³y siê uporczywie w banknoty i z³oto.

Po chwili zbli¿y³ siê ponownie do stolika. Lubie¿nym ruchem swej delikatnej rêki przesun±³ po nagromadzonych pieniêdzech, a po ciele jego równocze¶nie przelecia³ dreszcz.

Jak w³osy pięknej kobiety, jak cia³o jej zmys³owe, aksamitne, pie¶ci³y go banknoty... Zanurzy³ rêkê g³êbiej i dotkn±³ siê z³ota.

Z cichym brzêkiem rozsypa³o siê ono w strumyk b³yszcz±cy, a nim do g³êbi ponownie wstrz±sn±³ dreszcz.

Nigdy w ¿yciu swem nie mia³ tyle pieniêdzy u siebie. Fortuna zawsze impertynencko odwraca³a siê od niego, szcê¶cie dotychczas ucieka³o odeñ równie¿, jak od zapowietrzonego, pieniêdz za¶, drwi±co unosz±c siê w niedostêpnych dlañ wy¿ynach, niepochwytne, szydrczy - stroni³ od niego stale.

M³odzieniec przesuwaj±c wci±¿ machinalnie rêk± po storublówkach. Przed oczyma miga³y mu wizerunki, podpisy na banknotach, z³ote imperya³y zimnym dotykiem g³aska³y jego d³oñ...

Wyrwawszy rękę wreszcie z pieścizliwego uścisku z³ota, męczyzna pochwy³ nagle pliki storub³ówek i liczyæ pocz³.

Drżące ręce jego bra³y i porzuca³y co chwila zwitki banknotów; szelest papieru, zduszony d¼wiêk monety zagra³y w ciszy izdebki, zdziwi³y te biedne ¶ciany, tak zdawna odwyk³e od brzêku pieniêdzy, wyganiaj±c, zdawa³o siê, biedê, przykuc³± gdzie¶ w k±cie, z legowiska swego. I widmo jej w ³achmanach zniknê³o przestraszone, wygnane szmerem poddanych Z³otego Cielca - umknê³o, szukaj±c gdzie indziej schronienia.

A m³ody cz³owiek wci±¿ liczy³... Teraz d³oñ jego dotyka³a zwitka piêæsetrub³ówek. By³o ich dwadzie¶cia.

Ciemny rumieniec powoli wystêpowa³ na ¶niad± twarz m³odzieñca, oczy za¶ jego pali³y siê bezustannie chciwo¶ci niezdrowym blaskiem.

W papierach i z³ocie, z pewn±, drobn± tylko ró¿nic±, by³o wszystkiego dwadzie¶cia siedem tysiêcy.

M³odzieniec odst±pi³ od sto³u i wolno z rozmys³em pocz³³ przechadzaæ siê po izdebce.

- Dwadzie¶cia i siedem tysiêcy!.. Dwadzie¶cia i siedem...

Powtarzaj±c siê bezustanku, w g³owie jego hucza³a i wraca³a my¶l jedna, a dziesi±tki innych ginê³y, topi³y siê tylko w niej, jak w chaosie, zanika³y - milk³y...

On zatem, który prócz jednego na sobie odzienia i tych paru sprzêtów woko³o, nie posiada³ nic na ¶wiecie, on - za jednym zamachem móg³ staæ siê oto w³ascicielem owych, rozsypanych przed nim pieniêdzy?..

M³odzieniec zadrż³a³.

- A moralno¶æ? a etyka? To w³asno¶æ nie twoja, to zguba czyja¶ tylko, ty powinienes¶ pieniêdz ten zwróciæ, zwróciæ, zwróciæ!.. jak rój owadów nagle zabrzmia³y w uszach męczyzny jakie¶ szepty i g³osy.

- Oddaæ? ha-ha-ha!.. A to dlaczego? ciekawym? - zadrwi³ rozs±dek zimny natychmiast. - "On prend son bien, ou on le trouve." - Znalaz³e¶ - to twoje! A zreszt±, gdyby to samo, co ty, znalaz³ by³ kto inny, czy my¶lisz, ¿e post±pi³by on inaczej?

- Odda³by, odda³ na pewno, bo chcia³by pozostaæ uczciwym!.. - silny g³os prawo¶ci rozleg³ siê ¶mia³o w duszy męczyzny.

Wstrz±sn±³ siê m³ody mieszkaniêc facyatki i przetar³ ręk± czo³o, po chwili za¶ zmêczony usiad³ na jednym z koszlawych fotelików i, podpar³szy g³owê d³oni±, zaduma³ siê g³êboko.

A rozum drwi³ dalej bezlito¶nie, zjadliwie, s±cz±c siê kroplami ironii:

- Nie s³uchaj bredni i sentymentalnych mrzonek! - szepta³. - Uczciwo¶æ - frazesa!.. Któż naprawdê uczciwym jest w czasach obecnych? Obejrzyj siê tylko i wpatrz uwa¿nie w ludzi, walcz±cych o byt obok ciebie. Czyñ wreszcie, jak chcesz... odtræ³ askawy u¶miech fortuny!..

Los, odbieraj±c mo¿e naumy¶lnie drugiemu, co mia³ zanadto w swym trzosie, pragnie dobrotliwy, obdarzyæ ciebie, nie chcesz-li?

- Ha, to b±d¼ sobie zatem wspania³omy¶lnym, szlachetnym, wielkim!
Umieraj z g³odu, b±d¼ g³upim!.. Ale pamiętaj, ¿e gorzkiemi ³zami ¿a³owaæ
kiedy¶ bédziesz chwili swojego sza³u - pamiętaj, ¿e¶ biednym!

Za¶mia³ siê jeszcze rozum szyderczo i umilk³, mê¿czyzna za¶, zadumany,
pochyli³ siê na krze¶le, jakby przygnieciony do ziemi, opar³szy przytem
³okcie na kolanach, ukry³ twarz w d³onie.

Tak, niestety, by³ on biednym!..

Straciwszy matkê lat temu parê, uczy³ siê nastêpnie za granic±: w
Niemczech i we Francyi. odebrawszy kosztem bogatego stryja wykszta³cenie
nie fachowe, lecz ogólne i staranne, zdecydowa³ siê rok temu w³a¶nie
powróciæ do miasta, gdzie ujrza³ by³ ¶wiat³o dzienne, by zbli¿yæ siê do
dotychczasowego opiekuna swego, a brata rodzzonego nie¿yj±cego ju¿ ojca.

W m³odzieñczej wyobra¼ni studenta roi³a siê nawet podówczas nadzieja
¶mia³a ow³adniêcia sercem starego bogacza, aby po najd³u¿szem ¿yciu
zapisa³ mu mienie.

Tembardziej zatem ¶pieszy³ siê z swoim wyjazdem, lecz przyby³ za pó¼no
niestety; stryja swego ju¿ nie zasta³.

£o¿±cy tylko z obowi±zku na studia bratanka, a nie przywi±zany doñ zgo³a
innym, serdeczniejszym wê³em, parê tygodni temu w³a¶nie starzec
przeniós³ siê by³ do wieczno¶ci, zapisawszy ca³y majątek na dobroczynne
cele.

Nie zastawszy wiêc w mie¶cie nikogo na razie, kto by go zna³ lub
pamięta³, odwa¿nie z bied± wzi±³ siê on wówczas za bary.

Przepisywa³ referaty, polisy ubezpieczeniowe, dawa³ lekcye, czyni³, co
tylko mó³ i zdobywa³ miejsce przy biesiadnym, ogólno ludzkim, a tak
zazwyczaj niego¶cinnym stole...

O ch³odzie i g³odzie mija³y mu w ten sposób dnie ca³e, gorycz jednak do
¿ycia, w walce o byt ci±g³ej, nie rozgaszczaa siê w duszy jego, nie
mającego po prostu czasu w bezbarwnej swej biedzie i gor±czce zarobku
analizowaæ ciemnych stron swego ¿ywota. Miesiêcy parê temu dopiero si³a
okoliczno¶ci i ludzi, o których ocieraæ siê pocz±³, ¿al wyklu³ mu siê w
duszy do ¶wiata, s±cz±c z niej niezadowolone i gorycz.

Traf ¶lepy zrz±dzi³ pewnego dnia, i¿ spotka³ rówie¶nika swego z lat
dawnych.

Przy wspomnieniu tem ostatniem, m³ody mieszkaniec poddasza zmarszczy³
brwi i zamy¶li³ siê jeszcze g³êbiej, ni¿ przedtem.

Dawny jego kolega szkolny z kraju i zagranicy, Edmund R-ski, potrosze
nawet kuzyn i towarzysz zabaw dziecinnych - dzi¶ bywalec stolicznych
salonów, ch³opiec zamo¿ny, zbli¿y³ siê do niego pierwszy wówczas. By³o
to podczas karnawa³u, w zimie, w jednej z kawiarni, bardziej
uczêszczanych w mie¶cie.

Po d³u¿szej gawêdzie i rozpamiętywaniu m³odzieñczych lat ubieg³ych,
Edmund R-ski rzek³ mu wtedy:

- Wiesz co, mój drogi? Dobrze siê nazywasz, ³adne masz manieri, które

pozostały ci po rodzicach i wychowaniu starannem, notabene wcale dobrze i z akcentem mówisz po francusku, tandem tedy zaproponowa³ bym ci co³ tylko nie obra¹/₄ się na mnie przypadkiem... Gdyby cię tak ubra^æ elegancko, bardzo dobry i okazały by³ by z ciebie tancerz... He, cóż ty na to? Proszony w³ a³ nie jestem o m³ odzie^ć do państwa W. na bal, pojutrze, chod¹/₄ ze mn[±]... Siedzisz i marnujesz się gdzie³ w k[±]cie, qui lo sa, przystojnym jeste³, a nu^ć podobasz się komu?.. Ja ci pomogę i u³ atwię wszystko...

Od s³owa do s³owa, da³ się namówi^æ wtedy. Otrzymałszy od bogatego i hojnego, oraz uprzejmego kuzyna po^ć yczk^ê, wykwipowa³ się i poszed³ na bal z nim razem.

Edmund R. przeprowadzi³ rzecz ca³± bardzo zręcznie. Przedstawia³ protegowanego swego, nie omieszka³ przypomnie^æ wszystkim z osobna o stryju jego, filantropijnym zapisodawcy, a tak^ć e o rodzicach, ongi, przed laty, zamo^ć nych i wp³ ywowych. Dobrze wychowanego, eleganckiego i mi³ ego tancerza zaprasza^æ pocz^êto ch^êtnie, tembardziej, i^ć powszechnie wiadano o przyja¹/₄ni jego z Edmundem R., znanym i cenionym bywalcem.

M³ody mieszkawiec skromnego poddasza poruszy³ się niespokojnie na krze³ i spojrza³ przed siebie wzrokiem zamglonym, zapatrzonym we wspomnienia w³ asne.

Wówczas to, po owym pierwszym balu, przest[±]pi³ on zaczarowany dlań dot[±]d próg salonów i zapami^êtale bawi^æ się pocz[±]3. T³ ycie, które prowadzi³, upaja³ o go. Niepomny jutra - szala³.

Trwa³ o to tygodni par^ê, i nagle skończy³ o się wszystko... Edmund R-ski, wezwany telegraficznie do umieraj[±]cej siostry za granic^ê, wyjecha³, pieni[±]dze wyczerpa³ y się równocze³ nie, a zaniedbana czasowo jego w³ asna zarobkowa praca wysun^ê3 a mu się z r[±]k; kto³ inny, tak^ć e potrzebuj[±]cy biedak, zast[±]pi³ go.

W okienko facyatki karnawa³ owicza zajrza³ g³ód; po wizytach i balach pozosta³ w pamięci jego tylko chaos ogólny - wra^ćenie chwil rozkosznie jakby prze³ nionych, i jedno wspomnienie trwa³ e.

Oczy m³ odego m^êć czyzny zadumane, w tej chwili b³ yszcz[±]ce i jakby tkliwe, skierowa³ y się w róg izdebki, gdzie w pó³ wietle lampy majaczy³ a fotografia.

Naby³ j[±] u fotografa i niemal codziennie stroi³ w kwiaty; przedstawia³ a za³ ona eleganck[±] pann^ê z towarzystwa, córk^ê ukraińskiego magnata, b³ yszcz[±]ce[±] ubieg³ ego karnawa³ u w salonach pi^êkno³ ci[±], dowcipem, otoczona rojem wielbicieli, a któr[±] pokocha³ uczuciem mi³ o³ ci pierwszej - prawdziwej.

Dla niej rzuci³ się w wir czczych zabaw bez ³ rodków po temu, bez pamięci...

Odepchniętemu tward[±] r^êk[±] biedy od rydwanu bawi[±]cego się ³ wiata - przes³ oni^êtego w pamięci jego gaz[±] u³ d[±], mieni[±]cego się setkami odcieni i blasków - pozosta³ y tylko wspomnienia dr^êcz[±]ce, rozkoszne, kilkunastu rozmów, tańców, u³ cisków d³ oni, spojrzeń... i - nabyta za pieni[±]dz w³ asny fotografia pi^êknej dziewczyny.

Mydlana bańka z³udna - marzenie!..

Siedzący wciąż w zamknięciu przed stolikiem młodzieniec głośnie pochylił i ponownie ukrył ją w dłoni. Niby na jawie, przed oczyma żywo stanął mu bal ostatni... W jarzmej się wiałe powodzi, wśród kołyszących się w takt melodyjnego walca par, sunęli oni wówczas po szklistej posadzce salonów...

Ona miała spuszczone główkę cudnie i opierała się z wdziękiem na jego ramieniu, on zaś, tuż nieznacznie tancerkę swą do piersi, położył wzrokiem jej twarz, nagie ramiona i szyję kształtną, a dłoń i giętka, jak kwiat, o środy wysokiej.

Od czasu do czasu piękna panna wznosiła na niego swoje głębokie, mieniące się śmiechy, i spojrzenia ich spotykały się na chwilę...

Potem liczne dziewczę przykrywała znów oczy dłońmi rękami; on rzucał słówko, przyciskał machinalnie kibię jej do siebie, czekał ponownie niemej śmiech rozmowy. Nagle uciszył się w balowej sali...

To muzyka ustała byś, a oni walcowali jeszcze, cięgle przytuleni do siebie - zrośli skrytem jakby pragnieniem.

Później odprowadził znużoną swą tancerkę, a ona leciutecznie, dziękczynnie paluszkami drobnymi cisnęła jego dłoń...

Młodzieniec zerwał się z krzesła, potoczył go gwałtownie, i dużymi krokami zaczął przebiegać szybko swój pokój. Jednocześnie z wyrazem miłośni bezgranicznej spojrzenie jego pobiegło do komódki małej, gdzie stała fotografia z ręką.

Z kryształowego kielicha delikatnie wychylał się kwiat purpurowy, dotykając warg prawie dziewczyny. Usteczka jej miała uśmiechały się rozkosznie, pocałunku zda się spragnione...

Moda człowiek pozostawał chwilę w niemej kontemplacji ubóstwanego przez siebie kłębka izdełki, aż wreszcie powoli wzrok swój przeniósł w stronę stolika, gdzie leżały cicho banknoty i złoto.

Wyraz marzenia, ekstazy błyskawicznie znikł z jego oblicza - przypomniał sobie chwilę obecny.

Zwolna do stolika zbliżyła się poczęła; utkwivszy spojrzenie w rozsypanych pieniądzech, jednocześnie myślała:

- Niemi tylko może zdobyć bym mógł swe marzenie, one pozwolę mi i uatwić zbliżenie do ukochanej! A potem...

I mimo woli znowu spojrzął młodzieniec w róg pokoiku.

Oczy dziewczyny kuszące patrzyły zalotnie, paliły go, obiecywały się zdawały rozkoszy uduć, miłośni - szczęście!.. Rumieniec oblała twarz męczący.

- Ach, miał ją, posiadał, i żył jej życiem, zlał się z nią istnieniem i duszą!.. - zawirowała mu w głowie myśl uporczywa.

- Przecież to córka magnata; księżęta, hrabiowie ubiegają się o nią, czemu ty jesteś dla niej? - zerem, nie otrzymasz jej nigdy, - uspakajają mózg, nerwy wzburzone, trzęsawa, zimna logika. - Chyba, że pieniędzy tych oto posiadasz wiele... wiele...

- Z małych strumieni tworzą się rzeki; weź to, a może ci więcej przybędzie!.. - szepnął rozum podstępnie.

Młody mieszkawiec facyatki schwycił się nagle za głowę.

Boże, Boże! - wyszeptał - cóż jednak uczynię ze mnie to, tak krótkie zetknięcie się z światem zbytku, to zbratanie się, otarcie z ludźmi szychu i złota! Jakże innym byłem dawniej! Jakże - lepszym!..

Męczyczna smutnie zwiesił głowę.

Teraz, przyjrawszy się niedawno ludziom bogatym, ich trybowi życia, czuł w sobie, poza uczuciem miłości, dziesiątki związanych z nim pragnień. Złoto, ten bóg dumny i wspaniały, przed którym korzyły się miliony, ołniewał go, mamił... Przedsmak załmożliwych w dalekiej przyszłości bogactw, użycia, a kto wie, może znaczenia i wpływów, wspó z osiągnięciem najprzó ukochanej kobiety, za pomoc tego oto, rozsypanego przed nim grosza - odbierał mu równowagę duchową, mieszał myśli.

Porwał się znów z miejsca i po pokoju biegał poczł, niebawem jednak rzucił się na krzesło, wyczerpany, uporczywie, ponownie wpatrzywszy się w fotografię ukochanej.

Od czasu do czasu odrywał wzrok od drogich rysów kobiety i przenosił go z wolna na stos banknotów i złota. Póniej spojrzenie jego, wewnętrznej pracy myśli jakby posłuszne, wracało powtórnie do lubego wizerunku.

Przy samych wargach dziewczyny drżał kwiat purpurowy obecnie - dziewczę i róża całały się teraz lubiećnie...

A w izdebce tymczasem lampa powoli dogasała poczę stopniowo, niepewnym, migoczącym światłem kócił się jakby z rękiem radosnego słońca, poprzez rolety zagłdającego co chwila do wnętrza facyaty.

I półcienie jakieś, tajemnicze, mgliste wsunęły się równocześnie na poddasze - zaludniły cicho puste, zakurzone kąty jego...

Siedzący młody człowiek zrywał się nagle z krzesła swego.

Bo oto niespodzianie dwoje mu się w oczach zaczyna...

Rozsypane na stole złoto zalewa izdebkę całą, a z komódki starej zstępowaa zaczyna z wolna ona sama, zamglona i powiewna postać... Dotykając stopkami drobnymi złota, idzie ku niemu ona, z zalotnym uśmiechem, piękna niewinna - chyli się rozkosznie w jego ramiona!..

Męczyczna ku zjawisku temu wyciąga instynktownie ręce, na wó przytomnie naprzód pochyła...

Lecz oto nagle czar pryska...

Wypełniająca wnętrze izdebki złocista przestrzeń znika, zjawisko eteryczne zał zaczyna oddalać się coraz bardziej, unosi w górę, niepochwytne, a za nim tylko na ciemnym tle facyatki, jak wąż ognisty, wije się struga byszcząca łciełka, dotyka stóp jego - pomostem złota łącząc go w ten sposób z uchodzącym cieniem ubóstwianej przezeń kobiety.

Wreszcie znika wszystko.

M³ody m³czyzna przeciera d³oni± czo³o, rozgl±da si³...

Niema nikogo!

C³o to wi³c by³o?

Hallucynacya zapewne napr³onych nerw³w i rozigranej wyobra¼ni, rzucaj±ca mu na ekran p³ocieni³w izdebki fantasmagoryczny obraz noszonego ci±gle w duszy dziewcz³cia! Wp³yw to rozpr³onych wr³eñ i my¶li, skutkiem wysi³ku, szumi±cego jak potok, nawa³em zw±tpieñ i pytañ mózgu. Zapewne...

I m³odzianiec powt³ornie przeciera d³oni± zm³czone czo³o, a jednocze¶nie ³³³uje jakby, ³³e widzenie ju³ pierzch³o. Przed oczyma stoi mu ci±gle, jak ³ywy, obraz jej, ukochanej - ch³onie w siebie jej postac³ wdzi³czn±, ca³uje my¶li± oczy jej i usta.

W przelocie zarazem, po raz nie wiadomo ju³ który, wzrok jego dotyka banknot³w i z³ota, a w duszy bunt mu si³ zrywa.

- Jak to?.. On mia³by odr±ci± od siebie ten grosz, i w ten spos³b straci±, na zawsze mo³e, ¶rodki ku zdobyciu drogiej sercu kobiety?.. Zniszczy± bezpowrotnie pomost z³ocisty, ±cz±cy go z ni± jakby w widzeniu proroczem?

Nie, przenigdy. Tak naiwnym nie b³dzie...

Pieni±dz ten potroi, maj±tek zrobi, fortun³ - z³otem prze³amie, zwalczy przeszkody wszelkie.

- Zrobi± maj±tek, czy³ to tak ±atwo? - na dnie duszy gdzie¶ zatajone zw±tpienie nagle ironicznie pyta, jakby ostudzi± pragn±c przedwczesn± rado¶±.

Chmura niezadowolenia przelatuje po czole m³czyzny.

- Tak, zaiste, prawda, to nie tak ±atwo. Lecz z pot³g± pieni³dzy w d³oni tak, czy te³ inaczej, do wszystkiego zawsze doj¶± ±acniej w ³yciu; - klucz z³oty otwiera wszystkie bramy!..

I ostateczna, prze³omowa walka odbywa± si³ w tej chwili zdaje w duszy m³czyzny. Na wysokim czole napr³aj± mu si³ ³y³y, oczy ci³niej±, a twarz bledsz± si³ staje... Z n³c± pokus± zaw³adni³cia cudzem mieniem, po raz ostatni staj± do boju wpojone w m³odocianych latach jeszcze zasady.

Powrotn± fal± z daleka cicho p³yn± i p³yn± coraz pot³niejsze, bli³sze i zalewaj± stopniowo umys³ m³odzianca. Szemrz± coraz dono¶niej, silniej...

A z przyp³ywem ich jednocze¶nie mi³kn±± poczyna co¶ w duchu m³odego m³czyzny, bo oblicze jego wzburzone uspakaja si³ stopniowo. Co my¶li, z rys³w twarzy odgadn±± jeszcze trudno, domy¶le± si³ jednak mo³na, ³³e poryw jaki¶, szlachetniejszy od poprzednich, czystszy, opanowywa± go - w swoje posiadanie bierze.

Po chwili machinalnie ujmuje on w r³ce porzucony na stoliku obok

pieniędzy pugilares i milcząc, zgarniając poczyna rozsypany stos banknotów i rulonów monety.

Przy czynności tej, zagadkowej jeszcze, bezustannie tak samo zamknięty młodziwiec odwraca niebawem w dłoń trzymaną portfel, a równocześnie spojrzenie jego pada na coś, czego nie zauważył dotąd wcale.

W rogu pugilaresu, u góry, maleńka, dziewięciopalkowa rzuca mu się w oczy korona hrabiowska; wdzięcznie granacikami oprawionemi w złoto mieni się ona, szyderczo zda się patrzy... Na ten widok poprzedni spokój i wyraz pierzchają nagle z rysów mężczyzny, i rzuca się w tył gwałtownie.

Wzruszenie jego, zmatowane dotychczas cichem zamknięciem, złowrogim teraz błyszczy ogniem, a jednocześnie w duszy następuje momentalnie przewrót nagły.

Znowu poczyna biegać po pokoju wzdłuż i wszerz...

I jak kępa drzew gdzieś w polu samotna, co ugina się pod gwałtownym naporem wichru ku ziemi, zwyciężyła ona, pokorna - tak duch młodzieńca, miotany ponownie burzą myśli, kołysa się i gwałtownie się poczyną.

Gdy ujrzał on bowiem emblemat ludzi utytułowanych, żywo stanął mu przed oczyma salony, których miesiąc temu parę był gościem i sylwetki hrabichów, kręcących się koło jego ukochanej.

Widzi ich jak na dłoń, wszystkich, niby na jawie!..

Widzi dumnego ojca pięknej dziewczyny, zazwyczaj traktującego go z góry - dla nich, potomków starożytnych rodów, chociaż częstokroć biednych - pełnym uprzejmości wyrefinowanej i uniżonej niemal grzeczności. Widzi wreszcie siebie samego bezkarnie i dotkliwie obrażanym przez tychże arystokratów, lecz tak zręcznie, że na pozór nieraz nie można zda się było winić ich, czynili to bowiem oni, z taką subtelnością, oraz jubilerskim jakby wykończeniem, jak dotknąć potrafił tylko ludzie "bardzo dobrze wychowani."

I przy tem wspomnieniu ostatniem, jakby zraniony, mieszkaniec małej izdebki, wzdryga się i wyrzuca szeptem:

- Jak to? te dwadzieścia parę tysięcy należą do jakiegoś hrabiego? Zatem los ślepy i ironiczny zarazem wsuwa mi w ręce część mienia jednego z tych wspaniałych, którym tak często zazdrościłem bogactwa, znaczenia i tytułów!..

I ja, wobec jednostki takiej, miałbym grać rolę szlachetnego, zwracać mu to, co dlań może kropla w morzu tylko, fundusikiem, przeznaczonym zapewne na hulanki nocne i zabawę?

- Ha-ha-ha!.. - rozlega się po pokoju szyderczy, szatański prawie śmiech mężczyzny, i odbija od ścian niemiłym dla ucha brzmieniem.

- Ha-ha-ha, niedoczekanie twoje, panie hrabio!.. - szepcze dalej półgłosem, a krew w żyłach kipi mu nieustannie - wre niespokojna, burzliwa.

I z duszy jego jednocześnie pierzchają bezpowrotnie, zda się, nikt, jak uroda i marzenie, wszelkie dobre zamiary, wszystkie, tak niedawne

jeszcze, wahania pomiędzy prawami uczciwości i ich pogwałceniem.

Zwycięzka, jedyna, jedna rozgascza się tam nienawiści tylko do kasty uprzywilejowanej i wyróżnianej w społeczeństwie. Wypielęgnowana cierpieniem i biedą, wysubtelniona wykształceniem, a szczególnie przestawianiem jeszcze za granicą w kościach różnych zapalonych głosów, o przekonaniach skrajnie demokratycznych - rozogniona wreszcie nadczuciowość nerwową w zbliżeniu się i czasowym powierzchownym życiu z przedstawicielami tej sfery - buchała obecnie gorącym promieniem, wszystko sobą przewyższając i tłumiąc.

- Za moje upokorzenia, tak niedawne - zaszeptają znów cicho usta męczycy - za moje cierpienia i biedy - za to, że ja nie mam takich przodków, jak ty, panie hrabio, ani twych bogactw, blasku i złota - mam życie całe w nędzy cierpienia, i to, gdy los sprawiedliwie bez wątpienia, odbiera ci część kęsa mienia, przypadkiem, i mnie niż w zamian obdarza?.. O, nie, panie hrabio!.. Władcy, cyganowi, wrogowi - każdemu bym zwrócić może, lecz tobie - nigdy!..

Ostatnie słowa mieszkańiec poddasza wymówi w zapamiętaniu głosno całkiem i z mocą jakiejś dziwności. Twarz za jego dziko po prostu wyglądała w tej chwili; pociemniawszy, jakby od wewnętrznego ognia, demonicznie piękna i straszna zarazem była ona, a zjadły promień szczerzej nienawiści do tak zwanych powszechnie "arystokratów" zajął ją na niej pełnym blaskiem.

Odruchem nagłym zbliżyła się do stołu i obie dłonie położyła na plikach banknotów i złotych. Czego nie zdążyła stanowczo uczynić okoliczności inne, sprawiła chwilę dokuczenia w czemkolwiek wyżej postawionej społecznej jednostce, jedna chwilka nienawiści i szalu.

- Moje, moje!.. - wyszeptają usta męczycy zwycięzka, jakby z mimowolnością, ukrytą w sobie radością nutą, a echo słów tych, urywanych, cichych, dziwną mocą rozbrzmiało w martwym milczeniu facyatki.

Cisza nastąpiła znowu.

Tylko w piersiach mieszkańca poddasza przelęknięte jakby swym czynem serce poczęło bić przyciszonym tętnem, a szelest ten miarowy, jak zegaru wahającego, mierzącego się zdawało te chwile przełomowe w duszy człowieka, depczącego uczciwość prawą dla miłości, nienawiści i złota!..

Nagle martwość pokoju przerwała co gwałtownie. Były to czyjeś kroki silne, przyśpieszone, idące po schodach, a coraz wyraźniejsze, bliższe... Niebawem rozległy się tuż za drzwiami, ucichły, i jakaś ręka wstrząsnęła lekko klamką, w ślad za którą rozległo się trzykrotne pukanie.

Gdyby w kataklizmie niespodzianym runęła ziemia, zapadając się gdzie w niezmiernie wszechświata - mniejsze to chyba uczyniłoby wrażenie na stojącym przed stołem męczycy, niż chwila obecna...

Nogi zadrżały mu, a bojaźliwa trwoga ścisła krew w żyłach, co za, niby gad obłizną, przemknęło po krzyżach i za kark chwyciło despotycznie, zaparowało dech w piersiach.

W półświatłach dogorywającego światła nieomykała lampa twarz pochylonego nad pieniędzmi młodzieńca nabrała strasznego, a zarazem dojmującego trupio-białego wyrazu, ręce za, jak kleszcze, wpiły się w leżące pod

niemi banknoty.

- Nie oddam was, nie zwrócê za nic w ¶wiecie! - mówiæ siê zdawa³y
wyrabi³nie kurczowo zaci¶niête palce, drz±ce w zwojach papierów i z³ocie.

Z ekranu izdebki, majacz±cego coraz bledszymi cieniami, ¶wiat³o w tej
samej chwili znik³o; zapanowa³a tu szarawa ciemno¶æ, a w ¶lad zatem
rozleg³o siê powtórne, tym razem silniejsze pukanie, poza drzwiami za¶
jednocze¶nie da³y siê s³yszeæ s³owa, wyrzeczone g³osem mêskim,
d³wiêcznym i m³odym.

- Widaæ, ¿e ¶pi, lub go nie ma...

- Ale to oryginalne - zauwa¿y³ kto¶ drugi, ciszej nieco. - Zarêczam ci,
i¿ przed chwil± pali³a siê wewn±trz pokoju lampa, przez szpary u drzwi
¶lizga³o siê ¶wiat³o! - s³owo!

- Ha, je¶li tak, to mo¿e Romanek ma u siebie jak±¶ dyskretn±, a weso³±
wizytkê - snaæ z rozmys³em dono¶nie rozleg³ siê g³os pierwszy. - Nie
przeszkadzajmy mu. Chod¼, Hermanie!..

- Weso³ej zabawy! - krzykn±³ ironicznie nazwany Hermanem, nachyliwszy
siê do drzwi, zapewne blisko, bo echo g³osu jego wstrz±snê³o ¶cianami
poddasza, poczem kroki przyby³ych oddalaæ siê zaczê³y.

Westchnienie ulgi podnios³o pier¶ mê¿czyzny.

Kilka kropel zimnego potu upad³o mu na rozpostarte d³onie; zbudzony tem
jakby, odst±pi³ od sto³u i rzuci³ siê w wycieñczeniu na kanapkê.

Pozna³ po g³osie tych dwóch, dobijaj±cych siê doñ przed chwil±,
poczciwych studentów uniwersytetu - widzia³ w wyobra¼ni swej teraz
niemal obok siebie wyrabi³ne postacie ich, w wytartych mundurach i
sp³owia³ych od s³ót i s³oñca czapkach, pokrzywionych butach... Biedni
ch³opcy!

Przypadkowo zaprzyja¼ni³ siê z nimi, jak tylko przyby³ tu, do miasta -
oni, zacne serca, pierwsi uczynnie nastrêczyli mu zarobkow± pracê...

Dawno ju¿ nie widzia³ ich. Ba, parê razy nawet w epoce owego
kilkutygodniowego ¶wiatowego sza³u, spotykaj±c ich na ulicy, a bêd±c w
towarzystwie eleganckich karnawa³owiczów, mimo woli powstydzi³ siê ich i
uda³, ¿e nie dostrzega. Nie pamiêtali mu tego - przyszli.

Mieszkaniec poddasza w zamy¶leniu przesun±³ d³oni± po jedwabistych swych
w³osach.

- Gdyby¿ oni wiedzieli i czytaæ mogli w duszy jego?

Rumieniec pal±cego wstydu i upokorzenia zakwit³ na twarzy m³odzieñca, a
wyraz cierpienia i wewnêtrznego bólu rylcem swym ¿³obiaæ mu pocz±³ rysy
wyrazistego oblicza.

D³ugo jeszcze przesiedzia³ tak w zadumie...

A gdy po jakim czasie s³oñce zajrza³o znów do poddasza, nie by³o ju¿
z³ota na stole; schowane - znik³o, m³ody za¶ cz³owiek, ¶miertelnie
znu¿ony moraln± walk±, na wpó³ ubrany, cicho zdawa³ siê drzemaæ na
³ó¿ku.

Niebawem zasną....

I sen oto, przed wewnętrznym wzrokiem duszy m³odzieńca, w tem tajemniczym jej życiu marzeń i rojeń, snuæ mu zaczął przedziwne obrazy...

A więc najprzód zda³o się pi±cemu, iż leci on w przestrzeń bez końca, ciemną i mroczną, unoszony niewidzialną jak± si±...

Tuli w objęciach swych przytem jak± powiewną kobiecą postać... Podobną, choć nie identycznie i ca³kiem, jest ona do ukochanej przezeń dziewczyny, a objęwszy pieszczotliwie szyje jego nagiemi ramionami, tak zawisła, ustami łągnie do jego ust rozkosznie - on za±, jak z kielicha pienia±ce się, musujące wino, pije nektar warg tych wilgotnych, tonąc w poca³unku cięg³ym, nieustannym, zda się - wiecznym.

Upajający wreszcie jednak zawrót g³owy i os³abienie omdlewające jakie i dziwne z wolna poczyna go ogarniać.

Za wiele, zanadto upajającej, osza³amiającej s³odyczy dają mu już te kobiece usta, jak pieczęć do warg jego bez końca przyłgnięte.

Lecz oto nagle ciemnieje mu w oczach wszystko dokoła i si³ swoich nie czuje już prawie. Przymyka więc powieki i leci znów tak samo dalej w przestrzeń, niczego niepomny i nic zgoła w okręgu siebie nie widząc.

Trwa tak do± d³ugo...

Wreszcie, wypocząwszy w ten sposób po swem wyczerpaniu, nie czując już ani ciężaru zwi³ej na jego szyi kobiety, ani zawrotnego czasu jej tchnienia... otwiera oczy...

Tamte, widziane przed chwilą obrazy, bezpowrotnie pierzchły; obecnie znajduje się zupełnie sam. Stoi teraz na ziemi, a stopy jego dotykają jakiej kamienistej p³aszczyny, szarej, bezładnej i smutnej. Promienie zachodzącego s³ońca z³ocząją i krwawią swym dogasającym, zamierającym blaskiem...

On za± nieporuszony stoi i bezustannie patrzy.

Nagle promienie gasną... Mrok szary pokrywa p³aszczem swym wszystko dokoła, a w cieniach tych tajemniczych, cichych, szeptać i ruszać się co± poczyna.

Z rumowisk i kamienistych szczelin podstępnie wycięzły oto jakie postaci, mary, i jak duchy nie z tej jakby ziemi, skrzydlate - rozpierzchają się po równinie, z przyt³umionym szelestem. Nad g³owami ich lecą wielkie czarne z³owróżbne ptaki, szumem swych skrzydeł m³ącąc martwotę rozlanej wokoło pustki i ciszy.

On, nic zgoła nie pojmując, spogląda wciąż, przelękły, zdziwiony... Po chwili dopiero zdaje się rozumieć...

To - pos³uszne niewidzialnemu, a nadprzyrodzonemu skinieniu - lecą tak zapewne żerować na pad³ ziemski - wyrzuty sumienia!...

Tymczasem szmer lotu ptaków - olbrzymów cichnie, zmierzch poch³ania ich postaci - nikną.

On z ulgą oddycha i instynktownie postępuje parę kroków naprzód.

Nagle wrywa mu się z piersi przenikliwy krzyk!... Nad jego głowę wiszą, chwieje się ptak czarnopióry, a niższy lotu swego, wkrótce siada mu na ramionach, niemiłosiernie wpiwszy w nie swe szpony, równocześnie za nim w głowie uczuwa uderzenia miarowe.

To ptak ów straszny i wielki, niby dziecko w pień drzewa, stuka jemu tak w czaszkę jednostajnie...

W tłumie za nim jedna z pierzchających wokół postaci zjawia się przed nim blisko. Ubrana w aksamit, czarna i brudna, przyskakuje doń obcesowo, drapie go, i utkwivszy w oblicze ofiary swej palcami, promienne, dzięki uśmiechowi, nachyla się bardziej jeszcze i plwając mu w samą twarz poczyną.

Z ust jej, wykrzywionych, wstrętnych, leży się strumienie lawy żółtej i palą, bolą...

A jednocześnie tańczą oto w krąg, z szelestem widziane niedawno w portfelu zwitki storubówek i innych banknotów. Dwoje się, troje w oczach, przybierają one fantastyczne kształty, a niektóre, przedzierzgnięte jakby w jakieś karły żółte, szponami drobnymi rwą mu ciało bez litości. Inne znowu, z głowami wężów obrzydliwych, syczą, kłują go zewsząd.

Napastowany, nieprzytomny, opędzając się rozpaczliwie, rękami, nogami - cięgle, tarzając się nawet od jakiegoś czasu po kamienistych zrębach - ucieka w końcu zaczyna równiną, jak szalony. Potyka się co chwila, pada i ucieka znowu, gnany czeredą karłów i olbrzymików, o głowach, szyjach gadów, z białszymi dziurami ze żółta.

Nad głową, z ramion przemocą spędzony, wisi wciąż ptak olbrzymi, a postać żółta, mglista, leci z nim wespół w mroczną dal...

Nagle, niewiadomo jak, skąd i kiedy zjawia się znowu poprzednia kobieca postać.

Widzący, w swym majaczeniu sennym - odczuwa niewysławioną radość; a ona, podawszy swą rączkę drobną, z uśmiechem zalotnym na licznie wykrojonych usteczkach, towarzyszy mu zaczyna.

Razem bezustannie biegną teraz po kamienistej równinie. Czarowna towarzyszka jednak nie czuje, jakoby, co dolega między nimi, i nie widzi roju prześladowców jego.

Dziewczę to, czy kobieta, ubrana cała w bieli, zasypana kwieciami róż i konwalii - cudna, lecz lekko, dotykając się zaledwie stopkami swymi ostrymi kamieniami. Nad głowę jej, jakby w przeciwieństwie ptakiem czarnym, lecącym obok - chwieje się duży ptak biały...

Zjawisko tłumienia tego ptaka trwa jednak bardzo krótko, bo oto jemu, wpatrzonemu uporczywie w swą towarzyszkę, zdaje się nagle, że pióra u skrzydeł tych mlecznych z lekka szarzeją poczynają, stopniowo ciemnieją przybierając barwę...

Wtedy wzrok coraz bardziej, ale niebawem nic wokół, nawet prześladowających go mar, rozpoznać nie jest w stanie.

Noc czarna, despotyczna, rozpinaæ w³a¶nie poczyna nad p³aszczyzna ponur± sw± oponê.

Naraz znika wszystko...

On równocze¶nie czuje, ¿e leci w przepa¶æ bez dna, tre¶ci, oraz w chaos, z którego ocuca go dopiero uderzenie silne o co¶ ca³em cia³em.

Spogl±da...

Przed nim obecnie wznosi siê sfinks olbrzymi; o niego to w rozpêdnie uderzy³ siê przed chwila. W jasno¶ciach aureoli gorzej fosforycznym blaskiem, u¶miechaj±c siê zagadkowo. Na olbrzymich barkach jego, na tu³owiu - obliczu, wszêdzie, niedostrzegalne zrazu dla ludzkiego oka, wij± siê, ruszaj± miryady drobnych lilipucich postaci.

Jedne z nich rodz± siê tu z u¶miechem na ustach i piskiem, innych do grobu zanosz±; ci walcz±, depcz± po sobie, zabijaj± siê, wzajem w przepa¶cie spychaj± - tamci w ramionach drugich pij± mi³o¶ci rozkosze, a tam znów inni jeszcze g³odne twarze i rêce wynêdzia³e wyci±gaj± po datek, s±iaduj±c z bliska z takimi, co w bogactwie i zbytkach nurzaj± siê po uszy, lub grêzn± cia³em w rozpu¶cie, jak w b³ocie.

A ¶rodkiem - rozbite na tysi±ce strumieni, na kropel miliony rozprys³e, p³ynie, faluje z³oto...

I przed promienistymi jego potoki, jak przed ¶wiêto¶ci± - korzy siê pokornie, s³u¿alczo, wszystko doko³a.

Czo³em lilipucie bij± przed nim miryady - to te¿ ono nadaje owemu sfinksowi tajemniczemu blask fosforyczny - ono króluje tu, bezpodzielnie panuje.

Lecz oto nagle olbrzymia g³owa sfinksa ujrza³a snaæ nowego przybysza.

Usta jego, wynios³e i dumne, rozchylaj± siê szerzej, i miast zwyk³ego u¶miechu zagadki, sardoniczny, szyderczy, wstrz±sa przestrzeniami ¶miech.

Ha-ha-ha!... Ha-ha-ha!... sfinks ¶mieje siê - ¶mieje szatañsko i zwyciêzko jakby - wynio¶le - strasznie!...

.....

G³uchy jêk wyrwa³ siê z piersi u¶pionego cz³owieka. Wstrz±sn±³ on murami pogr±¿onej w ciszy izdebki, kraj±c zali serce swem echem smutnem, cich³ i gas³, zamieraj±c powoli...

.....

Obudzi³ siê ¶pi±cy.

Wylê³ym, zamglonym jeszcze wzrokiem szklanym popatrzy³ zaspany woko³o siebie bezprzytomnie i niebawem przymkn±³ na powrót ociê¿a³e powieki, obróciwszy siê równocze¶nie do ¶ciany.

W kilka za¶ minut pó¼niej, blada twarz mieszkañca facyatki, spokojna, nieruchomo spoczywa³a na poduszce, pogr±¿ona w twardym u¶pieniu. Dusza

tym razem zdrzemnęła się w nim zapewne równie, oddech bowiem napiętego miarowo rozlega się już swobodnie całym w samotnej, cichej izdebce.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Zdążył do pobliskiej Wenecji, wpadł pociąg kuryerski w morze, i huczał, leciał, pędził niby po powierzchni fali. W przedziale wagonu drugiej klasy było tylko dwoje ludzi. Kobieta młoda, ubrana w strój lekki, dystyngowany, z szarego materiału, drzemała, czy spała, wciąż nie była w garniturze, z górką opartą o poduszkę boczną - mężczyzna zaś, siedzący naprzeciw, trzymał delikatnie w dłoniach pozostawioną w uścisku jej rękę drobną, i pochylony z lekka, patrzył z miłośniczym w znużone rysy i bladą twarzyczką kobiety.

Od czasu do czasu wzrok jego odrywał się od oblicza towarzyszkę, biegł przez otwarte okno, ścigał, zda się, pogróżone w ciemnościach bezgwiazdnej nocy, niewidzialne tuż poza mknącym pociągiem Adryatyku fale.

I wtedy, za każdym razem przesuwała się chmurka jakby po czole jego, osiadała tam jakiś cień niepochwytany, a usta jednocześnie drgały skrzywieniem gorczy, czy bólu pełnym.

Gdy jednak wzrok zniżał się ponownie, to w zetknięciu się z obliczem młodej kobiety, pogróżonym w cichym uśpieniu - oczy smutkiem zamglone - zgodniały mu prawie natychmiast, a choć pomimo woli i bezustannie myśli rozpamiętywał się coś zdawała - z ust momentalnie zniknęło zagięcie cierpienia i powoli przeistaczało się w uśmiech, oraz zapatrzanie się w ukochane rysy.

Siedzący tak w zamyśleniu nieruchomo - a w widocznej obawie zbudzenia towarzyszkę - podróżny posiadał cechy zewnętrzne dość interesujące.

Był to przede wszystkim mężczyzna piękny bardzo; ciemny brunet, o wytwornej powierzchowności i układzie, charakterystycznej owalnej górze i czole wypukłym, upiękaszonym brwią czarnych, wąskich i regularnych, miał on pociągły, ładny kształt twarzy, okoloną średniej wielkości brodą. Nerwowe, wyraziste rysy oblicza tego wyraźnie zdradzały przytem pochodzenie północne, zarówno jak i piękne, duże oczy, patrzące na świat gorąco, z rozmarzeniem nieokreślonym, aksamitnym spojrzeniem dziecka Italii.

Do drugiej ojczyzny swej ponieważ rzeczywiście tak lat trzydzieści zaledwie mający młodość człowiek.

Noszący jedno ze starszylacheckich nazwisk, Roman Dzierżymirski, był synem niezłomnego już, a dawniej bogatego bardzo i znanego w szerokich kołach własnego kraju, Oskara Dzierżymirskiego, oraz żony jego, rodem Włoszki, a był przed swoim ulubionym piewaczki.

Pochodzenia pono wątpliwego bardzo, choć niezwykłej urody i wdzięku, była ta matka Dzierżymirskiego Romana, bledąca, jak mówili jedni, dzieckiem miłośniczym wolnej pewnego dorobkiewicza rzymskiego - jak twierdzili drudzy, podrzutkiem tylko, z mętów społecznych dzisiejszej Romy, wychowanym i upożyczeniem przez tegoż przemysłowca włoskiego.

Po niej piękno^o ^odziedziczy^o syn, po ojcu za^o niew^o±tpliwie t^e
wytworno^o, która cechowa^a najmniejsze nawet poruszenie siedz^ocego
podró^oznika, i postaw^e jakby pa^onsk^o, mimo woli nieco wynios^o.

Roman Dzier^oymirski jecha^o w^oa^onie z ma^o± onk^o sw^o w podró^o, po^olubn^o, a
raczej z kraju ucieka^o, ojciec bowiem ^opi^ocej cicho naprzeciwko niego
kobiety, szatynki, o ^olicznych rysach, January Gowartowski, bogaty i
dumny magnat kresowy, odmówi^o by^o jemu jej r^eki...

Lecz mi^o ^oæ nami^etna nie pyta, gdy idzie o posiadanie kobiety!

Roman zdoby^o sw^o ± on^e dzisiejsz^o, porwawszy j^o za jej zgod^o. ^olub ich
tajemny, w ma^oej wioseczce, w zaciszu Karpat - odby^o si^e w^oa^onie dwa dni
temu...

Przysz^oo mu to wszystko z ^oatwo^oci^o. Ola kocha^a go, ubóstwia^a, nic
zgo^a nie widz^oc poza nim, na stron^e materyalna za^o i koszta, wynik^oe z
takiego niespodzianego obrotu rzeczy, zwraca^e on uwagi nie mia^o
potrzeby.

W rodzinnem mie^ocie wiadomem by^oo powszechnie, i^o rok, czy dwa lata temu
odziedziczy^o Roman Dzier^oymirski fortun^e w kapitale, po dalekim
krewnym, osiad^oym i zmar^oym w Stanach Zjednoczonych.

Jecha^o zatem dzi^o m^oody i ostatni potomek dogasaj^ocej ju^o w nim rodziny
Dzier^oymirskich, ze skarbem swym, drog^o sercu ma^o± onk^o, do W^ooch,
ojczyzny matczynej. Wzrok jego, b^o±kaj^ocy si^e bezustannie pomi^edy
twarz^o ± ony, a skrytym cieniami nocy krajobrazem, zamglony, my^o±cy, w
dalszym ci^ogu wspomina^e si^e co^o zdawa^o.

Poza oknami wagonu fale morza nieustannie szemra^oy wci^o± cicho, w dali
za^o, na czarnem tle widnokr^egu, stopniowo, coraz bli^o±sze, b^oyszcz^oy ju^o
^owiate^oka Wenecyi.

- Oto tam - mówi^oy niejako marz^oce oczy m^e± czynny - za godzin kilka
czekaj^o mnie u^omiechy pierwsze i rozkosze ziemskiego szcz^e±cia w
obj^eciach ukochanej ponad wszystko kobiety! Oto tam, wymarzony od tak
dawna, oczekuje na mnie raj w^oasny u^odnego podzia^ou wzajemnego uczucia,
w zupe^onym oddaniu si^e niepokalanego niczem dot^od kwiatu - niewinnego
dziewcz^ecia...

Wzrok Romana z zachwytem spocz^o± na twarzy ^opi^ocej kobiety. Równocze^onie
poci^og, pozostawiwszy morze za sob^o, wpad^o w jakie^o gaje, brz^ecz^oce
rojem owadów. Jednostajna, monotonna ich muzyka wpada^a uporczywie w
uszy podró^onego, a on, ca^oy zas^ouchany, spojrzeniem swem znowu ogarn^o
ciemn^o± przestrze^o± poza oknem wagonu.

- Co, zagadkowa przysz^oo^oci, niesiesz mi w darze?.. Czy zap^oacisz mi za
to, com przeby^o dot^od, przecierpia^o, dla zdobycia drogiego dzisiaj? Czy
wynagrodzisz, czy skarzesz? - pyta^e si^e zdawa^oy czarnej nocnej dali
posmutnia^oe nagle chwilowo oczy m^e± czynny.

I ponownie w k^ociku warg jego pojawi^oo si^e bolesne, przelotne zagi^ecie
ust, a sna^e usi^ouj^oc odp^edzi^e my^o± przykr^o, Dzier^oymirski powsta^o
ostro^onie, nie wypuszczaj^oc wci^o± z d^ooni r^oczki u^opi^onej swej
towarzyszki. Wychyli^o przez otwarte okno g^oow^e... Na tle ciemno^oci
po^oykiwa^oy ju^o teraz rz^esi^o± ^owiat^oa - poci^og wje^od^oa^o w^oa^onie na
stacy^e. W sekund^e, z nag^oa szarpni^ete, gwa^otownie zatrzyma^oy si^e wagony.

Dzierżymirski o ma^o nie upad^o, straciwszy na razie równowagê, i pociągn^o za sob^o rączkê żony, ścisnąc jego d^oń lew^o - prawa za ścieżkę opar^o się silnie o ramê okna.

- Ach!.. ach!.. - z trwog^o, wyrwa^o się z ust m^odej kobiety, i otworzy^o szeroko oczy, zdziwiona.

Szybko Roman pochyli^o się ku niej i przemówi^o miêkko:

- Przepraszam ciê, kochanie, przestraszy^o cię, prawda?.. Ale to wina nie moja - wagony szarpn^o tak silnie...

- To ty... Romanie!.. - szepn^o kobieta i zarzuciwszy w ślad za tem, z niewys^owionym wdziêkiem, obie rêce na szyjê m^odego, przytuli^o się doń czule, sk^oadaj^o równocze^onie poca^ounek na piêknem czole.

- Wysiędziemy, z^ootko, ju^o Wenecya! - rzek^o Roman, wysuwaj^o się delikatnie z objê^o m^odego żony uniós^oszy j^o w ramionach, postawi^o na równe nogi.

- Nareszcie!... - wykrzykn^o Ola rado^onie, oprzytomniawszy ca^okiem na widok ja^oniej^ocego dworca.

- We-ne-cya! - zabrzmia^o dono^onie pod samem oknem wagonu, gdzie ukaza^o się kêdzierzawa g^oowa i śmiejąca twarz konduktora.

- Stazione Ve-ne-tia!.. - przecięgle, śpiewnie odpowiedzia^o g^oosowi pierwszego konduktora okrzyk drugi, dalszy, i zgin^o.

Pociąg, którym jechali Dzierżymirscy, zatrzymując się tylko kilka minut, jechał dalej wprost do Medyolanu - nale^o się śpieszyæ...

Roman pobieg^o do przeciweg^o okna, otworzy^o gwa^otownie drzwiczki od wagonu, i pocz^o wo^oæ dono^onie:

- Facchino!.. facchino!.. *)

[*) Po w^osku tragarz.]

Za m^oem zrêcznie wyskoczy^o z wagonu Ola Dzierżymirska. Niebawem zjawi^o się po^odany tragarz i ruszono z bagażem do dworca. Tu obst^opiono przyjezdnych.

Ca^o rój przeróżnych figur ha^oliwie ofiarowywaæ im pocz^o swoje us^ougi, rzędn^o s^oby hotelowej, w galonach, z o^owieniem i gestykulacy^o namawia^o ich ka^ody z osobna do siebie. Gadatliwo^oæ W^oochów oszo^omi^o na razie Dzierżymirskich.

Po chwili dopiero Roman, znaj^ocy kilka w^oskich wyrazów, zdo^o się porozumieæ i wybrawszy hotel, kaza^o się prowadziæ do przystani.

Niebawem m^oda para podró^onych sadowi^o się ju^o w wygodnej, na czarno pomalowanej gondoli, obs^ougiwana z natarczywo^oci^o przez różnorodnych oberwańców i gapiów, stoj^ocych w pobli^o.

- Pysnie się siedzi! - zawyrokowa^o g^ono Ola, wycięgn^owszy się na miêkkiem, czarn^o skór^o obitem, siedzeniu.

Roman usiad^o przy niej - gondola zako^osa^o się lekko...

Powoli odpychano już ją od brzegu, gdy oto z kilkunastu stron naraz wyciągnęły się ku mającym odjeżdżać prosiące dźwięki z kapeluszymi, i chórem zabrzmiała prośba o datek. "Soldo, soldo!" choć uniżenie, lecz z odcieniem lekkiej jakby groźby, rozlegało się dokoła ustawicznie powtarzane na wszystkie tony.

- A to zadowolę!.. - mruknął Dzierżymirski; zmuszony jednak wyjął z kieszeni portmonetkę, rzucił tam i ówdzie z humorem drobne monety.

Gondola ruszyła już - płynęli...

Młodą kobietę zabawiła ta scena. Perlisty śmiech jej, wesoły, rozlegał się wokoło, gdy oto nagle, jakby czemś zmroźony, ucichł. I Ola, objęwszy wzrokiem rozciągający się przed nią krajobraz, ruchem wdzięcznym przytuliła się do męża.

- Jak tu czarno, Romanie, nieprawdaż? - szepnęła.

Dzierżymirski, milcząc, opiekuńczo objął ramieniem kibię żony i przycisnął ją miękko do piersi, rozejrzawszy się zarazem.

Rzeczywiście, czarno tu było.

Wenecja już spała. Skąpane chmurami niebo odbijało się w mętnej wodzie kanałów i powlekało je kirem ciemności, po którym tylko blednym ognikiem przeświecało, widać się czerwone światło latarni, umieszczonej u spiczastego, zębatego końca gondoli.

Płynęli przez Canale Grande*).

[*] Po włosku : Kanał Wielki.]

Jak gdyby śnił o swej dawnej potędze i chwale, wokoło nich zadumane, ciche stały wyniośle rzędem weneckie pałace. W żadnym oknie nie paliło się już światło, otulało je milczenie zupełne.

Gondola, kołysząc się z lekka, unosiła co chwila swe przednie i tylne dzioby, płynęła spokojnie, z jednostajnym pluskiem wioseł i szmerem rozstępującej się pod nią fali.

Przytuleni do siebie, dłużej chwilę z ciekawością patrzyli Dzierżymirscy wokoło. Z ustek pierwszej Oli niebawem posypały się rozliczne uwagi.

- Patrz, patrz, Romanie! - wołała ona co chwila, wskazując z zajęciem na wznoszące się zewsząd budowle.

Dzierżymirski potakiwał żonie, objaśniał, i półgłosem prowadzona swobodna pomiędzy jadącymi rozmowa zbudziła milczenie śniące - rozniosła się echem wyraźnym po grodzie weneckim, o tej porze tak bardzo cichym.

Tymczasem po obu stronach kanału kolejno przesuwały się, jak w kalejdoskopie, cudne swe archaiczne struktury pałace.

A więc, najpiękniejszy może z prywatnych siedzib Wenecji, właśnie księżę della Grazia, wychylał się z cieni "Palazzo Vendramin-Calergi", z roku 1841 w stylu początkowego odrodzenia; z nim siedzieli skromni, sięgający XV wieku, pałac "Erizzo" - dalej zwracał znów uwagę inny, z pozłacanym niegdyś frontem, do dziś dnia zwany "Ca Doro".

Opodal bardzo piękny wznosi się majestatycznie dzisiejszy lombard miejski, pałac "Corner della Regina", wzniesiony w r. 1724 na tem samym miejscu, gdzie ujrzała świat królowa Cypru, wenezyanka, Katarzyna Cornaro.

Wkrótce, tuż poza dzisiejszą pocztą w Wenecji, zajmując dawniejszy niemiecki magazyn towarów "Fondaco de Tedeschi", zamajaczy olbrzymi most "Ponte di Rialto", w kształcie murowanego łuku wzniesiony.

Wsunęwszy się pod jego arkady, gondola Dzierżymirskich cichutko prześlizgnęła się tamtędy i skręciła wkrótce na lewo, w wązki kanalik, stanowiący arterię boczną "Canale Grando". Szeroka tafla wielkiego kanału znikła wkrótce z oczu i jadła barka, zagłębiając się coraz bardziej w szyję wodnej uliczki, wymijając coraz ciśniejsze i węższe zaułki. Łciany domów odrapane, ponure, szare, zdawało się, na płynących w gondoli, a ściskając się coraz bardziej, pragnęły pochłonąć, gubiąc je niejako w swym labiryncie.

Ciemności nocne panowały tu jeszcze większe. Gdziekolwiek tylko lśniła złotawo młym światłem latarnia - żywego ducha zał nigdzie dopatrzeć się nie można było.

Umilkła od paru minut Ola trwożnie przyłgnęła główką do ramienia Romana.

- Brr! straszno tu jakoł... - szepnęła.

- Nic, kochanie - odparł Dzierżymirski, musnęwszy pocałunkiem jej włosy - zaraz dojedziemy.

Nieprawdaż, że już blisko? - zwrócił się do gondoliera łamanem włoskim narzeczem.

- Si, signore. - odparł żywo zapytany, a nudząc się znał, bo z cudzoziemcem gawędzić nie mógł, zanucił półgłosem jakąś smętną piosenkę.

Ubrany całkiem biało, wahadłowym ruchem przechylał się bezustannie przy wiosłowaniu w prawo i lewo, na tle otaczających ciemności, czynił on wrażenie fantastycznego zjawiska, głos zał jego monotony błąkał się po kątach i odbijał dziwnym echem o mury, oraz zakratowane okna w swym łnie zakłêtych jakby domów. Roman milczał.

Ujmując dłoń i tuląc miękko w objęciu Olę, wsłuchiwała się w ten łpiew jednostajny, mrukiwy, i dziwnego doznawał wrażenia. Zdawało mu się mianowicie, że on nie do cywilizowanego, dzisiejszego, ale jakiegoł zbójckiego z zamierzczłej przeszłłci dojeżdża grodu; że ucieka, kryje się tu ze swym porwanym, czy też skradzionym łupem... Oto z ciemnych zaułków i kątów łpiłcej Wenecji wysuwają się po prostu jakby wyrałne jakieł cienie, mury, czy odbicie dawnych zbrodni, mordy i gwałtów, tak licznych w historii krwawej tego dziwnego miasta...

- A òel! *) - rozległ się nagle tuż za Dzierżymirskim krzykliwy głos gondoliera, i łódł jednocześnie zoczyła w zaułek ciemny.
[*] Uwaga!

- Sia-stali! *) - przeciłgle odpowiedział ktoś z innej gondoli.
[*] Na prawo!

Roman i Ola spojrzeli ciekawie.

W nadpływającej weneckiej barce siedział młczyzna czarno ubrany, w

białym kapeluszu, brunet, o ponurem wejrzeniu.

Gondola, otarłszy się prawie o napotkaną ódkę, prześliznęła się cicho - znowu byli sami.

- Patrz, tam się światli, co się stało?... - rzekła półgłosem Ola, kręcąc głowę i wskazując piętro jednego z domów.

Roman spojrzął.

- A, rzeczywiście - odparł - przecież choć jeden jakiś znak życia...

Na brudną wodę kanału, porysowaną ścianą i kołyszący się kadłub pustej gondoli, przywieszanej u stopni marmurowych wielkich kutych drzwi, kładło się cieniem przyjemnie czerwone światło, idące z okna oświetlonej komnaty. Jednocześnie płynęły melodyjne, ciche akordy fortepianu, wydobywane z miękko kobiecą ręką. Wtóra im nie miały brzęk mandoliny.

Rozpływając się powoli, w milczeniu, muzyczne tony łączyły się zgodnie co parę minut ze śpiewem, męskim, silnym tenorem, i szły ponad dachy, kanały, leciały daleko, drżące...

Poruszony muzyką i śpiewem, Dzierżymirski silniej przycisnął do siebie Olę. Wsłuchani w melodyję miłosnej pieśni poudnia, zbliżyli się oni instynktownie, a twarze ich, parcie ku sobie, pochyliły się.

Początek gorący złączył usta mężczyzny i kobiety; nie odrywając warg, w dreszczu wzajemnej rozkoszy, wśród deszczu spadających, jak drobne krople rosy, dźwięków - przepłynęli Dzierżymirscy pod oknami domu. Coraz cichsze fale granej melodyi goniły ich, powodząc zalewały jeszcze czas jakiś, aż umilkły.

Gondola w tej samej właśnie chwili wjechała na kanał św. Marka; plac tejże nazwy, gdzie w całej pełni ogniskowało się jeszcze życie miasta, zamigotał rzęsiście w oddali dziesiątkami niebieskawych i żółtych światła - przewoźnik oznajmił półgłosem podróżnym, że są już na miejscu.

- Dojeżdżamy, Oluniu! - poinformował Roman i z uśmiechem wpatrzył się namiennie i czule w twarz swej towarzyszki.

W ciemnościach nawet nocy, widoczny rumieniec objął promieniem twarz kobiety, i wzrok w zawstydzeniu spuściła przed palcem spojrzeniem mężczyzny, które zapewne swym blaskiem mówiło coś nad wyraz miłego.

W tej chwili właśnie przedni dziób gondoli stuknął o marmurowe stopnie hotelowego balkonu, a w parę minut później Roman i Ola znajdowali się już w obszernym, o marmurowych ścianach i posadzce pokoju, rozbrzmiewającym w ciszy stłumionym, głuchym brzęczeniem mustyków.

Odprawiwszy natarczywego sugę, proponującego im przysiąść natychmiast przewodnika, w celu obejrzenia powierzchni na przechadzce placu San Marco, bazyliki i pałacu Dogów - Dzierżymirscy wkrótce pozostali zupełnie sami.....

W Wenecji wszędzie pogasły już światła. Noc zupełnie, czarna, zawisa chwilowo nad grodem. Nie trwało to jednak długo; stopniowo chmury na

niebie rozstępowaaæ siê poczê³y i r±bek ksiê¿yca nie¶mia³o wychyli³ siê z poza nich.

Zamigota³ na wie¿ycach ko¶cio³a ¶-go Marka, z³otawym br±zie czterech rumaków, królu¿cych na szczycie tej katedry - musn±³ swym blaskiem ¶ciany pa³acu Do¿ów, a przeszed³szy siê po jego galeryach ponurych, zajrza³ w zakratowane okna wisz±cego mostu, ±cz±cego pa³ac z dawnym wiêzieniem, a znanego powszechnie pod nazw± "Mostu Westchnieñ".

Wyjrzawszy za¶ ju¿ odwa¿niej nieco, tr±ci³ srebrzysty ¶ni±c± taflê laguny, zadrga³ sieci± ¶wiat³a na powierzchni wód, a niebieskaw± ¶cie¿yn± dotkn±wszy siê ich pieszczotliwie, otworzy³ nagle perspektywê dalek±, hen! a¿ ku Lido-na morze...

W niezam±conej niczem ciszy, staro¿ytne zegary licznych ko¶cielnych i klasztornych wie¿ycach wybijaæ poczê³y rytmicznie któr¶¶ godzinê. Jedne z nich brzmia³y basem, inne kwili³y wiolinem, lub brzêcza³y melodyjnie, ±cz±c w sobie te dwa melodyjne klucze, a bij±c w ten sposób, zdawa³y siê mierzyæ w milczeniu chwile czyjego¶ mo¿e szczê¶cia...

Niedyskretne, ciekawe, promienie ksiê¿yca zaszkli³y siê jasnym ¶wiat³em na taflach szyb hotelowych, dawnego pa³acu Dandolo. Zatrzyma³y zda siê d³u¿ej przy jednym oknie i pomknê³y znowu obojêtnie w dal...

A pos±gowo u¶miechniête, wiecznie tak samo szerokie oblicze ksiê¿yca nie zmieni³o wcale wyrazu.

Bo có¿ go zaiste, obchodziæ mog³o tych dwoje ludzi, którzy przybyli a¿ tutaj po u³udê rozkoszy? Có¿ znaczy³y dlañ dwa serca, zrywaj±ce wspólnie kwiat mi³o¶ci i zapomnienia?

On, filozof, wszak w swem ¿yciu prawiecznym widzia³ podobnych zdarzeñ a¿ nadto wiele; on zna³ nico¶¶æ tych chwil, umia³ na pamięæ kochanków zaklêcia i ich nieraz s³omiane zapa³y, gasn±ce za ¿ycia podmuchem - pod rzeczywisto¶ci bezlitosn± rêk±. Wiedzia³ równie¿, ¿e zapa³y te same, odegrzane czêstokroæ i o¿y³e, kiedy¶, w przysz³o¶ci, obosiecznym ciêciem raniaæ mo¿e bêd± tych samych ludzi, skierowane do jednostek innych, zarówno ±akn±cych uczucia i u¿ycia...

Powiewna chmurka pieszczotliwie przytuli³a siê do twarzy ksiê¿yca i przes³oni³a go leciutko, kaskada za¶¶ miesięcznych promieni, zblad³szy, niepewnym, migotliwym blaskiem zala³a u¶pion± Wenecyê.

W tej samej chwili dwie jakie¶ postacie, zbli¿one do siebie, zamajaczy³y poza tafl± jednego z okien hotelowych, i dwie g³owy, dotykaj±c siê wzajemnie, zapatrzy³y siê we wdziêczny krajobraz laguny i morza, zamglonych chwilowo pó¶¶wiat³em, oraz cieniami ksiê¿yca.

I postawszy tak d³ug± chwilê, jakby rozmarzone, znik³y niebawem, splecione w u¶cisku, niezdolne napawaæ siê d³ugo poza sob± niczem, nawet piêknem przyrody...

W ¶lad prawie zatem nasta³a ciemno¶¶æ nieprzejrzana i zapanowa³a nad miastem pamiętek.

Zadumany i jakby têsksny tuli³ siê zmierzch szary do ¶cian kamienic

wielkiego miasta, do witryn wspaniałych sklepów jego, pełną u podnóżu pomników, ściana kontury gmachów kościołów - wszystko dokoła pogrzeba w mroki i cienie.

W wykwinnie umebłowanym swym pomieszkaniu siedziała na fotelu Melania, marszałkowa Warnicka, rodzona siostra ojca dzisiejszej Oli Dzierżymirskiej, a dotychczasowa od dzieciństwa prawie opiekunka tej ostatniej.

Przez otwarte okno, ściśnie z echami wielkomijskiego gwaru, wciska się tutaj wolno zmrok, a ściemniają się stopniowo coraz bardziej, pocieszająco jakby wygadała się stara zmarszczone wysokie czoło wiekowej już matrony, pogodnie muska jej siwe włosy, i zagładają jednocześnie niezmiało w oczy rozumne, wyraźnie zdawała się współczuć smutnemu jej zamyśleniu.

Na małym stoliku przed marszałkową leżał otwarty telegram. Opiewał on zaślakonicznie: "Przewidzenia sżuszne. Ola już po ślubie z Dzierżymirskim. Przyjeżdżam. Ładyżyński."

Już może pół godziny po przeczytaniu powyższej wiadomości, nieruchomo w swym fotelu siedziała pani Melania.

Od trzech dni - to jest od czasu gdy Ola zniknęła z domu swej ciotki, by więcej nie wrócić - marszałkowa Warnicka z niepokoju postarzała się byśa o lat co najmniej kilkanaście.

Początkowo nie mogła zrozumieć postępków swej siostrzenicy; tak dobrze było jej u niej, może zatem powróci ona lada chwila - niewątpliwie.

Musiała wyjechać z miasta na parę godzin, zagnana interesem ważnym... mówiła sobie, perswadowała staruszka.

Nazajutrz jednak wieczorem, gdy żadnej o Oli nie było wiadomości, obawa kochającej dziewczę ciotki wzrosła o niś do tego stopnia, iż myślała, że zwaryjuje. Dom cały był przerażony, latano, szukano rozpaczliwie nieobecnej po mieście, na chybić trafić - wszędzie, oczekują zarazem z trwożą wiskającej zda się w powietrzu katastrofy - wiadomości jakiej strasznej, o nieszczęściu, lub nawet o śmierci.

Zbawcą pełnej niepokoju marszałkowej okazał się wówczas Emil Ładyżyński, przyjaciel całego domu Gowartowskich, stary kawaler, sprytny wyga wielkomijski, a poza tem człowiek rozumny i bystry bardzo. Zebrawszy naprędce wskazówek tu i ówdzie, wpadł od razu na trop wąściwy. Domysły jego były trafne.

- A ja powiadam pani marszałkowej, że panna Ola używa już miodowych miesięcy! Młodość nie żartuje, gdy kocha... były to ostatnie słowa jego i sprawdziła się, niestety...

Przez samego ojca panny, Januarego Gowartowskiego, pogardliwie odrzucony konkurent, inaczej poradził sobie.

Marszałkowa w zadumie westchnęła cicho, ciężkie bowiem, zaiste, czekały już niebawem przejścia. Brat jej, January, którego, o niczem jeszcze nie wiedząc, powiadomiła, wzywając go, natychmiast po zniknięciu Oli, lada oto chwila nadjedzie...

Cóż ona, na Boga, powie ubóstwiającemu córki ojcu, jak się potrafi

wytłumaczył przed nim ze wszystkiego? Wszak to na jej opiece pozostawił on by, wyjeżdżał, jedyne swe dzieci...

Lecz czy mógł przewidzieć podobne rozwiązanie sprawy?

Przenigdy!...

I marszałkowa Warnicka nie jej jeszcze pochyliła na piersi górną swą siwą, a czoło jej porażony zmarszczki, znacząc jakby obraz męczących i ciężkich się myśli.

- A ja, Ołé, to dzieci, które wspólnie z bratem i ona kochała cała się swą duszą, czyż tak znów dalece winna być na by?...

Zapewne...

Nie porzuca się od razu wszystkiego, nie ucieka chybkiem, choćby nawet w ramiona ukochanego mężczyzny, gdy sprzeciwia się temu wola rodzica, gdy...

Pani Melania przetarła czoło pomarszczoną dłoń. "Młodość nie żartuje, gdy kocha!" zabrzmiały jej w uszach słowa Emila Ładyżńskiego. Miała świadomość...

I nagle, z początku nieokreślone, półniej coraz głośniejsze, głębsze, zakiełkowały w duszy staruszki wyrzuty sumienia. Bo czyż naprawdę, Ola nieszczęśliwa tak bardzo była winna?... Miłostką oszłością ją, porwała, a reszty niewątpliwie dokonało wychowanie młodej panny, kapryśnej pieszczotki ojca, ulubienicy również jej, marszałkowej, zawsze dlań pobawionej i sabszej.

I pani Melania znów zadawała sobie dalej w myśli pytania...

- Czy Ola posiadała w duszy swej to, co by ją od popełnionego kroku wstrzymało mogło? Czy wpajano w nią te zasady młodych, takie na przykład, jakimi ją karmiono lat temu wiele, w których pokolenie jej podobnych wyrosło?... Marszałkowa w zadumie spuściła nisko głowę.

- Nie, nie! - odpowiadało coś skrycie na dnie jej duszy.

Ola zasad takich nie miała, a z czyjeje to by winy?

Najprzód, naturalnie, ojca, Januarego, lecz następnie i jej przeciw, zastępując Oli odeszła z tej ziemi matkę.

I z szarą godziną, coraz bardziej rozgaszczają się po buduarze - z mrokiem, pełnym cichej melancholii lipcowego wieczora, wkradające się do duszy marszałkowej wyrzuty potężniały, rosły... Samokrytyka za własnego postępowania zgryźliwie szarpała poczęła jej mózg, coraz to nowymi pytaniami ją zasypując:

- Czy starała się wniknąć do duszy młodego dziewczęcia, a potem, zbadawszy ją, formowała i ukształtowała - mówiła ona. - Czy wtedy - pytała dalej - gdy po niewinnym dzieciństwie i młodocianych lecjach po raz pierwszy wstąpiła Ola, już jako dorosła panna, na błiską arenę salonów i światowego życia, dała jej, prócz wskazówek powierzchownych, banalnych, jakie przestrogi inne, głębszej, poważniejszej natury?...

A półniej - gdy rozbawiona, rozmarzona zabawiała, flirtami i tańcem, z

pobudzonymi zmysłami i wyobraźnią, wraca ona do domu z towarzyskich balów i zebrań - czy zastanowiliście się kiedyś, ty i brat twój, January nad tem, co przechodziło tam przez ową modę górkę, co zapalało wyobraźnię jej i w bezsennych nocach może marzeniem ułudnym na skrzydłach niezdrowych fantazji nie pozwalało zamknąć krainę do snu cichego?...

Uczyniliście wy to wszystko? Zastąpiliście dziewczęciu temu matkę, wykonywując wspólnie ten nałożony na was obowiązek, z tym koniecznym drobniactwem, z którym w istocie częstokroć nie rachują się rodzicielki same?...

Oblicze zadumanej marszałkowej wyraża teraz ciche cierpienie, jakby i skruć, w tym bowiem wewnętrznym, milczącym rachunku sumienia coraz ciężej odczuwa winę po swojej i brata stronie.

A raz poruszone sumienie znów pyta dalej niełaskawie: - Czy pochwycałaś ty również te chwile, gdy do kryształnej młodej dotąd jeszcze duszy zapukała miłośnica, wkradła się tam, i rozkwitła bujnie? Czuwałaż eń razem z ojcem Oli nad sercem swej pieszczotki? Rozumnym słowem, uważa głęboko, kształciliście ją? hodowali, strzegąc to serce, niby kwiat cieplarniany, od temperatury niezdrowej? Myśleliście wy o tem, iż tam, zamiast skromnego, pięknego płotka, o barwie pogodnej, może wzrosła ukrycie i bezkształtnie zajął niebieski kwiat namiętności cichy, wszystko dokoła duszący swą wonią?..

Czy uczyniliście wy to wszystko? - powtórnie, jako konkluzja wątpliwosci wszelkich, szarpnięto pytanie ostatnie duszą marszałkowej.

Przygnębiona oparła znużoną głowę o poduszkę starożytnego mebla.

Odpowiedzieć nie mogła obronę na zarzuty, powstałe w jej myślach za podszeptem sumienia - milczała zatem.

- Nie! - szyderczo odpowiedziała z kolei rozum!... Wypieściliście tylko ulubione swe dziecko, nie odmawialiście mu niczego - osypywaliście wszystkim, czego zapragnęło, znosząc nawet kaprysy, zachcianki i urojenia; ustępując woli, którym rozumnie powinniście byli kształcić; szechajcie - a nie rozkazujcie!

- O, wy! wychowawcy młodego pokolenia, jakże daleko jesteście od powinnościami swoimi!.. załamał się w końcu rozum z gorczy.

Marszałkowa Warnicka, nie ruszając się z miejsca, przymknęła powieki, chwilę dłużej w jednej i tej samej zostawszy pozycji, wreszcie wstała ociężale z miejsca swego i powoli zbliżyła się ku oknu.

Zapalono już latarnie w mieście. Po szerokich - trotuarach pierwszorzędnej ulicy snuły się tłumy. Pani Melania wpatrzyła się w nie, a w jej myślach jednocześnie szumiało:

- Uderz się w piersi!... Mea culpa, mea culpa! - bo ja winna, bardzo winna!

Zamigotała, zabłysła snopem promieni i iskier miłośnicy pomyk, i dziewczyna wyciągnęła ku niemu pragnące ramiona, jak ódź bez steru na morzu rozhukanem - dziewczyna, którą wychowała - zdeptała uczucia drogich sobie osób, nie oglądając się nawet za ich błogosławieństwem!

- Zbieracie, co¶cie zasiali! - g³os jaki¶ w uszach marsza³kowej rozbrzmiewa³ i rós³, pe³en potêgi.

Nagle staruszka cofnê³a siê wstecz ca³em cia³em i drgnê³a nerwowo. W ciszy apartamentów rozleg³ siê w tej chwili pokilkakroæ silnie dzwonek.

To by³ January Gowartowski. Marsza³kowa przeczuciem ju¿ zgadywa³a przybycie brata, a przetar³szy czo³o rêk±, z g³êbokim westchnieniem odst±pi³a od okna.

W s±siednim salonie, na odg³os dzwonka, zapala³ w³a¶nie ma³y lokajczyk ¶wiat³o, w przedpokoju rozbiera³ siê kto¶ i rozmawia³ ze s³u¿±cym.

Pani Melania, ws³uchawszy siê pilnie, pozna³a g³os brata. Wysikiem woli rozpogodziwszy, jak umia³a, oblicze, przest±pi³a próg buduaru, i wesz³a powolnym krokiem do salonu. W tej samej chwili we drzwiach ukaza³ siê przyby³y.

By³ to mê¿czyzna, lat ko³o sze¶ædziesiêciu mo¿e, chudy, wysoki, i pomimo wieku, trzymaj±cy siê jeszcze bardzo prosto, oraz gibki, jak trzcina, o wyg³dzie i uk³adzie delikatnym, zrêcznym i dystygowanym. Twarz January Gowartowski mia³ wygolôn± starannie, g³owê piêkn±, z przyprószonym nieco w³osem, a w±s sumiasty, bia³y, okala³ mu wargi, wygiête nieco dumnie - oblicze za¶ jego, nacechowane jakby wyrazem wynios³o¶ci, nerwowe, zmienne, znamionowa³o cz³owieka, na pierwszy rzut oka, nader wra¿liwego i uczuciowego mo¿e nad miarê.

Ujrawszy siostrê, podbieg³ ku niej szybko i z³o¿y³ w milczeniu na jej rêce pe³en uszanowania poca³unek. Przytem spojrzenie Gowartowskiego spoczê³o na jej twarzy pytaj±co, i dopiero po przelotnej chwili oczekiwania jakby, widzc marsza³kow± nieco zmieszan±, odezwa³ siê pierwszy:

- Odebra³em telegram twój, pani siostro, niepokój przygna³ miê tu natychmiast... Ola wyjecha³a podobno, gdzie? po co? na co?.. Czy tylko jej co z³ego siê nie sta³o? mo¿e ona chora, gro¼nie, broñ Bo¿e?.. Powiedz, Melanio, szczer± prawdê, mów prêdzej, bo wytrzymaæ z niepokoju nie mogê!.. - dr¿±co wymówi³ pan January s³owa ostatnie, z akcentem pro¶by, g³osem pe³nym obawy, i z trosk± na wyrazistej twarzy czeka³ na odpowied¼.

Tymczasem zmieszanie marsza³kowej ros³o. Unikaj±c spojrzenia brata, rzek³a:

- Ale¿ uspokój siê, mój drogi, có¿ znowu?.. Upewniam ciê, i¿ Ola najzdrowsza siê czuje i ¿e zgo³a nic z³ego jej nie grozi...

Twarz Gowartowskiego natychmiast rozpogodzi³a siê i westchnienie ulgi podnios³o pier¶ jego, odczu³ bowiem szczerop¶æ w s³owach siostry.

Rzuciwszy opodal kapelusz i podró¿na torebkê, usiad³ wygodnie na fotelu i spokojnym ju¿ zupe³nie g³osem zapyta³:

- No, wiêc có¿, na Boga, sta³o siê z Ol±? wyjecha³a - dok±d?...

- Zmêczonym pewnie jeste¶ i g³odnym - przerwa³a bratu Melania - mo¿e kazaæ daæ ci herbaty, przek±ski?... - i mówi±c to, przycisnê³a guzik elektrycznego dzwonka.

- Ależ, ma chère, - żachnąć się trochę niecierpliwie Gowartowski - to wszystko zrobimy półnżej, po cóż te ze mną ceremonie; co ci się dzisiaj stało, taka nienaturalna jaka jesteś? - zatrzyma się pan January i spojrza siostrze badawczo w oczy.

- Nakarmisz mnie potem - dorzuci po chwili, z uśmiechem - lecz opowiedz mi najpród, co się tutaj stało?...

Marszałkowa i na to nic zupełnie nie odpowiedziała, bo w tej właśnie chwili na progu salonu ukaza się przywołany lokaj. Wszystko, co dotąd czyniła, miało za cel zyskać tylko na czasie, po prostu bowiem nie wiedziała, w jaki sposób podać bratu smutną i wstrząsającą odpowiedź i w jakiej uczynić to formie. Zwróciła się do służącego.

- Zapal lampę w buduarze, a gdyby kto tam przyszedł, to powiedz, że cierpięca, i nie przyjmuję...

- Wszak prawda - z kolei pyta co na pozór skierowała się do brata - i ty zapewne nie masz dziś ochoty widzieć gościa?...

Za całą odpowiedź Gowartowski wzruszył z lekka ramionami, jednocześnie jednak z pod oka kilkakrotnie spojrzał na siostrę, a z twarzy jego pierchła pogoda.

Coś poza kulisami dzieło się w tym domu niedobrego, czuł to pan January nerwami, więc czoło zasępilo mu się i brwi przelotnie zmarszczyły. Powstał gorączkowo z siedzenia, nieobecny myślą, szukający zagadki, nie rozumiejąc słów siostry, znajdującej się już w oświetlonym buduarze i mówiącej coś do niego.

- Co mówisz? nie słyszę... - rzucił po chwili. - Może tu przejdiesz, będzie nam wygodniej rozmawiać... - powtórzyła głosniej tym razem marszałkowa.

Gowartowski posłusznie podszedł ku drzwiom i przestąpił próg buduaru.

Zamknij drzwi za sobą, mój kochany, i siadaj, proszę cię! - bezdźwięcznym głosem odezwała się pani Melania, sama zaś skierowała się, by przytknąć drzwi do pokoju jeszcze jedne.

Pan January tymczasem usiadł i ze wzrastającym coraz bardziej niepokojem śledził ruchy swej siostry. Teraz był już pewnym, że czeka go coś niezwykłego, i z tego, tak bowiem ostrożnej i dziwnie postępującej siostry dawno już nie oglądał.

Marszałkowa zbliżyła się właśnie ku niemu, a usadowiwszy się obok, na kanapie, ujęła w obie dłonie rękę brata. Postanowiła w myśli zaraz od razu przeciw drażniące ją wstępnej rozmowy, rzekła zatemagodnie i serdecznie, wpatrzywszy się rozumnie i dobrymi oczami w twarz brata.

- Przyrzeknij mi przede wszystkim, mój drogi, że nie za bardzo zmartwisz się tem, co ci powiem, i zniesiesz wiadomość bardzo smutną, co ci zakomunikować muszę - prawdziwie po męsku...

- Ależ dobrze, dobrze, moja kochana... Lecz powiedz-że mi nareszcie, o co chodzi, bo siedzę, jak na rozłożonych węglach, i po głowie latają mi wprost niemożliwe przypuszczenia!.. Mów prędzej, bógam - cóż z Ojcem się stało?.. - wybuchł Gowartowski, ostatnie zaś słowa jego drgały wymówkami

i proflub.

Wyraz współczucia przemknął po twarzy matrony siwej, i objęwszy rękami głowę brata, ucałowała ją czule.

- Ola... już po flubie... - rzekła równocześnie szeptem.

Gowartowski, jak podrzucony, zerwał się z fotelu, i wzrokiem błędnym na marszałkowską spojrzął. - Kiedy? jak? co? gdzie? - wykrzyknął w pierwszej chwili. - To być nie może!... - dorzucił i urwał... Wpatrzywszy się bowiem uważnie w twarz siostry, poznał, iż ona mówi prawdę, po chwili jednak więc tylko cicho:

- Z kim?... i cała, zdawała się, zawisła na ustach pani Melanii... Głos zdrętwiał marszałkowej, gdy, jak mogła najspokojniej, panując nad własnym wzruszeniem, odpowiedziała wolno:

- Z Romanem Dzierżyńskim...

- Z Dzierżyńskim... z tym hołdyszem... synem tej... tej Woski, flubaczkii!... - głos załamał się panu Januaremu, i schwycił się on obiema rękami za głowę. - I bez... bez... - tu głos Gowartowskiego przeszedł w chrypkę, snać wstrząsająca nowina zatamowała mu dech w piersiach - bez mego... pozwolenia... bógosławieństwa!... - wykrztusił; dokończył nareszcie, z bólem i gniewem... Twarz przytem znękanego otrzymanym wiadomością ojca, dotąd biała bardzo, zakwitła nagle ceglastym rumieńcem, nogi zaś widocznie zachwiały się pod nim, gdy cięko, bezsilnie, upadł na pobliski głębokiel fotel.

Powtórnie, z macierzyńską iście troskliwością, objęła głowę stroskanego brata marszałkowa Warnicka, jakby ta czuła pieszczota siostrzana ukołała pragnęła, choć chwilowo, cios, przed chwilą słowami przez nią zadany.

Lecz Gowartowski odrzucił ją prawie łe brutalnie, niepomyślnie, a chwyciwszy w dłoni rękę siostry, przemówił zapalczywie, urywanym głosem.

- Jak to? I ty, Melanio, pozwoliłaś na to? ty, na opiece której, niby matki rodzonej, zostawię moje dziecię? Ty dałaś zezwolenie, nie zawiadomiwszy mnie o niczym?

I pan January ponownie z miejsca swego się zerwał, i wykrzyknął wzburzony:

- Wiedząc, łe temu młokosowi, awanturnikowi odmówię dawniej, naumyślnie usypialiście czujność moją, by mnie podejść, oszukać, i myśleliście może, iż ja to przyjmę post factum, "tak sobie!"

- Ależ zmięuj się, uspokój! - pospiesznie przerwała marszałkowa. - Nic jeszcze nie wiesz dokładnie, a już obwiniasz innych na chybił-trafił. Proszę cię, bardzo proszę, cierpliwoci trochę, spokoju, a łe opowiem ci wszystko, - dodała bęgalnie.

Pan January mimo woli ucichł i spojrzawszy pytał co na siostrę.

- Serce-ł ty moje, posłuchaj, a nie martw się tak okrutnie - dręjącym od wzruszenia głosem, ze współczuciem, przemówiła znowu pani Melania, w nagłym rozczuleniu zatręcając przytem wyraźnie rodzonym ukraińskim akcentem, od którego odzwyczała się być swą cięgłą bytnością w mieście. - Posłuchaj, jak się rzecz miała - zaczęła marszałkowa, i

ci±gnê³a tak dalej : - Przede wszystkim, kiedy ju¿ tak bole¶nie dotkn±³e¶ miê przypuszczeniem, ¿e by³am w zмовie przeciwko tobie, wyt³umaczyæ siê winnam... Tak nie by³o wcale, jak s±dzisz; przeciwnie do ostatniej chwili ja o niczym zg³a nie wiedzia³am...

Jak to? - przerwa³ siostrze zdumiony Gowartowski.

- Tak, serce, tak, Januarku, ja nic zupe³nie nie wiedzia³am - powtórzy³a marsza³kowa, z widocznym ¿alem w g³osie - a dlaczego? Dlatego, ¿e oni poradzili sobie bez nas... Roman porwa³ Olê i natychmiast wyjechali razem za granicê.

I pani Melania umilk³a, wszystko najgorsze ju¿ by³o bratu wiadomem. Pod nowym ciosem pochyli³a siê g³owa mê¿czyzny, i odbi³o siê na niej jeszcze bole¶niejsze cierpienie.

- Olu!... Olu!... dziecko moje!.. Jak¿e zawiod³em siê na, tobie! - z ciê¿kiem westchnieniem wymknê³o siê z ust biednego ojca.

Marsza³kowa spogl±da³a wzruszona na brata. Gniewu jego nie ba³a siê ona; uniesienie przechodzi. Lecz czego lêka³a siê dot±d najbardziej, to tej rany w³a¶nie, zadanej kochaj±cemu sercu ojcowskiemu przez córkê, depcz±c± przywi±zanie do niej silne i bez upamiêtania - dla u³udnej fatamorgany zmys³owych rozkoszy, dla mi³o¶ci kwiatów i ponêt...

Pan January, z g³ow± na piersi schylon±, milcza³ teraz, ukrywszy twarz w d³onie. Ze wzrastaj±cem coraz bardziej wspó³czuciem patrzy³a wciê¿ pani Melania na brata i my¶la³a:

- O, dzieci, dzieci, pokolenia m³ode, jak¿e wy czêsto i okrutnie ranicie serca starych! Przywi±zuje siê ich jesieñ smutna do waszych wiosen, pe³nych wesela, a wy, jak te ptaki, szukaj±ce wciê¿ ciep³a i s³oñca, lekkomy¶lnie rzucacie te serca, tratujecie mi³o¶æ, zaparcia siebie pe³n±, a pogardzaj±c dogasaj±cemi, popielej±cemi iskrami - szukacie, garniecie siê do ognia, do m³odych!..

Przecie¿ i dla mnie pieszczotka Ola by³a dot±d wszystkim, lube dzieciê!

Tak, lecz od genezy uczucia jej i brata nie bi³o s³oñce mi³o¶ci m³odej, ptaszyna zerwa³a jedwabne pêta przywi±zañ domowych, bo w mroki cichych, dotychczasowych jej uczuæ, do serduszka dziewczêcego, wdar³ siê promienisty blask potê¿niejszy, silniejszy! Zwyk³a kolej rzeczy tego ¶wiata...

Chc±c przerwaæ milczenie, pe³ne dla obojga rozmy¶lañ przykrych, pani Melania poczê³a mówiaæ znowu przyciszonym g³osem:

- Podziêkujemy Bogu jeszcze, mój drogi January, ¿e ¶lubem skoñczy³o siê to wszystko. Teraz z wol± Bo¿± pogodziæ siê nale¿y, i z przeznaczeniem, to trudno... - ci±gnê³a dalej, widz±c, ¿e na jej s³owa wyrwany z g³êbokiej zadumy brat podniós³ g³owê i s³ucha - Nie uwierzysz, ile ja przecierpia³am, nim doniesiono mi o tem, ¿e oni gdzie¶ w poblizu austriackiej granicy, w jakiej¶ tam wioszczynie ¶lub wziêli.

- Zk±d¿e masz tê wiadomo¶æ? - z³amanym i cichym g³osem spyta³ Gowartowski.

- Marsza³kowa ze smutkiem spojrze³a na brata. Serce zabola³o j±, jak¿e bowiem innym, odmiennym ca³kiem, sta³ siê on nagle teraz, po odebraniu

wiadomości, tak dlań wszechstronnie bolesnej. Powoli, miękko, opowiadaæ mu ona poczé³a stopniowo wszystko.

A wiêc, o ucieczce Oli, o w³asnych cierpieniach, o tem, ¿e z tak licznych znajomych prawdy nie domy¶¶la siê dot±d nikt jeszcze, o £ady¿yñskim...

Pan January, przybity, s³ucha³ teraz s³ów siostry pokornie, jak dziecko, nie odzywa³ siê ju¿ wcale, trudno za¶¶ by³o zarêczyæ, czy w my¶¶lach bezustannie zatopiony - s³ysza³.

Skoñczywszy sw± opowie¶¶æ, marsza³kowa rzek³a:

- Bóg mi ¶¶wiadkiem, i¿ nic winn± nie jestem... Po wyje½dzie twoim i odmowie, któr± da³e¶¶ Dzier¿ymirskiemu, gdy o¶¶wiadczy³ siê o Olê przed paru tygodniami, nie przyjmowa³am go wcale. Gdzie widywa³ siê z Ol±, jak i kiedy u³o¿yli ze sob± wszystko? Dotychczas ¿adnego o tem nie mam pojęcia. Cóż robiæ - wola Boska!..

Gdy marsza³kowa wymawia³a te ostatnie wyrazy, instynktownie przysunê³a siê do brata, chc±c pocieszyæ go zapewne, lecz w tej samej chwili spojrzenie jej pad³o na drzwi od salonu, i drgnê³a nerwowo. Zda³o jej siê, ¿e kto¶¶ dotyka w³a¶¶nie klamki...

Rzeczywi¶¶cie, w sekundê pó¼niej rozleg³o siê trzykrotne pukanie, w ¶¶lad za tem za¶¶ s³u¿±cy zawiadomi³, ¿e podano kolacyê i herbatê.

- Czy masz ochotê je¶¶æ teraz? - spyta³a ¿agodnie brata pani Melania.

Pan January, machn±wszy poprzednio rêk±, zrobi³ g³ow± ruch negatywy, pe³ny obojêtno¶¶ci i zniechêcenia.

Marsza³kowa westchnê³a cicho.

-Bêdziemy jedli pó¼niej! - rzuci³a g³o¶¶no.

Po drugiej stronie drzwi buduaru zaintrygowany lokaj schyli³ siê i spojrze³ przez dziurkê od klucza, poczem jeszcze bardziej zaciekawiony przyciszon± rozmow±, której w±tka schwyciæ nie móg³, postawszy chwilê, oddali³ siê na palcach by zakomunikowaæ wiadomo¶¶æ tê pozosta³ej s³u¿bie.

Z dobr± godzinê, a mo¿e i wiêcej jeszcze, minê³o nim roztworzy³y siê owe drzwi buduaru, i wysz³o z niego rodzeñstwo. Jakie¿ jednak by³o zdumienie domowników, gdy zamiast spo¿yæ wieczerzê, oboje rozeszli siê do swoich komnat, nie tkn±wszy jej wcale.

I pó¼no potem w apartamentach marsza³kowej Warnickiej pali³y siê dwa ¶¶wiat³a.

D³ugo, bardzo d³ugo, na klêczkach przed zapalon± lampk± i wizerunkiem Matki Bo¿ej modli³a siê gor±co polska matrona, zanosz±c pro¶¶by do nieba. Ukrywszy g³owê w d³onie, rozmy¶¶la³a ona o ulubienicy swej, Oli, modli³a siê za ni±, za brata wreszcie, by mu los przyszo¶¶æ os³odzi³. W koñcu ¶¶wiat³o u niej zgas³o. Zmêczona wrá¿eniami ciê¿kich trzech dni ostatnich, staruszka zasnê³a twardo, pojednana z przeznaczeniem - wzmacniona modlitw±...

Inaczej siê dzia³o w komnacie Gowartowskiego. I on po niejakiem czasie, zmêczony jednostajn± po pokoju wêdrówk±, zgasi³ lampê, u³o¿ywszy siê do

snu.

Lecz sen - ukoiciel daleko odlecia³ od znêkanego starca.

Przez wielkie okno wkrada³ siê pó³wiat³o usianej gwiazdami nocy letniej, sennej i cichej; mrugaj±ce na niebie gwiazdy zagl±da³y do wnêtrza - komnaty, pó³o¿onej na dole i zwróconej ku ogrodowi, a zawis³szy nad ³o¿em, wpatrywa³y siê b³yszcz±ce, pytañ niedyskretnych pe³ne, w poblad³e lica bolejšcego tu cz³owieka.

O! jak¿e noc ta polska, swobodna, zadumana i jasna by³a inn± dla zapomnianego ojca, a jak inna, choæ ta sama, rozpiêta na w³oskiem niebie, dla dwojga m³odych w Wenecyi!...

Tam, w upojeniu, w mi³osnej ekstazie, dwie dusze, dwa m³ode istnienia zlewa³y siê w jedno!... Na zegarach ich przeznaczeñ teraz w³a¶nie bi³a mo¿e zgodnie aksamitnymi cichymi tony, ziemska u³udna szczê¶cia godzina...

A tu?...

Z cierpieniem i bólem sam na sam boryka³ siê starzec, t³umi±c ³zy, cisn±ce mu siê gwa³tem do oczu...

Bo czy¿, zaiste, to dzieciê w³asne, drogie, nie sponiewiera³o go bezlito¶nie? Czy¿ za tyle lat ojcowskich trudów, mi³o¶ci i zaparcia siê siebie, on, rodzic kochaj±cy, jak rzadko który mo¿e, zas³u¿y³ tego ostatecznego, pogardliwego zdeptania?

Wiêc on wobec córki w³asnej nic nie znaczy³? B³ogos³awieñstwo jego jest niczem, pozwolenie - zerem! On sam za¶, jego w³asne "ja," którego odzwierciedlenie niezatartem, zdawa³o mu siê piêtnem, odbite by³o na duszy Oli, tak¿e okaza³o siê tak s³abem tylko? O! do jakiego stopnia s³abem nawet, kiedy nie potrafi³o oprzeæ siê nowemu uczuciu - intruzowi!...

U¶miech gorzki, bole¶ci pe³ny, przemkn±³ siê po ustach Gowartowskiego.

- Wiêc nic trwa³ego na tym padole! - my¶la³ - wszystko marno¶ci±... rozwiewaj±cym puchem!... Wiêc drogie kamienie, per³y uczucia, powsta³e w ojcowskiej duszy z tyślicznych ¿ycia szczegó³ów, cicho wyros³e tam kwiaty trwa³ego rodzicielskiego przywi±zania, z góry ju¿ skazane byæ musz± niemi³osiernie, by zwiêdn±æ zapoznane...

Ach, jak¿e on, naiwny, dalekim by³ my¶l± od tego! Jakiem¿e przykrem rozczarowaniem by³a dlañ ta naga rzeczywisto¶æ, brutalna, bez zas³on, choæby konwencyonalnych tylko!

Gowartowski ¶cisn±³ g³owê rêkami, zdawa³o mu siê bowiem, i¿ ona pêknie od my¶li, cisn±cych siê, jak nieproszone t³umy... Subtelny umys³ jego gi±³ siê pod ich naporem, szumia³, niby rój brzêcz±cych, dokuczliwych owadów.

Nagle, jakby dziwnym wp³ywem reakcyi, w g³owie le¿±cego zapanowa³a pró¿nia...

Gowartowski na ma³± sekundê tylko przesta³ my¶leæ...

I natychmiast zrêcznie z chwili tej skorzysta³a samowiedza.

- Przypomnij sobie w³asn[±] przesz³o[¶]æ - szepn³a - b[±]d^¼ wyrozumia³ym!...
Poszukaj dobrze, a niew[±]tpliwie znajdziesz tam moment, analogiczny z
chwil[±] obec[±]!...

Wszak m³odo[¶]æ ma swoje silne prawa, ka[¿]dy w tym czasie korzysta z nich,
a staro[¶]æ, ubrana w po[¿]ó³k³e, lec[±]ce li[¶]cie jesieni [¿]ycia, sw[±] g³ow^ê
srebrn[±] pochyli^æ zawsze musi przed jej o[¶]lepiaj[±]cym blaskiem, pomna, [¿]e
i ona kiedy[¶] taka sama by³a.

I pan January wysi³kciem woli uprzytomni³ sobie nagle minione lata swoje,
wpatrzy³ si^ê w nie na chwil^ê...

- Nie, nie!... - wo³a^æ pocz^ê3o we wzburzeniu ca³e jego jestestwo.

Tego, co go dzisiaj spotyka³o, nie by³o tam zgo³a. On szanowa³ s^êdziwy
wiek, przywi[±]zania starych nie tratowa³; cho^æ kocha³ i szala³, jednak
zawsze godzi³ jedno z drugim.

Tu za[¶] obecnie dzie³o si^ê zupe³nie co innego. I Gowartowski w tej samej
chwili odwróci³ si^ê do [¶]ciany, a przymkn[±]wszy machinalnie powieki, i
jakby chroni[±]c s³uch od jakich[¶] odg³osów, jak dzieci^ê wcisn[±] w poduszki
g³ow^ê sw[±] siw[±]. Bo nagle zda³o mu si^ê wyra^¼nie, [¿]e czyn Oli przyoblek³
si^ê w s³owa i w pustych, cichych [¶]cianach pokoju krzyczy wielkim g³osem:

- Id^¼ w k[±]t, stary niedo³êgo! Czy[¿] ja potrzebuj^ê ciebie si^ê pyta^æ? Ja
chc^ê [¿]y^æ, kocha^æ! Pragn^ê za m^ê¿a m^ê¿czyzny drogiego sercu, a tu ty
my[¶]lisz mi przeszkodzi^æ?...

W ciszy pokoju, w u[¶]pieniu letniej nocy, rozleg³o si^ê bolesne, st³umione
³kanie - starzec p³aka³...

Dawno niezmoczone ³z[±] s^êdziwe m^êskie powieki, zaszkl³y si^ê ro[±] -
stroskanego ojca uniós³ ból pocz[±]3 rozsadza^æ piersi.

A jednocze[¶]nie przywidzia³o mu si^ê, jakby w halucynacyi nag³ej, [¿]e oto
sk[±]dsi[¶] nagle, do ciasnych ram sypialni wpada, jak huragan, dziwny
rydwan z³ocisty... Przytuleni, zro[¶]li jakoby ze sob[±], siedz[±] na nim
Roman i Ola, zapatrzeni w siebie, nie widz[±]c nic doko³a.

Rydwan za[¶] wspania³y zbli[¿]a si^ê coraz bardziej...

Ci[±]gn[±] go ogniste pi^êkne rumaki bia³e, a po jego stopniach, ozdobach i
kobiercach, wsz^êdzie sypi[±] si^ê kwiaty; zasypuj[±] go, poch³aniaj[±]...

Muzyka weso³a, skoczna, zag³usza tymczasem t^êtent koni - nad zakochan[±]
par[±] m³odych roje cherubów unosz[±] si^ê w górze, skrzyde³ka ich szumi[±]
rado[¶]nie, a czarowna mi³o[¶]æ toruje im
drog^ê!...

I Gowartowskiemu zdaje si^ê równocze[¶]nie, [¿]e pojazd ten wprost na niego
wpada.

Tak jest, wyra^¼nie, wyra^¼nie!...

Czuje bo oto na piersiach swych bolesne grubijańskie uderzenia kopyt
końskich...

Ach!...

To ko³a rydwanu przemknê³y po nim zwyciêsko!...

Zaszumia³o... Posypa³y siê znowu wonnym deszczem kwiaty, muzyka g³o¶niej zabrzmia³a.

Minê³a chwila...

Ucich³o wszystko, znik³o i tylko jeszcze w milczeniu echem ostatnim zadr¿a³ mi³o¶nie poca³unku szmer...

Pojechali.

Zimny pot zaperli³ siê na czole Gowartowskiego. - Przez my¶l przemknê³o mu s³owo: Waryujê?...

Lecz niebawem znowu powróci³a my¶l zb³±kana.

I cierpienie natychmiast uk³uciami drobnymi raniæ go ponownie zaczê³o.

Powtórnie, umilk³e na drobn± chwilê, jak przyp³yw morza, niepowstrzymany, powrotny, rozleg³o siê w cichym spokoju komnaty zduszone ¶kanie...

Szerokiem korytem rozlewa³a siê bole¶æ upokorzonego, zranionego ojcowskiego serca, i przez otwarte okno cicho p³ynê³a eterami, w dal...

Na dworze ¶ciemni³o siê tymczasem; gdzieniegdzie na czystym niebie pojawi³y siê ma³e chmurki, przes³oni³y zagl±daj±ce ciekawie do pokoju gwiazdy...

Cienie roz³ada³y siê obecnie w sypialni, a z nimi powoli, zmêczeniem snaæ zwyciê¿ane i wyczerpaniem, milk³o bolesne ¶kanie starca, przechodz±c stopniowo w p³acz cichy. C¿ sta³o siê powodem tego ukojenia, dzia³aj±cego ¶agodnie, jak balsam, na znêkan± cierpieniami duszê stroskanego ojca?

Mo¿e to by³o przywidzeniem tylko, jednak w majacz±cych, coraz wiêcej zasiedlaj±cych pokój pó³cieniach, na ich tle widoczna zarysowa³a siê niewyra¼na jaka¶ postae, nachylona ze wspó³czuciem...

Kt¿ to by³ tak niepochwytny, z eterów zaledwie z³o¿ony ca³y? Mara, czy z³udzenie?

Jednocze¶nie jaki¶ dziwny szelest jakby rozleg³ siê równie¿ po pokoju... Z przyt³umionym szelestem, jednostajnie, kropla po kropelce spada³o co¶ w pewnych od siebie odstêpach, za spadniêciem za¶ ka¿dej kropli rozlega³ siê w cichej komnacie jaki¶ pe³ny, oddzielny, harmonijny ton st³umiony - gra³a jednolita, oderwana, melodyjna nuta.

Cich³a - i znów to samo czyni³a druga, trzecia, czwarta...

C¿ to by³o na Boga? Czary, czy te¿ tylko igraszka cieni i s³uchu?... Nie. To niewidzialny dla ludzkiego oka, przywo³any ze sfer niebieskich prawdziwym cierpieniem, sp³yn±³ by³ Anio³ pocieszenia, a siad³szy cicho przy³o¿u szarpici³ego siê z hydr± bólu starca, niós³ mu ukojenie - od Boga!...

¶ciany pokoju tymczasem coraz ciszej gra³y sw± muzykê dziwn±...

To ostatnie, do czary konchowej w d³oniach Pocieszyciela, zmieniaj±c siê tam w piêkne drogocenne per³y, spada³y z oczu cz³owieka-ojca - ³zy...

Nad lekko zmarszczon±, a mieni±c± siê jeszcze w zielonkawej blaski powierzchnia Adryatyckiego morza, daleko na widnokrêgu, ³agodnia³a coraz bardziej czerwona wstêga zachodu, a¿ znik³a, spe³z³a zupe³nie, wyparta mrokiem id±cego wieczoru.

W zak³adzie k±pielowym, na Lido, zapó¼nieni, w rozmaitych kostymach go¶cie, powoli, stopniowo, zd±ali do kabin swych, a¿ objêta palami i sznurem ogromna przestrzeñ morza, przeznaczona na k±piel, zupe³nie opustosza³a niebawem.

Natomiast na werandzie po¶rodku zak³adu, na rubie¿y k±pieli, zaroi³o siê od go¶ci, spragnionych wypoczynku.

Odcinaj±c siê od innych wysok±, smuk³± sw± postaw± i dystynkcy±, zmierzaj±cy do wolnego miejsca tu¿ pod balustrad±, nad morzem, przeciska³ siê pomiêdzy licznymi zajêtymi ju¿ stolikami, Roman Dzier¿ymirski, w ubraniu ca³em bia³em, licuj±cem bardzo korzystnie z piêkn± ¶niad± twarz± jego i czarnym zarostem. Znalaz³szy w korku wolne miejsce, usiad³ i kaza³ podaa± sobie napó¿ od¶wie¿aj±cy, a zdj±wszy zarazem bia³y kapelus¿ - z tego¿ materya³u, co odzienie zrobiony - spojrze³ woko³o...

Przyt³umionym szmerem rozmów, prowadzonych w przeró¿nych jêzykach, brzêcza³ w jego uszach, jak ró¿ owadów, zebrany t³um; na piêknego, a samotnego cudzoziemca spogl±da³o ciekawie i zalotnie kilka siedz±cych opodal, przystojnych W³oszek o grubych zmys³owych wargach i du¿ych, b³yszcz±cych, czarnych, jak wêgiel, oczach.

Dzier¿ymirski przetar³ czo³o rêk±, i popatrzy³ z kolei przed siebie. Otulone ju¿ mg³ami zmierzchu morze marzy³o jakby zadumane. Przyciszonym ³oskotem uderza³o o brzeg fale, mówi³o co¶, szepta³o...

Na pokarbowanej, coraz bardziej ciemniej±cej jego fali ¶ciga³y siê teraz mroki, jakie¶ cienie tajemniczo p³ywa³y po niem, gwarzy³y ze sob± gdzie¶ w oddali, a t³umione ich g³osy niós³ echem ³agodny szmer fali...

Têsknym wzrokiem wpatrzy³ siê Dzier¿ymirski w bezmiar wód Adryatyku, zda³o mu siê bowiem, ¿e w¶ród tych otaczaj±cych go, obcych ludzi, ono jedno brata siê z nim obecnie, i przyjacielskim uchem my¶li jego s³ucha.

A Roman ca³kiem swobodnie podda± siê im móg³ po raz pierwszy od bardzo dawna; nie oczekiwa³ bowiem na nikogo, by³ sam zupe³nie; ¿onê, cierpi±c± na migrenê, pozostawi³ w hotelu na w³asne jej ¿±danie.

Dot±d za¶ po prostu nie mia³ czasu pomy¶leæ, wnika± w siebie.

Od chwili przyjazdu Romana do Wenecji mija³o dwa tygodnie, a w ca³ym tym okresie, upojony haszyszem mi³o¶ci dzielonej, przykuty do Oli z³otymi

³ańcuchy uczucia, wprz³gni³ty w osza³amaj±ce, u³udne jarzmo chwil miodowych - ¶¶ni³ on, spa³, ¿y]±c ¿yciem nie rzeczywi³tem, ale jakim¶ innem, oderwanem, ¶¶ni±cem si³e li tylko jasno¶¶ci±, promieniami i blaskiem.

Prócz tego, jednocze¶¶nie doznawa³ on i wrz³eñ innych, subtelniejszych. By³y za¶¶ niemi: po pierwsze, wrz³enia czysto zewn³trzne, a wi³c ci±g³e, bezustanne pobudzenie poczucia pi³kna, wyzwane zetkni³ciem si³e z sztuk± tego zak±tka pami±tek Italii; - wewn³trzne, a tym razem równie¿ w ¶¶cis³ej pozostaj±ce ±czno¶¶ci z osi± wszystkiego dlañ teraz - z Ol±.

Dzier¿ymirski z licznych dot±d mi³ostek obeznany by³ dobrze z kobietami, po raz jednak pierwszy odczuwa³ to, co dzi¶¶...

Bo dot±d tak zwykle zdarza³o si³e zazwyczaj; ¿e on by³ w mi³o¶¶ci zawsze prawie nastrojonym na silniejszy diapazon, a kobieta bierniejsz± by³a - poddawa³a si³e tylko sile jego uczucia.

Teraz za¶¶ dzia³o si³e wr³ecz przeciwnie: to on czu³ si³e wi³cej pragnionym i kochanym - to on poddawa³ si³e sile sza³ów, po¿±dañ...

Po stronie kobiety by³a widoczna przewaga, Roman za¶¶ nurza³ si³e w tej czystej toni niepokalanego dot±d niczem uczucia, jak w ¼ródle ¶¶wie¿em, krynicznej nowego z³otego ¿ycia, odm³adza³ si³e w niem, orze¼wia³, i upojony, odurzony - zasypia³ ¿ycie, marzy³ i ¶¶ni³, wch³aniaj±c w siebie ca³± moc i pot³g³ skierowanej ku niemu mi³o¶¶ci.

A jednak, wszak i on kocha³ Ol³: Kt³¿ by w±tpi³ o tem, gdyby tylko m³g³ spojrzeæ na ukryt±, starannie od ludzkiego oka, a zapisan± kart³ jego tak niedawnej jeszcze przesz³o¶¶ci.

W tej chwili Roman, prze¿ywaj±c jakby w my¶¶lach swych, poza tera¼niejszo¶¶ci± i lata minione, wzdrygn± si³e, brwi zmarszczy³, i machinalnie spojrze³ przed siebie.

Zupe³nie spowi³ ju¿ morze mrok ciemny. Hen, daleko, b³yszcz³y ¶¶wiat³a, pozapalane na niewidzialnych prawie go³em okiem parowcach. Trzy z nich mruga³y ju¿ na ko³ysz±cym si³e wodnym obszarze, po chwili zab³ys³o czwarte, pi³te...

Lekki wietrzyk wion±³ po fali, poruszy³ si³e zadumany w³d olbrzym, zako³ysa³, zaszumia³ tajemniczo g³o¶¶niejszym, ni¿ dot±d, ch³orem podszeptów, szelestów i szmerów - melodyjnie zagra³...

U stóp Romana silniej zapluska³y fale.

W uderzeniach za¶¶ ich, teraz ju¿ zupe³nie bliskich, wyra¼nych, powtarzaj±cych si³e co chwila, jaki¶ ukryty, szyderczy, szemrz±cy jakby g³os wo³a³, zda si³e, gdzie¶ z g³³bin dalekich:

- No, i có¿, przyw³aszczycielu cudzego z³ota, dobrze ci z niem, co, nieprawda¿? Ub³stwiaj± ci³e, grasz rol³ milionera!

Ha-ha!-ha-ha!.. z kolei za¶¶mia³y si³e nagle wody.

- My¶¶lisz mo¿e, ¿e teraz, dotykaj±c si³e ju¿ pieni³dzy innych, wyt³umaczonym przez to jeste¶¶? - e zapomniano, zagrzebano tw± tajemnic³e?

- Ha-ha!-ha-ha!.. - ¶¶mia³o si³e morze ironicznie, i dalej znowu szydzi³o:

- A widzisz - zblad³e¶! Ty dotychczas pewnym by³e¶, ¿e nikt nic nie wie o tem!..

- A ja wiem, dobrze wiem!... - szyderczo za¶mia³o siê morze, a ¶miech ten wód ogromy coraz g³o¶niej przedrze¼niaæ poczê³y.

Teraz ju¿ ca³e morze bezlito¶nie drwi³o.

Naraz g³os Adryatyku usta³ i cichym szeptem zaszemra³a fala:

- Nie bój siê! ja ¿artujê tylko... nie trwó¿ siê, ja ciê nie zdradzê...

- Patrz, jakie g³êbie kryj± siê w mem³onie jak wielkiem jestem ja!..

- Tajemnicê tw± zachowam, zginie ona w obszarach, w bezdnach utonie...

- Nie powiem, ci... cho bêdê... ci... cho... - zaszep³a znów fala, i szept ten powtórzy³y fal miliony...

I jak ¶miech szyderczy, tak i teraz ten pó³szept cichy, st³umiony, dr¿±cy, szed³ znowu po³uskach fal, tajemniczy, straszny...

Nie... po... wiem!.. ci-cho bêdê, ccci-cho...

Nerwy Romana zadrga³y; podra¿ni³y go te dziwne g³osy Adryatyku, odsun±³ krzes³o na drugi koniec stolika, podpar³ rêkami g³owê, a zatkawszy uszy przed pomrukiem wód, wzburzony jeszcze, blady, zaduma³ siê g³êboko.

Przes³o¶æ, wywo³ana chwil± samotno¶ci, i dziwnymi morza pogwary, ¶wie¿a i ¿ywa, niby wczorajsza, stanê³a mu przed oczyma, jak widmo.

Na ubogim poddaszu, ujrza³ zatem siebie budzącym siê po ¶nie straszny!

Dwa ju¿ lata od tej chwili mija³y. A co on od owego czasu przecierpia³, prze¿y³, przewalczy³! - nie zliczyæ!..

D³ugo nie tkn±³ wówczas cudzych pieniêdzy; tajemniczy portfel le¿a³ pod kluczem, pozornie zapomniany.

A on ci±gle walczy³ ze sob±!..

Nie zanosi³ jednak zguby do biura policyjnego, sam osobi¶cie w³a¶ciciela nie szuka³. Czeka³...

Pod tym wzglêdem niepokoj±ca, t³ocz±ca sw± zagadk±, g³ucha panowa³a cisza.

W ¿adnym pi¶mie nie by³o wzmianki o zgubionym pugilaresie - nikt o tem w³adzom nie doniós³...

A on wci±¿ szala³.

Wreszcie wyczerpa³y siê wszystkie jego w³asne fundusze, parê ostatnich lekcji straci³ bezpowrotnie; g³ód zajrza³ do jego izdebki... Nie by³o rady, napocz±³ wówczas cudzego z³ota.

Jakby to by³o wczoraj, dzi¶ zaledwie, pamiêta wyra¼nie te tygodnie mêczarni, boja¼ni, wyrzutów, gdy si± okoliczno¶ci zmuszonym zosta³

"Łyæ" z mienia przyw³aszczonego... Pamiêta sw± trwogê dziecinn± przy zmianie pierwszej sztuki znalezionych pieniêdzy, i innych, nastêpnych... Widzi siebie, jak naumy¶lnie zmienia³ je na drugim koñcu miasta, jak ba³ siê wtedy w³asnego cienia, i tak dalej, tak dalej!..

Ka¿da drobnostka Ływo, jawnie staje mu przed wzrokiem.

A pól¼niej znowu w murach rodzinnego miasta wytrzymaæ ju¿ nie móg³!..

Wyjecha³. B³±ka³ siê za granic± d³ugo, bezmy¶lnie, a¿ dotar³ do Monte-Carlo.

Tam, opanowany gor±czk± z³ota, widz±c, jak strumienie jego, rzeki ca³e, p³yn± hojnie woko³o - do gry w ruletê rzuci³ siê z zapa³em.

Pocz±tkowo mia³ szczê¶cie szalone. Cudzy pieniêdz dwoi³ siê, troi³ cudownie, pewnego poranku jednak przegra³ wszystko co do grosza. Nie straci³ jednak odwagi. Dawszy siê ju¿ poznaæ w domu gry, jako cz³owiek bogaty i nierachuj±cy siê wcale z groszem, oraz rozpowszechniwszy fa³szyw± pog³oskê o olbrzymich swych jakoby dobrach, poŁyczy³ u poznanego amerykańskiego miliardera trzykroæ sto tysiêcy franków.

Porêczy³ za niego pewien lord angielski, z którym siê on, Roman, poprzyja¶ni³ bardzo. Pocz±³ graæ... Pieniêdze Amerykanina, (który, mówi±c nawiasem, wygrywa³ w tym sezonie sumy olbrzymie), przynios³y mu szczê¶cie.

Dziêki parokrotnym, a nader rzadkim i nieprawdopodobnej d³ugo¶ci seryom "rouge", oraz kilku wygranym "en plein", pewnego dnia ujrza³ siê panem miliona franków. U¶miech fortuny oszo³omi³ go na razie. Pocz±³ graæ ze zdwojon± energi± i ryzykiem.

Znowu wygra³ kilkakrotnie, lecz z kolei niebawem pocz±³ znowu przegrywaæ, z przera¿aj±c± szybko¶ci±. Opamiêta³ siê. Przysz³a chwila rozwa¿y; odda³ d³ug milionerowi zza oceanu i wyjecha³. Wzglêdnie by³ jeszcze wygranym, i to dostatecznie. Przywozi³ z sob± do kraju blisko sze¶ædziesi±t tysiêcy, a wyje¿d¿aj±c mia³ tylko dwadzie¶cia kilka.

Wówczas rozpoczê³o siê dlañ nowe Ływie...

Przede wszystkim wraca³ spokojny. Niezrozumia³y na razie, subtelny bardzo, posiadaj±cy jednak pewn± podstawê ¶ci¶le logiczn±, ow³adn± nim wtedy w duszy proces dedukcyjny, i zwyciê¿y³.

Roman Dzier¿ymirski, ca³y pogr±¿ony w swych wspomnieniach, ods³oni³ twarz, machinalnie powsta³, i opar³szy siê o balustradê, wpatrzy³ w bezmiar morza, coraz ciemniejszy i cichszy.

- Tak, zwyciê¿y³! - my¶la³ Roman dalej. Zdawa³o mu siê bowiem wówczas, ¿e nie jest tak bardzo winnym.

- Te pieniêdze s± teraz moje, "prawdziwie" moje - powiedzia³ sobie wtedy, doszed³szy do tej pewno¶ci ca³em poprzedniem skojarzeniem wywodzeñ. A mianowicie: Z³oto znalezione wszak przegra³; stopi³o siê ono, znik³o, zla³o w ca³o¶æ jedn± z morzem przegrywanych w jaskini gry pieniêdzy. Mienie za¶ jego obecne - to by³a tylko wygrana z poŁyczki Amerykanina, a zatem suma grosza, niemaj±ca ju¿ bezpo¶redniego, dotykalnego zwi±zku ze znalezionym portfelem.

Jemu, Dzierżymirskiemu, w dziedzinie sumienia wyrzutów, dociekań, zwątpień, ubywa³ jeden szkopu³ poważny - nie dotyka³ się on już wyjątego z "cudzego" pugilaresu grosza. Niezaprzeczenie przytem należa³ do niego ten pieniędz, ślep³ igraszk³ losu nabyty; podwalin³ za³, przesz³o³ści³ tylko fortunki tej by³o przyw³aszczenie.

Pozostawa³ fakt, wprawdzie już daleki, znalezienia i nieoddania - pozostawa³o niezmiennie przekroczenie etyki ludzkiej, i uczciwo³ści ze strony jego, jako jednostki spo³ecznej - niczem niestarta, wieczna tego plama, ale w ówczesnym przynajmniej przekonaniu jego, to wszystko zno³niejszem, nie tak piek³cem, l³ejsem bez porównania by³o od odleg³ego straszego wczoraj.

Z g³ow³ podniesion³ zatem do góry, pokrzepiony powyższymi w swoim rodzaju sofizmatami, rozejrza³ się wówczas po ³wiecie i pocz³ dzia³a³. Rozpowszechniwszy, za pomoc³ ponownie odnalezionego przyjaciela i dawnego kolegi-³wiatowca, pog³osk³ o dziedzictwie niespodzianem, a do³ poka³nem, po stryju, zmar³ym w Stanach Zjednoczonych, rzuci³ się w wir zabaw eleganckiego ³wiata, w celu zbliż³enia się do Oli. Dopie³ tego, zaw³adn³æ jej sercem potrafi³, o³wiadczy³ się o jej rêk³, odrzuconym zosta³, i...

Powierzchnia morza spokojn³ już by³a. Obojętna ca³kiem równomiernie i ³agodnie uderza³a fala o podnó³e werandy - milcza³a cicha...

Dzierżymirski obudzi³ się ze swych my³li, zanurzy³ rêce w bujnej czuprynie, g³ow³ wstrz³sn³, jakby pragn³c odp³dziæ roje wspomnień, i odwróci³ się od wodnej toni.

Publiczno³ści nie by³o już prawie, po platformie kawiarni, ziewaj³c, przechadza³a się s³u³ba. Zaw³awszy kelnera, Roman rzuci³ mu du³ srebrn³ monet³, i odprowadzony g³ębokim jego uk³onem, opu³ci³ zak³ad k³pielowy.

Niebawem znalaz³ się na drodze szerokiej, ocienionej drzewami, z szerokimi po bokach alejami dla pieszych.

W umy³le jego cich³ szept przesz³o³ści, niepostrzeż³enie, stopniowo, obraży jej nikh³y - tera³niejszo³æ wraca³a... Przed wzrokiem m³czyzny mign³a naraz rozkosznie sylwetka Oli; pragnienie mi³o³ści, ³ycia, silnie nim ow³adn³o.

!pieszy³ się.

Odp³dzi³ natr³etnego wyrostka, zachwalaj³cego mu ³wie³e ostrygi i jakie³ ³limaczki nadzwyczajne; niebawem ³achn³ się znowu niecierpliwie, ujrawszy zast³puj³cego mu drog³ę rozczochranego starego W³ocha, z man³kami, pe³nemi pieczonych homarów i drobnych raczków.

Po bokach drogi, w licznie rozsypanych restauracjach, roi³o się od spo³ywaj³cych i zapijaj³cych wino ludzi, z oddali dolatywa³o echo muzyki. Roman, przy³pieszaj³c bezustannie kroku, wyrzuca³ teraz pocz³ sobie, ³e zostawi³ ³on³ sam³; niepokoi³a go my³l uporczywa, i ³ nie cierpi ona mo³e na migren³, lecz, ³e to pocz³tek zapewne s³abo³ści zupe³nie innej; wszak wszystkie choroby zazwyczaj rozpoczynaj³ się bólem g³owy.

Po co tu przyszed³?... By bezu³ytecznie odgrzebywa³æ minione chwile? Ale ³ to nonsens zupe³ny. A tam ona, Ola, sama zupe³nie - niew³tpliwe chora!..

Mi^o¶æ pani, z ca^{em} bogactwem bezpodstawnych swych wzruszeñ i niepokojów, zaw^{adnê}a niepodzielnie Dzier¿ymirskim.

Spojrza^³ na zegarek - dochodzi^a dziewi±ta. Przed nim ju¿ bardzo blisko widnia^y dwie ma^e platformy przystani; pe^{ne} by^y ludzi, przed jedn± z nich sta^³ parowiec, gotowy do odej¶cia. Dzier¿ymirski w obawie, ¿e siê spó¼ni, pu¶ci^³ siê pêdem, i spotnia^y dobieg^³ do przystani w tej samej w^a¶nie chwili, gdy na pok^{ad} odrzucano ju¿ sznur gruby, przytrzymuj±cy parowiec. Wskoczywszy nañ szybko, Roman znalaz^³ siê pomiêdzy nat^{oczon±} ci¿b± ludzi, jak g^o¶ny rój pszczo^³ gwarz±c± pomiêdzy sob±, ze ¶miechem i giestykulacy±.

Otar^{szy} pot z czo^a, Dzier¿ymirski wspar^³ siê o porêcz balustrady pok^{adu}. Boki statku ^{agodnie} pru^y fale; oddzielona ciemn± toni±, w bliskiej ju¿ odleg^o¶ci mruga^a krêgiem ¶wiate^³ rzucona na wód obszary Wenecya.

Podniós^{szy} do oczu dalekono¶n± lunetê, wpatrzy^³ siê Roman w rz±d domów, po^o¿onych nad brzegiem, ku któremu szybko p^{yn±cy} parowiec zbli¿a^³ siê coraz bardziej. Szuka^³ hotelu swego, i okna pokoju, gdzie pozostawi^³ Olê.

Okno komnaty tej w^a¶nie otwartem by^o szeroko. W ramie za¶ jego sta^a kobieta, szatynka, smuk^a, o jasnym, habrowem spojrzeniu pod^u¿nych, mieni±cych siê oczu, o piersiach wypuk^ych, wznosz±cych siê jak fala, a kształtach ponêtnych, pe^{nych}, jakby pragn±cych gwa^{tem} wydostaæ siê z ciasnych ram opiêtej, bia^{ej}, pikowej sukni. Ma^e wklê¶niêcia po obu stronach w±zkich usteczek zdradza^y przy u¶miechu rozkoszne do^{eczki}, r±czka maleñka i dystyngowana ca^o¶æ postaci mówi^y wyra¼nie o rasie m^{odej} osóbk.

Ola, wypocz±wszy w ^o¿ku godzin kilka, wsta^a w^a¶nie przed chwil±, czuj±c, ¿e nerwowy, spowodowany upa^{em} i zmêczeniem ból g^{owy} ustaje. Pragnê^a po za tem rozerwaæ trochê my¶li, z wyj¶ciem bowiem Romana zasnê^a i ¶ni^³ jej siê rodzinny Gowartów i ojciec, jak ¿ywy, tylko jaki¶ smutny i zbola^y.

I po przebudzeniu my¶li Oli pobieg^a st±d daleko... Mimo woli sama ulecia^a do ojczystych obszarów i jarów. Powonienie jej podra¿ni^³ wyra¼ny zapach polnego kwiecia, zió^³ i bodjaków, w uszach zabrzmia^a melodia cicha szumi±cych borów, ko^{ysz±cego} siê miarowo stepu - smêtna rodzinna Ukraina, z poza setek mil, ogarnê^a j± tu, pod w^{oskiem} niebem, poczu^a, zda siê, powiew jej, têsknoty pe^{ny}, do uszu za¶ dolecia^o jakby gin±ce echo ¿a^{osnej} dumki, ¶piewanej nieuczonym g^{osem} mo^{odycy}...

I smutek ogarn±^³ Olê... Czy wróci tam kiedy, czy wróci?

Wszak podepta^a wszystko - jednym szarpniêciem siê zerwa^a wszelkie wiêzy - sama otworzy^a sobie przemoc± bramê do wymarzonego szczê¶cia. Tak jest. Bo Ola czu^a siê przecie¿ rzeczywi¶cie szczê¶liw±.

- Biedny ten ojciec jednak, który po swojemu, jak umia^³, tak j± kocha^³
- my¶la^a dalej. - A droga ciotka Melania i przyjaciel ich, £ady¿yñski?
Gdzie Gowartów, z którym zros^a siê jej dusza ca^a? Co siê tam dzieje?
Gdzie oni teraz, ci wszyscy, tak dotychczas sercu drodzy?..

Rozpamiêtuj±c w ten sposób przesz^o¶æ, przepêdzi^a Ola z godzinê.

Moc upajającej rzeczywistości tak silnie była, jednak, że stopniowo przecierała poczucie snu i odczuwała chwilowo wspomnienia. Obecnie stojąca w oknie młoda kobieta myślała daleko już była od tego wszystkiego. Obejmując wzrokiem panoramę portu i morza - oświetlone Wenecję, wysepkę z kościołem S-to Giorgio Maggiore, oraz kanały z mknącymi cicho po nich licznymi gondolami, - Ola z niecierpliwością wypatrywała Romana.

Pragnęła już bowiem widoku mężczyzny. Przed nią ona nieobecność Dzierżymirskiego i w jej duszy zasiała ziarenka niepokoju; tęskniła już za jego pieśczętami, zapagnęła czułości i pocałunków...

Wziwszy lornetkę, przyłożyła ją do swych oczu, przyciśnięta do chwili widokiem spojrzaniem. Pierwszą jej przytem unosiła się poczucie miarowo, usteczka za chwilę zdawała się cała przetrzeć, rozchylone, proszące...

Zniechęcona, odjęła niebawem lornetkę od oczu. Jakiś statek w kierunku Lido zbliżała się wprawdzie, lecz znajdowała się jeszcze tak daleko...

Ola odstąpiła od okna, i szeleszcząc jedwabiami swych spódniczek, poczęła niecierpliwie przechadzać się po pokoju, pytając sama siebie:

- Ktoż widział spódnicę tak dalece? Widocznie zubożniała już ona Romanowi, czyż to jednak możliwe? Wszak tak niedługo trwa ich szczęście...

Myślała ostatnie i wstąpiła do mieszkania widocznie zdawała się młodej kobiecie, bo po zastanowieniu się twarz jej poweselała, a w ciszy pokoju rozległa się muzyka srebrzysty. W ślad za tem zapaliła dwie świece i przystąpiła do dużego lustra. Długo, z lubością, wpatrywała się w nadobne własne oblicze. Przymknęszy z lekka powieki, lecz tak, by mogła widzieć siebie, przebiegła swą adnętą górkę i kibla nieco w tył, oraz rozchyliła usteczka...

Kształty postaci jej całej uwypukliły się ponownie; w pozycji tej zatrzymała się chwilę... Uśmiech zwycięski przewinął się niebawem po drobnych wargach pięknej kobiety; podniosła do góry rękę, szczerząc, jak kocię, wyprężyła naprzód swe ciało, i uczyniwszy gest, podobny do przecięgającego się po śnie człowieka, wymówiła głośno: Aaaa...

Po chwili za chwilę, poprawiwszy poprzednio zalotnie swą i włosy, stanęła znowu w pierwotnej pozycji u okna, w ciemnym tak samo i tym razem pokoju, z lornetką przy oczach.

Zbliżający się tymczasem od strony morza parowiec stawał w chwili już w przystani. Po drewnianych pomostach wysypała się na ulicę tłum różnolity i barwny; światła, pozapalane w pobliżu padały nań skośnie, oświetlając wyraźnie ruszających się ludzi. Ola wśród nich starała się odnaleźć sylwetkę mężczyzny, niebawem dojrzała go rzeczywiście i z radością wykrzyknęła do siebie:

- Jest! jest!..

W oka mgnieniu odskoczyła od okna, zapaliła świecę, odnalazła szybko kapelusz i parasolkę, i wybiegła z hotelu. Zdała się na spotkanie Romana, śmiejąc się z góry na myśl, jak on się zdziwi, ujrawszy ją na nogach.

Na Riva degli Schiavoni, spacerowem miejscu Wenecji, roiła się od publiczności. W pobliżu hotelu, zamieszkiwanego przez Dzierżymirskich,

muzyka grająca zazwyczaj na placu świętego Marka, rozbrzmiewa kaskadę ochoczych tonów przed kawiarnią, przepełnioną ludźmi, snującymi się równie, wszędzie, gdzie tylko byś rzucił okiem. Ola, zdążając ku przystani, wymija ich szybko, w oddali widział ją wśród idących sylwetek Romana, cała biała, górując wzrostem nad innymi.

Dzierżymirski, niespokojny snał dotąd jeszcze, szed krokiem ramnym, z cygarem zapalonem w ustach, a kroczył tak zamysłony, że byby, nie widząc wyminął Olę niewtępliwie, gdyby ta, ubawiona, nie rozemiała się wesoło i nie pochwyciła go za ramię. Na dźwięk znajomego srebrnego śmiechu podniósł Roman głowę i twarz, chmurna dotychczas nieco, rozpogodziła mu się natychmiast.

- Ty tu, filutko?.. - wykrzyknął radośnie, i ująwszy obie ręczki Oli w swe dłonie, obsypywał je zaczął pocałunkami, a następnie pociągnął ją ku sobie, i nie zwracając zgoła uwagi na kilka mijających ich osób, ucałował w twarz serdecznie.

- A tak, Romeczku! - odparła żywo Ola - wybiegam, bo zobaczam przez lornetkę, jak wysiada Fe! ktoś widział siedzieć tak długo, gdy się ma tak ładnie, jak ja żonczkę... - dorzuciła, przymilając się, z lekką wymówką w głosie, i dodała jeszcze:

- Myślałam już, że ci się coś z tego stało!

Promień przebiegł po twarzy mężczyzny, ujął ramię Oli, i odparł:

- A wiesz, moje życie, że i ja miałem coś do ciebie myśli podobną?.. - uśmiechnął się i dodał - ale z mej strony to usprawiedliwione, zostawię cię przecie bowiem w spokoju...

Idąc wciąż szybko przed siebie, zamilkli oboje. Między odczuta, taka sama, drobna swą powiększoną oznaką zamknęła im usta na chwilę.

- Skądś się od Wielkiego Kanału, w pewnych od siebie, odstępach, dolatywało w śmiechu echo silnego męskiego głosu, przy akompaniamencie chóru innych.

- Pojedziemy może gondolą, jak myślisz? - zapytała Ola - słyszysz jak ładnie śpiewają?..

- Dobrze, moje życie, jedziemy!.. - odparł wesoło Roman.

Jak na zawołanie, w tej samej chwili Dzierżymirscy usłyszeli za sobą kilka okrzyków, silnie akcentowanych na pierwszej sylabie: "Gón-dola, gón-dola signore... gón-dola!.."

Na lewo, obok idących, znajdowała się "Piazzeta", a naprzeciw wznoszącego się majestatycznie pałacu Dogów, największa przystań gondolierów.

Dzierżymirski, wybrawszy jednego z licznych "napraszających się przewoźników, podszedł ku przystani, gdzie wspólnie z Olą usadowił się niebawem w gondoli.

- Serenada, Canale Grande! - rzucił ubranemu białemu Włochowi.

"Rematore") uderzył w wiosła, i gondola z wolna, cicha, wysunęła się z pomiędzy dziesiątek innych, a kołysząc się na, czarnej fali kanału,

pomknęła we wskazanym kierunku. Roman objął kibię łony i poczęł muskać delikatnie ustami jej oczy, czoło, szyję i usta. Ona zaś uchyliła się wcięż figlarnie, szepcząc:
[*] Wiołlarz.]

- Wstyd! się... gondolier patrzy...

Lecz męczycyna nie przestawała. Kilkakrotnie usta ich zczyły się w pocałunku gorącym, dżugim, od którego zadręli oboje, z ust Romana sypały się ciche i urywane, dyszące uczuciem i namiętnością, pieszczotliwe wyrazy...

A wkoło nich, szeleszcząc uderzeniami wiosła, sunęc równie, jak i oni cicho, mknęły, migocząc kolorowymi światłami, gondole, zmierzając wszystkie w jednym kierunku - ku Wielkiemu Kanałowi, czemu rozbrzmiewającemu w tej chwili, jak harfa ruszona piewem i muzyką. Oświetlone, ubrane kolorowymi, papierowymi latarniami, migały w oddali wielkie gondole, a raczej statki małe, tak zwane "serenady", na których orkiestry calejgraków i piewaków-samouków popisywały się ze swym wrodzonym, a rzetelnym nawet częstokroć artyzmem.

Kilka podobnych serenad, rozrzuconych po kanale; wabiło światłami i stumionym piewem odgosem, koło nich zaś, w pobliżu, grupowały się kręgiem dziesiątki czarnych gondoli, z rozpostartymi w nich niedbale i wygodnie souchaczami. Niektóre z rozbrzmiewających piewem i muzyką bark podjeżdżały pod okna dawnych dworców, a dzisiejszych pierwszorzędnych hoteli i koncertując tam wyjątkowo dla hotelowych gości, zbierali od nich dla siebie datki, sunęc różnobarwnymi światłami i gorącym kadubem stateczku zwolna u marmurowych stopni pałacowych balkonów.

Naprzeciwko dwóch podobnych serenad, piewających wprost kołciośa S-ta Maria della Salute, pod oknami pałaców Ferro i Zucchelli, (dzisiejsze Grand-Hotel i hotel Britania) dalej nieco, poza kołciośem, zabrzmiała wspaniale nagle pieśń solowa ..

Zagruszając inne głosy piewaków bliższych i dalszych, zadręła ona uczuciem, i zręcznie modulowana przyjemnie pieśnią souch, coraz doniolejsza, bliższa...

- Pojedziemy tam! dobrze, Romciu?... - zaproponowała Ola, ujęta glosem piewaka.

- Bene, carissima! - odparł Roman, i skinął na wiosłującego. Gondola ich, kierowana umiejętnie, wymijała zaczęła odzie, coraz liczniejsze.

Roman i Ola, widząc się coraz bardziej otoczonymi, przestali pocałunków i pieszczot, chwilowo poddawszy się zupełnie czarowi pieśni, płynącej ku nim w ciszy wieczoru.

Oboje milczeli...

Gondola tymczasem skręciła powoli w lewo, ku rozpiewanej barce, i wylizawszy się swym wysokim przednim dziobem, jak wąż, pomiędzy kołyszące się dziesiątki innych gondoli - stanęła wreszcie, zatrzymana zręcznie. Gondolier przymocował sznurem swój pojazd do sąsiednich i założywszy na krzyż ręce, w skupieniu wspólnie z innymi zasłuchał w pieśń...

Szerokim pó³kolem, ciche, ko³ysa³y siê wszêdy inne gondole; wsparci w nich s³uchacze poddawali siê niewyt³umaczonemu czarowi tej weneckiej, cichej nocy, tej pie¶ni szczerzej, niewykwintnej, chwytaj±cej jednak mimo woli niejednego za serce, zapadaj±cej w duszê g³êboko.

Po smêtnych pie¶niach nastêpowa³y skoczne, i tak dalej, bez zmiany. Co kilka "numerów" z barki "serenady" schodzi³ w³och, rozczochrany, od ¶piewu wzruszony jeszcze, i z czapk± w rêku zbiera³ "co³aska", przestêpuj±c ostro¿nie z jednej gondoli na drug±.

W ciszy za¶ wzglêdnej, a spowodowanej tym swego rodzaju antraktem, rusza³y siê z miejsc swoich niektóre³ odzie, wracaj±c, lub zd±¿aj±c dalej do innych serenad; na puste miejsce wsuwa³a siê milcz±co nowoprzyby³a gondola, a publiczno¶æ, zebrana w tych zaimprovizowanych wodnych lo¿ach, natychmiast spogl±da³a ciekawie na swego s±siada, pó³g³osem komunikowa³a sobie uwagi, w rozmaitych jêzykach.

I w cicho¶ci powoli milk³y, to znów z kolei rozbrzmiewa³y dalsze i bli¿sze roz¶piewane barki, wreszcie antrakt siê koñczy³, po wodach kana³u mknê³a znów ze "sceny" serenady pie¶ni namiêtna...

S³ucha³y jej echa zdawa³o siê, pob³a¿liwie i ciekawie gwiazdki, licznie rozsiane po gwia¼dzistym niebie po³udnia - s³ucha³y krzy¿e, i wie¿yce licznych ¶wi±tyni, i zadumane marmury wiekopomnych dworców.

Od czasu do czasu komunikuj±c sobie przyciszon± uwagê, Roman i Ola s³uchali równie¿ uwag³nie w³oskich pie¶ni, nastrój za¶ dzisiejszego wieczora rozmarzaj±co dzia³a³ na nich. My¶li ich daleko ulatywa³y, pod wp³ywem tej nocy, tego krajobrazu niezwyk³ego, a pe³nego czaru, i tej niewymuszonej, tchn±cej uczuciem pie¶ni, wyrzucanej z ust ludzi prostych, dziwnie jednak atoli przejmuj±cych siê melody± s³ów swoich, kochaj±cych tak wyra¼nie pie¶ni owe, narodowe - w³asne!

Wywo³ana zatem ¶wie¿emi, tak niedawnymi wspomnieniami dzisiejszego popo³udnia, my¶li Oli bieg³a nieprzeparcie do stron ojczystych - przymru¿a³a oczy, i widzia³a ogród Gowartowski... wynios³e oblicze ojca...

Romana za¶ trapi³y z kolei te same, co i nad morzem my¶li... Fa³sz obecnego po³o¿enia, przysz³o¶æ niejasna, zakryta, ciemna, z tajemnic± na dnie duszy ukrywaæ siê zmuszon±, przed okiem najdro¿szej nawet teraz dlañ na ¶wiecie istoty, zaciemnia³y chmur± troski czo³o Dzier¿ymirskiego, mg³± smutku matowa³y spojrzenie czarnych, rozumnych oczu.

I ¿al jaki¶ niezmierny, ¿al do ¿ycia, rozpiera³ mu piersi, do losu, ¿e, postawi³ go na tak ¶liskim i ko³ysz±cym siê gruncie, ¿e tylko za cenê tego fa³szu i wyrzutów sumienia, pozwoli³ mu zdobyæ to jego dzisiejsze nieograniczone szczê¶cie!

Zatopiony w swem skrytem cierpieniu, Roman od czasu do czasu spogl±da³ na Olê. Ta, ze spuszczonej oczami, oparta niedbale na skórzanych poduszkach gondoli, zadumana, równie¿ marzy³a cicho... Cienie przechodzi³y, przemyka³y siê po jej wdziêcznym, zamy¶lonem obliczu, czasem na usteczkach zagaszczaj±c siê u¶mieszek.

Roman wtedy z mi³o¶ci± bezgraniczn± zatrzymywa³ d³u¿sz± chwilê spojrzenie na ukochanych rysach, i znowu popada³ w zadumê, lub s³ówkiem pieszczoty, albo spostrze¿eniem jakim przerywa³ milczenie. Ola

odpowiada³ mu skinieniem g³ówki - zamieniali pomiędzy sobą zdań urywanych kilkana³ście, i znowu milkli, poddaj³c się nastrojowi zewnętrznemu otoczenia i wewnętrznemu dusz w³asnych. W ten sposób czas mija³.

Powoli, stopniowo rozlu³ni³o się ³ście³nione gondol pó³kole... Z cichym wiose³ szelestem i pluskiem ruszonej wody odp³ywa³y one jedne po drugich - du³że barki sąsiednich serenad gin³e³y równie³ w oddali, ³piewy ich cich³y...

Kilka tylko z nich jeszcze rozbrzmiewa³o po kanale ostatnimi tony, a między innymi i barka, ko³o której ko³ysa³a się gondola Dzier³ymirskich. Z okien i balkonów hoteli poznika³y już tak³że liczne sylwetki i twarze go³ści, w pobli³żu, na wie³ły ko³ścielnej, wybi³a rytmicznie godzina jedenasta...

Roman ockn³ się pierwszy, dotkn³ delikatnie d³oni³ r³czki Oli i rzek³:

- Pora już nam, kochanie... prawda³?..

- Która? - zapyta³a Ola, zbudzona.

- Jedenasta, moje ³ycie - odpar³ Roman.

- Już?... - zdziwi³a się Ola, westchn³wszy. To jed³my, nie sądzi³am nigdy, by już tyle czasu min³o...

- O czym³ tak duma³a moja pani? - zapyta³ Roman, z u³miechem.

- A ty? - odpowiedzia³a pytaniem Ola.

- O... ja?... nic ciekawego - odpar³ po³piesznie Roman, i jakby pragn³c, by powtórnie nie pytano go o to samo, odwróci³ się szybko do gondoliera, informuj³c go, dok³d ma ich zawie³æ.

Gondola, wycofana z ³atwo³ści z przeredzonego już kr³ęgu, zawróci³a i pomkn³e³a ku o³wietlonemu niebieskawym ³wiat³em latarni elektrycznych placowi San Marco. Na wie³ach odleg³ych ko³ścio³ów, uk³adaj³cej się do snu Wenecyi, w milczeniu, różnymi tony dzwoni³a godzina jedenasta, zda³a dochodzi³ jeszcze przyciszony od³os muzyki...

Wyci³gn³wszy się wygodnie w gondoli, Roman uj³ znów kibic³ ³ony, i pieszcz³c wargami jej szyj³e, pocz³ mówić cicho, d³ugo, ci³gle.

Czu³ potrzeb³e mówienia; chcia³ zag³uszyæ, odp³dzia³e natr³ne my³li, wspomnienia, przechodzi³ z tematu na temat, ³mia³ się, dowcipkowa³, ca³owa³ Ol³e co chwila. A ona szczebiota³a równie³...

Pe³ne wesela g³osy dwojga m³odych z³czonym akordem przerywa³y co chwila milczenie i spokój "Canale Grande", pada³y i ³lizga³y się echem po ciemnej tafli jego wód, w których z kolei p³awi³y się cienie pa³aców, z³otym deszczem igra³y gwiazdy i swawoli³ powiew wietrzyka, id³cego z morza, pokrytego ciemno³ci³, ³ni³cego w oddali...

Dostawszy się na pe³ni³e wód kana³u ³w. Marka gondola pomkn³e³a chy³o, a niebawem po falistej tafli w³oskiej laguny rozleg³a się ³piewana zgodnym liórem m³skiego barytonu i kobiecego sopranu pie³ń polska: "Szumi³ jod³y"...

- A co, nie mówię, że to nasi, choć on taki czarny, jak Wóch - odezwa się po polsku, z gondoli, którzy mijali Dzierżymirscy, rubaszny trochę góś męczyzny.

- No, tak dzioba się, jak góśki, to i inni potrafią... odpowiedzia ironicznie ktoś drugi.

- Ba, ale, panie dobrodzieju, z takim humorem - to nie!... z przekonaniem, stanowczo, rozlega się odpowiedź szlagona.

Tymczasem gondola Dzierżymirskich malała już coraz bardziej, na tle nocy tylko czerwona migocząca z oddali. Wkrótce, zaleciała jeszcze ostatnia zwrotka, znanej Moniuszkowskiej melodi: Oj, Halino, oj, je - dy - no, dzie - wcy - no moo - ja!...

- Moo - ja!... oddało echo lagun morza i zmilkło, cała za każdym czarnej gondoli znik gdzieś niebawem, ustępując miejsca innym, nadciągającym coraz głębiej od strony Wielkiego Kanału, coraz cichszego, coraz bardziej pogracającego się w czerni bezbarwnych, guch, zapadającego tam upienia - Nocy!

* *
*

- Patrz, patrz! jakie to piękne!..

Sowa te, półgosem, z akcentem zachwytu, wymówiła Ola, i oboje wraz z Romanem stanęli na miejscu, jak przykuci. Nad ich głowami wznosiła się dumne gotyckie arkady jedna z najpiękniejszych, po bazylice San Marco, wzniesione w Wenecji, Santa Maria Gloriosa dei Frari - stali za przed mauzoleum Canovy.

- Prawda! - szepnął w odpowiedzi chłopiec Dzierżymirski. - Zdawałoby się, iż ten oto anioł, czy geniusz upiorny, żyje, oddycha, stróż czujny... urwał, studując dalej pomnik z uwagą.

- A te postacie, nieprawdaż, iż rzeczywiście idą, ruszają się wolno, pogracające w cichej boleści i smutku! - podchwyciła żywo Ola, podniecona widokiem, oraz wyrazem zakutego w marmurze piękna.

Oboje umilkli, z niekłamnym zachwytem wpatrując się w rzeźbę.

Od grobowca bowiem, przez samego Canovę modelowanego niegdyś na pomnik dla Tycjana, było rzeczywiście, szczere piękno i chwyciło za serce - mówiło...

Przyparty do ściany, cała z białego marmuru, a trójką kształtem w minjaturze przypominający, piramidy Egiptu, stał sarkofag otworem...

Na lewo, jakby strzegąc doń wchodu, olbrzymi lew marmurowy leżał, z obwisłymi łapami, potężny, srogi, i jakby smętnie zadumany, a na nim, z rozpostartymi skrzydłami, opierał się wielki Anioł upiorny...

I tchnące pogodnością, cudne oblicze Anioła zda się być rzeczywiście nie z tego nędz padołu!..

Z ludzką twarzą, to prawda, spogląda się zdaje na widza, lecz oczy jego przymknięte nieco, skupienia i zadumane - znieruchomione w

nadziemskim spokojem, ciszą za światów, wiecznym milczeniem i bytu zagadką, nęcą oto wyrażenie, wzrok cięgną za sobą, unoszą duszę, mylą... gdzieś w strefy nadziemskie do nieba!...

A z prawej znów strony grobowca, jakby z ziemi, ze świata, wolno suną jakieś postacie, zmierzają do otwartych na ciebie wrót sarkofagu...

Pierwsza z nich, proporcjonalnie do innych, większa, kobieta młoda, jest już tuż blisko, u grobu prawie, w ślad za nią, z girlandami kwiatów, postępują postacie mniejsze - to dziewczynki.

Idą... Kroczą, z pochyloną głową, przygnębieni, smutni, niebawem już cisi przestąpią oni próg grobowca...

- Chodźmy! - szepnęła Ola pociągając lekko Romana za rękę.

Z widoczną niechęcią, jakby nie mogąc oderwać wzroku od pięknego pomnika, poruszył się Dzierżymirski, i wyrzekł półgłosem:

- Czy już obejrzelimy tutaj wszystko?

- Zdaje mi się, że wszystko - odpowiedziała Ola.

W pustej i cichej świątyni rozlegały się wyraźnie ich kroki, prócz nich bowiem obecnie nie było tu nikogo.

Dzierżymirski wyjął zegarek.

- Szóstka! Wracajmy, musimy pojechać jeszcze Wenecję z Campanili - rzucił żywo, i ująwszy ramię żony, skierował się ku wyjściu z kościoła.

Na progu Dzierżymirscy stanęli, obrzucając ostatnim spojrzeniem kościół; wzrok ich przesunął się raz jeszcze po wspaniałych grobowcach dołów, Tycjana i wyszli.

Upalny spokój woskiego popołudnia objął ich natychmiast. Słońce paliło jeszcze, na uliczkach Wenecji było pusto.

Dzierżymirscy szli przypieszonym krokiem, zmierzając ku mostowi "di Rialto." Był to ostatni już dzień pobytu ich w Wenecji, wyjeżdżali nazajutrz, ujeżdżając dzień po raz ostatni uroczym miasto pamiątek.

A ujeżdżali je sumiennie. Zwiedziwszy bowiem kilka nieznanym sobie jeszcze kościołów, po raz wtóry obeszli wszystkie miejsca, dokąd zachęcano ich do powrotu wspomnienie zoczonego tam piękna.

A więc pałac Dołów, jego archeologiczne muzeum i liczne przepiękne sale i ponure więzienia, pałac królewski, bazylikę, a także zarówno arcydzieła pędzla Tycjana, Tintoretta, Pawła Veronese, Belliniego, i innych, w Akademii "delle belle Arti."

- Wiesz, kochanie? musimy spieszyć się porządnie, gdy o siódmej podobno zamykają już Campanili*)-odezwał się Roman po dłuższym milczeniu idąc z Olą bezustannie tak sarno szybko i śmiejąc zarazem szczebiotu jej, wciąż jeszcze znajdując się pod wrażeniem pysznego dzieła Canovy. [*)Znana powszechnie pod tą nazwą dzwonnica świętego Marka w Wenecji, sięgająca budowli i stylem X wieku, dziś, jak wiadomo, już nie istnieje. Runęła dnia 14-go Lipca 1902 roku.]

- Co za światnie doprawdy mia³e¶ my¶¶, Romciu, zestawiaæ to obejrzenie Wenecyi z wy¿yn na zakoñczenie! - rzek³a Ola, i dorzuci³a z o¿ywieniem:
- Bo ostateczne owe wra¿enie nie zu¿yte dot±d jeszcze, nowe, idealnie zamknie nasz pobyt tutaj...

- A widzisz, me ¿ycie, ¿e nietylko moja pani miewa genialne koncepty - z u¶miechem odpar³ Roman, mi± mu bowiem by³a my¶¶, ¿e ich wzajemne zapatrywania estetyczne zgadzaj± siê tak dobrze.

W tem bo ostatniem los rzeczywi¶cie nie by³ posk±pi³ zadowolenia Romanowi. Ola, by³a to dusza obdarzona zarówno, jak i on, wykwiñnem poczuciem piêkna i niezmiern± wra¿liwo¶ci± na dzie³a sztuki, zgrzytów pod tym wzglêdem pomiêdzy nimi nie by³o wcale - dope³niali siê wzajemnie.

- Poczekaj, kochanie - odezwa³ siê znów Roman - spo¿yjemy sobie parê brzoskwiñ... Mam ogromne pragnienie, a ty?...

- O! ja tak¿e!.. wykrzyknê³a potwierdzaj±co i weso³o Ola, poczem oboje zbli¿yli siê do charakterystycznego, szerokiego, pod p³óciennem okryciem od s³oñca, weneckiego straganu, przepe³nionego ró¿nemi owocami i jarzynami.

Minêli ju¿ byli wa¶nie "ponte di Rialto", znajduj±c siê obecnie w okolicy i punkcie targu, oraz o¿wionego ruchu. Woko³o nich szwendali siê liczni przechodnie, przekupnie wychwalali g³o¶no swój towar, t. j. drobiazgi, owoce, lub rzadko¶æ w Wenecyi - zimn± wodê do picia, mówi±c nawiasem, nadzwyczaj niezdrow±.

Wybrawszy kilka przepysznych, wielkich brzoskwiñ, i spo¿ywaj±c je, Dzier¿ymirscy pu¶cili siê znowu w dalsz± drogê. Szli obecnie najbardziej o¿wion± i handlow± ulic± w Wenecyi, tak zwan± "la Merceria", wij±c± siê w kszta³cie szerokiego trotuaru pomiêdzy domami i szeregiem ciasno jeden przy drugim po³o¿onych sklepów, a wiod±cej zygzakiem od mostu di Rialto do wie¿y zegarowej na placu San Marco.

Zaczepiani co chwila przez natrêtnych w³a¶cicieli magazynów, przekupniów mozaiki i ma³ych bosonogich ch³opaków, narzucaj±cych siê im co chwila, z pytaj±cem s³owem i spojrzeniem³adnych, czarnych ocz±t: "Accompagnare, signore?...", Dzier¿ymirscy szli szybko, wygodn±, choæ krê± ulic±, rozmawiaj±c wci±¿ ze sob±.

Niedos³yszane wzajemnie czêsto w gwarliwym ha³asie "Mercerii" s³owa ich ginê³y bez echa, gdy naraz i tym razem zupe³nie g³o¶no, po niewiele znacz±cych uwagach, odezwa³ siê pierwszy Dzier¿ymirski.

-Czy wiesz, moje ¿ycie, i¿ to ju¿ trzy tygodnie blisko, jak wyjechali¶my z kraju? Czas leci, kto by pomy¶la³, ¿e niebawem ju¿ minie miesi±c, jak porwa³em ciebie, szczê¶cie moje, z³ona rodziny?..

Choæ w ostatnich s³owach brzmia³ ton ¿artobliwo-dobroduszny, jednak Roman niespokojnie spojrze³ na ¿onê, pierwszy to bowiem raz tak wyra¼n± czyni³ alluzyê do niedawnej, a prze³omowej chwili ich ¿ycia; dorzuci³ zaraz:

- Ciekawy jestem, co o tem wszystkim my¶li i co czyni w tej chwili twój ojciec... przytem wahaj±co spojrze³ z pod oka na Olê, uwa¿nie, jakby zbadaæ pragn±c, do jakiego stopnia odczuwa ona to wspomnienie.

Lekka mgła jakby przemknęła po twarzy młodej kobiety, a brewki jej zmarszczyły się przelotnie, jednakże odpowiedziała natychmiast.

- Wiesz co, mój drogi? ja.... - i tu spuściła oczy, zarumieniwszy się lekko - bardzo często... podkreśliła akcentem te słowa, - myśli o tem...

I Ola z kolei podniosła swe przymglone oczy na Dzierżymirskiego, a jemu zdało się jednocześnie, że wilgotnymi były one...

W tej samej chwili młoda kobieta ruchem spokojnym, a wdzięku pełnym, położyła swą rączkę drobną na rękę męża.

- Nie gniewaj się, mój drogi, że ci to mówię - rzekła miękko - ale... ale wierz mi, że ja nieraz lękam się jakby po prostu, by ta przeszłość nasza, a w szczególności gwałtowna chwila ucieczki mojej, nie przyniosła nam nieszczęścia... Biedny ojciec! - cicho westchnęła Ola i umilkła, spuściwszy niechętnie wzrok ku ziemi, jak gdyby przestraszywszy się słów ostatnich.

Teraz Roman z kolei pochwycił rękę żony i uściskiwszy ją serdecznie kilka razy, wzruszony, począł pocieszać Olę z cicha, w końcu zmienił zupełnie temat rozmowy, przeszedłszy pośpiesznie na przyszłe zamiary wspólnej podróży. Równocześnie jednak spóźniejąc, i, choć drobna, miała chmurka, co niby cień, wyliznęła się pomiędzy ich dusze - względnie rozwinęła się dołgiem prędko, zostawiła jednak w umyśle Dzierżymirskiego ślad trwały. Teraz zatem, gdy znowu zamieniał z Olą banalne nieco frazesy, myśli jego pracowała uparcie w dalszym ciągu.

Więc on nie mylił się, będąc częstokroć niespokojnym, gdy widział przychodzących na czoło żony nagłymi zadumę, na pozór niewytłumaczonymi zgoła niczem.

Więc w głowie tej, w której, prócz myśli dla niego, długo nie przypuszcza innego uczucia - tkwił jednak w swoim rodzaju wyrzut sumienia?... Odmieniami zatem kroczył drogami, dusze ich - ze śród tylko innego ciałkiem płynące - obie jednocześnie miały swoje skryte zgrzyoty i cierpienia. Zarówno, jak i on, tylko inaczej, Ola więc także cierpiała...

- Dziwne, to życie, dziwne! - omal że nie głośno wymówił Roman.

- O! patrz, już plac św. Marka - wesoło wykrzyknęła Ola w tej samej chwili, i wydobywszy miniaturowy zegarek, jednocześnie dodała:

- Wpóść do siódmej! - Zdżymy!..

Dzierżymirski nie podniósł uwagi żony, przelotnie spojrzawszy tylko w jej twarz, a widząc Olę uśmiechniętą, poweselał sam równie.

Wydostawszy się z wąskiej szyi ruchliwej ulicy, znajdowali się już oni na kwadratowym placu, obszernym, z trzech stron ramowanym wokół kolumnami pałacu królewskiego. Pod temi kolumnami, w pierwszorzędnym kawiarniach Wenecji, roiło się od ludzi; na mozaikach, krzyżach, brązowych koniach i kopułach bazyliki św. Marka grały promienie słońca, u stóp zaś Campanili, dokąd zmierzali Dzierżymirscy, i przed kościołem, pośrodku placu, gruchały i latały setki gołębi, karmionych ręką publiczności. Zapamiętawszy za wejście, Roman i Ola powoli zaczęli

wstępować na górę.

Na szczyt dzwonnicy San Marco, oddzielonej od katedry, a strzelającej w górę wysoko i samotnie, szło się nie po schodach, lecz po lekko pochylonej, prawie nie spiralnej, nader wygodnej, choć krótkiej, wchodzącego wcale nie męczącej.

Co kilka minut postępującym na szczyt dzwonnicy Dzierżymirskim migały z prawej strony małe okienka, pozwalające im pochwycić ręką krajobrazu, ściany załł wieży przepełnione były licznymi podpisami turystów.

Względnie dołłæ dżugo, bo powoli, zmęczeni poprzednim połłpiechem, szli pod górę Roman i Ola, zanim dostali się wreszcie na obszerną szczytową platformę dzwonnicy. Prócz sprzedającego w zaimprovizowanym sklepie fotografie i albumiki: "ricordo di Venetia," kilka zaledwie osób znajdowało się tutaj. Dzierżymirscy zbliżyli się do balustrady, obrzuciwszy spojrzeniem całą widok, u stóp ich i henhen, daleko!...

- !liczne, przełłiczne! - rzekła po chwili Ola półgłosem, z przejściem, Roman załł, potakując żonie, wyjął noszoną stale ze sobą lunetę i regulował ją począł.

Słońce wiałnie zniżało się ku zachodowi. Z jednej strony krajobrazu, na prawo, tarcza jego, ziejąc purpurą, kłpała się promienistymi blaskami w morzu, rozłłwiała jego tajemniczą gębę, rozłłarzała, na kształt gówni, czerwonym ogniem zmarszczone grzbiety fal, złotym prostokątnym gołłcińcem zanurzając się stopniowo coraz bardziej w iskrzącą się światłami toń. I zielonkawe, łagodnie Adryatyku fale, rozchyłały się przyjacielsko i gołłcinnie - roztwierały swe nurty do idącego na spoczynek słońca, wód szmerem kołłsać się je zdając do snu cichego...

Po bokach fal tymczasem coraz dalej i dalej biegły ostatnie promienie jego; rozlewały się wkoło połłegnalnym odbłaskiem - piełłciły już morze całą, zapalały na niem miliony barw i odcieni, skołłne leciały w lewo ku Lido, "giardini publici," słały się krwawiące na dachach i wieżach leżące w dole Wenecji - i ginęły nareszcie w zamglonej gdziełł dali, tułłc się do majaczących hen, hen, w perspektywie górskich alpejskich szczytów...

Roman i Ola, zapatrzeni, stali nieruchomo, w milczeniu.

Otulony ciszą bezmiarów, tchnący spokojem idącego wieczora, zachwycał ich ten krajobraz.

- Spójrz-no, jak smacznie zjadają sobie nasi brudni wósi swoje "pranzo" - rzekła nagle do męża Ola, wskazując ręką spiętrzoną u stóp ich, włłród wąskich kanałłów, Wenecję, i łłciełłnione dachy jej domów, gdzie na werandach społływano wiałnie posiłek.

- A, prawda! - potwierdził Roman.

- Zabawnie wyglądają na swoich daszkach, jak liliputy... - zauważył jeszcze i ująwszy ramię żony, zbliżył się znów ku balustradzie od strony morza.

- Patrz! - rzekł przyciszonym głosem, wskazując na prawo łłd stały - widzisz te otulone mgłami sylwety miast i gór?..

- Widzę - potwierdziła Ola.

- Oto Fusina - objaŃniaæ pocz±³ ¼onie Roman - tam znów g³êbiej, to Padwa i Treviso...

Tu, na zachodzie - to otaczaj±ce Weronê szczyty górskie, a tam - wskazuj±c ruchem rêki kolistym krajobraz, mówi³ dalej Dzier¼ymirski - to Monte Baldo, i u stóp jego jezioro Garda.

I Roman manewruj±c równoczeŃnie lunet± odkrywa³ coraz to inne odleg³e góry i miasta, a u¼yczaj±c lornety swej ¼onie, objaŃnia³ j±, t³umaczy³.

Tymczasem zaŃ platforma dzwonnicy opustosza³a stopniowo. Prócz przekupniów, zalecaj±cych swe "ricorda," i miejscowych ludzi, nie by³o tu ju¼, prócz Dzier¼ymirskich, nikogo. Roman i Ola gotowali siê do odeŃcia, gdy oto nagle przystanêli znowu, zas³uchani.

Z weneckiego starego grodu sz³a muzyka dziwna... Jak orkiestr± dobran± grana, wêdrowa³a przez otulone milczeniem przestworza melodia koŃcielnych dzwonów...

Rozpoczê³y j±, na wprost Campanili dzwony koŃcio³ów: Redentore, na wysepce Giudecca, i Santo Giorgio Maggiore, opodal, a w Ńlad za nimi powtórzy³y inne Ńwi±tynie. Z Santa Maria della Salute na czele rozbrzmia³y kolejno po ca³ej Wenecyi, wstrz±snê³y cisz± "królowej Adryatyku" - tu donoŃnie bij±c basem, tam znów skar¼±c siê °agodnie, kwil±c - wspólnie zagra³y chórem sw± pieŃni wieczorn±...

Dobranymi jakby akordy pop³ynê³y d¼wiêcznie tony poprzez laguny i kana³y, morzem, po grzbietach fal, ulecia³y w dal sin±, zda siê, nios±c swe echa a¼ do podnó¼y gór.

Roman, nachyliwszy siê ku ¼onie, rzuci³ pó³g³osem:

- Co za wspania³e i silne wr¼enie, nieprawda¼?...

Chcia³ powiedzieæ coŃ jeszcze, lecz w tej samej chwili instynktownie urwa³...

Dzier¼ymirscy zadr¼eli oboje. Kobieta przytuli³a siê, jak powój, do mê¼czyzny, on zaŃ obj±³ opiekuŃczym ruchem jej kibiaæ i silnem ramieniem przycisn±³ wylêk± do siebie.

To z dzwonnicy Ńw. Marka, tu, na szczycie jej, o parê zaledwie kroków od nich, zagrzmia³ w³aŃnie do wtóru innym, zadudni³, g³uszc±c wszystko sw± si³±, dzwon olbrzymi i potê¼ny - "San Marco."

G³os jego tubalny, hucz±cy, zmiesza³ siê z ogóln± ary± dzwonów, nape³niaj±c echemi grzmotów, trzê±c platform± wie¼ycy.

A jednoczeŃnie Roman i Ola dziwnego doznawali wr¼enia. Zda³o siê im bowiem, jakby ich tutaj nie by³o ju¼ zupe³nie.

Nie, oni stanowczo znikli, a znajdowa³ siê tu jeno jeden jedyny olbrzymi d¼wiêk, z którym istnienia wspólnie zla³y siê, z³±czy³y. Glos dzwonu przenika³ ich do g³êbi, szed³ a¼ do dna dusz, gra³ na fibrach nerwów; trzê±³ nimi, potê¼ny w swej mocy - wielki...

Ola jeszcze bardziej przytuli³a siê do mê¼a, jakby szukaj±c obrony przed czemŃ, czy przed kimŃ, Dzier¼ymirski silniej przygarn±³ j± do siebie.

Równocześnie, jakby kierowane wzajemnym odruchem jedynym i uczuciem wzajemnym, twarze ich zbliżyły się i złączyły usta!...

Ostatni z ostatnich promieni zachodu zapalił na sekundę jedną gwiazdę na czołach mężczyzny i kobiety, skojarzyły się z ich pieszczotami i znikły. Słońce zgasło... Roman i Ola jednak nie odrywali ust od pocałunku, a trwali w nim jeszcze...

Jakaż bowiem niewytłumaczona niczem chwila przedłużenia jakby tej chwili ogarnęła Dzierżymirskich.

W zapomnieniu pieszczoty jestestwa ich drgały uczuciem, a huczący głos dzwonu zdawał się bardziej jeszcze kojarzyć ich ze sobą... Łączyły się sam niby z ekstazą ich pocałunku, a usuwając z niego zarazem pierwiastek zmysłów poziomy - wznosił dusze Romana i Oli w nadziemskie gdzieś strefy, uszlachetniał, budził w nich jakieś chęci i pragnienia i przypinał skrzydła do lotu i rozszerzał piersi i kazał się modlić pokornie...

Z ekstazy pierwsza zbudziła się kobieta.

Przybladła nieco, oderwała drobne wargi od ust Romana i szepnęła cichutko: - Chodźmy już!..

- Dobrze, zóoto moje, kochanie najmilej! - odparł pieszczotliwie Dzierżymirski, i oboje w ślad za tem skierowali się ku wyjściu.

Nic nie mówili teraz do siebie. Zamyśleni, pogrążeni w swój dziwny stan duchowy, zapatrzeni w swe dusze, schodzili powoli, schodzili w dół cięgle.

I stopniowo, nieznacznie, reakcja nastroju wylizgiwała się poczęła w ich dusze, mózgi i serca...

Przy dźwiękach bo oto grającego obecnie nad nimi dzwonu-olbrzymia, jakieś zwłóknienia obsiadły nagle ich dusze, a czar, tam, na górze, odczuty - niknął, wewnętrzne zadowolenie i napięcie duchowe sabało!..

Lecz czyż to zudzenie? Wszak głos tegoż samego dzwonu jest teraz jakimś czymś innym, odrębnym; to nie ten na górze, wysoko!

Tamten, pełen otuchy, dodawał odwagi, wzmacniał. A ten, wstrząsając murami wyniosłej wieżycy, błąkała się gdzieś tylko po jej zakamarkach, szczelinach, taki odmienny, ponury, smutny...

I pod jego wpływem, jakby pod działaniem czarodziejskiej siły, w myślach Dzierżymirskich, kałdemu z osobna, zaszumiały znowu wyrzuty sumienia.

Jej, Oli, stanęła przed oczami, jak żywa, marsowa twarz ojca, i jego spojrzenie smutne, wyrzutów pełne. Ćrenice rodzica wyraźnie przytem zdawały się skarżyć, mówić: Ja cię kocham, drogie dziecię, a ty tak pogardziłaś mną, zraniłaś tak dotkliwie i boleśnie!

Romanowi zaś tak żywo przypomniała się z przed laty chwila pewna, i zdziwił się sam niepomnie. Swą ubogą izdebką z przed laty, straszną noc walki ze sobą samym, i zwycięstwo zóota ujrzał tu w Campanili-wszystko!..

A dzwon tymczasem huczał coraz bardziej, i przytem coraz jakby srożył i

bezwzględniejszy, surowszy... Dzierżymirscy bezwiednie, w mimowolnej po prostu obawie przed tym g³osem karcącym z wysoka, pospieszniej w dół schodzą poczęli.

Cienie wieczorne k³ad³y się już po pustych zakątkach starej, jak świat, wieżycy, mroki tajemnicze pe³za³y tu swobodnie. Przy d¹/₄więkach dzwonu, który wciąż trz³s jej ścianami, wśród ciemniejszej stopniowo, a zamkniętej w nich pustki, schodzi³a, spuszcza³c się coraz szybciej, niż³a się para m³odych.

Wreszcie zmierzch szary poch³on³ zgrabne postacie, i zapanowa³ bezpodzielnie w Campanili. Jednocześnie o jej mury odbi³o się echo ostatniego uderzenia dzwonu, niby ostatnie dla Dzierżymirskich przypomnienie przesz³o³ci...

W ślad za tem uspokoi³o się wkrótce wszystko.

Wiekopomna wieżycy, zas³uchana jakby jeszcze w końcowy zamieraj³cy d¹/₄więk dzwonu, przycich³a; szaro³æ, smutek i g³usza rozsiad³y się tu woko³o... W milcz³c senn³ zadum³e, we wspomnienia przebrzmia³e, zapada³a powoli Campanile.

- Rojno i gwarno by³o dziś u marszałkowej nieprawda? Ha-ha-ha, wiedzi³em doskonale, że się stawi³ wszyscy... Pocziwa jednak ta nasza światowa menażerya.... No, i cóż? Uwierzyli?

Pytanie to, zwrócone do pani Melanii Warnickiej w jej dużym, pięknym salonie, wyg³osi³, sadowi³c się wygodnie na fotelu, Emil Ładyż³ński. By³ to m³ęczyzna lat przesz³o pięćdziesięciu, wysoki, szczup³y, od stóp do głów drobniawo wytworny, o wyrazie twarzy szyderczym, przyros³ym jakby do rysów jego, śmiech³ych i ż³ywych jeszcze, oraz pięknych oczu pod³użnych, zielonkawych, z pod pincenez patrzących rozumnie.

- Uwierzyli. To jest, może udali tylko, że wierzą... odpowiedzia³a marszałkowa rozpartemu z gracy³ w krześle gościowi swemu.

- No, c'est tout ce qu'il faut, na razie; teraz damy sobie wielkiego i dystyngowanego nura n'est ce pas?.. A niech tam wszyscy myś³li³ sobie, co im się ż³ywnie podoba!- zawyrokowa³ tenże g³osem stanowczym.

- C'est ce qui me tranquillise, i³ zamkn³am zupełnie dziś już rachunki z towarzystwem tutejszem - odpar³a z westchnieniem ulgi pani Melania.

Rozmowa potoczy³a się dalej; tre³ci³ jej by³ przebieg dzisiejszego, a ostatniego czwartkowego przyjęcia u Marszałkowej.

Zniknięcie Oli, choć trzymane pilnie w tajemnicy, jak to zwykle bywa w takich razach, nagle, pewnego poranku przedosta³o się niewiadomo przez kogo, jak i kiedy, do miasta, a wie³æ ta, podawana z początku ostro³nie, cicho i pod wielkim sekretem, wkrótce by³a już na wszystkich ustach, komentowana, przeinaczona, a plotki i skrzydlatym ptakiem obmowy oblecia³a niebawem wszystkie niemal salony towarzyskiego świata w mieście. Pomimo to, nikt nie wiedzi³a nic jeszcze dok³adnie.

Zaalarmowany pierwszy Ładyżyński, który, jako przyjaciel domu Gowartowskich, a zarazem bywający wszędzie światowiec, osaczonym był cięgle pytaniami, odbył dni temu parę istną sesyjną konferencyę z marszałkowem: Co czyni, by ocali pozory?.. I wówczas to postanowiono, co następuje:

Puścić natychmiast w świat niejasną pogłoskę o ulubie Oli z Dzierżymirskim, i opowiedzieć wyjazd marszałkowej, która, postanowiwszy już poprzednio przenieść się cakiem na wieś, teraz, po naradzie z Ładyżyńskim, zgadza się tę chwilę odjazdu swego przypisać. Za parę dni wprawdzie przypada czwartek, jour fixe pani Melanii; atwo by przewidzieć, iż towarzystwo całe, wobec rozsiewanych zręcznie półsłów o wielkiej powyższej nowinie, nie omieszka, przywiedzione ciekawości i chęcią pożegnania czcigodnej matrony, zawitać na jej salony...

- Wówczas to wszystkim i każdemu z osobna damy do spożycia następujące pigułki! - zdecydowała wesoło na owej konferencji pan Emil:

- Powiemy, że Ola i Dzierżymirski są już po ulubie, uznanym przez rodzinę najbliższą i przez nią urządzonym, lecz cichym i bez rozgłosu, a to na własne i wyraźne iżdanie państwa młodych...

- Co się za tym tyczy dotychczasowej o tem wszystkim tajemnicy, wytłumaczymy ją tem, iż dzisiejsi państwo Dzierżymirscy kochali się w sobie na zabój od dawna, od lat, przypuścimy, ożmiiu... że ojciec srogi nie chciał o związku tym słyszeć nawet, iż zmiękczony wreszcie zgodził się nań... Pani marszałkowa nie była na ulubie, no... bo jest sabaego zdrowia, January za tym, w ostatniej chwili, gdy jechał na kolej, zachorował... Państwo młodzi obecnie bawią zagranicą. Gdzie? - nie wiemy. Pour dérouter - powiemy na przykład, że w Szwecyi... Cała ta historyjka, pani marszałkowa na przyjęciu u siebie, a ja u innych, tego samego dnia i w tychże godzinach ukolorujemy jeszcze należyście kilkoma pseudo-autentycznymi szczegółami, no... et il faut espérer, że nam chyba uwierz!

Tak ostatecznie uradził Ładyżyński, a do ultimatum owego, uznawszy jego słuszość, marszałkowa Warnicka zastosowała się ściśle przez cały dzień dzisiejszego czwartkowego u siebie przyjęcia. Obecnie za tym w dalszym ciągu informowała przybyłego swego współnika o wywiązaniu się z zadania i roli ważnych, opowiadając mu zarazem, jak wiele dnia tego odwiedziło ją osób ze świata, do tego stopnia licznych, iż chwilami w ogromnym jej salonie brakowało po prostu dla nich miejsca.

- Każdy niemal po banalnym wstępie grzeczności, pytał mnie o Olę, nie przeoczył tego nikt - mówiła pani Melania, kończąc opowiadanie swoje - aż w duchu sama śmiała się z tego...

- Więc ktoś był? ktoś był? - pytał ciekawie Ładyżyński.

- Wszyscy, powiadam panu, towarzystwo całe, nie zawiódł nikt - opowiadała dalej marszałkowa - szli wielcy i mali, sympatyczni i niemili, oraz nawet, którym się zdaje, że obecności swojej czyni mi zaszkodzić, raz na rok zaledwie bywają u mnie... i lekceważąco na pozór przy tych wyrazach pani Melania machnęła ręką...

Pan Emil za tym sęchał i nieznacznie uśmiechał się pod wosem, znał bowiem dobrze sabałą stroną staruszki, którą gniewało zawsze, gdy ktoś ze "świata," mieszkający stale w mieście, omijał jej dom w wizytach.

- Par exemple... - odezwa³ się - r³eczy³bym, że księ³żna Marya i hrabiowie Doliwscy...

- Oh! pas seulement, oni naturalnie, ale i księ³ż Jerzy, hrabia Alfred, księ³stwo Stanicy, hrabina Manfredowa z cór³k³ i jej narzeczonym... Vous savez, ona wychodzi za tego księ³cia Ryszarda S. z Poznańskiego... A tak³że Otoccy, Daworowscy, Igelhausenowie... ju³ż nie pamiętam wszystkich nawet... kończy³a pani Melania, zadowolona w duszy z szumnej nomenklatury.

- Oh! mais, sapristi, c'est la fine fleur, ³miętane³czka ze ³miętanki naszej... Powinszowa³æ marsza³kowej, powinszowa³æ... - rzek³ z lekka drwi³co pan Emil. -L'essentiel - ci³gn³ dalej, - że wszyscy, jak przewidywa³em, po³knęli przygotowan³ przez nas wiadomostk³e.

- Wszyscy, bez wyjątku; robi³am przecie³, co tylko mog³am - potwierdzi³a pani Melania.

- A wi³ęc n... i-ni-c'est fini; nie poka³żemy się my im tu tak prędko na oczy; by sprawdzi³æ to, co pos³yszeli, Dzier³ymirskich równie³ż mie³æ nie bę³d³, a zreszt³ - pan Emil niedbale poruszy³ r³ę³ - tout passe, tout casse, tout lasse... Niebawem wszyscy zawiesz³ sobie nowe sitko na ko³ek i... zapomn³. Ainsi va le monde - dokończ³, i wyjmuj³c srebrn³ z monogramem papiero³nic³e, uj³ w palce delikatnej swej r³ęki cienki papiero³s, uprzejmie pytaj³c zarazem pani domu: - Vous permettez?..

Marsza³kowa, z u³miechem, przyzwala³co kiwn³ę³a g³ow³. Łady³yński zapali³, i wypu³ciwszy z ust ma³y ob³oczek dymu, pog³adzi³ wytwornym ruchem r³ęki swe siwiej³ce ju³ż nieco, a starannie wyczesane, bokobrody.

- Ja tak³że, wed³ug programu, nie pró³nowa³em, - odezwa³ się po chwili swobodnym tonem. - Wszed³szy st³d temu godzin par³e, by³em na jour fixe u Leliwów, hr. Dezydery Otockiej, u księ³stwa Pilanich... Zasta³em tam wiele bardzo os³b i wsz³dzie opowiada³em, naturalnie en long et en large la nouvelle du jour, co nale³ż, o Romanie i Oli - bref, Januarek powinien by³æ kontent ze mnie: wykry³em, jak, co i dok³d wyfrun³ę³a mu jedynaczka, teraz zn³ów my z pani³ marsza³kow³ tuszujemy za m³od³ par³ ³lady, z kunsztem prawdziwie artystycznym...

- ³e te³ż pan wszystko z weso³ej tylko strony bierze - nieco smutnie i pob³a³liwie jakby u³miechn³ę³a się pani Melania.

- Que voulez vous, pani marsza³kowo, ³wiat pe³en dramat³ów i tragedyj w teatrze i w ³yciu, że có³by wartem by³o ono, gdyby³my się czasem starali przynajmniej komizmu cho³æ troch³e zeń wycisn³æ - odpar³ pan Emil, poczem za³ doda³: - Wi³ęc pani marsza³kowa jutro na Podole, do Ulanówki?

- Tak - potwierdzi³a pani Melania - do siebie jad³e na dni kilka, potem za³ natychmiast do Januarego, a pan wyje³d³a?.. Il faudrait.

- Comme de raison, prawdopodobnie do Szwajcaryi, na sze³tygodni... Ale, a propos, có³ż January?..

- Niespokojn³ jestem o niego - odpowiedzia³a marsza³kowa - jak panu wiadomo, bawi³ tu u mnie tylko dzieñ jeden; nazajutrz po otrzymaniu smutnej wiadomo³ci odjecha³, po³egnawszy się ze mn³, notabene, bardzo ch³odno, i odt³d ³adnej odeñ z Gowartowa nie mam wiadomo³ci. Mo³że chory...

- Eee! cóż znowu!.. - okrzycza³ się Ładyżyński - pani marszałkowa niech będzie spokojna, poluje sobie na kaczkę, i jedynaczkę swą wydziedzicza. Dobrze robi zresztą, bardzo dobrze... Wydziedzicza^æ m³o³dych! Niech nie lekceważy woli starszego pokolenia!.. Wydziedzicza^æ!.. dokończ³ pan Emil z patosem, i powstawszy z fotelu, jednocześnie z panią Melanią ugnę się pocztą.

- Uciekam już, bo mam jeszcze parę wizyt, ale... Ładyżyński urwa³ - Wszak pani marszałkowa jedzie jutro dopiero o 3-ej, nieprawdaż? - mówi³, ca³ując z wdziękiem rękę staruszki - nie ugnę się więc, będzie na dworcu, może wypadnie coś u³atwić, dopomóc...

- Dziękuję panu, dziękuję bardzo - odpar³a z uśmiechem pani Warnicka - do mi³ego zobaczenia się. .

Pan Emil, z cylindrem w ręku, uk³oni³ się u drzwi raz jeszcze, poczem jego elegancka, opięta w tużurek, zgrabna sylweta zniknę³a za portyem salonu.

Znalaz³szy się za³ przed domem, na ulicy, Ładyżyński wskoczy³ pośpiesznie do oczekującej nań dorożki na gumach, i rzuciwszy niedbale adres, kaza³ się wie³ dalej.

Już na ulicach i w magazynach jaśniały rzęsiście światła, gdy w dwie godziny półniej wysiada³ z tegoż pojazdu przed piękny kamienicę w Ródmieściu, a odprawivszy swój kawalerski ekwipaż, skierowa³ się w bramę czteropiętrowego domu, gdzie na pierwszym piętrem zajmowa³ eleganckie, z trzech pokoi, mieszkanie.

Ma³y, zwinny chłopczyca, ubrany w liberyjny, ze złotymi guziczkami, granatowy kurtkę, przekomarza³ się w³anie na dziedzińcu, z którym chichocząc m³odszt, gdy pan jego zjawi³ się nagle w bramie, a ujrzawszy uśmiechniętą się dwójkę, pogrozi³ jej łaską, z uśmiechem. S³u³ca za³mia³a się zalotnie i g³o³no, lokajczyk za³ pędem porwa³ się z miejsca i polecia³ na górę, w parę minut półniej, z pokorną miną, otwierając drzwi Ładyżyńskiemu.

- Ej, malutki!.. pogrozi³ mu znów palcem pan Emil, poczem, zdjąwszy paltot, zapyta³: - By³ tu kto?

- Owszem, proszę jaśnie pana, oto bilety odpar³ chłopak pośpiesznie, podając ma³ą tacę ze sto³u.

Pan Emil obojętnie przerzuci³ kilka biletów.

- Aaa!.. zadziwi³ się g³o³no przy jednym z nich, poczem od³o³y³ wszystko na bok.

- Frak od krawca przynieśli? - zapyta³ jeszcze - wyprasowany?

- W sypialni u jaśnie pana powiesi³em - objaśni³ ma³y lokajczyk.

- Dobrze. Sied³ tu, smyku, i nie obudzaj się!.. rzek³ Ładyżyński, a min³wszy przedpokój, zatrzasną³ za sobą drzwi od gabinetu, prowadzącego do sypialni i ubieralni, gwiżdżąc jednocześnie pod nosem aryę z modnej podówczas operetkowej premiery.

Jako szanujący się kawaler, pan Emil, stale żadnego wieczoru nie przepędza³ u siebie w domu. Dzi³ zatem również wybiera³ się na raut

artystyczno-wokalno-literacki, punktualnie rozpoczynając się już o dziesiątej.

Dziewięta wstała nie biegała na kilku zegarach w mieszkaniu, pan Emil więc, znalazłszy się w gustownie umeblowanej sypialni, przystąpił natychmiast do toalety swej wieczorowej.

W tym celu wygodnie zasiadł na foteliku przed małą gotownią, przepełnioną wytwornymi, w srebrnych pudełkach i przykrywkach, przyborami toaletowymi.

Gdy tak stoliczny bywalec drobiazgowo i systematycznie stroił się na raut, marszałkowa, po wyjściu ostatnich, zapóźnionych gości, przykazawszy pogasić światła, odpoczywała na kanapie znużona, po dniu tak pełnym dla niej zmęczenia i wysiłków. Oparła się głowę o poduszki mebla, pani Melania, położyła się, i wyciągnęła wygodnie swe członki, przymknęła powieki, stanął bóg nie krępowanego niczem spoczynku oświadczył się bezpodzielnie.

Jak szum niktów, daleki, w uszach jej tylko brzmiał jeszcze gwar prowadzonych do niedawna rozmów, dolatywały urywki z dali, a przed oczyma majaczyły, zmieniając się kolejno, postacie, zaludniające w ciągu kilku godzin jej salony...

Ponownie zatem widziała przed sobą staruszkę w sąsiednim pokoju takim elegancki, rozbawiony...

Mile patrzył on wzrokiem wytwornym wdziękiem kobiecych toalet, szeleszczących szagownie, a zgoła nie krzykliwych barw i gustownych - nęci powabem na jedną modę elegancko skrojonych ubiorów męskich, prawił się cały w estetyce ogólnej manier, ukonów, w szablonie światowej salonowej komedii, a poprawny - nie raził niczym harmonii, w całości swej nie wywołując również wcale fałszywo brzmiących zgrzytów. I uśmiech pół gorzki, pół smutny, w zamyśleniu okoliści wskie usta marszałkowej Warnickiej.

Jak niczyj pełnym bowiem wydało jej się teraz, w oświetleniu dzisiejszej zofii ciekawości, to całe towarzyskie stado, kryjące się przewrotnością pod blichtrzem i szychem zewnętrznych pozorów, jak małe godnym żalu i marnem!

Ach, bo ileż schowanej zręcznie zofii, tłumionych chęci sponiewierania rodziny jej i Oli, jej samej, ile wreszcie jadowitego fałszu kryło się w duszach tych wszystkich oto dzisiejszych jej światowych pseudo-przyjaciół i gości!..

Marszałkowa czyniła dalej w myśli przegląd galeryi osobników, widzianych na dzisiejszym przyjęciu; we wspomnieniu ich słów, wyrazów twarzy i gestów powtórnie czytała, zda się, ukryte myśli przybyłych; moralnie obnażała ich wszystkich, starając się zarazem znaleźć, przypomniawszy sobie jeden kwiatek prawdziwie przyjaznego uczucia, wykwitły wśród tych chwastów obudy!..

Nie znalazła nic podobnego jednak. Były tam tylko same śmiecie.

Pani Melania, dumając w ten sposób, miała oczy wciąż przymknięte, niebawem znużenie wzięło górę nad jej myślami, głowa staruszki pochyliła się na piersi, cichy mrok wieczoru otulił postać marszałkowej. Zdrzemnęła się.

W kwadrans może półniej, w milczeniu wypoczywających po najściu gości apartamentów, rozleg się; silny odgłos dzwonka... Staruszka rzuciła się z lekka na kanapie, a otworzywszy swe rozumne szare oczy, poczęła wsłuchiwać się w młczy ciszę odgłos.

W drzwiach buduaru po chwili stanął lokaj i zaanonsował:

- Pan plenipotent z Gowartowa; mówi, że chciałby koniecznie widzieć się z jaśnie panią.

- Proszę, proszę natychmiast tutaj! - rzekła żywa marszałkowa i równocześnie powstała z kanapki. Lokaj wyszedł.

Zadowolone, poróżnione z ciekawością osiadło na twarzy staruszki.

Bolesław Krasnostawski, syn szkolnego kolegi nieboszczyka marszałka, a zaprotegowany ongi przez nią samą na zajmowanie dotąd posadę ogólnego i głównego zarządcy dóbr pana Januarego, nareszcie więc przynosi jej wiadomości o bracie!..

Młodzieniec, lat dwudziestu ośmiu, ciemny brunet, ogorzały i przystojny, z dziarsko do góry podkręconym włosem, stanął na progu.

- Sługa pani marszałkowej, moje uszanowanie - przemówił swobodnie, i podbiegłszy, ucałowała z szacunkiem rękę staruszki.

Ubrany był niewykwintnie, ale starannie i czysto, ruchy zaś jego, oraz sposób mówienia, zdradzały człowieka, choć nie obytego może zupełnie z wytworniejszym towarzystwem, lecz dobrze wychowanego.

- Kochany mój panie Bolesławie, - zaczęła staruszka, zwracając się dobrotliwie ku przybytemu - siadaj, proszę, i mów, mów jak najprędzej, co słychać?..

Młody człowiek, widząc zaniepokojenie w oczach matrony, wyrzekł pośpiesznie:

- O, nic z tego... zupełnie nic z tego, pani marszałkovo, ale... i nic równie dobrze - dokończył wahając się i ostrożnie.

- Jak to?.. -- zapytała pani Melania. Krasnostawski oczy spuścił, i ukrywając je po za swemi, jak u kobiety, dźwiękami rzęsami, mówił cicho:

- Pani marszałkowej wiadomo, zarówno jak i mnie, co za cios dotknął pana Gowartowskiego, z powodu panny Oli...

- Więć pan już wie?.. Skąd? - z okrzykiem niepohamowanego zdziwienia, wyrwał się staruszce, pytanie.

Coś niemięgo snało dla ucha młodzieńca zabrzmiało nagle w tych kilku słowach, bo nie podnosił oczu, jakby nie chciał onieźmielać marszałkowej swym wzrokiem, spokojnie i poważnie odrzekł:

- Wiem wszystko, bo mi pan January, nie mając nikogo, zwierzył się z troski własnej, naturalnie pod słowem honoru z mojej strony, że słówkiem nawet o tem nikomu nie wspomnę...

Krasnostawski zatrzyma³ się chwilê, i ci±gn±³ dalej:

- Obowi±zki, jakie mam dla ca³ej rodziny pañstwa, szacunek i powa¿anie me osobiste wzgledm pana Gowartowskiego, stanowi±, chyba do¶læ trwa±[±] rêkojmie, i¿ s³owa dotrzymam... I... o tem... nikt z pañstwa, przypuszczam, nie w±tpi... - dokoñczy³ m³ody cz³owiek, podnosz±c tym razem wzrok, jasny i pytaj±cy na marsza³kow±.

- Ale¿ naturalnie, panie Boles³awie, naturalnie! - skwapliwie po¶pieszy³a z odpowiedzi± staruszka. - Lecz mów¿e mi pan, co się tam w Gowartowie tak niedobrego dzieje? - zapyta³a niespokojnie.

- To, pani marsza³kowo, ¿e z panem Gowartowskim jest ¼le... - i Krasnostawski, spu¶ciwszy znów wzrok, ci±gn±³ dalej:

- Pannê Olê, jak pani marsza³kowej wiadomo, ojciec kocha³ bardzo, prawie, ¿e ba³wochwalczo; otó¿ skutki wypadków ostatnich bardzo, bardzo silnie odbi³y się na nim. Nic go ju¿ prawie teraz nie zajmuje, ani gospodarstwo, ni wie¶, ni inne zajêcia, do s±siadów nie je¹/₄dzi, u siebie nikogo nie przyjmuje - s³owem obecnie z niego zupe³nie inny cz³owiek...

Krasnostawski przerwa³ opowiadanie, jakby namy¶laj±c się, co mówiaê dalej. Staruszka, w zadumie, ze wzrokiem na dó³ spuszczone, milcza³a.

Po chwili wahaj±co ci±gn±³ dalej:

- Wobec tego samotno¶læ dla pana Gowartowskiego jest wprost zabójcz±, koniecznie potrzebuje on nieustaj±cego towarzystwa, jednym s³owem - potrzebuje obok siebie przyjaciela.

Krasnostawski ponownie zatrzyma³ się na sekundê.

- Moja osoba nie wystarcza - mówi³ dalej - zajêcia liczne, mieszkanie nie w samym Gowartowie, lecz gdzie indziej, stanowisko wreszcie moje... tu po twarzy m³odego cz³owieka przemkn±³ lekki cieñ - wszystko sk³ada się na to, i¿ pan Gowartowski, choæ zawsze dla mnie tak samo ³askaw, jest obecnie moralnie bezustannie - sam...

Z pod oka, przelotnie, spojrze³ Krasnostawski na marsza³kow±. Z misy± nader delikatn± i przykr± przyby³ on tutaj; w kieszeni surduta pali³ go w³asnorêczny list pana Januarego, w którym ten ostatni, ¿ywi±cy jeszcze do siostry bardzo g³êbok± urazê za spe³nione wypadki, pomimo wszystko, w g³êbi duszy pos±dzaj±cy nawet staruszkê, i¿ by³a, mo¿e w tajnej zмовie z jego córk± - delikatnie, lecz stanowczo, odmawia³ jej go¶cinno¶ci u siebie, wobec zapowiedzianego przez ni± przyjazdu do Gowartowa.

Krasnostawski o zawarto¶ci listu wiedzia³, w chwili ¿alu bowiem Gowartowski wypowiedzia³ mu wszystko, ba, poleci³ jemu nawet, jako protegowanemu i lubianemu przez marsza³kowê, napomkn±æ jej o tem przed wrêczeniem listu.

Przerwawszy na chwilê opowiadanie, Krasnostawski ostatecznie zastanawia³ się w³a¶nie, czy poruszyæ w rozmowie, lub nie, temat dra¿liwy. Postanowi³ jednak nie czyniaê tego wcale, a natomiast, czuj±c, ¿e na ustach domy¶laj±cej się ju¿ czego¶: marsza³kowej, zawisa jakby jakie¶ pytanie, by powstrzymaæ je, odezwa³ się po¶piesznie:

- I dlatego, pani marsza³kowo, poleci³ mi pan January, ³±cznie z innymi interesami, powo³ywuj±cymi mnie tutaj, zaprosiaê do Gowartowa na czas

d³u¿szy pana £ady¿yñskiego, jego bowiem obecno¶ci tylko pragnie, jako prawdziwego swego przyjaciela... Muszê zatem byæ dzisiaj u niego w tej sprawie, nie wiem jednak, gdzie mieszka... Adres pana £ady¿yñskiego niew±t¶liwie znanym jest pani marsza³kowej?..

S³owa powy¿sze i pytanie ostatnie zabrzmia³y w ustach m³odzieñca pomimo woli zimniej nieco. Nerwami uczu³ ch³ód jakby w zachowaniu siê staruszki, milcz±cej wci±¿ od chwili, gdy jej powiedzia³, i¿: wie o wszystkim. Gniewa³o go to spostrze¿enie i rani³o dotkliwie dumê jego.

Wypowiedziana g³osem miarowym, a wskazuj±ca ulicê i numer domu, zamieszka³ego przez pana Emila, zabrzmia³a odpowied¼ marsza³kowej.

Krasnostawski zerwa³ siê natychmiast i rzek³ szybko:

- Dziêkujê stokrotnie pani marsza³kowej...

Z udan± za¶ swobod±, powodowany silnem ¿yczeniem wycofania siê st±d co prêdzej, ci±gn±³ ¿ywo dalej:

- Nie zajmujê ju¿ wiêcej czasu pani marsza³kowej, zapomni³em zupe³nie, wszak to dzisiaj czwartek, dzieñ przyjêæ - uciekam...

- Ach, tak... - z u¶miechem protekcyjnym nieco rzek³a sêdziwa matrona. - Ale ju¿ po wszystkim, wszak wieczór nadchodzi...

- Tak... tak, prawda, zapomni³em - b±kn±³ Krasnostawski, siêgaj±c jednocze¶nie rêk± do kieszeni. - Przepraszam najmocniej pani± marsza³kow± dobrodziejkê, cõ¿ za roztrzepaniec ze mnie, doprawdy! By³bym zapomni³... Mam list od pana Gowartowskiego, s³u¿ê pani marsza³kowej.

Pani Warnicka schwyci³a list, Krasnostawski jednak równocze¶nie pochyli³ siê do rêki jej, w uk³onie.

- Do widzenia, mój panie Boles³awie, do widzenia! - z roztargnieniem po¿egna³a go staruszka, podaj±c mu rêkê do uca³owania, poczem za¶ gor±czkowo rozerwa³a kopertê.

M³ody cz³owiek ju¿ by³ na progu, ale, spojrzawszy z pod oka na marsza³kow±, zd±¿y³ by³ jeszcze dojrzeæ na jej twarzy rumieniec oburzenia, zakwit³y tam, po przeczytaniu pierwszych kilku wierszy. Dostrzeg³szy to, m³ody plenipotent, jak szczupak w wodê, rzuci³ siê ca³em cia³em w ciemno¶ci s±siedniego salonu, pobieg³szy za¶ na palcach do przedpokoju, chwyci³ paltot swój i umkn±³ z mieszkania. Na schodach dopiero odetchn±³.

- Uf! wyrwa³em siê wreszcie... - szepn±³. - £adniebym siê ubra³, gdyby tak przy mnie list czyta³a!..

W ¶lad zatem wypad³ na miasto, a mijaj±c ulice jednocze¶nie pogr±¿a³ siê w my¶lach.

Wywo³ana wspomnieniem apartamentów marsza³kowej, stanê³a mu nagle przed oczyma powabna sylwetka Oli, zamajaczy³o jej g³êbokie i zalotne spojrzenie, którym, jak wielu innych zreszt±, wita³a i jego, gdy przypadek ±czy³ ich kiedy na chwilê.

Krasnostawski od kilku ju¿ lat zna³ córkê pana Januarego; etykietalne utrzymuj±c stosunki z pa³acem Gowartowskim na wsi, widywa³ j± rzadko,

najczęściej z daleka, na spacerze, w kołtynie, lub przelotnie w powozie
- kilka razy u marszałkowej w mieście. Podobała mu się piękna panna, bo
komuż zresztą nie potrafiła ona się przypodobać, pełna wdzięku, uprzejma
i zalotna?... Przedstawiała poza tym typ kobiety Krasnostawskiego... Nie
kochają się w niej jednak bynajmniej, za trzecią by na to; choć z
upokorzeniem dumy własnej, stanowisko swe podrzędne oceniać potrafi, a
jednak...

dziwiony analizą duszy własnej, przyznać się sam przed sobą musiał, że
wiedział o ucieczce i lubie Oli zabrała go, a raczej, bezpodstawnie na
pozór, po prostu rozgniewała.

Rozmyślając w ten sposób, Krasnostawski wszedł do kamienicy, wskazanej
przez marszałkową. Za parę chwil znalazł się już na pierwszym piętrze,
ledwie jednak zadzwonił u drzwi apartamentów Ładyżyńskiej, w ramie ich,
natychmiast prawie, w cylindrze i paltocie, ukazał się pan Emil, jak
zwykle uśmiechnięty ironicznie i z pogodą na czole.

- A!.. pan Bolesław, herbu Rawita, powitać, prawico Januarego de
Gowartów-Gowartowskiego, powitać!.. - i uśmiechnął się serdecznie wyciągniętą
ręką młodzieńca.

- Przepraszam, że nie proszę pana kochanego do siebie, lecz postaci
swoją do odejścia gotową wypędzam go raczej, lecz powody ważne... - tu
pan Emil uczynił obydwoma rękami ruch półokrągły, - skłaniając mnie do
tego! - dokończył, i mówiąc to, elegancko zamknął drzwi przed nosem
Krasnostawskiemu, a uśmiechnąwszy się pod włosem cięgnięciem dalej wesoło,
poufale wsunął zarazem rękę pod ramię Krasnostawskiego.

- Nie gniewasz się na mnie, kochany panie Bolesławie, wszak prawda?...
Spiesz się na raut; no, mówże tam, co się chacie?... Kochany Januarek cóż tam
porabia, poluje; weseli się, czy smuci?

Krasnostawski już chciał wypowiedzieć, z czym przyszedł, gdy Ładyżyński
znowu odezwał się żartobliwie:

- Ale, zaiste, pysznie pan wyglądasz, jak rydz w maśle, powinszować!
Nadobne grody naszego mieszkanki łączy do pana, jak pszczołki do
miodu! Słyszałem o pańskich sprawkach za studenckich czasów, za miodu! -
tu poklepał z lekka młodzieńca poufale po plecach - słyszałem -
powtórzył - nie będzie więc wzajemnie nudzić pana swoją osobą, opowiesz mi
pan en règle, lecz szybko, co cię do mnie sprowadza, a posiedzenie to
odbędziemy w doróże. Podwiozę pana... Zgoda?

- Ależ i owszem, dziękuję bardzo! - odparł Krasnostawski, z pośmiechem.

Znajdowali się już na ulicy, pan Emil skinął na stangreta parokonnej
doróży, rzucił adres, i pojechali.

Ruchem codziennym wrząco wkoło nich strojne wesołe miasto:

- Słucham pana - rzekł Ładyżyński.

Młody człowiek w krótkich słowach opowiedział mu o niepokojącym stanie
zdrowia i moralnego usposobienia pana Januarego, zamilczawszy za to tylko
o liście do marszałkowej, zakomunikował zaproszenie do Gowartowa.

Skrzywił się lekko przy ostatnich słowach pan Emil i odrzekł:

- Zapewne, zapewne, bardzo bym rad pocieszyć drogiego Januarka, ale w³a¶nie wyje¿d¿am za granicê i przyznaæ muszê, ¿e na razie wybra³ on siê z zaproszeniem wcale nie na czasie! No, zobaczymy zreszt±... Co pan wiesz, - tu spojrz± uwag± nie na Krasnostawskiego - o pani Oli i Dzier¿ymirskim?..

Zapytanie to postawionem by³o bardzo zrêcznie mówi³o nic, a pyta³o wiele. Krasnostawski natychmiast poinformowa³ krótko i zwiê¼le pana Emila, i¿ wiadomem mu jest wszystko.

- Aaa!.. - wyrwa³o siê tylko z ust £ady¿yñskiego, i doda³ ironicznie:

- No, to w takim razie wiesz pan nie tylko o p³aszczy gronostajowym przywi±zania dziecinnego, szalonej mi³o¶ci m³odzieñczej, weselu pod niebem Italii, et caetera i t. d. ale i o odzie¿y codziennej, ukrytej przez nas starannie przed plotk±, jedn± - purpur± drugiej; zatem wobec tego, mo¿emy mówiæ szczerze...

- Widzi pan - tu £ady¿yñski spojrz± znów na Krasnostawskiego, jakby pragn±c siê przekonaæ, czy warto wywnêtrzaæ siê przed nim - ta ca³a rozpacz "górna chmurna" Januarka, ta dobrowolna wiwisekcja przywi±zania do córki i ów od pocz±tku do koñca poemat "zbo³³ego ojcowskiego serca" - bref ten wielki w duszy jego ostatnimi czasy fajerwerk romantyzmu... entre nous soit dit - jest tylko od pocz±tku do koñca jednym nonsensem. Czy nie mia³a racji?

Krasnostawski milcza³.

- Pie¶cili dziewczynê - ci±gn±³ w tym samym tonie £ady¿yñski - upodoba³a sobie Dzier¿ymirskiego - wara! Tego, owego - odmówili... To trudno, panie, kobiety tak¿e maj± serca i temperament... Zachcia³o siê Oli³adnego ch³opca - nie dali jej go - wziê³a go sobie sama, a raczej wzi±æ siê pozwoli³a... Niech Januarek lepiej dziêkuje i ¶piewa Hosannê na wysoko¶ciach, ¿e bez plebana siê nie obesz³o! Lub niech¿e nawet gniewa siê, i wydziedziczy córuniê, lecz nie lamentuje, bo to i nie po mêsku, i wcale nie ma sensu! Dixi. To moje zdanie. Cóż na to pan, panie Boles³awie, herbu Rawita?..

Krasnostawski z¿ymn±³ siê niecierpliwie; denerwowa³ go zwykle ton rozmowy £ady¿yñskiego, dzi¶ jeszcze bardziej rozgniewa³ go przycinek "herbu Rawita", bêd±cy widoczn± alluzy± do u¿ywanych niegdym przez niego biletów wizytowych: Rawita-Krasnostawski. .

Podra¿niony zatem, si³c siê na spokój, odpar³ zimno:

- Przepraszam, ale ca³kiem inaczej i zupe³nie przeciwnie zapatrujê siê na tê sprawê, oraz rozumiem doskonale pana Januarego.

- Ha-ha-ha-! nie masz pan za co przepraszaæ, wiedzia³em tylko, ¿e i z kochanego pana tak¿e romantyk; w takim razie w korcu maku dobrali¶cie siê razem z Januarym... Wobec tego, ja w Gowartowie zgo³a potrzebny nie jestem, doskonale siê tam obadwa rozumiecie...

- Ale, có¿ znowu! - przerwa³ ¿ywo Krasnostawski, bojc siê, czy czasem mimo woli nieostro¿nem s³owem nie zepsu³ danego sobie polecenia. - Mogê byæ tych samych zapatrywañ na tê sprawê, co i pan Gowartowski i odczuwaæ jego charakter, lecz przecie¿ w ¿adnym razie nie potrafiê zast±piæ szanownego pana, który jest tak dobrym jego przyjacielem...

- No tak, tak..., - urwa³ z kolei pan Emil - "Wszystko ginie bez lito³ci, nic sta³ego na tej ziemi, prócz przyja³ni i mi³o³ci;" to wszystko nader pięknie brzmi i wygląda, lecz mego zdania, ja osobi³cie nawet dla przyja³ni zmieniaę, niestety, nie uważam za stosowne. Czy za³ono Januarciowi się spodoba - grubo w³pię..

Doro³ka w tej samej chwili zatrzyma³a się.

- No, kochany mój panie Boles³awie, addio!.. - odezwa³ się protekcyjnym nieco tonem Łady³łyński podaj³c Krasnostawskiemu rękę.

- Zakomunikuj pan z ³aski swojej mój sposób widzenia rzeczy panu na Gowartowie, a je³lli potem jeszcze znaę mnie będzie chcia³ - niech³e mi napisze, a mo³e przyjadę...

Wysiedli obaj. Pan Emil uchyli³ cylindra i skierowa³ się ku bramie, na progu za³ jej rzuci³ jeszcze m³odemu cz³owiekowi, tym razem jednak przyja³niej nieco:

- A trzymaj się tam pan dzielnie, ba p³eæ nadobna ma tu na wie³niaków wilczy apetyt!.. Au revoir...

Łady³łyński znik³, Krasnostawski pozosta³ sam ulicy. Rozejrza³ się...

By³ w jednym z najruchliwszych punktów miasta; wieczór już rozpoczyna³ swe panowanie, nadchodzi³a noc, wielki gród ³arzy³ się setkami ³wiate³; ³rodkiem ulicy pędzi³y pojazdy, po chodnikach szerokich zwart³ gromad³ wymija³ go po³piesznie t³um ludzi.

Piękne, zgrabne mieszcanki prawie ³e ociera³y się o niego, rzucaj³c co chwila zalotne spojrzenia na ³adnego ch³opca. Niewiele jednak z nich sz³o samych, większo³æ mia³a już przy sobie czul³cych się towarzyszy, szepcz³cych im z u³miechem s³odkie s³ówka.

Pod wp³ywem ostatniej uwagi pana Emila, Krasnostawski mimo woli przejrza³ się uwa³niej w witrynie jednego z okazalszych magazynów, a zadowolony z przeglądu w³asnej osoby, spojrze³ weso³o przed siebie. Jakie³ puste pragnienie zabawienia się, oszo³omienia, podobnie tym wszystkim, snuj³cym się parom, ow³adn³o nim.

Przekszta³cony okoliczno³ciami ³ycia w wie³niaka mieszczuch przypomni³ sobie naraz lata dawne, studenckie, pe³ne niefrasobliwego jutra i weso³ych kawa³ów, a choæ przeplatane często bied³ i g³odem, bogate jednak w mi³o³æ i swobodę!

Bawi³c przelotnie w murach miasta, którego ka³dy zau³ek zna³ na pamięæ, a mijaj³cych go mieszkańców, szczególnie kobiety, jednym rzutem oka nieomylnie segregowa³, jak znawca, - zapagn³ nagle Krasnostawski napię się koniecznie z musuj³cego uciech mi³osnych kielicha.

I mimo woli m³ody cz³owiek pocz³ uwa³niej przygląda³ się kobietom. Ubrane "szykownie", cienkie w talii, wysmuk³e i zgrabne, mija³y go one, ³miej³ce się i weso³e, uprawiaj³c z zami³owaniem flirt uliczny, skrz³cy się miejscowym brukowym dowcipem, czujne jednak poza nim na ka³de spojrzenie przystojniejszego m³czyzny, odwzajemniaj³ce mu się zalotnem ³renic b³y³nięciem - "oczkiem" i obiecuj³cym nieraz wiele u³miechem.

A rozmaito³æ dzisiaj by³a wielka. Wieczór przed³wi³teczny, pogodny, lwi³ cz³æ w³a³ciściele nadobnych twarzyczek wywabi³ na pierwszorzędne ulice

- na wspólne arenie letniego jakby "demisalonu" pewnych, a szerokich warstw miasta. Brunetki zatem, piękniade, czarnobrewne, blondynki, powiewne - białe, szatynki, o ruchach omdlewających, a wszystkie prawie ubrane elegancko i z pewnym, wspaniałym tylko Polce naszej, gustem, wystrojone, z wawe - sunięty przed zachwyconym wzrokiem wieśniaka.

I od tego rozpędzonego, barwnego, poruszanego jakby tajemniczym sprężynnym tępum, białe na Krasnostawskiego pięknie, bo odzwyczajeniem dźwiękiem starty, urok; nozdrza grają mu poczęty, wchłanianie w siebie niewyraźny, niepochwytany powiew, sunięty jakby ponad górami publiczności, gorętszym okiem patrzy w twarz kobietom, swawolnie i niechcący, na pozór, zagląda im prosto w oczy...

Co za przejaw nie czyta w owych czarnych, szarawych, fioletowych i modrych oczach, z natury już swej, zalotnych, bynajmniej nie zraża go do tej; czynności.

- Pójdź, pójdź, nie zrażaj się pozornie skromnym, białym odważnym, śmiałym, a może... może... - szeptały, zda się, cicho wejrzenia nieśmiało, gorętsze ogniem, nieprzepracowane ku sobie; daleko więcej jeszcze mówiły spojrzenia inne, a wszystkie razem, wyzywane śmiałym wzrokiem mężczyzny, całowała go jakby się zdawały, obiecując miłość-pieszczotę!...

Ruchliwie falę w pewnych godzinach przelewający się przez ulice miasta, a obejmujący sobą oddzielne warstwy wracających z zajęć pracownic różnej kategorii, na wylot znany Krasnostawskiemu, roi się dalej przed oczyma jego kobieco-dziewczęcy wieńce, i coraz bardziej liczny, barwniejszy - obejmował go swym ruchomym uśmiechem. I młody człowiek, ulegając stopniowo nastrojowi chwili, wspomnieniom dawnym, a związanym ściśle z tymże samym wieńcem, zapomniał o wszystkim.

Znikły mu z pamięci Gowartów, pan January, marszałkowa, Ładyżynski, Ola, a odżył w nim tylko dawny obuz i bałamuć, zły swawoli i użycia.

Z szelestem spódniczek, zgrabnie ujętych męskich, a odkrywających modelowane pięknie, zgrabnie obute, w ażurowej pończoszcze, nóżki, otarła się prawie o Krasnostawskiego wysoka dziewczyna, smukła, jak gazella, czarnowłosa, i rzuciła młodzieńcowi przelotne spojrzenie. Spotkawszy wzrok jego, palący, śmiały, rzuciła mu takie same drugie, uważniejsze jednak, gorętsze. Z dwojga par młodych oczu posypały się iskry, a panu Bolesławowi stanęło w tej chwili w mózgu, nieodwołalne ultimatum: Ta, lub żadna!

Puścił się w pogoń za piękną dziewczyną. Dognał ją niebawem, zajrzał w oczy raz, drugi, trzeci, i poczęł iść w ślad za nią. Przy zbiegu jednak ulic kilku, dziewczę skręciło nagle w bok i znikło w bramie domu.

Zawiedziony i zły, Krasnostawski obrócił się na pięcie, a wólczywszy rękę w kieszenie od palta, z humorem przystanął. W oddali zachęcało zielenią ogród Ródmiejski, jakby zapraszając gościnnie.

Młodzieniec skierował się w tę stronę, i w dziesięć minut potem wchodził już w bramę ogrodu.

O tej wieczornej i spódniczonej już porze cienie jago, tajemnicze i ciche, pochłonięty Krasnostawskiego natychmiast, a do uszu jego doleciały jednocześnie, z pogwarem drzew szumiących splecione, jakieś szelesty, i szepty, i przyciszone gwary...

To przytulone do siebie, tam i ówdzie po ³awkach siedz±c samotnych, gruchaj±ce przeró¿ne "pary" fabrykowa³y najczê¶ciej udan±, rzadko szczer± mi³o¶¶æ... Miejscami nieestetyczny, czasami wprost brutalny, tam znów, w kontra¶cie subtelniejszy, miêkkszy, ten sam flirt brukowy, rdzennie miejscowy, musowa³, kipia³ po k±tach ogrodu, przyczajony do tego stopnia, i¿ w niektórych alejach dla uwa¿nego s³uchacza gra³a po prostu, zda siê, powszechna jakby i wspólnie harmonijna nuta, z³o¿ona ze szmeru poca³unków, g³o¶niejszych pó³s³ówek, namiêtnych protestów, zgody cichej, lub srebrzystego ¶miechu...

Odg³osy te, drgaj±c w powietrzu, lecia³y cicho ku wierzcho³kom drzew, z których co chwila gdzieniegdzie spada³ wolno po¿ó³k³y li¶¶æ wczesnej jesieni, - jakby pragn±c przypomnieæ bawi±cym siê tu ludziom, o koñcu wszystkiego na ¶wiecie.

Przeszed³szy siê po ogrodzie, Krasnostawski usiad³ na jednej z ³awek. Zmêczonym by³ nieco... Przyjecha³ kilka godzin temu zaledwie. Marsza³kowa, £ady¿yñski, piêkna nieznajoma, gwar miasta - wszystko to znu¿y³o m³odzieñca, przywyk³ego od lat paru do ciszy i regularnego wiejskiego ¿ycia.

Wyj±wszy papiero¶¶nicê, zapali³ papierosa, ziewn±³, a spojrzawszy obojêtnie na siedz±cych obok na ³awce s±siadów, wpad³ w mimowoln± zadumê.

W my¶lach stanê³a mu nagle w³asna przesz³o¶¶æ w tym samym mie¶cie i przed oczyma migaa³e poczê³y przeró¿ne minionych lat obrazy.

Ujrza³ zatem siebie maleñkim, u rodziców jeszcze, ch³opcem, potem gimnazyst±, a nastêpnie akademikiem. Oblicza rozpierzch³ych gdzie¶¶ po ¶wiecie, a dawno niewidzianych kolegów zamajaczy³y mu ¿ywo, wspomnia³ ich przywary, zalety charaktery i serca...

W kalejdoskopie wspomnieñ odbi³o siê, przesunê³o równie¿, kilka twarzycek kobiecych, parê sza³ów, niepomych jutra, gor±czkowych, pieni±cych siê wówczas rozkosz±, p³omieniem uczucia, a dzi¶¶ spopiela³ych ju¿ i zagas³ych zupe³nie.

A wszystko w tym mie¶cie, z którego murami z¿y³a siê, zros³a jego dusza. Dla chleba porzuci³ kolebkê dzieciñstwa - m³odo¶¶ci...

- Cha!... - westchn±³ g³o¶¶no m³ody plenipotent gowartowski, poczem instynktownie obejrza³ siê woko³o, i jakby nieco zawstydzony swem westchnieniem, z pod oka uwa¿nie popatrzy³ na swoich s±siadów.

Obok niego, w wytartej czapce, z daszkiem, nasuniêtym na oczy, w wyszarza³ej kapocie i z rêkami w kieszeniach, drzema³a jaka¶¶ mêska figura, z g³ow±, wci¶¶niêt± w ramiona, zgarbiona, o nêdźnej powierzchowno¶¶ci; by³ to zapewne pijak jaki ululany, lub mo¿e biedak bezdomny; z przeciwnego za¶¶ krañca ³awki jaki¶¶ staruszek zbiera³ siê do odej¶cia...

- Przepraszam pana, która godzina? - zapyta³ go Krasnostawski, pamiętaj±c, i¿ zegarek zostawi³ przez roztargnienie w hotelu.

Staruszek malutki, siwiuteñki, o jowialnym wyrazie twarzy, zerkn±³ przyja¼nie na m³odego cz³owieka, oczy przymru¿y³ i roze¶¶mia³ siê g³o¶¶no i dobrotliwie.

- Ha-ha ha..., a widzisz... - dorzuci³ w Π lad za tem - nie przysza...
Ba!... la donna è mobile... - szczerze za Π mia³ siê jeszcze do siebie i
podrepta³ dalej, nie odpowiadaj \pm c na pytanie m³odzieńca.

- A to ci mantyka jaki Π ! - u Π miechn \pm ³ siê Krasnostawski i wzruszy³
ramionami, a zapalivszy papierosa, instynktownie zamy Π li³ siê znowu.

Tymczasem w tej samej w³a Π nie chwili siada³a obok niego wysoka, zgrabna,
przystojna brunetka. Gdy odchodz \pm cy staruszek wyg³asza³ sw \pm sentencyê,
po Π piesznie przechodzi³a ona drog \pm , a us³yszawszy g³o Π no wyrzeczono
s³owa, zwróci³a uwagê na siedz \pm cego m³odzieńca i uwa \pm nie spojrze³a na Π ;
poczem zwolni³a kroku, a po przelotnej wahania chwilce usiad³a na ³awce.
Teraz za Π , uporczywie z pod oka, patrzy³a na Krasnostawskiego.

Ten za Π poczu³ sna \pm na swojej twarzy magnetyczny wzrok kobiety, bo po
chwili machinalnie obróci³ g³owê w jej stronê.

Na widok nowej s \pm iadki, wyraz przyjemnego zdziwienia odbi³ siê na jego
twarzy, w towarzyszce obecnej bowiem poznawaa \pm siê zdawa³ piêkn \pm
nieznajom \pm sprzed pó³godziny. Spojrzenia m³odych skrzy \pm owa³y siê. Z
czarnych $\frac{1}{4}$ renic ³adnej dziewczyny posypa³y siê iskry, poczem opu Π ci³a na
oczy powieki, z rzêdami d³ugiem.

Krasnostawski jednak milcza³ w niepewno Π ci.

- Nie, to nie ona - my Π la³ - tamta, smuk³a gazella, piêkniejsz \pm by³a,
lecz ta znów... tu spojrze³ przeci \pm gle na dziewczê - kto wie, czy nie
ponêtniejsza, miłsza?... Bez w \pm tpienia... co za oczy!... - dopowiedzia³
sobie w duchu.

Nie rusza³ siê jednak z miejsca, nieznajoma bowiem wyda³a mu siê dziwnie
nieprzystêpn \pm - przynajmniej z powierzchowno Π ci. Ubrana by³a z miejskim
szykiem, przeciêtnym wprawdzie, ale nie ra \pm co bynajmniej, ca³ktem
ciemno, z pewnym gustem, ba... nawet jak \pm Π nieujê \pm jakby dystynkcy \pm .

Tak siê zda³o Krasnostawskiemu.

W tej samej chwili nieznajoma podnios³a na Π znowu oczy. Powoli zdjê³a
woalkê, wci \pm ê pal \pm c spojrzeniem piêknych, du \pm ych $\frac{1}{4}$ renic i westchnê³a
cicho...

Krasnostawski instynktownie przysun³ siê do dziewczêcia bli \pm ej. W parê
jednak sekund pó $\frac{1}{4}$ niej, raz jeszcze przyjrza³wszy siê delikatnemu
profilowi nieznajomej i przywo³awszy w pamieci ca³e swe znawstwo dawnego
"don-juana", zawyrokowa³ w my Π li: - "szyk facetka, ale szkoda czasu," i
obojêtnie zgas³ego zapali³ papierosa.

Poza tem, przed godzin \pm pe³en werwy i animuszu, teraz czu³ siê zmêczonym
i spa \pm mu siê po prostu chcia³o, rój my Π li za Π , poruszonych niedawno,
bezustannie m \pm ci³ mu siê w g³owie. Ziewn \pm ³ wiêc przeci \pm gle i zamierza³
ju \pm powsta \pm , gdy oto nagle, prosz \pm co, pos³ysza³ wyrzeczone g³osikiem
d $\frac{1}{4}$ wiêcznym swej s \pm iadki:

- Przepraszam pana... ale... nie mogê da \pm sobie sama rady... Czy... nie
by³by pan tak uprzejmym i grzecznym zwin \pm æ mi parasolkê?...

S³owom tym towarzyszy³ wyraz twarzy, pe³ny miłutkiego wdziêku i
przybranej okoliczno Π ciowo zaambarasowanej niby nie Π mia³o Π ci; zatrzyma³a

się pyta±co...

Widz±c jednak na obliczu m³odego cz³owieka u¶miech i wyci±gniê± ju¿ rêkê po parasolkê, dokoñczy³a zalotnie, podaj±c mu j±:

- Tylko... tak ³adnie... cieniutko...

- Pan siê dziwi, zapewne - dygnê³a ju¿ ¶mia³o, lecz z tym samym nieokre¶lonym nieco twarzy wyrazem, - ¿e ja, nie znaj±c pana, o¶mielam siê, pomimo to, trzdzia± go... ale...

- Boli r±czka? - podchwyci³ Krasnostawski ¶piesznie i pochyli³ siê ku dziewczêciu, z u¶miechem.

W oczach dziewczyny zapali³y siê skry, nerwowo zadr¿a³y jej wi¶niowe usta i rozchyli³y siê kusz±co... Za¶mia³a siê...

- Tak, mam reumatyzm w prawej d³oni... - odpar³a z pow³óczystym spojrzeniem.

I rozmowa w ¶lad zatem potoczy³a siê g³adko... Krasnostawski poczu³ siê w swoim ¿ywiole, wpad³ w zapa³, dowcipkowa³, ¶mia³ siê, opowiada³. Towarzyszka zaimprovizowanego flirtu odcina³a mu siê dowcipnie, podtrzymywa³a rozmowê...

Gwar dwojga m³odych odbija³ siê echem po coraz to pustszym ogrodzie; ¶pi±cy dot±d spokojnie na ³awce s±iad ich, bezdomny biedak, zbudzony, zakl±³ z cicha i bez ceremonii po³o¿y³ siê na ³awce, jak d³ugi.

Wespó³ z towarzyszem roze¶mia³o siê piêkne dziewczê. Powstali.

Pob³±dziwszy za¶ samotnie po alejach ogrodu, w pó³ godziny pó¼niej wychodzili z niego, ochoczo i ¿wawo, na pust± ulicê, trzymaj±c siê pod rêce, po przyjacielsku ju¿ zupe³nie. M³ody pan plenipotent gowartowski skin±³ na stoj±ce opodal "gumy", kaza³ stangretowi podnie¶æ budê, wsiad³ do powozu razem z piêkn± now± znajom±, rzuci³ adres - i pojechali...

Gdy w ten sposób od¿y³y w wie¶niaku ³obuz zabawia³ siê swobodnie w weso³ym grodzie - na Ukrainie, w pa³acu gowartowskim, który zaledwie opu¶ci³ by³ dwa dni temu, w t± sam± noc wrze¶niow±, pomimo spó¼nionej ju¿ wielce pory, pali³y siê, jeszcze ¶wiat³a.

Po obszernych komnatach du¿ego piêtrowego domu, otoczonego cienistym parkiem, przechadza³ siê, zamy¶lony, pan January Gowartowski, z rêkami za³o¿onemi na piersiach. K³a¶æ siê na spoczynek wcale nie mia³ ochoty, od czasu bowiem powrotu z miasta i otrzymania wiadomo¶ci o ¶lubie Oli, sen, wyp³oszony cierpieniem i my¶lami, bezpowrotnie, zda siê, ulecia³ od powiek starca.

Pan January ju¿ od kilku tygodni, ku wielkiemu zdziwieniu domowników, nie sypia³ wcale. Chodzi³ po pustych komnatach, my¶la³, czyta³, czasami wychodzi³ na przechadzkê, b³±ka³ siê po polach, z rzadka bardzo poluj±c do ¶wita na kaczkê - ulubionej tej swej rozrywce, oddaj±c siê teraz tylko odruchowo, machinalnie, nawet z pewnym jakby zniechêceniem.

By sobie za¶ te nudne bezsenne noce czemkolwiek urozmaiciæ, pan January wzi±³ siê do pisania w³asn±ch pamiêtników, a sun±c piórem po papierze i godzinami zape³niaj±c go swym drobnym pismem, nieraz potem, znu¿ony, zasypia³ przy biurku, i tak go nazajutrz nad ranem zastawa³ lokaj. W

ciężgu dnia zał wyrażnie nudzi się coraz bardziej; czasami odwetowa sobie dżugie biaęe noce ciężkim snem po obiedzie; poza tem nie wyjeżdża nigdzie, ani do sżiadów, ani nawet do kołcioa, nikogo równieć nie przyjmuje.

W paacu wszyscy po cichu niepomiernie ubolewali nad panem, dziwić się stanowi jego, kontrast bowiem dzisiejszego pana na Gowartowie był iłcie rażącym. Poprzednio, wesoły, ułmiechnięty, rzełki, nad wiek swój żywy, biorący udział we wszystkich sprawach wiejskich, interesujący się najdrobniejszym niemal szczegóem, obecnie zmienił się rzeczywiłcie do niepoznania.

Wróciwszy do Gowartowa, po kilku dniach popadł pan January w trwający dotąd stan apatii, zniechęcenia i nudy, a powiększający się ciężle i coraz bardziej. Z małężństwem Oli pogodził się, bo zgodzić się na nie musiał, rana jednak, zadana nieopatrznie lekkomyłnł rękł córki, w ojcowskim sercu, nie zagoiła się bynajmniej. Pan January zamknł się w sobie i przeływał cierpienie wśasne, nie mogłc o niem zapomnieć.

I czył nawet mógł na było dziwić się temu? Każdy kłt, każda łłciełka i sprżet w paacu nasuwały biednemu ojcu na pamięć jedynaczkę, martwoł zał i cisza komnat, oraz ich gucha pustka przypominały stale nieobecnoł jej bezpowrotnł.

Gdy Krasnostawski, zamieszkały w pobliskim folwarku, Tomaszówce, wpadał tu czasem w interesach i sprawach majątkowych, - oływiał nieco obecnołcił swł te mury, teraz jednak, od czasu jego wyjazdu, dnie jeszcze bardziej dżuyły się panu Januaremu.

Na stole w jadalni gowartowskiego paacu leł ało kilka ksiłek, obok w salonie i buduarze widniały porzucone pisma łłwiełe - na biurku w gabinecie przyległym bielały rozłone arkusze, zapełnionego pismem papieru. Pan January przed chwilł przestał był czytać, oraz pisać teraz zamierzał, a przechadzając się tymczasem poprzez szereg czterech lełcych obok siebie, otwartych, połłwietlanych pokoi, myłłał.

W ciszy ułpionego juł od dawna domu wybił a godzina druga...

Monotonny odgłos zegara zbudził Gowartowskiego z zadumy. Poruszył się szybciej, sam pogasił łłwiatł w czterech sżednich komnatach, poczem, westchnłwszy cicho, przetarł dłonił czoło i usiadł przy biurku przed rozłonemi æwiartkami papieru.

Nie wziłł jednak pióra do ręki... Myłł leniwa odbiec na rozkaz nie chciał, podparł więc pan January dłoniłmi głowę i zamyłłł się znowu.

Wokoł, z umilkłem echem jego miarowych kroków, zapanowała niezamłcona niczem cisza, i trwale dołł dżugo, nie przerywana zgoł a niczem.

Wreszcie, zbudzony z swej zadumy, podniósł głowę dziedzic Gowartowa, sięgnł po pióro i zaczął pisać szybko. Jedne po drugich wypełniały się jego drobnem pismem arkusiki papieru, rozrzucone na biurku, zgrzył zał stalki w milczeniu guchem donołłnie rozbrzmiewał po pokoju. W ten sposób minęł a godzina, a mołe i więcej...

Przestał wreszcie pisać ojciec Oli, odłoył pióro i schowawszy starannie papiery do szuflady biurka - powstał.

Wywołany zazwyczaj umysłowem znułeniem, sen nie kleił jednak dzisiaj

powiek jego.

Przeciwnie. Zmuszony przed chwilą jeszcze, oderwawszy się od teraźniejszości, zanurzy w przeszłość w³asnego życia, które opisywał - pan January orzeźwionym był jakby, a wyraz melancholyi smutnej znik z oblicza jego, oczy patrzyły jaśniej jako, zapatrzone, zda się, w odległe dawne wspomnienia...

I wyparte tą chwilą obecne, cierpienie pierzcho na chwilę, ojciec Oli za, spragniony szał powietrza, otworzył okno, wychodzące na ogród.

Dotykając szyb, zaszeleściły cicho gałęzie pnącego się wysoko po murze winogrodu, i powiew balsamiczny, wiejący, wpłynął do pokoju.

Pałac gowartowski górował nad okolicą. Do stóp jego, poza parkiem i stawem, w półkole, tuliła się wioska, a dalej widniały uprawne pola, odcinała się na widnokręgu sinawy pas lasów, wśród rozległych za, jak okiem sięgnąć, paskich obszarów - mających kilka dalekich sió i futorów...

W chwili, gdy pan January stanął w oknie gabinetu, z którego krajobraz ten cały, jak na dłoń, mógł być objęty okiem - nad otaczającymi Gowartów wokoło równinami, pełnymi nieujętego jakby smutku i niewysłowionej dziwnej tęsknoty - nad zadumanymi jarami, sennymi anami i bielejącymi szerokimi traktami - z wolna gasła w aśnie jesienna noc, pogodna, a z nieba, stopniowo niknąc, pierzchały ostatnie gwiazdy... Jeszcze tylko mgły przedporanne błąkały się tam i ówdzie, półmrok za szarawy przedwitu, walczący z cieniami nocy, coraz bardziej zwycięski, hardy, panoszący się już dokoła.

Gowartowski stał nieruchomo w oknie, a odczuwając głęboko nieujęty czar, płynący ku niemu senną falą z ziemi rodzinnej, jednocześnie uczuwał w duszy chęć konieczną wyrwania się, choć na krótko z tych ciasnych ram pokoju.

W tej samej chwili cisza drzemąca przerwała nagle pojedynczy dźwięk, rytmiczny i daleki. Wplotł się melodyjnym akordem w ogólne milczenie, szedł coraz doniolejszy... bliższy...

Przez perlące się jeszcze nocne roszone zboża i łąki, zagony buraków i jary, leciało monotonne echo dzwonka, żalosne sobie i jakby smętne, błąkając się po upijonych jeszcze obszarach, budząc drzemące ptactwo, leniwo i niechętnie zrywające się gdzieś do lotu.

- Telegram! Może do mnie, pójdę i zobaczę... mruknął do siebie półgłosem pan January, i odstąpiwszy od okna, sięgnął kapelusza.

W tej samej chwili wzrok jego przesunął się po ścianie, na której wisiała strzelba i przybory myśliwskie. Gowartowski spojrzął mimo woli na swój ubiór.

Był w butach wysokich z cholewami, których dobać cała nie zmienił, pełen apatii.

Po przelotnej chwilce wahania, pan January wziął strzelbę, torbę, naboje i wyszedł przez balkon do ogrodu. Czuł potrzebę ruchu, powietrza i postanowił zapolować na dzikie kaczkę. Drzemąca żółka myśliwska przebudziła się w Gowartowskim, a odnalazszy ulubieńca swego, legawca, przepięknie w adnej budce, wyruszył przez park na pola.

Myśli jego by³a jakby wolniejsza, wzrok za¶l uporczywie ¶l ciga³ krajobraz, niejako ws³uchuj±c siê w bliski ju¿ teraz zupe³nie odg³os dzwonka. Nadzieja zwodnicza podsunê³a mu bezpodstawne przypuszczenie, i¿ mo¿e ten oto znajomy d¹wiêk, zwiastuj±cy telegraficznego pos³añca, przyniesie mu jak±¶l dobr±, a niespodzian± od Oli wiadomo¶læ.

Rzeczywisto¶læ, jak zwykle, rozwia³a chwilowe z³udzenie. Spokojnie i równomiernie, u rozstajnych dróg, przy krzy¿u drewnianym, przesunê³a siê sennie, w jednego konia, dwuko³owa bida, z siedz±c± na niej skulon± postaci±, i brzêcz±c dzwonkiem, zginê³a w mg³ach porannych.

Dziedzic Gowartowa westchn±³, i min±wszy park oraz wioskê, boczn± ¶lcie¿yn± skierowa³ siê ku polom. Poprzedzany krêc±cym siê weso³o, ca³ym czarnym, z bia³emi³apami, legawcem, w pól godziny potem spuszcza³ siê w jar g³êboki.

Otulony cisz± przed¶l witu, drzema³ tu staw obszerny, ca³y zaros³y sitowiem - siedziba kaczek dzikich; ma³y m³ynek drewniany, cichutko szemrz±c przelewaj±c± siê wod±, odpoczywa³, przyparty do w±zkiej grobelki; w jej pobli¿a maleñka, garbata chatynka m³ynarza dope³nia³a krajobrazu.

Po raz pierwszy od bardzo dawna podda³ siê pan January obecnej chwili tylko, zapomniawszy momentalnie o drêcz±cem go cierpieniu. St±paj±c ostro¿nie i cicho po zroszonej trawie, szed³ wzd³u¿ stawu, nad jego brzegiem, rozgl±daj±c siê bystro doko³a.

Milczenie i spokój panowa³y niepodzielnie w tym zak±tku. Czasem tylko za³opota³o co¶l w sitowiach i zaraz zcich³o; tu¿ ponad senn± tafl± wód przelecia³ wolno ko³o id±cego my¶liwca jastrz±b wodny, kulik, znikn±wszy niebawem z oczu...

I melancholijna szaro¶læ, jeszcze na wpó³ pogr±¿ona we ¶lnie, cicha, królowa³a dalej znowu, skupiona w sobie, niezam±cona niczem, chyba tylko szelestem kroków ludzkich i biegiem legawca.

Nagle pan January przystan±³:

- Wara! do nogi! - sykn±³ cicho na psa. Legawiec, podniós³szy lew±³apê i wyprostowawszy ogon sprê¿y¶lcie, znieruchomia³.

Na czyst± taflê wód stawu, rzecz rzadka, wyp³ywa³y powa¿nie dwie kaczki dzikie i ko³ysz±c siê niedostrzegalnie, zbli¿a³y siê, ufne, z wolna p³yn±c, na odleg³o¶læ strza³u. My¶liwiec odwiód³ kurka u strzelby, jak mó³ najciszej, i przy³o¿y³ broñ do ramienia.

Przeczek³ chwilê jeszcze, i poci±gn±³ za cyngiel...

Odbity w milczeniu dziesiêciokrotnem echem hukn±³ w ciszy pierwszy strza³!... Dosi±g³ on jednocze¶lnie obie kaczki, po³o¿y³ je trupem, i zbudzi³ zarazem ¶lpi±c± w sitowiach zwierzynê.

Zagotowa³o siê tam teraz wszêdzie; t³umione szelesty rozleg³y siê na wsze strony; kurki wodne, kaczêta, kaczki nawo³ywa³y siê wzajemnie, kilka z tych ostatnich poderwa³o siê nawet hen, w perspektywie, na drugim krañcu stawu... daleko. Jedna za¶l, wynurzywszy sk±d¶l, z charakterystycznym po¶l wistem skrzyde³, przelecia³a: wysoko prostopadle ponad g³ow± my¶liwego.

Pos³uszny legawiec jednocze¶nie przynosi³ panu w zêbach zabit±
zwierzynê; Gowartowski, odebrawszy psu kaczki, zawiesi³ je u torby i
poszed³ dalej.

Powoli, stopniowo, rozja¶nia³o siê tymczasem.. Na wschodzie, gdzie¶ w
oddali, widnokrêg zaró¿awia³ siê, niedostrzegalnie, leciutko...

Ojciec Oli Dzier¿ymirskiej, ze spuszczon± g³ow±, postêpowa³ wci±¿
brzegiem stawu. Kilka kaczek po drodze jego zerwa³o siê trwo¿liwie,
my¶liwiec jednak nie zadawa³ sobie trudu strzelaæ do nich, bo oto znowu,
wywo³ane na pozór drobnostk±, poch³onê³y bezpodzielnie pana Januarego
wspomnienia smutne.

Rok temu, podobnie jak dzi¶, polowa³ on tutaj.

Razem z Ol± wyjechali o drugiej, noc±, i przybyli nad staw przy ksiê¿ycu
jeszcze. Tak samo cisza u¶pienia panowa³a doko³a, tak samo, jak przed
chwil±, na toñ czyst±, l¶ni± siê tylko w dogorywaj±cych, dr¿±cych
promieniach miesi±ca - wyp³ynê³a zwierzyna...

Pamiêta, jak dzi¶, ow± chwilê, rado¶æ córki z tej przeja¿d¿ki i jej
ciekawo¶æ asystowania przy polowaniu. Stoi mu ¿ywo przed oczyma
twarzyczka jej zarumieniona, °adniutka, wzruszona, ciekawie ¶ledz±ca
wzrokiem kaczki, p³yn±ce po wodach...

Pamiêta doskonale, jak w ostatniej chwili, gdy ju¿ cyngla d³oni±
dotyka³, szczebiot jej weso³y sp³oszy³ zwierzynê, i jak wówczas Ola tego
sobie darowaæ nie mog³a...

Westchnienie ciche podnios³o pier¶ Gowartowskiego, brwi zmarszczy³ i
zatopi³ siê w my¶lach niepomny zupe³nie otoczenia swego.

Tymczasem zwierzyna co chwila podrywa³a siê tam i ówdzie, przelatuj±c
blisko id±cego machinalnie naprzód my¶liwego.

Legawiec, krê±c ogonem, wierci³ siê na wszystkie strony, skamla³
nie¶mia³o, z cicha, goni³ uciekaj±ce kaczki i powraca³, podnosz±c
rozumny swój wzrok na zamy¶lonego pana, z wyrazem zdziwienia, i¿ nie
s³yszy ju¿ strzaów - wyra¹nie zgorzony postêpowaniem jego.

Staw tymczasem ju¿ siê koñczy³..

W pobli¿u, nieco dalej, oddzielony od pierwszego stawu pasmem
b³otnistych moczarów, widnia³ taki sam prawie drugi, mniejszy tylko i
sitowiem zaró¶niety ca³y.

Znaj±c snaæ dobrze drogê ku niemu, pan January nie zatrzyma³ siê, a
tylko ci±gle tak samo zadumany, ruszy³ w drogê dalej, prosto przez
bagnó, stawiaj±c powoli stopy na trzês±cych siê kêpkach zielonych.

Pod ciê¿arem ci³a id±cego my¶liwca grunt ugina³ sie, ko³ysa³
niedostrzegalnie, a pod nim chlupota³a woda i porusza³ siê krêg ca³y
wodnistej ziemi.

Pan January nie zwraca³ jednak na to ¿adnej uwagi; w my¶lach
rozpamiêtywa³ co¶ ci±gle, w oczach za¶ uporczywie majaczy³a mu wywo³ana
przypomnieniem twarz i postac Oli, przes³aniaj±c sylwetk± sw± wzrok jego
zamglony.

Roztargniony jakby, tu, gdzie się znajdowa³, zgo³a nieobecny,
Gowartowski szed³ przez moczary, coraz dalej, a raz nawet noga
niespodzianie obsunę³a mu się na ma³ej kępcie, i ma³o, ma³o, źe nie
straci³ równowagi...

Tymczasem poza nim, w dal roztwiera³y się niby widnokręgu podwoje...

Stopniowo, w³skie pasmo skrytego jeszcze s³onecznego ¶wiat³a, ros³o na
niebiosach. Z pod bia³ych puchów pos³ania i spuszczonej dyskretnie
jakby gazowych u³oźa zas³on - zarumieniona, wstydliva wychylaæ się
poczê³a jutrzienka róźana, przeci±gaj±c się lubieźnie jeszcze poza
przejrzyst± opon± ob³oków bladych...

Ponad stawem lata³y teraz ci±gle kuliki; w dali na horyzoncie, z innego
snaæ legowiska, wysoko na pogodnym niebie, ci±gnê³o tutaj ca³e stado
dzikich kaczek - prostopadle pod niemi ogromny jastrz±b kr±źy³
majestatycznie nad ³anem zboźa...

Ostatnie wreszcie cienie przed¶witu pierzch³y nagle... Pierwszy promieñ
s³oñca wyrza³ nie¶mia³o, b³ysn±³ po bia³ych ¶cianach chatynki i
blaszanym dachu starego m³yna, dotkn±³ się tafli stawu, zamigota³ w
mêtnych b³otach moczarów i musn±³ pieszczotliwie odwrócon± sylwetê
id±cego mêźczyzny.

Na b³yszcz±cej lufie prze³oźonej przez plecy strzelby zapali³ się
blaskiem. Minê³a chwila... i juź tryumfalnie zaja¶nia³ on, obj±wszy
p³omieniem ¶wiate³ li¶cie kilkunastu drzew, rosn±cych w¶ród bagien.
Postaæ krocz±cego miarowo po moczarach cz³owieka na zakrêcie, czy teź w
drzew cieniu, znik³a nagle w mgnieniu oka...

Po chwili w dali rozleg³o się tylko g³o¶ne szczekanie psa.

Umilk³o...

Nad ziemi± w tej samej chwili wsta³ dzieñ nowy, pe³en nadziei, z
rado¶ci± na promienistym czole.

Na platformie kawiarni, po³oźonej na szczycie góry "Gûtsch," wznosz±cej
swój cypel wynios³y ponad wdziêcznie rozrzucon± u jej stóp Lucern±,
roi³o się od turystów, siedz±cych przy stolikach.

Szmary prowadzonych rozmów ³±czy³y się w akord wspólny z graj±c± smêtnie
i cicho orkiestr±, wzrok za¶ wypoczywaj±cych go¶ci pie¶ci³ widok cudny i
wspania³y na miasto, tul±ce się zacisznie do brzegów jeziora, zapatrzone
w jego ciemnoszafirowe g³êbie, w których lustranej toni milcz±co
przygl±da³y się równieź zadumane wierzcho³ki gór.

Zamyka³y one ³añcuchem swym ca³y widnokręgu naprzeciw miasta, po drugiej
stronie jeziora, i ramowa³y na prawo krê± szyjê wód jego, p³yn±cych
cicho w dal...

Oz³ociwszy purpur± i z³otem ¶nieźnie szczyty gin±cych we mgle Alp,
zamigotawszy krwawo na bia³ych frontach nadbrzeźnych hoteli, spiczastych
wieźach "Hofkirche" i szybach pomniejszych domostw, w³a¶nie przed chwil±
zgas³ ostatni promyk s³oñca...

Natomiast zmierzch szary już obecnie wychyla³ się skąd³ nie³ mia³o, ³lizga³ się po g³adkiej tafli jeziora, przechadza³ po dwóch, krytych daszkiem, drewnianych mostach, staro³ytnych i w³skich, a omraczaj³c sze³ciok³tny czubek, po³o³onej tu³ przy jednym z nich, oryginalnej wodnej wie³zycy, swawolnie zdawa³ się zatapia³ j³, jedynaczk³e, stercz³c³ zabawnie po³ród wód szafiru.

A tymczasem, pod wp³ywem id³cego wieczora, cich³o jakby jeszcze bardziej wszystko doko³a... Senny spokój p³yn³æ się zdawa³ od Lucerny, która, cho³æ przepe³niona go³łami z ca³ego ³wiata, t³etniæ poczyna³j³ca w³a³nie o tej porze muzyk³ i gwarem - obserwowana jednak st³d, z "Gûtsch" wierzcho³ka, wydawa³a się tak spokojn³ - tak cich³, jakby nie by³a zgo³a punktem zbornym kosmopolitycznej towarzystw ³mietanki, ale tylko - oaz³ wytchnienia i swobody.

W jednym z najlepszych punktów obserwacyjnych kawiarnianej platformy, przy stoliku, siedzia³o pi³æ osób.

Towarzystwo to sk³adali: starsza wiekiem osoba, Polka, z córk³ i powa³żnym jegomo³łciem, ojcem zapewne rodziny - m³ody, ³wawy, przystojny Francuz i Dzier³ymirscy.

O³zywiona, niemilkn³ca rozmowa, podtrzymywana g³ównie przez Ol³e i m³odego Francuza, panowa³a przy tym, odosobnionym od innych, stoliku. Stary jegomo³łæ ³mia³ się co chwila serdecznie i jowialnie z dowcipów m³odzieńca, panienska równie³ rozmawia³a weso³o i jeden tylko Dzier³ymirski stanowi³ w tym akordzie dobranym kontrast a³ nadto wyra³ny, zachowanie się za³ jego milcz³ce i bierny, li tylko konieczny, udział³ w rozmowie, ³wiadczy³y dobitnie, ³e to wszystko nudzi go nad wyraz.

Oczy Dzier³ymirskiego, pe³ne zamy³lenia, prawie bezustannie spoczywa³y na krajobrazie u podnó³za góry, z rzadka przenosz³c się, obojętne, na towarzystwo. Wzrok jego wtedy zatrzymywa³ się g³ównie na Oli. Zaduma sm³etna, od otoczenia daleka, znika³a wówczas na chwil³e z jego oblicza, ³renice za³ czarne Romana, ciemniejszymi stawa³y się, badawcze... Nader korzystnie za³ dnia tego wygl³da³a pani Ola. Ubrana w zgrabn³ sukni³e, z jasnej materyi, czyni³a wrażenie wytworne i eleganckie; obna³one za³ do³łæ g³ęboko, z okazji niby gor³ca, pier³, szyja i ramiona, przykryte tylko a³urow³ koronk³, stanowi³c³ ca³o³łæ z sukni³ - podnosi³y jeszcze wdzi³ek jej postaci. Siedz³c obok m³odego Francuza, rozmawiali z nim przewa³żnie, ³miej³c się, dowcipkuj³c, i bezwiednie zapewne tylko, rzucaj³c mu od czasu do czasu rozbawione, zalotne jakby spojrzenia.

Trwa³o tak dosy³æ d³ugo. Po jakimś czasie jednak Ola zauwa³zy³a sna³e dziwne troch³e zachowanie się m³e³a, bo, skorzystawszy z ogólnego powstania, spowodowanego czyj³ł uwag³ o krajobrazie, zbli³zy³a się do Dzier³ymirskiego, i przytuliwszy się, otar³szy, jak koci³e, sw³ rozkwit³ kibici³ o niego, mi³ekko i czule zapyta³a:

- Co³ł taki smutny, Romciu, co ci?

-Nic, kochanie! - odpar³ krótko Dzier³ymirski i dorzuci³ po chwili:

-Ale, a propos, ja ci³e tu zostawi³e, bo sam wpa³łæ jeszcze musz³e na poczt³e, tam, na dole...

- Koniecznie chcesz tam i³łæ? To mo³że jed³my już razem?..

Dzierżymirski odczuł niechęć lekko w głosie żony; cień ledwie dostrzegalnego niezadowolenia, przemknął mu po twarzy, odezwał się jednak szybko:

- Nie, nie, zostań, ma chère, proszę cię... Spotkamy się północy w alei nadbrzeżnej, będzie czekać na ciebie... au revoir...

Dzierżymirski cisnął lekko rączkę żony i zręcznie wycofał się z platformy, zdążył po schodkach na dół, do stacji kolejki żebatej, zwanej "funiculaire," a przez pięć minut czasu górę z miastem.

Zajęte lornetowaniem krajobrazu - którego wdzięk teraz dopiero, po chwilowym wyczerpaniu tematu rozmowy, zdążył przemówić do ich poczucia piękna. Towarzystwo nie zauważyło nawet odejścia Romana. Ten ostatni spuszczał się powoli po schodkach i zasiadł niebawem w wagoniku kolejki, wkrótce ruszyły dalej do Lucerny.

- A to mnie znudzili - mruknął - zakazane towarzystwo...

W tej samej chwili rozległ się sygnał odjazdowy, wagoniki poruszyły się z chrzęstem, i hamowane, powoli w dół spuszczały się zaczęły.

Roman obejrzał się; w wagonie, dziwnym zbiegiem okoliczności, znajdował się zupełnie sam.

Wygodnie wyciągnął nogi, rozparł się i patrzył w dół.

Przed nim czerniała stromo idąca para szyn kolei, z pożądanym pośrodku trzecim, dziurkowanym relsem; w dole, otulone mrokiem, drzemało jezioro - wierzchołki gór stopiły się w zmięczeniu, zlały jakby z chmurami niebios, w ciemnościach zał, coraz to większych, występowały teraz szaro domy miasta, w których, jak ogniki bledne, zapalały się co chwila tu i tam światła.

Roman nagle przymknął oczy.

Bo oto jemu - wpatrzonemu ciągle w dół, w stromą pochyłość i powietrzną próżnię, dzielącą jeszcze kolejkę od jeziora i, miasta - zakręciło się w głowie, w wirze zał tym wyoniana nagle się jedyna szalona myśl, spowodowana jakimś jednoczesnym, nic nie znaczącym wagonów hałasem. Mianowicie zdało mu się po prostu, że oberwany pociąg leci w dół, coraz szybciej, i... że już... już oto w katastrofie, chaosie impetycznym - dotknie się on niebawem szklistej toni wód...

Po krótkiej atoli chwili Dzierżymirski otworzył oczy i rozśmiało się głono.

Nic wokoło nie zmieniło poprzedniego wyglądu. Wolno i ostrożnie staczała się kolejka dalej, jezioro było już tylko znacznie bliżej, u brzegu jego mrugała, iskrząca się dziesiątkami światełek, Lucerna; wagony, brzęcząc, spuszczały się ciągle, zawieszane nad miastem.

Roman wzruszył ramionami.

- Co mi dzisiaj jest! sarnie nie wiem! - mruknął.

W istocie był nie swój od samego rana. W silnej mierze niewątpliwie przyczyniło się do tego postępowanie żony.

Zapoznawszy się sama z kilkoma osobami, o natrętnej manji zaznajamiania się, zanudza³ go od kilku dni pobytu w Lucernie ich obecno³ści bezustann[±], bawi[±]c się wszak[±] sama znakomicie. I to w³a³nie ostatnie najbardziej irytowa³o Romana. Tak unika³ dot[±]d ludzi, tak ucieka³ od nich, by by^æ samym tylko z Ol[±], by bez zam[±]cenia niczem pi^æ szczę³ście chwili i t[±] mi³o³ści w sobie wszystko zag³uszy^æ!..

Omin[±]³ wszak nawet dobrowolnie Medyolan, rodzinne miasto swej matki, gdzie pochowan[±] by³a na miejscowem "Cimitero Monumentale," gdzie poza tem posiada³ jeszcze krewnych nieboszczki - uczyniwszy to w jedynym celu unikni[±]ęcia musu obcowania z lud¹/₄mi, innymi, prócz niej, Oli...

A tu tymczasem ona sama wyszukiwa³a sobie jakie³ zakazane figury!..

Roman przy tej ostatniej my³śli, wyrzuciwszy z ust dogasaj[±]cego papierosa, [±]achn[±]³ się niecierpliwie.

Bo na przyk³ad ten Francuz, czy[±] nie wzbudza³ w nim s³usznego gniewu? M³odzik niezno³ny, z bezmy³lnym, banalnym wiecznie na ustach u³śmiechem, z którego jednak Ola bezustannie tak szczerze się ³mia³a...

- Albo ta jej toaleta dzisiejsza, - mówi³ sobie dalej Roman, - w Wenecyi przecie[±] by³o daleko gor[±]cej, nie ubiera³a ona jednak gorsu swego tak przejrzy³cie, a tu ch³ód w porównaniu...

- Dla tego os³a z Pary[±] niew[±]tpliwie, by móg³ cynicznie i lubie[±]nie napawa^æ się kształ³tem i cia³em jej kibici! - pó³g³osem dopowiedzia³ podraż[±]niony Dzier[±]ymirski.

- [±]e te[±] te kobiety bez wabienia m[±]czyzny po prostu [±]y^æ nie mog[±]!.. - wyrwa³o mu, się jeszcze.

Spostrze[±]enie powy[±]sze, a tycz[±]ce się w danym wypadku w³asnej [±]ony, gniewa³o go niepomierne.. Od pewnego czasu bowiem, obserwuj[±]c Ol[±], dostrzeg³ cech[±] w charakterze jej, nieznan[±] mu dot[±]d: ch[±]æ zalotn[±] przypodobania się innemu m[±]czy¹/₄nie - nie jemu... J[±]trzy³o go to bardzo, cho^æ pragn[±]³ pozornie traktowa^æ fakt ów lekko.

Wagoniki stan[±]y w³a³nie. Roman wyskoczy³ szybko i skierowa³ się ku gmachowi poczty, pó³o[±]onemu ko³o g³ównego mostu, tu[±] przy dworcu kolejowym. Przed paru dniami wys³a³ list do kraju, do jednego ze swych dobrych znajomych. Powiadamia³ go o swoim ³lubie i zarazem prosi³ usilnie o napisanie mu, co w rodzinnem mie³ście mówi[±] o jego ma³ż[±]ństwie i co porabia January Gowartowski.

Dzier[±]ymirski najbardziej by³ ciekawym tej ostatniej wiadomo³ści, ze względu na Ol[±] i smutek, od niedawna, stopniowo [±]obi[±]czy, coraz czę³ściej jej twarzyczk[±].

Pod³ adres: "Poste-restante, Lucerna," teraz zatem, wyskoczywszy ra¹/₄no z wagonu kolejki, w kilka sekund znalaz³ się ju[±] przy w³a³ciwem okienku, w obszernej sali gmachu szwajcarskiej poczty. [±]piesznie powiedzia³ urzędnikowi swe imię i nazwisko.

Grymas pocieszny wykrzywi³ twarz tego ostatniego, i wykrztusi³ z trudno³ści:

- Dziez-Dzier... Cornment? Écrivez, monsieur, sil vous plait! - poda³

kartkę Dzierżymirskiemu.

Roman posłusznie napisał swe nazwisko.

Urzędnik wziął papier do ręki, skrzywił się raz jeszcze, poczem wzruszył wymownie ramionami, a po chwili dopiero podał cudzoziemcowi list.

Roman chwycił go śpiesznie i wybiegł na ulicę.

Przy świetle latarni rozerwał kopertę i czytał poczęt zapamiętanym bitem pismem awiatkę. Twarz jego wyrażała niepokój i zaciekawienie widoczne, które po chwili dopiero ustąpiło wrażeń, otrzymanym bezpośrednio z

lektury pisma.

List ten, donoszący o towarzyskim życiu w rodzinnym mieście, o ostatnim przyjęciu u marszałkowej, i pogłoskach o stanie Gowartowskiego, nic w sobie zatrważającego nie miał.

"Znam pana Krasnostawskiego, plenipotentą gowartowskiego; jeżeli chcesz koniecznie mieć dokładne wiadomości o wszystkim, tyżem się Gowartowa, napisz mi i podaj adres, a doniosę ci szczegółowo.." opiewał koniec listu szkolnego kolegi Romana, w postscriptum...

Uspokojony, Dzierżymirski złożył list i schował go do kieszeni; pod wpływem jednak ostatnich słów pisma, zawrócił, przestąpił raz jeszcze próg gmachu poczty, i kupiwszy pocztówkę z widokiem, napisał szybko, odręcznie, przyjacielowi swemu kilka słów szczerego podziękowania, z prośbą o dalsze wiadomości, podawszy adres "Vevey", dokąd zamierzał z Olą udać się nazajutrz. Poczem wyszedł śpiesznie i wrzuciwszy kartę, skierował się przez szeroki most ku nadbrzeżnej, ocienionej drzewami, szerokiej alei, spacerowemu miejscu Lucerny, pełnemu w obecnej chwili publiczności, rozbrzmiewającemu muzyką, wesołocią i gwarem.

Minąwszy most, Roman wkrótce znalazł się w cieniu drzew i uszedłszy paręset kroków, siadł na samotnej ławeczce, kapelusz zdjął i położył obok siebie.

Wpóbróciwszy się jednocześnie, ujrzał stragan z owocami. Poczuł nagle pragnienie, i skinął, kazawszy sobie przynieść parę gruszek i brzoskwiń.

Gdy usłuchany szwajcar podawał mu je, z ugrzecznieniem, Dzierżymirski sięgnął do kieszeni, a wyjęta ruchem szybkim sakiewka jego rozłożyła się, i zawartość jej cała wysypała się szeroko i z brzękiem na ziemię.

Roman, widząc to, machinalnie schylał się już, by zebrać leżące na żwirze alei kilkaset monet franków, w złocie i srebrze, gdy oto jakaś refleksja nagła powstrzymała go w pół ruchu. Wyprostował się.

Rzuciwszy za siebie oczekującemu na zapłatę przekupniowi po francusku, niedbale: "Ramassez Ça!" - odwrócił się obojętnie na pozór w drugą stronę, i utknął wzrok w jezioro.

Po chwili, w półobrocie głowy, z pod oka, spojrzawszy raz jeszcze na zoraną bruzdami, opaloną twarz szwajcara, zbierającego już rozsypany pieniądz - zamysłił się...

O, jakże on pragnął w tej chwili, by z garści tych oto pieniędzy, które mu wręczonemi będą za parę minut, zabrakło pięciofrankówki choć

jednej!...

Podarowa³by on j[±] ¶mia³kowi temu, a biedakowi zapewne, z pewno¶ci[±]!...
Bo czy[¿]?... Czy[¿] godzi³oby si[±] "jemu" rzuca^æ na niego kamieniem?...

Roman, wpatrzony bezustannie w zadumie przed siebie, gor[±]czkowo,
niecierpliwie oczekiwa³ rezultatu swej próby.

- We^¼mie, z pewno¶ci[±] we^¼mie! - mówi³ sobie równocze¶nie w duszy i g³os
jaki¶ cyniczny, drwi[±] co wo³a³ w nim szyderski.

- "Uczciwo¶æ ludzka!... ha... ha... ha!.. Frazesy, frazesy!.. malowana,
wzorzysta zewn[±]trznie kraszanka, wewn[±]trz za¶ skrycie cuchn[±]ca!..."

Przed Dzier[¿]ymirskim roztacza³ si[±] tymczasem krajobraz wdzi[±]eczny nad
wyraz. W dr[¿]±cych wi[±]c oto g³êbiach jeziora, na prawo, przegl[±]da³o si[±]
tysi[±]cem ¶wiat³ek miasto... p³yn[±]ce wody, o kilka kroków od alei,
skr[±]ca³y w bok, tocz[±]c swe ciemne fale, jak rozpi[±]ta nad niemi
wrze¶niowa noc cicha, hen! daleko, ku górom; po powierzchni jeziora
b³±ka³y si[±] ³ódk i ma³e stateczki, przy ka[¿]dym za¶ b³yszcz³a czerwona,
du[¿]a, okr[±]g³a latarka, krwawym ¶ladem, ¶cie[¿]yn[±] purpury znacz[±]c g³êboko
swe prze¶cie w przezroczej toni.

I ogniki owe, [±]cznie ze swem odbiciem, dr[¿]a³y tak bezustannie po
jeziorze, sun[±]y z wolna, zmienia³y miejsce - wreszcie mala³y,
uto[¿]samiaj[±]c si[±] jakby w dali lataj[±]cym gdzie¶ ¶wi[±]toja³ńskim
robaczkom...

Na lewo za¶, tu[¿] przy brzegu, u przystani statków parowych, inne znów
ognie dotrzymywa³y tamtym towarzystwa. Ku uciecze zapewne spaceruj[±]cych
go¶ci puszczano tam fajerwerki; kr[±]ci³y si[±] zatem m³y[±]nce, p[±]ka³y
rzymskie ¶wiece, strzela³y wysoko barwne rakiety - spada³y snopami
iskier, gin[±]y w ciemnych falach jeziora.

Dzier[¿]ymirski, wpatrzony pocz[±]tkowo bezmy¶lnie, pocz[±] si[±] teraz w³a¶nie
przygl[±]da^æ uwa[¿]niej, uj[±]ty wdzi[±]kiem widoku, gdy nagle pos³ysza³ g³o¶no
wyrzeczone ko³o siebie s³owa:

- S'il vous plait, monsieur!

Roman odwróci³ si[±] szybko. Szwajcar, pozbierawszy pieni[±]dze, oddawa³ mu
sakiewk[±].

- To dobrze, macie za owoce i fatyg[±]! - po¶piesznie odpar³ Dzier[¿]ymirski
i wr[±]czy³ przekupniowi dwa franki, w srebrze.

- Merci, monsieur! - akcentuj[±]c przeci[±]gle ostatni[±] sylab[±] u wyrazu:
pan, odpar³ zadowolony Szwajcar, sk³oni³ si[±], bez uni[¿]ono¶ci jednak, i
odszed³.

Dzier[¿]ymirski wsta³ i skierowa³ si[±] ku innej, odleglejszej, skrytej
cieniem drzew, a pustej równi[±] ³awce. Wychodz[±]c z domu, dziwnym trafem
okoliczno¶ci, przerachowa³ w³a¶nie pieni[±]dze i wiedzia³ co do grosza,
ile ich znajdowa³o si[±] w portmonetce. Odr[±]ciwszy w my¶li wydanych
kilkana¶cie franków, pocz[±] gor[±]czkowo liczy^æ z³oto i srebro.

Nie brakowa³o ani jednego centa.

Widoczne rozczarowanie odbi³o si[±] na twarzy Dzier[¿]ymirskiego. Pochyli³

się na siedzeniu, oparł o okcie na kolanach i ukrył twarz w dłonie.

- Więć ludzi uczciwych na świecie nie brak... Uczciwym być potrafi nawet człowiek prosty, więc tylko ty... ty!.. - huczał mu bezlitośnie w głowie, i rumieniec wstydu palił policzki.

Nie mógł usiedzieć, Roman zerwał się po chwili z ławki i skierował przed siebie nadbrzość alej.

Minął niebawem jeden z pierwszorzędných hoteli, przed którym co wieczór stale grywała orkiestra, dotarł aż do położonego na końcu "quai" - kursalu, - zawrócił, wciąż opanowany jedyn i ten sam myśli.

Wokoło niego roiło się teraz od eleganckiej, wytwornej publiczności; piękne kobiety, ubrane bogato i gustownie, wymuskani panowie przechadzali z wolna przed olbrzymim i urządzonym z wielkim komfortem hotelem "National", towarzyskie kółka siedziały grupami na bambusowych fotelach - bawiono się wesoło; wykwinnych gości pełno było również i wewnątrz hotelu, we wspaniałych salach na dole; przez otwarte na świecie już okna dochodziły dźwięki walca - tańczono.

Kosmopolityczny próżniaczy high-life, zjechałszy się tutaj, używał do woli wywczasu i przyjemności, starając się zarazem opróżnić kieszenie z niepotrzebnego złota, oraz zabijać czas miło i pożywnie trawiąc nudę.

- A może między nimi znajduje się on "właściciel", "on", wówczas, przed laty, przez ciebie, kto wie, czy nie skrzywdzony - drażnił Romana uporczywie, myśli dziwaczna mężczyzna go nagle poczęła. Wstrząsnął się i skrzywił boleśnie...

W tej samej chwili jednak, do uszu jego doleciał śmiech, jędrny głos kobiety.

Pieśń wesoła, namiętna, jak krew i miłość dzieci południa, drżała uczuciem, pomknęła po drzewnej fali jeziora, ponad głowy przechadzających się gości, odbiła się o echo gór...

Ktoś z pań nadobnej śpiewa artystycznie i pięknie w jednej z sal "National'u"; Dzierżymirski podszedł bliżej i słuchał poczęść, zniewolony pięknymi głosami.

I powoli, rozpędzona czarem pieśni, w jego duszy równocześnie uspakajała się burza.

Gdy śpiew ustał, Roman już myślał by gdzie indziej; jak wpływ zewnętrzny życia przed chwilą poruszył by dotkliwie struny duszy jego - tak samo, uświadomiwszy je teraz, przeniósł naraz myśli Romana do chwili obecnej.

Dzierżymirski przypomniał sobie łonę, spojrzął na zegarek i skierował się drogą powrotną do mostu; zaniepokojony raptem, że dotąd nie ma jeszcze Oli. Idąc za nią, przesuwał wzrok uważny po twarzach przechodniów.

Nagle brwi zmarszczył. Bo oto o kroków kilkanaście przed sobą ujrzał Olę, ale sam i w towarzystwie tylko młodego Francuza, w ciemnej narzutce na ramionach, snąc nie swojej, gdyż żadnej podobnej ze sobą miała.

Roman uśmiechnął się ironicznie:

- Zmarz³a, biedaczka! - mrukn±³ z zadowoleniem. - Przy¶pieszy³ kroku, a znalaz³szy siê tu¿ przy id±cej parze, pochylonej z lekka ku sobie, szyderczo odezwa³ siê po francusku:

- A, powitaæ !. . C¿ to, Ola w po¿yczanych szatach?...

Urwawszy w pó³ zdania rozmowê, id±cy podnie¶li jednocze¶nie g³owy, Ola za¶ zarumieni³a siê nieco i odpar³a:

- A tak. Po¿yczy³am okrycia u panny K... po zachodzie s³oñca tak ch³odno...

- Mo¿na siê by³o z góry tego spodziewaæ; bardzo¶ ¼le zrobi³a, wyletniaj±c siê, a z odsy³aniem znów owych zarzutek k³opot tylko bêdzie!
- rzuci³ Roman opryskliwie.

- Wiesz przecie, ¿e jutro raniutko jedziemy! A te panie gdzie¿?...

Dwa ostatnie zdania wymówi³ Dzier¿ymirski po polsku tym samym, niezadowolonym wci±¿ g³osem.

- Wst±pi³y po drodze do znajomych - odpar³a Ola, onie¶mielona nieco tonem mê¿a.

- A... tak. No, to wracamy do domu! - zdecydowa³ Dzier¿ymirski w tym¿e, co poprzednio jêzyku, i odwróci³ siê szybko, pragn±c w duszy co prêdzej pozbyæ siê towarzysza ¿ony.

- Przecie¿ ju¿ Ola nigdy tego cymba³a nie ujrzy! - doda³ w my¶li zarazem.

- Pañstwo jad± jutro? O której? - pyta³ tymczasem w³a¶nie m³odzianiec.

Widz±c, i¿ Ola pragnie poinformowaæ Francuza, Roman rzek³ ¶piesznie.

- O, panie!... nie wiemy jeszcze!... Au plaisir - i wyci±gn±³ rêkê...

- Ach, wiêc ju¿ mo¿e nie bêdê mia³ szczê¶cia ogl±daæ pañstwa? Doprawdy, jak¿e mi przykro! - rzek³ m³ody Francuzik, ¶ciskaj±c podan± d³oñ; nie odchodz±c jednak, wci±¿ szed³ obok Oli.

- Pañstwo w któr± stronê? - zagadn±³ uprzejmie. - Tak ma³o mia³em sposobno¶ci rozmawiaæ dzi¶ z panem... - s³odziutko ci±gn±³ dalej, zwracaj±c siê do Dzier¿ymirskiego - umkn±³ nam pan tak prêdco...

Bawidamek z nad Sekwany umilk³ nagle pod drwi±cem spojrzeniem Romana.

- Pañstwo... w roku przysz³ym zapewne przyjad± tu równie¿? - jêkn±³ jeszcze, podtrzymuj±c rozmowê.

- A pan ?.... - s³odko i uprzejmie zapyta³ Dzier¿ymirski.

- O, naturalnie, i¿ bêdê! - po¶pieszy³ z odpowiedzi± m³odzianiec.

- No, to my - nie! - odpar³ z przyciskiem, ca³kiem seryo Roman, lodowatym g³osem, i uchyliwszy ledwo kapelusza, skin±³ na tramwaj elektryczny, by stan±³.

- Wsiadamy! - rzuci³ krótko ¿onie.

- Przecież ten tramwaj do naszego hotelu nie idzie, a tylko w przeciwną stronę?! - zauważyła zdziwiona Ola.

- Nic nie szkodzi. Pozbędzimy się tego kulfona!- odrzekł po polsku Roman. - No, wsiadaj!... - rzucił gniewnie do ociągającej się Łony, i pchnął ją z lekka do czekającego na nich tramwaju.

W sekundę później Dzierżymirscy ruszyli; wehikuł elektryczny pomknął i znikł, odprowadzony osłupiającym wzrokiem Francuza, który, postawszy na chodniku chwilę, cały, jak burak, czerwony, ruszył w drogę, i zginął niebawem w różnobarwnym tłumie.

Gdy w Lucernie odbywał się ten drobny epizod, jednocześnie prawie, szerokim ukraińskim traktem, w bezgwiazdnej i ciemnej noc wrzeńniowat, pędzi konno na oklep wyrostek, w burej wiewiórce, trzymając w ręku smolne ucztywo, tak zwany kaganiec.

Krwawy blask jego rozświetla panujące około nieprzejrzanego ciemności, torując w ten sposób w ślad za jeźdźcem drogę małemu koczownikowi, zaprzężonemu w cztery bujane ławy koniki. W powoziku siedział Bolesław Krasnostawski, otulony burką i obłożony pakunkami. Jechał w stronę od kolei, a powracał z podróży swej do miasta.

Zabawiwszy tam, zamiast trzech dni, jak mu polecono, - dziesięć, dopiero pośpiesza do swoich obowiązków, przez całą drogę pamiętać sobie w stronę górną, jak upozorować przed starym Gowartowskim swą przydatność trochę nieobecności.

Bo zgoła nie interesowałyby przytrzymały pana Bolesława w wielkim mieście; o, bynajmniej! Młody pan plenipotent wracał go, jak święty turecki. Całkowicie, naturalnie i tylko własną, zarobioną gotowizną przejechał bowiem tam doszczętnie.

A teraz na ostatek, jadąc w swoim koczku, rozpamiętywał on jeszcze miło, na odległość nawet nęcące chwile, w wesołym grodzie spędzone... Myślał też jednocześnie o swym chlebodawcy, jedna szczególnie rzecz dziwiła go niepomniernie; mianowicie, dlaczego z Gowartowa nie otrzymał on dotąd wcale żadnej, nagłej do powrotu, depeszy, lub przynajmniej choćby jakiego listu?... Bo że on nie dawał znaku życia - nie było w tym nic dziwnego - ale Gowartowski?... To zaiste, było całkiem niezrozumiałym...

I analizując fakt ten, po raz nie wiadomo już który, Krasnostawski ziewnął przeciągle i roztworzył oczy, przymknięte dotąd, usiadował bowiem zdrzemnął się w powozie.

Patrzył teraz około nieco bezmyślnie, dośpieszając szybko względnie wśród ciemności jadąc swym powozikiem. Na tle czarnej nocnej opony czerwony od blasku kagańca przelizał się szerokim kołem po obu stronach drogi i zapalał się kolejno na żółtych ryśkach, zaoranych polach, lub mającym po grzędach zielonych plantacji buraczanych, ugorach, stepowych bodjakach - kwiatach i trawach. Czasem zajrzał do rowu, musnął kurhan, z pochylonym krzyżem, oświetlił przydrożne samotne drzewo...

- Tęby się tylko stary na mnie nie zaciął i za nieposuszeństwo nie wymówi miejsca, hm... hm!.. - chrząknął niespokojnie, wymówił do siebie pan plenipotent, półgłosem. - E, chyba że nie... zanedo mnie potrzebuje! - uspokojony zakonkludował głownie.

Nagle wytężył wzrok, bo oto zdało mu się, że w ciemnościach, w oddali, na prawo, rysują się jakieś cienie, a tuż, niedaleko, w środku pola, jak gdyby drogą, posuwają się z wolna, zbliżając, dwa inne migoczące małe światła, eskortowane z przodu kręgiem, czerwonym płam światła.

- Hej, Stepan, czujesz *) ? ha?... - krzyknął na furmana.
[*] Słyszysz.]

Człowiek, siedzący na kole, w burce i ceratowej czapce, odwrócił się leniwie. Krasnostawski wskazał ręką na prawo.

- Co to takiego? - zapytał.

- Ktoś z kagańcem jęde od Howartowa, - taj hodi **) - zawyrokował stanowczo woźnica.
[**] Ktoś z kagańcem jedzie od Gowartowa - i już.]

- To już Gowartów? - zdziwił się Krasnostawski.

Jadąc do folwarku Tomaszówki, rezydencji pana plenipotenty, przejeżdżał się pod sam Gowartów, oddalony ledwo od traktu o pół wiorsty.

Koc Krasnostawskiego, podniszczony nieco i roztrzęsiony, klekotał po drodze, konie szły rado, wycigniętym kusem, czując snąc w pobliżu już domową stajnię. Krasnostawski zapalił zapalniczkę i spojrzął na zegarek: dochodziła druga po północy.

- Hm... hm!.. Stary znów nie pali, bo widocznie to we dworze się pali - ponownie mrknął, wpatrzony w gorejące w oddali podługne wstęgi światła.

- Kto o hresta - stanesz! - rozkazał, zwracając się do furmana, zaciekawiony naraz, kto może jechał z Gowartowa o tak półnej porze?

Furman huknięciem donośnym zakomunikował rozkaz wyrostkowi z kagańcem.

Na rozdrożu stanęli. Ramiona stojącego tu, omszałego starego krzyżaka, zabarwiły się od uczywa purpurą. Czekali.

W nocnej ciszy dochodził już turkot powozu, tętent koni i dźwięk jazdu zbliżającego się szybko.

- Semen - Howartowskie koni! - nachyliwszy się ku Krasnostawskiemu z kózka, furman pospieszył z informacją.

Pierwszy pod krzyżem zjawił się na rosłym stajennym kasztanie parobek, z kagańcem, a poznawszy gowartowskiego plenipotentę, uchylił pokornie czapki.

- Kto to jęde? - rzucił pytanie Krasnostawski.

- Pan dochtór! - brzmiała odpowiedź.

Pod krzyżem nadjeżdżała zaprzęgnięta w parę rasowych gniadoszów nejtyczanka, powożona przez wosatego i porządnie ubranego stangreta.

Krasnostawski wychylił się ze swego koczka, poczęp machając kapeluszem i krzyknął donośnie:

- A!... pan konsyliarz kochany!... Powitaæ, witaæ! Stój, Semeniele!...

Nejtyczanka zatrzyma³a siê pos³uszenie i w podwójnym migoc±cem ¶wietle kagañców u rozstajnego drzem±cego krzy¿a, zes³o siê dwóch mê¿czyzn.

- To pan? - Nie pozna³em... - odezwa³ siê nazwany przez Krasnostawskiego konsyliarzem.

- Dobry wieczór, a raczej dzieñ dobry! - pozdrowi³ m³ody cz³owiek przyby³ego - bo to ju¿ dobrze po pó³nocy - dorzuci³. - Czy szanowny pan z Gowartowa? Cóż to tak pó¼no, kto¶ chory, broñ Bo¿e, a mo¿e tylko z wincika?....

Z pod czapki spojrze³a uwa¿nie na Krasnostawskiego zdziwiona twarz doktora, okolona d³ug± brod±.

- Jak to? To pan nic nie wiesz? - zapyta³.

- Wracam z podró¿y... - obja¶ni³ Krasnostawski.

- Aaa! nic nie wiedzia³em... Pan January, chory od tygodnia, rozwin± siê tyfus, o przebiegu silnym bardzo i niebezpiecznym... Poza tem komplikacje inne, nerwy et caetera... Teraz zreszt± ju¿ lepiej... mo¿e Bóg da... doktor zatrzyma³ siê.

- Ale, nie mówiê panu, od czego siê to wszystko zaczê³o - dorzuci³ informuj±co. - Ju¿ by³ pono niezdrów, moralnie przynajmniej; wpad³, poluj±c na moczarach, w wodê po szyjê i zaziêbi³ siê...

- Nikt mi znaæ nie da³, mój Bo¿e! - szczerze zasmuci³ siê Krasnostawski.
- Wiêc pan mówi, ¿e dzi¶ lepiej?...

- O tyle, o ile!.. teraz ¶pi po lekarstwie, gor±czka spad³a nieco, lecz wczoraj by³o ¼le bardzo; notabene, prócz klucznicy - staruszki, w ca³ym domu nikogo nie ma przy sobie...

- Mo¿ebym ja pojecha³ tam teraz, do pana Januarego, na noc, co? - rzek³ Krasnostawski, na dobre zmartwiony.

Doktor przyja¼nie spojrze³ na m³odziñca, u¶miechn± siê z dobroci± i rzek³:

- No, zmêczony jeste¶, kochany panie, podró¿, mo¶ci dobrodzieju, wspomnienia po niej mi³e zapewne, panie tego - tu poklepa³ Krasnostawskiego po plecach. - Nie, nie potrzeba - ci±gn± dalej seryo - wy¶pij siê pan i jutro tam pojedziesz, bo zreszt±, mówi±c miêdzy nami, przeszkadzaæ tam tylko bêdziesz... Niech ¶pi sobie, nieborak, klucznica i s³u¿ba przypilnuj± go. Ba ! ¿eby to tylko zawsze tak by³o, jak dzi¶!....

- Jak to? wiêc obawa jest jeszcze? - zaniepokojonym znów g³osem zapyta³ Krasnostawski.

- Obawa jest, jeszcze! - przedrze¼ni³ szorstko doktor i widocznie nadrabiaj±c min±, dorzuci³. - Wam wszystkim siê zdaje, ¿e doktor to prorok!... Naturalnie, ¿e jest!... Czy ja wiem zreszt± - wszystko w rêku Najwy¿szego - zobaczymy... No, tymczasem dobranoc! - doktor wyci±gn± rêkê na po¿egnanie.

Krasnostawskiemu twarz spochmurnia³a, i niepokój wyra¼ny odbi³ siê na niej; odczu³ nerwami, czego nie by³o w s³owach doktora i co on usi³owa³ widocznie pokryæ przed nim na razie, i posmutnia³ jeszcze bardziej.

Jednocze¶nie jaki¶ jakby wyrzut sumienia wezbra³ mimo woli w jego duszy, i¿ on tak d³ugo pozostawi³ starca w samotno¶ci, bez opieki, sam bawi±c siê weso³o. Po¿egnawszy lekarza, pomóg³ mu wsi±¶ do bryczki.

- Jak¿e tam zdrowie wszystkich u szanownego doktora, ¿ony, dzieci?... - b±kn±³, aby co¶ powiedzieæ.

- Dobrze, dobrze, serdecznie, dziêkujê, dobranoc!

- Dobranoc! - powtórzy³, jak echo, Krasnostawski, i ruszy³ do swego pojazdu.

- Czoho¶ meni ne skaza³, szczo pan s³abujut - rzuci³ wymówkê furmanowi.

Ten¿e odpar³ lakonicznie:

- Zabu³, pane!

- Do Tomaszówki! - rozkaza³ Krasnostawski.

Powozik ruszy³ w dalsz± drogê. Turkot jego w milczeniu nocy po³±czy³ siê z cich±cym coraz bardziej odg³osem kó³ i dzwonek³ nejtyczanki lekarza, a dwa kagañce, w dwie przeciwné strony, rzuci³y znowu ruchome swe krêgi krwawe w pasmo u¶pionych, kirem nocy pokrytych, obszarów. Oddalaj±c siê od siebie, d³ugo tak na horyzoncie, malej±c coraz bardziej, ¶wieci³y ich ucywa, a¿ wreszcie, zamigotawszy czas jeszcze jaki¶ purpurowymi punkcikami na niezmiernych p³aszczyznach - spe³z³y ca³kiem na widnokrêgu, znik³szy, zlawszy siê z ciemno¶ci±, która wch³onê³a je w siebie.

Turkot na trakcie ucich³. Szeroka ta¶ma ukraiñskiego szlaku, rozja¶niona na chwilê, znik³a i czarno¶æ jeszcze wiêksza zawis³a nad polami, stepami i krzy¿ami kurhanów.

W milczeniu nocy, pe³nem zagadek i szeptów tajemniczych, wszystko doko³a zapad³o w sen twardy i cichy.

- Bo ty nie wiesz, nie czujesz mo¿e i nie przypuszczasz nawet, jak ja ciê kocham, jak bardzo ubóstwiam, ty skarbie mój najdro¿szy, ty moje ¿ycie, me wszystko!... - szepta³ gor±co Dzier¿ymirski, nachyliwszy siê ku Oli i tul±c j± do siebie.

- Ty zdaæ sobie sprawy nie potrafisz - ci±gn±³ dalej, zapalaj±c siê coraz bardziej do s³ów w³asných - ile ja gotów jestem rzeczy najdro¿szych nawet - po¶wiêciæ dla ciebie, co dla ciê zdolnym st±umiæ, przecierpieæ!... Ja gdybym by³ ciê nie posiad³ - podepta³bym bez namys³u wszelkie prawa ludzkie, je¶liby one stan±æ mi ¶mia³y wówczas oporem do zdobycia ciebie!... Ty nie wiesz... nie wiesz!...

Roman, poblad³szy, umilk³. Chmura osiad³a mu na czole, skrzywienie

bolesne zadrza³o w ust k±cikach. Pochyli³ na moment g³owê.

Och, czemu¿ nie móg³, czemu¿, powiedzieæ jej Oli, wszystkiego?.. Na ustach mu dr¿a³o, przemoc± prawie wyrwa³o siê z nich wyznanie przesz³o¶ci, zdusi³ je jednak, wt³umi³ w siebie, z obawy, by te piêkne lica ukochane nie odwróci³y siê odeñ z pogard±. Po chwili znów mówi³:

- Tak, ty obszar, ty g³êbi uczucia, które wre we mnie, które dla ciebie niejedn± ju¿ tamê zerwa³o, nie oceniasz, nie rozumiesz...

Dzier¿ymirski silniej przycisn±³ do siebie kibiaê ¿ony, a pochwyciwszy jej rêce, przywar³ do nich ustami, i poca³unkami okrywaæ je poczt±³.

- Ty... moja... moja! - szepta³ w kó³ko namiêtnie, coraz czulej... ciszej...

- Ty moja!... Ja za nic w ¶wiecie nikomu ciê nie oddam, wydrzeæ sobie nie pozwolê!...

A uspokoiwszy siê stopniowo, ci±gn±³:

- I czy¿ wobec tego zatem dziwiaê siê nawet mo¿esz z³emu humorowi memu, owego wieczora, pamiêtasz, w Lucernie!... To nie by³ gniew, opryskliwo¶æ, jak to nazwa³a¶, dziwactwo! O, wierz mi - nie!... To by³a, wywo³ana cierpieniem tylko - zazdro¶æ i ¿al duszy, ¿e komu innemu pozwalasz choæ czê¶ci± wdziêków twych siê napawaæ, ¿e na nie patrzy, ro¶ciæ sobie mo¿e jakie¶ urojone, choæby imaginacyjne do nich prawa - mê¿czyzna inny - ni¼li... ja...

Roman mówiæ przesta³ wzburzony i wzruszony.

- Rozumiesz wiêc teraz, kochanie ty moje? rzek³ znowu po chwili miêkko, °agodnie, i spojrzawszy prosz±co w oczy s³uchaj±cej go w milczeniu Oli, rzuci³ pytaj±co: -Przebaczasz?..

- Ale¿ przebaczam... przebaczam!... - rzek³a, u¶miechem, pieszczotliwie Ola, a ¿e nikogo podóczas w³a¶nie w pobli¿u nie by³o - siedzieli w cieniu alei nadbrze¿nej nad Lemanem - zarzuci³a na szyjê Romana swe d³ugie bia³e rêce, i przytuliwszy siê doñ, poczt±³a mu z kolei szeptaæ:

- Ty mój drogi, jedyny!... Od kwadransa patrzê na ciebie i rosnê w duszy, taki¶ szlachetny, rozumny, piêkny... Piêkny!... - powtórzy³a z zalotno¶ci±, namiêtnie i przymilaj±co siê musnê³a wargami ¶niad± twarz Dzier¿ymirskiego.

- Nie taki, jak wówczas, zazdrosny, z³y, brzydki!...- przekomarza³a siê z wdziêkiem - ale taki zakochany... wielki!...

I Ola czulej jeszcze przycisnê³a siê do Romana, zbli¿y³a swe wargi ¶wie¿e do jego ust zmys³owych, i mówiæ poczt±³a g³uchym szeptem, urywanym od uczucia nadmiaru - przeplatany pieszczot±, pe³nym têtni±cych w nim m³odych pragnieñ:

- Kocham ciê!... kocham... kocham!... Jak nikogo dot±d... nigdy, nigdy!... - szept przy tem m³odej kobiety zadr¿a³ namiêtniej jeszcze. - Nie ja - to ty przeciwnie nie rozumiesz, nie czujesz, jak ciê kocham, uwielbiam !...

- Wszak dla ciebie porzuci³am ojca, Gowartów, rodzinê! St³umi³am,

zgniot³am uczucia inne!... Po³pieszy³am na tve wo³anie, pobieg³am za tob[±], w tve obj³cia, podepta³am wszystko... wszystko!.. O!... Ja bym sobie zar³ówno wydrze³æ ciebie nie da³a - ty³ tak³e m³ój!... m³ój!...

I szept³ m³odej kobiety ³asz[±]cy si³e, pal[±]cy, zawrotny - skona³...

Zbli³one usta m³odych silnie zwar³y si³e w poca³unku. Na chwil³e, minut par³e, znik³o im z oczu wszystko, przes³oni³e mg³± jakby, z kt³orej jedna jedyna wy³oni³a si³e tylko - mi³o³!

Woko³o za³ wci[±] nie by³o nikogo. W cieniu drzew ton[±] w mroku tajemniczym, cisz zadumanych pe³nym "quai Perdonnet," nadbrze³na aleja w Vevey, wij[±]c si³e brzegiem Lemanu, u st³op rozrzuconego w g³rze szwajcarskiego miasta.

Nad "Lac Leman" dr³zi³ ksi³e³yc w pe³ni; przegl[±]da³ si³e w g³ebokich jego toniach, z pieszczot[±] ³lizga³ swe promienie po ciemno-modrych falach...

I w blasku miesi³cznego ³wiat³a tchn[±] krajobraz ca³y jakim³ czarem dziwnym...

A wi³ec, poza jeziorem, hen, gdzie³, w perspektywie, niewyra¹/₄nie srebrzy³ si³e mglisto Alpejski szczyt wynios³y - w tafli Lemanu, ogromnej, szklistej, niby morze, odbija³y si³e gwiazdy, topi³ w nich swe wierzcho³ki wieniec pobliskich g³or. Masy ich kad³ub³ow miejscami zaciemnia³y jezioro, a w ciemniach tych, odbijaj[±]cych ra³±co na obszarach w³od od fali, tych o³wietlonych ta³im jasnych, b³±ka³y - si³e jakie³ mary i cienie, ze ³nie³nym ³aglem sun³e³a cicho zgrabna, wysmuk³a barka...

Ksi³e³yc tymczasem wzbija³ si³e coraz bardziej i wy³ej, mala³, stawa³ si³e ja³niejszym, przezroczym - milczenie wzrasta³o... Fala u st³op Dzier³ymirskich szemra³a teraz cichutko, a tam, z mrok³ow, od g³or podn³o³a, na przestrzenie w³od Lemanu, skrz[±]ce si³e py³em srebrzystych promieni, marz[±]co, niepokalana, bia³a, spokojnie wyp³ywa³a z wolna ta sama ³od¹/₄ ³aglista...

Oderwawszy usta od gor[±]cych poca³unk³ow, Roman i Ola patrzyli w zachwycie.

Do dusz ich, na pi³ekno czu³ych, w³lizgiwa³ si³e czar tej szwajcarskiej, boskiej nocy, studzi³ krew rozigran[±] swym bezmiernym, majestatycznym spokojem, poni³o³a, r³owna³ z zerem ich troski ziemskie ogromem i pot³eg[±] przyrody - podnosi³, wzmacnia³ ducha, dodawa³ mu skrzyde³, lec[±]cych w za³wiaty...

Pierwszy z nastroju tego ockn[±] si³e Dzier³ymirski i spojrz³a na zegarek. - O, ju³ mija dwunasta! Chod¹/₄my, moje ³ycie! - odezwa³ si³e do Oli.

Powstali.

- Ach, jak³e noc dzisiejsza jest pi³ekn[±] - jak pi³ekn[±]!.. - z zachwytem szepn³e³a Ola - nie zapomn³e jej chyba nigdy.

- Ani ja r³ownie³! - potwierdzi³ Roman w zadumie.

Wzi[±] pod rami³e ³on³e i ruszyli z miejsca, kieruj[±]c si³e pod g³or³e, ku rozsia³anym willom miasta.

Milczeli. W g³owie Romana hucza³ chaos różnorodnych my³li. Z nich za³ jedna, najuporczywsza, wy³oni³a się zwycięska.

- Mi³o³æ, mi³o³æ raz jeszcze, i mi³o³æ tylko, jedyna, wielka! - krzycza³ w nim g³os podnieconego mózgu - ocaliæ cię jest w stanie! W niej tylko znajdziesz zapomnienie, ni³ się upijesz, przy jej pomocy zmatujesz bolesn³ ranę przesz³o³ci, zdusisz sumienia wyrzuty !..

- Bo mi³o³æ, to haszysz - wo³a³ ten sam g³os dalej - bo mi³o³æ, to szczę³cie na ziemi - to raj, to jedna rzecz z tych, tak rzadkich na ³wiecie, dla której warto mo³e walczyæ i trudziæ się, by j³ zdobyæ! - Ona częstokroæ cierpieniem i rozczarowaniem tylko, lecz ile³ razy bólów ³ycia nagrod³ - jego zapomnieniem!..

Dzier³ymirski zdj³ kapelus z g³owy, pod wp³ywem za³ my³li ostatnich, opieku³czo i czule obj³ silnem ramieniem kibia³ ³ony.

Post³powali krokiem ra³nym, id³c pustemi, cichymi uliczkami bezustannie pod gór³. Roman odezwa³ się po chwili:

- Zostaniemy d³u³ej w Vevey; tu tak cicho, samotnie, tak z dala od ludzi, od ³wiata i jego pogwarów - zostaniemy, Oluniu, có³ ty na to? - pytaj³co nachyli³ się ku m³odej kobiecie.

- Ale³ i owszem, mój ty samotniku - odpar³a z u³miechem Ola - a zreszt³, wszak nie zwiedzili³my jeszcze wszystkiego...

- Ach tak, prawda... moje ³ycie, prawda... Koniecznie zobaczyæ musimy wszystko! - mówi³ Roman. Umilkli znowu, zatopieni w my³lach.

Od parodniowego pobytu swego w ma³em nadlemańskim miasteczku, Dzier³ymirscy prowadzili ³ywot pracy. Wstawali raniutko, odbywali wycieczki i spacer y po okolicy; nie dalej, jak dzi³, zwiedzili pobliskie Montreux i s³awny "Chateau Chillon;" obejrza³wszy go wewn³trz dok³adnie, jego staro³ytne , sale i wie³yce, miejsca ka³ni - ponure więzienia, z zachowan³ dot³d tak zwan³ "oubliette," nad trzystumetrow³ g³bi³ Lemanu.

W³ród narodowych ³piewów szwajcarskiego ludu, towarzyszy³cego im w kolejce, zwiedzili oni również przed paru godzinami gór³ "Soim-Pèlerin," maj³c ³wie³o jeszcze w pamięci cudny z wierzcho³ka jej widok na szafiry jeziora i miasto Vevey, zaciszne, pogodne, rzucone niby na ekran zielonego podnó³a gór - zadumane, pe³ne melancholy i cichego smutku...

- Wiesz, Oluniu, co ci powiem? - odezwa³ się nagle do ³ony Roman, gdy, mijaj³c w³a³nie wysokie, gotyckie wie³yce pięknego ko³cio³a katolickiego, zag³ębiali się w alej³, poprzez drzew li³cie, rozja³inion³ tajemniczo cieniami ksi³ycowego ³wiat³a...

- Otó³ - ci³gn³ po przelotnej chwilce wahania - ³e napisa³em do jednego z dawnych znajomych, by donosi³ mi, co się dzieje z ojcem twoim w Gowartowie...

- Ty zrobi³e³ to? O, mój drogi, najdro³szy, jaki³ ty dobry, poczciwy, z³oty! - wykrzykn³a szczerze uradowana Ola i przytuliwszy się do Romana, u³ciska³a go serdecznie.

- A tak, ja, we w³asnej osobie, tak często bowiem smutn³ bywa³a³... - potwierdzi³ Dzier³ymirski, i urwa³ nagle.

Przyjemnego a jednocześnie i przykrego dozna³ on wrażeń. Mi³ by³a mu my³ll, że odgad³szy utrapienie żony, ulży³ jej. Smutno nieco, widząc bowiem na twarzy żony tak pogodną radość, poczu³, iż o odebranych już liście wspomnieć nie mógł³. Ten, choć nie wesoły, nie wióz³ jednak jeszcze ze sobą żadnych wiadomości, gdy natomiast następane - kto wie?

- Ha, trudno, - powiedzia³ sobie w duszy Dzierżymirski - niech cieszy się! Nie zatruję ja jej tej chwili zadowolenia.

- I dotąd niema żadnej odpowiedzi? - skwapliwie pyta³a tymczasem Ola.

- Nie, kochanie - skłama³ g³adko Roman - ale nadejdzie niebawem, poda³em adres Vevey...

- Poda³e³? - ucieszy³a się znów Ola - no, to dobrze, bo ja mimo woli biję się z przypuszczeniami nieraz, co tam oni wszyscy my³ll o mnie, czy potępiają³ bardzo, czy gniewają³ się, czy smucą³?..

Ola ucich³a i cień smutku przemknę³ po jej twarzy.

- No, no, cóż to znów za niepokoję? - podchwyci³ Roman, korzystając z chwili, iż na ulicy nikogo nie było, po³pieszy³ z pocieszeniem, pieszcząc czule m³od³ kobietę.

I znowu zagra³a w nim nienasycona mi³o³łamienna, ogarnię³a, zdepta³a wspomnienia - zakrólowa³a sama!..

Niebawem Dzierżymirscy odszukali sw³ willę, już ciemną ca³kiem i u³pijoną, a b³dząc chwilę po pustych korytarzach, dotarli nareszcie do dużego pokoju z balkonem, który zajmowali tu na pierwszym piętrze.

Kroki zapó³anionych przybyszów zmęciły ciszę willi, skrzyp drzwi zgrzytnę³ fa³szwym d³więkiem w ogólnej harmonii powszechnego milczenia.

W pokoju okna były otwarte, i panowa³o w nim powietrze rześkie, świeże, od gór płynące. Wch³aniając je z lubością, Dzierżymirscy poczuli gospodarzy³ u siebie. Roman po chwili wziął³ się do zamykania okien, Ola zaś, zapaliwszy świat³o, zdją³a kapelusz i wolno poczę³a się rozbierać.

Lecz oto nagle podskoczyli oboje. W zupełnej bowiem ciszy u³pijonego domu, tuż po za³cian³ s³siedniego pokoju, rozległy się silne uderzenia. Ktoś bez ceremonii wali³ w mur pięściami, chcąc widocznie zmanifestować swoją tam obecność, a zarówno i fakt że, ha³asując, spa³ mu przeszkadzano.

Wkrótce jednak rozję³trzone uderzenia ustały i posypa³a się garściami nieestetycznych, wyrażonych g³o³łno i ze z³o³łkami epitetów.

Tyle było bezwiednego komizmu w stukaniu tym i w poirytowanym g³osie, zaspanym jeszcze, że Dzierżymirscy roze³mieli się wspólnie i szczerze.

- To ta s³odziutko-grzeczna rozwódka, podstarza³a, pseudo - wielka pani, elegantka, wiesz .. co to przy obiedzie, siedzi ko³o nas - obja³ni³a pó³g³osem Ola - (w szwajcarskich hotelach-willach, zwanych "pensions," obiadują³ wszyscy razem).

- Tak?.. - zdziwi³ się Roman - nie wiedział³em... A to orygina³ baba, naturalnie, nie przypuszcza zapewne, iż my tu mieszkamy... Z³apa³a się... Jak to jednak i pozory fa³szowej uk³adności zdradzają³ częstokroć

to zwierzę, ukryte w cz³owieku - filozoficznie dorzuci³. - Ale, ale... - ci±gn±³ dalej, z u¶miechem - wyobra¼ sobie, Oluniu... Zapomnia³em ci powiedzieæ. Tu, na g³rze nad nami - wskaza³ sufit palcem i roze¶mia³ siê - mieszka drugie dziwad³o: Pamiêtasz... ta ma³a, nasze vis-a-vis, ¿ó³ta stara panna... Otó¿ wynajmuje ona a¿ piêæ pokoi pró¿nych naoko³o siebie, a wiesz dlaczego? - Tu Roman po raz drugi g³o¶niej jeszcze parskn±³ ¶miechem. - Teby jej w nocy nie ha³asowano! M±drzejsza od naszej s±siadki, co?...

Ola za¶mia³a siê z kolei srebrzy¶cie. S³uchaj±c mê¿a, zdjê³a w³a¶nie przed chwil± sukniê, i siada³a obecnie przed lustrem, z obna¿on± szyj± i ramionami. Pragn±c rozczesaæ w³osy, przechyli³a siê w ty³ i poczê³a rozwi±zywaæ je leniwym ruchem r±k.

- Poczekaj - rzuci³ ¿ywo Dzier¿ymirscy - damy tej babie odpowied¼ muzyk± ca³usów!.. Przypomni sobie mo¿e luba rozwódka ma³onka!.. Ha-haha, a to siê w¶ciekaæ dopiero bêdzie!..

I swawolnie, ze ¶miechem, Roman przygn±³ wargami do ramion Oli, i pocz±³ ca³owaæ je g³o¶no, cmokaj±c z lubo¶ci±.

- Ohe!.. la - bas!.. On dort ici!.. - rozleg³ siê po chwili za ¶cian± gard³owy, ¶wiszcz±cy glos, pe³en nienawi¶ci i jadu.

- Buch! buch! buch! - rozleg³y siê znów w pasy uderzenia o mur w¶ciek³e.

Ola ¶mia³a siê serdecznie, Roman nie przestawa³ ca³owaæ zamasy¶cie.

- Dosyæ ju¿, dosyæ! - szepnê³a m³oda kobieta, z trudno¶ci± hamuj±c weso³o¶æ, - proszê mi wynosiæ siê teraz - szepnê³a w ¶lad za tem, z pieszczot± w g³osie. - Id¼ na balkon! - doda³a, i przechyliwszy wysoko giêtk± sw± szyjê na porêcz krzes³a, poda³a Romanowi do poca³unku rozchylone swe wargi zalotnie patrzc nañ z pod d³ugich rzês...

Cudn± i wdziêczn± swych linii harmoni±, biust kobiecy przemkn±³ ponêtnie w tym ruchu falistym przed rozkochanym wzrokiem mê¿czyzny.

Dotkn±³ ustami ust i z wezbran± mi³o¶ci± w sercu wyszed³ na balkon.

Tu zapali³ cygaru i znowu wch³on±³ w siebie pe³nym, szerokim oddechem, orze¼waj±c± atmosferê cichej szwajcarskiej nocy. Spojrza³ w d³. U stóp jego szkli³o siê w dali tam i ówdzie srebrem rozbêkity jezioro. Do powierzchni jego pieszczotliwie tuli³y siê jeszcze gdziegdzie ostatnie mgie³ki, b³±kaj±ce siê zazwyczaj dzieñ ca³y, od rana, po Lemanie, i wespó³ z bia³emi mewami muskaj±ce stale grzbiety jego fal.

Ksiê¿yc ju¿ by³ bardzo wysoko. Snopami ¶wiat³a dotyka³ teraz grzbietów gór, mieni³ siê fosforycznie na wierzcho³kach dalekich ¶nie¿nych szczytów.

A tam, w dole, zadumane, ciche usypia³o miasto... Jedne po drugich, jak iskry dopalaj±cego siê p³omienia, ogniki - gas³y w domostwach Vevey ¶wiate³ka, kolejno - stopniowo nik³y...

Dzier¿ymirski, z zadowoleniem, wci±ga³ wci±¿ w piersi zdrowy powiew, p³yn±cy z dali, wypuszczaj±c zarazem z ust ma³e ob³oczki niebieskawego dymu.

Obecnie - chwilowo, by³ on zupe³nie szczê³liwym! Tu, w zacisznym górk zak³tku, czu³ on podwójnie, jako swoj³ wy³czn³ w³asno³ ubóstwian³ kobietê, kocha³ j³ zdwojonym si³ 3ywotnych zapasem, a czuj³c równocze³nie wzajemno³ jej ku sobie niek³aman³, nurza³ siê w uczuciu tem, z rozkosz³ p³ywaka, rze³¼ko w³ród rozs³onecznionych wód weso³ych p³yn³cego w dal radosnego jutra! Wizye przykre zniknê³y zupe³nie, robak wewnêtrzny, tocz³cy ducha Romana, przesta³ go drêczyæ na chwilê... Dawk³ mi³o³ci uko³ysane sumienie - spa³o.

- Romciu!.. Romeczku!.. - us³ysza³ naraz Dzier³ymirski piezczot obietnic pe³ny, wo³aj³cy go g³os kobiety.

- Idê... idê! - odpar³ po³piesznie i rzuciwszy cygare, przest³pi³ próg balkonu.

3wiat³o w pokoju zgaszonym ju³ by³o. Tajemnicze natomiast b³êkitno-srebrne ksiê³ycowe fale zalewa³y komnatkê, a w pó³3wietle tem majaczy³a postaæ Oli i biela³y alabastrowe jej ramiona.

Dzier³ymirski, wchodz³c, chocia³ przymkn³æ za sob³ obite szarem sukniem balkonowe okiennice.

- O, nie... nie zamykaj !.. Tak ³adnie ksiê³yc 3wiéci, tak 3licznie!.. - pos³ysza³ w tej³e samej chwili pro³bê Oli. Roman us³ucha³, a zamkn³wszy tylko szczelnie okienne ramy balkonu, skierowa³ siê szybko w g³±b pokoju.

Jeszcze we mg³ach wczesnego poranku drzema³y góry, jezioro i niezbudzone, senne miasto Vevey, gdy do drzwi pokoju Dzier³ymirskich zapuka³ kto³ 3 dyskretnie.

Roman, który obserwowa³ w³a³nie przez okna mglisty krajobraz, na ten odg³os zerwa³ siê po³piesznie. Odziawszy siê szybko, nie pytaj³c przez drzwi g³o³no, kto zacz, by nie zbudziæ Oli, skierowa³ siê ku wyj³ciu z komnaty... Otworzy³ drzwi cicho...

- Bonjour, monsieur! - pozdrowi³a go, przeci³gaj³c 3piewnie, w p³ubrana, u³miechniêta wstydliwie, m³oda Szwajcarka, i poda³a jaki³ papier.

- Co to jest? - z cicha pytaj³co rzuci³ po francusku.

- Telegram! - brzmia³a odpowied³¼.

- A... dziêkujê - odpar³ Roman i zamkn³ drzwi. Niepokój wyra³ny odbi³ siê na wyrazistym obliczu jego; cichutko podbieg³ na palcach do okna i gor³czkowo rozwin³ æwiartkê papieru.

St³umiony gwa³tem okrzyk zabrzmia³ w pokoju przyciszonym echem, i telegram z rêki Romana upad³ mu na posadzkê. Poprzez szyby balkonu Dzier³ymirski spojrze³ b³êdnym wzrokiem przed siebie.

Tam, gdzie³ w oddali, poza wierzcho³kami gór, zaró³owia³o siê co³ niewyra³nie, p³oni³o... W mg³ach tajemniczych znikn³ ca³y wczorajszy krajobraz, a poza niewidzialnymi tylko szczytami Alp, pokrytymi jakby woalem, gdzie³, daleko, - zakryta wstydliwie, wschodzi³a snaæ jutrenka...

Roman, blady jak p³ótno, przeniós³ wzrok swój w przeciwn[±] stron^ê komnaty. U[¶]miechnięta, cicha spa^³a tam Ola... Z pod lekkiej ko^³dry wysun^êa si^ê jej g^³ówka urocza, rz^êsy d^³ugie k^³ad^³y swe cienie na rumian[±] twarzyczk^ê, usteczka pon^êtne z koralu marz[±]cym, od rzeczywiście[¶]ci dalekim, rozchyła^³y si^ê u[¶]miechem...

Dzier[¿]ymirski patrzy^³ wci[±]¿ na ni[±], z czu^³o[¶]ci[±] wespół^³czuciem, bólem...

- Biedna!.. biedna!.. - wyszepta^³ - Biedna!.. powtórzy^³ ciszej jeszcze. Bolesne skrzywienie przemkn^ê³o mu po ustach, i odwróciwszy twarz, - nieruchomy, opar^³ si^ê w zadumie o szyby okien balkonu.

Babie lato snu^³o sw[±] prz^êd^ê... Czepia^³o si^ê na zagonach poruszonej [¶]wie[¿]o czarnoziemnej gleby; ^³askota^³o nozdrza siwych wo^³ów, w trzy pary leniwie sun[±]cych u p^³ugów, obmotywa^³o si^ê swawolnie woko^³o ich przepysnie rozros^³ych rogów i bieg^³o dalej, unoszone wietrzykiem, by przytulic[±] si^ê do rozgorza^³ej w s^³o[¶]ncu czerwieni[±] i z^³otem [¶]ci[±]any borów, do samotnych grusz polowych i zgarbionych strzech ukraińskich chatek, a zagł[±]daj[±]c po drodze w uko^³ysane jesienn[±] cisz[±] jary - gin^ê³o gdzie[¶] w stepie dalekim, splataj[±]c tam ze sob[±] u[¶]ciskiem trawy, bodjaki i polne kwiecie - pracowicie prz^êd[±]c wsz^êdy ustawiczn[±] ni^ê sw[±] bia^³±.

Drog[±] do Gowartowa, galopem, co koñ wyskoczy, p^êdzi^³a czwórka koni, unosz[±]c w tumanie iskrz[±]c[±] si^ê od s^³o[¶]ñca kurzawy powóz, a w nim dwie osoby. Pierwsz[±] z nich by^³ ksi^êd^z proboszcz, z pobliskiego miasteczka, drug[±] - Krasnostawski.

Jak huragan, min[±]wszy pochylon[±] garstk^ê ludzi, kopi[±]cych w pobl[¿]u ^³an buraków, oraz cmentarzyk wiejski, cichy, pe^³en uroku - pojazd wpad^³ do sio^³a. Z zagród ch^³opskich wyskoczy^³y psy i szczeka^æ pocz^ê³y zajadle; wystraszone dzieciaki, o p^³owych, prawie bia^³ych, w^³osach, rzuci^³y si^ê, uciekaj[±]c w pop^³ochu, a prz^êd[±]c[±]ce konopie wie[¶]niaczki, w barwnych swych strojach, chustkach i wyszywanych koszulach, stawa^³y zdziwione, przeprowadzaj[±]c migaj[±]c[±]y p^êdem pojazd niespokojnem okiem.

Zzajana, okryta potem czwórka koni, zwolni^³a wreszcie biegu, i st^êpa, wolniutko, ostro[¿]nie spuszcza^æ si^ê zac^ê³a z pagórka na wiejsk[±] grobl^ê.

- Czy ksi^êdza dobrodzieja nie znu[¿]y^³a nasza tak pr^êdka jazda?.. C^ó¿ robi^æ jednak, kiedy inaczej nie zd[±]¿yliby[¶]my mo[¿]e... - odezwa^³ si^ê Krasnostawski, korzystaj[±]c z mniejszego p^êdu powietrza.

Barczysty ksi^êd^z, o inteligentnem wejrzeniu du[¿]ych czarnych oczu i brwiach krucz[±]ch, odbijaj[±]c[±]ych wyrazi[¶]cie od bia^³ych w^³osów, wymykaj[±]c[±]ych mu si^ê spod kapelusza, obruszy^³ si^ê na to pytanie.

- Ale, c^ó¿ znowu!.. - odpar^³. - Oby tylko ten zacny pan January do[¿]y^³ b^³ogos^³awionej chwili i móg^³ pojedna^æ si^ê z Bogiem!..

Umilk^³ ksi^êd^z, i niebawem z pobo[¿]nem westchnieniem, dorzuci^³:

- O to ostatnie w^³a[¶]nie od czasu, gdy jedziemy, my[¶]l m[±] ku Najwy[¿]szemu wznosz^ê... Mo[¿]e jej us^³ucha^æ raczy!..

- Doktór mówi^³, ¿e z godzin trzy po[¿]yje - odpar^³ Krasnostawski, a

wyjmuje zegarek, rzekł jeszcze: - Od chwili tej minęło dwie godziny...

- Ach, ci lekarze! - machnął rękami ksiądz stary - cóż tam ostatecznie wiedzą oni mogą - wszak wszystko w ręku Stwórcy-Pana! Ja, na przykład, pewnego razu byłem już konającym, a jednak, po przyjęciu Przenajświętszego Sakramentu i Olejów świętych - wyzdrowiałem...

Umilkli. Ksiądz zaś po chwili, widząc, że furman wciąż jedzie stępa, zauważył:

- Ale może byśmy znów pojechali nieco przedziej, nieprawdaż?

- Naturalnie, niech minie tylko most i groblę - odrzekł Krasnostawski.

U stóp ich szumiało w tej chwili koło u młyna, pryskała odeń wodna piana szeroko rozlewała się na senną taflę dużego stawu, w której przeladały się północne szczyty gowartowskiego parku.

Za groblą znowu ruszyli galopem, i niebawem, wyminawszy jeszcze część wsi, zajechali przed ganek pałacu. Na spotkanie wybiegł stary lokaj, klucznica i kilku domowników.

W ciszy, przerywanej tylko parsaniem i sapaniem spienionej zziąanej czwórki koni, z lękiem, na stopniach kocza, Krasnostawski zapytał głosem szepcącym:

- Yje?..

- Yje!.. Yje!.. - odparli wszyscy chórem, lokaj zaś natychmiast dorzucił:

- Chwała Bogu na wysokościach... Pan doktor powiedział, że może i do jutra rana...

- A gdzie pan doktor? - pytał dalej Krasnostawski.

- A ot, tylko co patrzę, jak odjechał.. Pono do Karolówki, bo tam młodsza jałnie pani niezdrowa...

- Niezdrowa!.. - obruszył się plenipotent. - Tu przecież konający w domu, mógł chyba zostać jeszcze! - dorzucił gniewnie, zły na widoczną obojętność wiejskiego eskulapa. Obejrzał się.

Ksiądz z nim przybył wysiadał wspaniale z powozu, poprzedzany towarzyszącym mu chłopaczkiem... Rozległ się wkrótce dźwięk uroczystego kościelnego dzwonka - w progi pałacu wstępował Syn Boży, utajony w Przenajświętszym Sakramencie...

W parę minut później, do pokoju chorego już wchodził ksiądz; idący w ślad za nim Krasnostawski został na progu i spojrzawszy w górę sypialni chorego.

Na óżku zamajaczyła mu blada, już nie z tego prawie światła, sędziwa twarz pana Januarego. Drzwi zamknięto jednak w tej chwili - Krasnostawski cofnął się dyskretnie i począł przechadzać się wielkimi krokami po pokoju.

Od czasu powrotu z podróży swej do miasta, na nim jednym prawie spoczywało wszystko. Przepędzał nocę całą u chorego, doglądał go

osobiście, wzywa lekarzy, konsylia.

Dziś, widząc, iż już koniec nieodwołalny się zbliża, a śmierci widmo błąka u progów pałacu, zagniony, pojechał po księdza, dnia poprzedniego już, cięży przecuciem, zatelegrafowawszy o nieszczęściu do marszałkowej, Ładyżyńskiego oraz do dawnego kolegi swego, Tarnopolskiego.

Od tego ostatniego bowiem odebrał list iście enigmatyczny, w którym proszono go usilnie, by doniósł szczegółowo o wszystkim, co się dzieje w Gowartowie.

Zanadto przyrodzonego sprytu posiada w sobie Krasnostawski, by nie odgadnąć, że poza kolegą jego, Tarnopolskim, ukrywa się ktoś inny, zainteresowany bardzo. Domyślił się, iż był nim prawdopodobnie dobry znajomy tegoż, Dzierżymirski, i dlatego nie ominął wyżej wzmiankowanego Tarnopolskiego, również donosząc mu, że Gowartowski umiera.

Smutny i blady, w przechadzce swej po pokoju, przystanął nagle Krasnostawski, posłyszawszy bowiem w tej właśnie chwili głosy i szepty w przyległej komnacie chorego.

- Spowiada się... - rzekł do siebie, i zbliżywszy się do okna, spojrzawszy w zadumie.

Tak samo, jak codzień, podlewano dzisiaj pod zbliżający się wieczór klomby kwiatów, tak samo zniżające się już słońce słońce cienie na aleje parku, na staw, porzrucane w ogrodzie sławki, na chaty sioła, i step w perspektywie.

- I tak samo będzie jutro, pojutrze - zawsze! Tak samo słońce i wszystko weselić się będzie, nic porządku swego nie zmieni, choć dusza tego zakłtka uleci w załwiaty!.. - szeptał Krasnostawski, i rzuciwszy się na fotel, podparł rękami głowę, a myśli gonił się przelatując mu po głowie.

- O, jakże okrutny jest śmierć! - myślał. - Jak pełną zagadki niezwalczoną potęgą, przed którą tylko w pokorze chylić musimy milcząco czoła!

I nic kamiennego jej serca nie wzruszy, nic nie zatrzyma - ona w swej nieubaganej godzinie przyjdzie musi !..

- Straszne, straszne!.. - szepnął znów do siebie pochylony mężczyzna. - Tem straszniejsze, iż niezrozumiałe, nieujęte rozumem ludzkim, zawsze, zda się, nowe, choć prawieczne w sobie; zawsze tak samo niedościgłe, niezmiennie na wszelkie pytania odpowiadające sfinksa zagadki...

- I mnie to kiedyś przecie spotka, wszak i ja umrę!.. - rzekł głono do siebie Krasnostawski. - A potem ?.. - szepnął z trwożą.

I z pytaniem tem na ustach utkwił wzrok błędny we drzwi sąsiedniego pokoju...

Drzwi te tymczasem roztwarzały się cicho i na progu ukazała się, natchniona w tej chwili jakby twarz księdza i postać jego wyniosła. Krasnostawski, zbudzony ze swych myśli ponurych, żywo podbiegł ku niemu.

- Cóż, księżo proboszczu? - zapytał.

- Wszystko dobrze... Zbrata³a się dusza jego z Panem... - odpar³ ten³e z powag[±].

- Ale? ale, czy ksi[±]dz dobrodziej nie uwa³a przypadkiem?... To jest...
- pl[±]ta³ się Krasnostawski - powiedzie^æ chcia³em, czy choremu przypadkiem nie lepiej?...

- Ha, Bóg wiedzie^æ raczy... Nam pozostaje pogodzi^æ się tylko z Jego Najwy³sz[±] Wol[±]!.. - tym samym tonem odrzek³ s³uga Pański.

- Zapewne!.. - b[±]kn^{±3} Krasnostawski. Zapanowa³o chwil^ê ci^êkie, o³owiane milczenie. - Ach, ale przepraszam najmocniej ksi[±]dz dobrodzieja - uprzejmie przerwa³ pierwszy m³ody cz³owiek - w tej chwili podwieczorek poda^æ ka³ê, ksi[±]dz dobrodziej utrudzony drog[±], g³odny zapewne!... - i Krasnostawski ku drzwiom się skierowa³ po^{¶¶}piesznie.

- Nie, dzi^êkuj^ê ci, panie Boles³awie! Jecha^æ musz^ê...

- Ju³? - zdziwi³ się m³ody plenipotent.

- A tak, serce, jutro odpust u mnie, roboty huk!.. Ka³ zaprz^êga^æ, je^{¶¶}li³aska, a ja tymczasem w ogrodzie poczekam i modlitwy swe przedwieczorne odmówi^ê.

- W tej chwili s³u³ê ksi[±]dzu dobrodziejowi... - rzuci³ w p³uk³onie Krasnostawski i znik³ za drzwiami.

Ksi[±]dz zajrza³ jeszcze do chorego; pozostawiony na opiece staruszki-klucznicy, z pogod[±] na obliczu swem dziwn[±] le³a³ on spokojnie.

Widz[±]c to, proboszcz wyszed³.

Z dobry kwadrans miga³a wysoka, czarna sylwetka jego na tle zieleni, po wygracowanych starannie alejach parku, poczem w pobl³u modl[±]cego się w skupieniu ksi[±]dz pojawi³ się Krasnostawski.

Zaturkota³o jednocze^{¶¶}nie... Z uszanowaniem przez wszystkich odprowadzony, proboszcz wsiad³ niebawem do powozu. W par^ê minut p³¼niej pojazd, unosz[±]cy go, znik³ za wjazdow[±] bram[±] pa³acu...

Stoj[±]cy na ganku Krasnostawski poruszy³ się machinalnie i przez milcz[±]ce pa³acowe komnaty skierowa³ do pokoju pana Januarego.

- C³? jak³e?... - zapyta³ zap³akanej staruszki, siedz[±]cej ko³o³o³a chorego.

- Teraz... le³y niby spokojnie - wyj[±]ka³a cicho.

- No, to prosz^ê i^{¶¶}æ odpocz[±]æ, ja zostan^ê i dam zna^æ, gdy zajdzie tego potrzeba - stanowczo odezwa³ się Krasnostawski.

Po opieraniu się d³u³szem, staruszka, znu³ona i senna wysun^êa się z pokoju, Krasnostawski za^{¶¶}, podszed³szy do fotelu, stoj[±]cego przy³ ó³ku, usiad³ ci^êko.

Cisza martwa zago^{¶¶}ci³a w komnacie... Gowartowski, oddychaj[±]c niepostrze³enie lekko, spokojny, le³a³ wci[±] nieruchomo; znu³eni

domownicy rozpierzchli się, każdy do swego zakątka i odgłos żadny nie dochodzi tutaj, tylko poprzez zapuszczone firanki oraz stopy rzucają swe jaskrawe blaski zniżające się już słońce...

Krasnostawski, zmęczony życiem ostatnich dni kilku, zamysłił się głęboko, fizycznie wypoczywając zarazem.

Od czasu do czasu spojrzenie przenosi na starca, poczem zapada znów w zadumę, poruszony z nieokreślonym apatycznym gniosem go swym ciężarem, z poczuciem bezradności, w obliczu zbliżającej się nieodwracalnie, kroczącej śmiało śmierci!

Minęło w ten sposób dwie godziny.

Na ciemne żaluzje u okien padały teraz prostopadle dogasające czerwone ostatnie zachodu promienie, majaczyły ognikami krwawymi po posadzce i ścianach, a spoza parku, z oddali, niewyraźnie jakieś dla ucha dochodziły odgłosy...

To pracowity, znojący kończy się gdzieś tam, po polach i siołach pogodny dzień jesieni; to, śpiewająco chórem smętnie ukraińską dumkę - wracają po pracy dziewczęta i młodzicy, z buraczanych łąk, gromadzą...

Nagle Krasnostawski, z przymkniętymi oczyma w fotelu swym zagłębiony, ocknął się, drgnąwszy na całym ciele nerwowo. Spojrzył na chorego...

Usta pana Januarego szeptały coś niewyraźnie, poruszały się szybko - wreszcie uniósł się on na poduszkach i wzrokiem błędnym spojrzył wokoło.

Krasnostawski już był się zerwał i stał teraz koło łóżka blisko.

- Kto to jest?.. Kto to?.. - wyszeptał chory, z trudnościami.

- To ja, Krasnostawski, Kra-sno-staw-ski - powtórzył dobitnie.

- A, a... to dobrze... dobrze... - pan January zaczerpnął powietrza i po chwili zupełnie już przytomnie przemówił samym, cichym głosem:

-Mój panie Bolesławie, odsłoń, proszę cię, okno, choć jedno... Tak tu ciemno...

Krasnostawski, usłuchawszy natychmiast zlecenia, podniósł roletę.

Słońce już było zasłone. W pierwszych ułamkach nadchodzącego zmierzchu stały cicho późnoobnażone drzewa parku, przeplatane gdzieś gdzie czerwienią, słońce się aleje żółtawym od opadłych liście kobiercem - białe niewyraźnie w dali zagrody sioła, ciemniały jego osady, senna i mroczna świeciła tafla stawu.

Krasnostawski, odwróciwszy się od okna, spotkał smutny, pełen tęsknoty wzrok starca, utkwiony w roztaczającej się poza oknem krajobraz.

Do łóżka zbliżył się pośpiesznie.

- Dziękuję ci... mój kochany... pani Bolesławie... dziękuję - odetchnął Gowartowski i dokończył ciszej:

- Ostatni to raz... ostatni widzę to wszystko! - uczynił ręką ruch

s³aby, a wskazuj³cy widok otulonego mrokiem sio³a i pól szerokich.

- Dlaczego? - podchwyci³ szybko Krasnostawski, - uważam w³a³nie, że g³os pański ma dziwnie zdrowe brzmienie - da Bóg, b³dzie lepiej...

- Och... nie! Nie b³dzie lepiej - westchn³ pan January - nie b³dzie... to tylko na chwil³ê...

Znów przesta³, i zaczerpn³wszy powietrza, ci³gn³ dalej, uczyniwszy jednocze³nie praw³ rêk³ ruch zniech³cenia pe³ny.

- Ja czuj³ê, widz³ê, że koniec, ³mier³æ si³ê zbli³æ... Nic mi ju³ nie pomo³æ - wola Boska!.. - znów przerwa³... w minut³ê za³ mówi³:

- W³a³nie... w³a³nie powiedzi³æ co³ chcia³em tobie... kochany panie Boles³awie... usi³d³¼... - i pan January wskaza³ sw³ê woskowo - ³ó³t³ rêk³ taborecik.

Krasnostawski us³ucha³.

- Poczekaj chwil³ê... odpoczn³ê... - wyszepta³ os³abiony bardzo. Opar³ g³ow³ê o poduszki i oddycha³ poczt³ ci³ê³ko, na bladej za³ twarzy jego zakwit³ i zgas³ niebawem rumieniec nik³y.

Krasnostawski wyczekiwa³, milcz³c.

- Mo³æ poda³æ panu co do picia? - zapyta³ po chwili.

Przeci³cy ruch rêki by³ ca³± odpowiedzi³ pana Januarego. W dziesi³æ za³ mo³æ minut ³¼niej g³osem s³abym, przerywanym co chwila ci³ê³kim oddechem, przemówi³ cicho :

- Ty³ dobry... ty jeden... tak, jeden, jedyny, co³ mnie nie opu³ci³... Uczynili to wszyscy: siostra, ³ady³yński, córka... - spu³ci³ g³ow³ê i umilk³, a dwie ³zy du³æ, perliste zab³ys³y w jego niebieskich, przyblad³ych ³renicach i stoczy³y si³ê z wolna po wychud³ej twarzy. Po chwili ci³gn³ znowu:

- ³le uczyni³a Ola, ³le bardzo... Nie poniewiera si³ê tak rodzicem, nie depce si³ê tak przywi³zania ojca... nie, nie, po stokro³æ razy nie!... - powtórzy³ z moc³ w os³ab³ym g³osie, i z t³ skarg³ na ustach przeciw dziecku ostatni³, upad³ na poduszki w znu³eniu, jak ³ciana b³ady.

Krasnostawski, ze w³ó³czuciem, u³± rêk³ starca w d³oń praw³, a gdy Gowartowski ponownie uniós³ si³ê na pos³aniu, opieku³czo i silnie podpar³, podtrzyma³ swem lewym ramieniem jego cia³o wychud³e.

- Dzi³ekuj³ ci, bardzo dzi³ekuj³ê!.. - wyszepta³ pan January i mówi³æ poczt³ dalej, g³o³niej nieco, lecz ochryp³ym ju³ od zm³czenia i wysi³ku g³osem :

- Ale nie o tem mówi³æ chcia³em, nie o tem! Przeciwnie... - znów zamilk³ sekund kilka.

- Przeciwnie - powtórzy³ - ja Oli przebaczam, maj³tek ca³y zapisa³em jej wy³±cznie, tylko... tu zatrzyma³ si³ê starzec d³u³ej nieco, jakby w ostatnim wysi³ku trudno mu by³o jasno wyrazi³ my³l³ swoj³ - tylko - ci³gn³ - ³ê testamentów jest dwa: jeden u notaryusza, z³o³ony dawno, na korzy³æ Oli... drugi... na jej niekorzy³æ...

Umilk³ znów Gowartowski blady i zmęczony, a po chwili kończy³:

- Ten ostatni, półniejszy, napisa³em w chwili nierozumnego gniewu...
Jest w moim biurku, szuflada lewa, na wierzchu... Podrê go!..

Tu pan January, oswobodziwszy się od podtrzymuj±cego go ramienia Krasnostawskiego, opad³ na poduszki wycieñczony.

- Czy przynie¶æ mam ten testament? - podda³ Krasnostawski.

Ojciec Oli Dzier¿ymirskiej przyzwalaj±co skin±³ g³ow± i s³abym ruchem rêki poruszy³ kluczyk od szufladki stoj±cego obok ³o¿a stoliczka.

Krasnostawski zrozumia³. Wysun±³ szybko szufladê, wzi±³ stamt±d pêk kluczy i oddali³ się cicho.

Blady, oddychaj±c ciê¿ko, w oczekiwaniu m³odego cz³owiewa, odpoczywa³ Gowartowski... W ciszy g³uchej minê³o z dziesiêæ minut. Na progu wreszcie ukaza³ się Krasnostawski, trzymaj±c w rêku du¿± kopertê.

Na jego widok pan January gor±czkowo, o w³asnych si³ach, uniós³ się na pos³aniu i wyci±gn±³ rêkê po testament.

- Dziêkujê... - wyszept³.

Odebrawszy za¶ od Krasnostawskiego kopertê, otworzy³ j± dr¿±c± rêk±, wyj±³ arkusz papieru, znajduj±cy się tam i rozerwa³ zwolna na cztery czê¶ci. Potem w³o¿y³ na powrót do koperty zniszczony test, a zwróciwszy się do Krasnostawskiego, g³osem dziwnie d¹/₄wiêcznym, stanowczym, wymówi³:

- Oddasz to jej... Oli - i umilk³, opad³szy znowu na poduszki.

M³ody plenipotent machinalnie wzi±³ kopertê schowa³ j± do kieszeni surduta. Wpatrzony w starca, na którego twarzy igra³ w tej chwili jaki¶ pe³ny dobroci u¶miech, blady, tkliwy - milcza³ wzruszony, a dwie ³zy niepos³uszne zakrêci³y mu się w oczach.

G³osem cichym, jakby dogasaj±cym, mówi³ tymczasem jeszcze pan January:

- Nie zapomnij oddaæ... Pamiêtaj!.. - urwa³, a po chwili:

- Powiedz... tak¿e Oli... ¿e przebaczam... jej... i... jemu!..-
dokoñczy³ z trudno¶ci±, w wysi³ku ostatnim i z wypiekami na twarzy, trupio blady, umilk³...

Pa±ca się u obrazu Matki Boskiej nad ³ó¿kiem, z czerwonego szk³a, lampka rzuci³a w tej chwili promieñ jasny na oblicze starca...

W zmierzchu id±cego wieczora twarz Gowartowskiego zaja¶nia³a jakim¶ nadziejskim jakby wyrazem szlachetnej dobroci... Krasnostawski jednocze¶nie poprawi³ poduszki u ³o¿a i pochyli³ się nad chorym, zda³o mu się bowiem, i¿ ten¿e porusza ustami.

Rzeczywi¶cie. Niedo³yszalnym, urywanym szeptem m³ody cz³owiek pos³ysza³ jeszcze:

- Dziêkujê... ty¶ dobry!.. Mówiæ ju¿... wiêcej... nie... mogê...

Poruszony s³owami chorego starca, zdenerwowany, wzruszony odst³pi³ od ³ó³ka Krasnostawski i przygnêbiony, usiad³ w fotelu.

Minê³o z dziesiêæ minut.

Widz±c, ¿e chory le¿y teraz zupe³nie ju¿ cicho, m³ody cz³owiek po chwili powsta³, pos³ucha³ oddechu jego, poczem wysun±³ siê cichutko z pokoju. Dusio go co¶¶ w gardle...

W s±siednich komnatach pusto by³o ca³kiem i szaro ju¿ zupe³nie. Mrok wieczora wciska³ siê do pa³acu coraz natarczywszy, wszêdzie, samotny, cichy, smutny. Krasnostawski bez ha³asu otworzy³ podwoje balkonu i wyszed³ na werandê, spragniony odetchn±æ ¶¶wie¿szem powietrzem...

Opar³ siê o balustradê, ch³odziæ pocz±³ rozpalone czo³o zimnym powiewem jesiennego wieczora i sta³ tak nieruchomy do¶¶æ d³ugo, og³upia³y jakby na razie, bezmy¶¶ny...

Nagle milczenie pogr±¿aj±cego siê coraz bardziej w mroki domu i parku, przerwa³ jednostajny dono¶¶ny, odg³os dzwonu w poblizu. To codziennym, panuj±cym w Gowartowie, zwyczajem, zwo³ywana s³u¿bê na wieczorn± kolacyê.

Krasnostawski siê ockn±³, a jednocze¶¶nie poczu³ pragnienie i g³ód.

Wróci³ do komnaty, zamkn±³ drzwi oszklone od werandy, a napotkawszy po drodze jak¶¶ pozostawion± ¶¶wiecê, zapali³ j± po¶¶piesznie i na palcach skierowa³ siê poprzez kilka komnat do jadalnej sali. Dobê ca³± Krasnostawski nic, prócz kilku szklanek herbaty, w ustach nie mia³ - m³ody organizm dopomina³ siê o swoje prawa.

W kredensie znalaz³ pochowane zimne miêsiwa i chleb razowy; posili³ siê, popi³ wod± i przez puste komnaty znowu skierowa³ siê do pokoju Gowartowskiego.

Tu ju¿ zupe³ne panowa³y ciemno¶¶ci. Krasnostawski zapali³ lampkê, przykry³ j± abazurem i spojrze³ na chorego.

Le¿a³ w tej samej pozycji, tak samo spokojny, oddychaj±c lekko, cicho, bledszy tylko, ¿ó³tszy jakby... I w jednym równie¿ zasz³a, zmiana nag³a.

Oto rêce pana Januarego wykonywa³y po ko³drze jakie¶¶ niewyra¼ne i dziwne ruchy, jakby szuka³y czego¶¶, szczypa³y powierzchniê sukna, zatrzymywały siê chwilê, i znów rytmiczne porusza³y siê zwolna, jednostajnie...

Krasnostawski, postawszy czas jaki¶¶, zbli¿y³ siê do stolika, wzi±wszy do rêki machinalnie stoj±ce tam lekarstwo. Spojrze³ na receptê. Przeczytawszy za¶¶, westchn±³.

By³y to leki zwykle, przepisywane dogorywaj±cym...

- Czy¿by naprawdê tak ¼le ju¿ by³o? - szepn±³ do siebie m³odzianiec - tak przytomnym by³ jednak przed chwil±!.. E!.. mo¿e Bóg da... pocieszaj±c siê - dokończy³ g³o¶¶no.

Tymczasem zmêczenie fizyczne i moralne wali³o wprost z nóg Krasnostawskiego.

Zbli¿y³ siê chwiejny do fotelu. Usiad³ i po kilkakrotnie ziewn±³ mimo

woli nerwowo. Po chwili jednak energicznie wstrząsnę się...

- Ooo... jakże mi się spać chce!.. - mruknę i ponownie ziewnę przeciągle z cicha.

- Ale nie można... nie można!.. - szepnę znów do siebie przekonywając i sięgnę po stojący opodal flaszki kolońskiej wody.

Przetarł sobie skronie, powłchał, poczem napił się zimnej wody ze szklanki, i jak mu się zdawało, zupełnie obecnie rzeźki, zagłębił się w fotelu.

Tymczasem minęło minut dziesięć zaledwie, gdy młody pan plenipotent spał już na dobre, pochrapując nawet z lekka czasami.

Sen zwyciężył... Milczenie i spokój jakifl żłowrogi zapanowały w komnacie.

A zewnątrz pałacu tymczasem noc z wolna i stopniowo królować zaczęła.

Na ciemnym tle nieba zamrugały wkrótce gwiazdy, od pół wionę wietrzyk i cichym żłkniejących liści pogwarem zaszumił nad domem park stary.

Wewnątrz zafl dworu usnęli wszyscy... Milczały tu wszystkie kąty, a w oddzielonej kilkoma komnatami jadalnej sali dochodził tylko regularny odgłos staroflwieckiego zegara, który brzdękał i tykał i bił przeciągle godziny jedna za drugą.

Nagle w głuchej ciszy sypialni pana Januarego rozległo się poczętkowo sabsze, niebawem coraz silniejsze charczenie. To chory starzec już konał...

Za żłem, w półflwielu komnaty, niewidzialna dla oka ludzkiego, stanęła flmierę, lepu swego chciwa - jęki zgłuszone umierającego dziesięciokrotnem echem wstrząsnęły ciszę domu...

Cofl zbudził Krasnostawskiego. Co? - sam nie wiedział na razie. Zerwał się z fotelu, oczy przetarł i spojrzął na pogrężone w cieniu żłe. Zdrętwiał nagle i wżosy dębem stanęły mu na głowie.

Z oczyma, wywróconemi po białka żłrenic, postawionemi w żłup, nieprzytomny, z ustami otworzonymi, żłórkę, zzieleniały - straszny, jęczał starzec, żłapał powietrze, stękał żłaflnie - charczał żłowrogo...

Krasnostawski zrozumiał, lecz znieruchomiał na razie do tego stopnia, że nie był w stanie poruszyć się z miejsca.. Po raz pierwszy w żłyciu znajdował się wobec konającego człowieka, patrzył więc bezprzytomny prawie i będnny nieustannie na Gowartowskiego... Dręał przy tem na całym ciele, chwycił go cofl za gardło, przykuwał do miejsca, do ziemi.

Równocześnie przynębiająca cisza gniotła mu piersi ciężarem, konające drgnienia i jęki umierającego, niby ostrzem ze stali krajały niemiłosiernie wyprężone nerwy, a zarazem lęk niewytłumaczony, dziwny, zatrząsł nim.

Więc to flmierę!.. flmierę idzie już, przybliżyła się, okropna, bezzębna, oto jej szkielet sunie obok, mija go!.. Zbliżyła się teraz obojętna do żła... nachyla nad konającym...

- Ha-ha-ha!.. ha-ha-ha!.. ha-ha-ha!.. - wstrząsa ścianami pokoju - oto śmiech jej straszny!.. Rzeczennie konającego odpowiada mu echem coraz przeraźliwiej, głośniej... Ponuro jęczy on, skarży się, miota !..

- Boże!.. Boże!.. Co... to? Co... to? - krzyknął Krasnostawski, schwycił się za głowę, zadygotał raz jeszcze i porwawszy ze stołu dzwonek - wybiegł.

W milczeniu powszechnego upłnienia rozległ się niebawem rozpaczliwy dźwięk pokojowego dzwonka, wstrząsnął murami !..

Gowartowski tymczasem czyniał począł teraz rękami jakieś szalone ruchy, gwałtownie odpędzał coś, bronił się przed kimś, jęczał jeszcze donośnie, chwycił powietrze, bezustannie charczał..

Bieganie napełniło niebawem dom całą. Garstka domowników i służby w kilka chwil później napełniła pokój dogorywającego człowieka. Ostatnia przysza staruszka, klucznica, z gromnicą w ręku.

Ważną więc zapalono popłisnie i uklękli wszyscy. Krasnostawski przy samym głowie, trzymając w dłoni rękę pana Januarego.

Chodząca mu ona w palcach coraz bardziej; stopniowo, powoli, charczenie, jęki, również ustawały, ucichły wreszcie...

Skupione milczenie komnaty, zamagnetyzowane wyczekiwaniem, trwożą, przerwał szelest, dla ucha prawie niedosłyszalny. Ostatnie w tej chwili ziemskie westchnienie człowieka ulatywało z piersi starca - mknęło w załłwiaty...

- Skończył... - szepnął Krasnostawski. Wśród klęczących rozległ się pęcz... Gdziegdzie pomyk zapalanej gromnicy oświetliło ponuro żółtawą plamą ściany, sprzęty i szyby komnaty, drgać zaczął bąskotliwy po twarzach klęczących ludzi.

Poczęto się żegnać pobożnie...

Wspólna, cicha, a pełna głębokiej wiary prostych dusz modlitwa, z wolą Najwyższego godziła się, pokorna, napełniła mury pokoju, i aż do stóp Stwórcy-Pana uleciała skrzydlata - wzniosła się tam, gdzieś wysoko, w ślad za zagadkowymi drogami duszy zmarłego, jakby mu niebo otworzyło pragnęła.

Pokraczając, czerwono-żółte dzikiego wina liście, pnie się po białych ścianach gowartowskiego dworu, zaglądają przez otwarte okno do małego gabinetu, obitego kirem, a ruszane z lekką wietrzykiem, kołyszą się w promieniach jesiennego słońca, powiewają zefiru delikatnym dreszczem przebiega również po rzędzie żółtawych upłnieć pomyków, palących się wokoło katafalku, ginącego w zieleni cieplarnianych kwiatów.

Obciążone w ubranie czarne, wytworny - pan, nawet tu, za życia progiem, na podwyższeniu leży January Gowartowski...

Zeszywniały palce jego trzymają kurczowo w dłoni krucyfik, zaczesany

starannie w s mlecznosiwy, sumiasty, polski, odbija piêknie na bia em,
jak marmur, obliczu starca, a twarz ta, zadum pe na, pogr on byæ tylko
siê zdaje w g bokim, cichym nie.

Kamienny to sen!.. Sen za wiatów, wieczno ci, zagadki bytu i wiadomo ci
prawdopodobnie tego, o co w dumie swej pokorny, rozbiæ siê musi rozum
ludzki; sen straszny - obojety na wszystko doko a!..

I niczem ju s dla niego sprawy tego pado u; niczem troski, cierpienia
ziemskie i niepokoje, niczem rado nie igraj ce po pokoju so nce - niczem
wreszcie bole æ i smutek klêcz cej u stóp katafalku, sêdziwej
kobiety-siostry!..

Przyby a w przeddzieñ marsza kowa Warnicka, dr cemi, zbiela emi usta
szepcze teraz modlitwy, z ócz jej zmêczonych co minut parê upada za
cicha, a wzrok z bole ci t umion wpatruje siê w rysy ukochane.

I modli siê znów pokorna!..

Lica Gowartowskiego bowiem nic nie mówi zepe nie !.. Spokój i martwota
nieziemska wyrte s na nich, a pogoda tylko jaka nieuchwytna, cicha,
wiadczyæ siê zdaje, e nie czuje on ju nic, a w ka dym razie, i
docze nie na pewno nie cierpi ju wcale.

- Módlcie siê, p aczcie... przyjd cie - odejd cie... zakopcie w
ziemiê... Róbcie, co chcecie - wszystko mi jedno!.. - mówi sob
wra nie zeszywnia e cz onki zmar ego.

A tymczasem przez otwarte okno do ciasnego naro nego pokoju wpadaj,
igraj coraz rado niej promienie so nca, p yn jakie dalekie z pól
pie ni, pogwary - oddalone yciowe echa...

Babiego lata nie wpada tu z wietrzykiem i osiada cicho na bujnej siwej
czuprynie zmar ego... W tej samej chwili drzwi od komnatki odmykaj siê
ostro nie i do pokoju wsuwa siê ros y, siwiej cy ju mê czyzna...

To £ady yñski. I on, przygnany strasznie choroby gro nej, pod y
do przyjaciela lat m odych, przybywszy jednak - za pó no.

Twarz jego, zazwyczaj pogodna, ironiczna, wy a w tej chwili ból
nie amany. Zbli a siê milcz co, opatruje p omyki wiec, przestawia
kwiaty, a poprawiwszy poduszkê - zrzuca z g owy Gowartowskiego swawoln
nie jesieni, i ukl k szy, g owê opiera o katafalk, w bolesnej zadumie.

Mija tak d uga chwila.

Poczem drzwi skrzypie znowu, na progu ukazuje siê dorodna
Krasnostawskiego postae. Obj wszy wzrokiem pokój i znajduj ce siê w nim
osoby, wzdycha ciê ko, nastêpnie za bli a siê do £ady yñskiego i
opiera lekko sw rêkê na jego ramieniu. Potrz sa niem delikatnie raz,
drugi...

Za trzecim dopiero dotkniêciem budzi siê £ady yñski z bolesnego
zamy lenia i unosi g owê..

- A, to pan? - pyta cicho - có to?...

Jakby w odpowiedzi jednocze nie do pokoju wpada wra nie oddalony
jeszcze nieco d wiêk dzwonek, i zg uszony gdzie po sio a drodze,

daleki tętent i turkot kó³ powozu.

I w tłumad za tem szeptem na pytanie pana Emila odpowiada Krasnostawski.

- Ze stacyi konie wracaj±... O ile wzrok mnie nie myli, kto¶ jest w faetonie... Zdaje mi siê, ¿e to - oni...

£ady¿yñski, s³uchaj±c go uwa¿nie, ju¿ powoli powsta³ by³ z klêczek.

- Mo¿e szanowny pan dobrodziej bêdzie tak³ askaw wyj¶æ na ganek - ci±gnie dalej Krasnostawski. - Pani± marsza³kowê - tu zni¿a g³os jeszcze bardziej - fatygowaæ nie wypada... Ja za¶ pana Dzier¿ymirskiego nie znam... A tu, do wiadomo¶ci zgonu...

- Tak, tak! - przerywa pan Emil, - dobrze, mój panie, idê... Ale prawda - zatrzymuje siê - trzeba uprzedziæ marsza³kowê, bo siê biedaczka wystraszy.

£ady¿yñski pochyła siê ku klêcz±cej pani Melanji i szeptem co¶ jej przek³ada.

Wpó³przyciomnie s³ucha go marsza³kowa Warnicka, po chwili za¶ wstaje i ze smutkiem bezbrze¿nym, wzdycha kilkakrotnie...

Jednocze¶nie dwaj mê¿czy¿ni wychodz± szybko, oddalony bowiem przed chwil± jeszcze turkot pojazdu wstr±sa ju¿ oto murami domu i powóz snaæ zajê¿d¿a ¶piesznie na dziedziniec. Odg³os dzwonek³ow dono¶nie przerywa martw± ciszê... Powóz staje.

A nastêpnie, a¿ tu, popod stopy umar³ego cz³owieka niewyra¿ne jakie¶ zg³uszone dochodz± g³osy i szmery...

Nagle, o milcz±ce ¶ciany pa³acu obija siê krzyk kobiecy bolesny, straszny, oraz st³umiony jeszcze oddaleniem jêk rozpaczliwy. W tłumad za tem rozlegaj± siê kroki, coraz szybsze, bli¿sze, a pó¼niej ju¿ ca³kiem dono¶nie tym razem, szelest sukni i³kanie.

Jeszcze chwila...

I cisza pokrytego kirem, ton±cego w s³oñcu i gromnic ¶wietle, zak±tka, sfinksowy, dumny majestat ¶mierci brutalnie przerywanym zostaje.

Drzwi roztwieraj± siê nerwowo, ruchem gwa³townym, od silniejszego pr±du powietrza ga¶nie przy katafalku ¶wiec kilka, i do pokoju wbiega ubrana w podró¿ne szaty, p³acz±ca Ola...

Za ni±, ukazuje siê ¶niade spokojne oblicze Dzier¿ymirskiego i wytworna sylwetka jego.

Jednocze¶nie murami komnaty wstr±sa krzyk bólu, rozpaczy, a zarazem ha³as drugorzêdny jaki¶¶, inny...

To Ola ju¿ na kolanach... Obejmuje ona ramionami zimne, martwe cia³o rodzica, odtr±ciwszy równocze¶nie niebaczenie przeszkadzaj±ce jej wysokie srebrne lichtarze, z chrzêstem padaj±ce w tej samej chwili na ziemiê...

Kto¶ schyla siê po¶piesznie i opodal ustawia je ponownie...

Tymczasem krzyk beznadziejnego cierpienia wydiera siê z ust Oli.

- Tato !... tatusiu !.. przebacz!.. - wo³a m³oda kobieta, p³acz±c, wij±c siê z rozpaczny. - Ojczye!.. ojczulku!.. przebacz!.. - koñczy w ³kaniu, szlochaj±c.

Na d¹/₄wiêk s³ów ostatnich chmura osiada na wynios³em czole Romana.

- Ty¶ winien tak¿e!.. ty równie¿!.. To dzie³o tak¿e twoje! - szepce mu co¶ w duszy w tej chwili i instynktownie blednie, pochyla siê i klêka po drugiej stronie katafalku.

A Ola ¶ciska, ca³uje teraz rêce, twarz i zimne czo³o starca, oblewa je ³zami, w³osy ojcowskie pie¶ci i tuli sw± g³owê do serca, co biæ ju¿ na zawsze przesta³o!..

- Ty nie umar³e¶ - szepce - ty ¶pisz tylko!.. ty nie umar³e¶!.. - powtarza uparcie. - To byæ nie mo¿e - nie mo¿e!!..

Powsta³a z klêczek marsza³kowa Warnicka podtrzymuje wij±c± siê w bólu kobietê z jednej strony - z drugiej opiekuñczo podpira j± £ady¿yñski.

Wszystkim ³zy krêc± siê w oczach, jeden Roman tylko nieczu³ym byæ siê zdaje pozornie, ale twarz jego kredowo - blada i brwi ¶ci±gniête ¶wiadcz±, i¿ i on, w tej chwili przynajmniej - cierpi. Klêczy wci±¿ nieruchomo, my¶li...

Poza nim, ¶wiadek niemy tej sceny, stoi Krasnostawski, wzruszony, bezradny. Opodal stary lokaj domowy patrzy osowia³y.

- Z³oty tatuniu !!.. z³oty !!.. - wo³a znów Ola, prosz±co, b³agalnie; z przerwami ma³emi, jêkliwy, przeplatany ³kaniem, odzywa siê bezustannie g³os córki-sieroty, a echo jego p³ynie przez okno w dal, do parku, na step i pola!..

I za g³osem zrozpaczonej jedynaczki, hejna³em wspólnym p³akaæ, ³kaæ oto zdaj± siê stare drzewa parku; szumem swych li¶ci drobnych brzoza nad wod± wie¶æ tê powtarza dalej, p³acz±c sama, a jêk bole¶ci, podchwycony akordami przyrody, p³ynie, p³ynie w dal...

I wszystko, zda siê teraz, za panem swym boleje !..

A wiêc i staw, ¶ni±cy fali swej szmerem, i ³any, i polne kwiecie, i step, strz±saj±cy z traw swych niby ³zy ¿alu - drobne kropelki rosy...

Jeden tylko umar³y, jak g³az nieczu³ym jest na jêk, ból swego dziecka.

Lecz czy¿ to z³udzenie?..

Pod poca³unkami przed chwil± i ³z± jedynaczki, zdawa³o siê, ¿e oto znika z alabastrowego czo³a starca g³êboka, zastyg³a tam zmarszczka, i ca³kiem ju¿ teraz pogodne, obojêtnie, ¶ni ono dalej bez koñca...

Mo¿e dusza z poza stref ¶wiata niewidzialna zab³±ka³a siê jeszcze tutaj przed dalsz± w wieczno¶æ zagadkow± wêdrówk±?.. A mo¿e trup s³ysza³ jeszcze ?

Ktô¿ wie? ktô¿ zgadnie?

- Ojczye!.. ty ¿yjesz!!.. tato... tatusiu!.. Biedna ja... biedna...

nieszczęśliwa... - bezzmiennie; tylko coraz ciszej i ciszej, rozlega się dalej u stóp starca wołanie Oli, w spazmach kłaków bolesnych, bezsilne, straszne w swej grozie, bólu - coraz beznadziejniejsze.

- Tatuniu!!.. Ta... tu... niu!.. - kona wreszcie krzyk młodej kokiety...
Milknie, oddany echem parku, pogwarami siostrami i pół szerokich...
półomdla i sabażonę wynosi pośpiesznie na rękach Dzierżymirski z powleczonej kirem komnaty.

Wystraszeni podążają za nim wszyscy...

To życie już ze śmierci walczy zaczynać. Przepotężne w swej sile, nie lubi, by zapomniano o nim, odrywa w tej chwili despotycznie od nieboszczyka, w skupieniu otaczających go dotąd ludzi. Troska o żywym wzięcia górę!..

W promieniach radosnych jesiennego słońca, w ciszy, grającej tylko poważnym szumem drzew ogrodu - w chwilowym nieładzie wpośród przygasłych kwiatów i poodsuwanych kwiatów, niewzruszony w swym majestacie śmierci - umarły pozostał sam.

Od pogrzebu Januarego Gowartowskiego minęło dni kilka.

W pogrzebnym już we śnie pałacu w Gowartowie paliło się jeszcze światło w jednym pokoju, rzucając w noc ciemną promień jaskrawy przez okienne szyby.

W kancelaryjnym gabinecie dawnego pana, a dziś sypialni nowego dziedzica, Dzierżymirskiego, on sam, znużony dniem minionym, a nader dlań obfitym w niezwykłe zdarzenia, kładł się do snu i z wolna rozbierał leniwie.

Na stoliku obok óżka stała odkorkowana butelka szampana i kieliszek wysoki, z kryształu, oraz odemknięte pudełko cygar.

Roman po chwili zapalił jedno z nich, nalał sobie wina i wypił haustem jeden kielich, poczem zmęczony, wsunął się pod kołdrę, zgasił światło.

Odetchnął parę razy głębiej, z ulgą, przeciągnął się, aż zatrzeszczało starożywieckie łożo, ziewnął smakowicie, zaciągnął się za wyborowem cygarem, myślał o ukończonym dniu dzisiejszym, a prześmiewczy w dotychczasowym życiu jego.

Dziś to bowiem odbyło się otwarcie testamentu nieboszczyka.

Stosownie do woli zmarłego, córka jego stawiała się jedyną spadkobierczynią kilkakroćstotysięcznego majątku...

Dzierżymirski powtórnie wyciągnął się z lubością w szerokim, szeleszczącym pościelonym łożu.

- Tak, kilkakroćstoty-sięć-nego... - szepnął do siebie z zadowoleniem. Uśmiechnął się... Dwa dni temu jeszcze, jadł tu, a przeczuwał zgon ojca Oli, - był pewnym niemal, iż on córkę za nieposuszeństwo

wydziedziczy³.

Już dnia następnego po przybyciu do Gowartowa przyjemnie bardzo rozwia³y się jego trwogi; wzruszonej opowiadaniem o ostatnich chwilach pana Januarego córce, w obecności Romana, wręczy³ by³ Krasnostawski podarty w³asnoręcznie przez umierającego ojca testament.

On za³, pomimo to, w³ąpi³ jeszcze... Ba³ się otwarcia ostatniej woli nieboszczyka, z³o³onej oficjalnie u notaryusza; i tutaj zdawa³ się przeczuwa³ podstęp jaki³ może i przykr³ niespodziankę.

Dzi³ wreszcie pierch³y bezpowrotnie niepokoje ostatnie. Z ni³ ucieka³ równie³, strach bliskiego bezpieni³ego jutra, które czeka³o nań, czyha³o z wydaniem ostatnich paru tysięcy, pozosta³ych z poprzedniej fortunki, życiem nad stan przez lat trzy lekkomy³lnie wydanej.

Tu Dzier³ymirski u³miechn³ się szydersko.

Nie, stanowczo, pieni³dz do niego się garnie!.. Ten, który posiada³ dot³d, choć wygrany, pali³ go częstokro³, pomimo wszystko, przypomnieniem przesz³o³ci. Sofizmatami w³umia³ w siebie wspomnienia gryz³ce, lecz jednocze³nie i instynktownie jakby rozruca³, pozbawia³ się grosza, tam, gdzie³ na dnie duszy w³asnej, choć nie przyznawa³ się pozornie do tego, rad nawet b³dc, i³ z³oto w³pliwe sz³o - nik³o...

Jakby otrz³saj³ć się z tego samopoczucia, Dzier³ymirski poruszy³ się niespokojnie i powróci³ my³l³ do tera³niejszo³ci mi³ej.

On i Ola - wszak to jedno. Dzi³ zatem, pomimo praw miejscowych, de facto, stawa³ się panem okaza³ej i pańskiej, w³asnej fortuny.

I pokryta, st³umiona wa³no³ci³ chwili, smutkiem Oli, oraz ca³ego domu - przez dzień ca³y - teraz dopiero, w ciszy u³pienia pa³acu, w czterech ³cianach sypialni, rozsadza³ pocz³o Dzier³ymirskiemu piersi egoistyczne zadowolenie wewn³trzne.

Szczerze ³owa³æ zmar³ego Roman w istocie nie móg³. Poza innymi cechami charakteru dodatniemu i mi³emi, arystokrata z przekonañ, nieprzyst³ny i dumny względem tych, których pragn³ trzyma³ od siebie z daleka, takim tylko, a nie innym, okaza³ się nie³yj³cy pan January, w stosunku do dzisiejszego swego zięcia.

Dzier³ymirski nie bola³ więc wcale nad strat³ te³cia swego... Teraz za³, powoli pal³ć cygaro, my³l jego, przesun³wszy się obojętnie po wypadkach ³mierci pana Januarego i jego pogrzebu, zatrzymuj³ć się przy tych zdarzeniach tylko ze względu na bole³æ drogiej mu Oli - swobodna, pomyka³a obecnie chy³o w przysz³o³æ.

Od jutra staje się panem!.. B³dzie administrowa³ dobra, zbiera³ dochody...

I Romana upaja³o to jutro!..

Lat temu par³ skromny student, korepetytor bez grosza przy duszy, ³le odziany, od³ywany - biedny... Pó³niej zrzd³zeniem losu ³lepego w³a³ciel sumki poka³nej grosza... Dzi³ dziedzic, pan ca³±, g³±!..

- Do dyaska !.. - mrukn³ Dzier³ymirski i u³miechn³wszy się z zadowoleniem, musia³ przyzna³ jednak, ³e ³wiat nie tak z³y i nic nie

wart, jak nazywa³ go ongi, w pesymizmu chwilach, i że życie czasami bywa wcale mi³em.

- I cóż mog[±] o mnie z³ego powiedzieæ ludzie, ¶wiat ca³y? - rezonowa³ dalej w my¶lach swych Roman.

- Nic zupe³nie. O zgubie niezwróconej wszak nikt nic nie wie, ka¿dy za¶ znaj±cy mnie przedtem, gdy dzi¶ mnie spotka, powie tylko z przekonaniem: Zuch, poradzi³ sobie w ¿yciu!..

- A jak? któ¿ o to pytaæ bêdzie...

Dzier¿ymirski, poczuwszy znów pragnienie, w pó¶wietle pokoju odnalaz³ kieliszek i butelkê szampana, któr±, powodowany jakim¶ dziecinny wprost kaprysem, przyniós³ sam sobie wieczorem z "w³asnej" piwnicy; nalawszy wina, napi³ siê chciwie.

Rado¶æ za¶ jego wewnêtrzna, poza egoistyczn± samowiedz± przysz³ego bytu, mia³a równie¿ na jego obronê, przyznaæ nale¿y, i szlachetniejsz± podstawê.

- Teraz bêdê mia³ na to, by oddaæ to, co znalaz³em - mówi³ sobie w³a¶nie w tej chwili, trzymaj±c machinalnie w rêku wysoki kryszta³owy kielich od wina, a w my¶lach bezwiednie i niejasno zarazem uk³ada³ ju¿ wzglêdem tego plany na przysz³o¶æ.

- Ukrytym celem ¿ycia mego bêdzie znale¼æ, odszukaæ koniecznie zagadkowego w³a¶ciciela zgubionych dwudziestu siedmiu tysiêcy - szepta³ cicho Roman do siebie, - a oddawszy mu jego pieni±dze, oczy¶ciæ siê w ten sposób z plamy przesz³o¶ci!..

- Muszê j± zmazaæ! Czystym byæ muszê!.. - z si± powtórzy³ g³o¶niej. - Choæbym mia³ ¶wiat z posad poruszyæ! - dokończy³ z moc± i umilk³, a równocze¶nie w piersiach jego zapala³a siê teraz jaka¶ gor±czka czynu.

Zdawszy za¶ sobie natychmiast sprawê z tego stanu swego, Dzier¿ymirski poruszy³ siê w po¶cieli swej niespokojnie.

- Tak, ja go znajdê! - mówi³ sobie w my¶li dalej. - Znajdê, dla tego choæby, i¿ nie unikaæ boja¼liwie, jak dot±d, ale ¶mia³o szukaæ go bêdê. Ale... - tu Roman zatrzyma³ siê w my¶lach, - ale, by dopiæ tego - powtórzy³ - wszak muszê wyp³yn±æ na arenê szersz± ¶wiata!.. Bo przecie¿ tu, choæ bêdê panem Gowartowa, nic przecie w tym wzglêdzie uczyniæ nie zdo³am!..

- A wiêc - gdzie ?.. - drêczyæ go, mêczyæ poczê³o pytanie. Dzier¿ymirski brwi zmarszczy³.

Powtórnie, znowu poczu³ w sobie jak±¶ nieprzepart± chêæ czynu, a równocze¶nie zrozumia³ nagle, że rado¶æ jego chwilowa, przelotna z odziedziczenia majątku by³a s³omianym tylko ogniem!

Bo, rzeczywi¶cie...

Ambicya bowiem, czasem ¼le umieszczona - pojêta, lecz jedna i ta sama zawsze, która dot±d pcha³a go ¶lepo naprzód, i teraz, choæ zosta³ panem i zdoby³, czego pragn±³, uka¿e mu niew±pliwie inne znów braki obecnego po³o¿enia, "i¶æ" naprzód ka¿e, wynie¶æ siê ponad drugich zachêcaæ bêdzie - nurtuj±ca, despotyczna - nie pozostawi go w spokoju!

Wziąwszy za siebie jeszcze pod uwagę uciążliwy wyrzut sumienia i chęć zmycia plamy z własnej uczciwości - przyszoła jej ta, przed chwilą jeszcze wymarzona, idealna... już teraz przed wzrokiem Romana pokrywa się cieniem.

Samowiedza powiększa pokrywą chmur na chwilę piękne rysy Dzierżymirskiego.

- Ha!.. zobaczymy!.. - rzekł zupełnie głośno, a wypiszący do końca szampańskie wino, postawił kielich na stole tak silnie, że lejkowaty, delikatny, przyszoł on i szczytki kryształu upadły z brzękiem na ziemię.

Pierwszym ruchem pana na Gowartowie było sięgnięcie po zapalniczkę, myślenie o zapaleniu papierosa, by zebrać trochę siły, przemknęła mu przez głowę.

Powstrzymał się jednak i mruknął z cicha:

- Po co? Mam przecież na zawołanie kamerdyra i dwóch lokai... Sprzęt jutro...

Poczem, znużony myślami, przytulił głowę do poduszki, usiłując zasnąć.

CZĘŚĆ DRUGA

Była wiosna...

Od opisanych zdarzeń piąta już z kolei tak samo urocza zawsze, uśmiechnięta i wesoła - nowa wiecznie, w zieleni i blaskach wschodziła ona znowu nad światem. Pełna w przyszłość wiary i nadziei krzepiała serca, rozjaśniała umysły, śmiała się po twarzach ludzkich uśmiechy radosne, a rozogniając wyobraźnię, zmysły - upajała swym tchnieniem, majowem, świeżym - szła zwycięska, królewska, wspaniała...

Przez wpróbknięte okno powiew jej, znacznie z guchym gwarem ulic wielkiego miasta, wdiera się do umeblowanego powaźnie, obszernego gabinetu, gdzie przy biurku okazałym, a zarzuconym papierami, listami, księgami i pismami, siedział Roman Dzierżymirski i sęcha mówił czegoś do niego mrodoego męczyzny.

Po chwili tenże umilkł, w pokoju zapanowała cisza, zamykająca śnie powaźnie i czas długi toczył się rozmowę.

Roman zamyślony, ująwszy w dwa palce jakiś papier, złożył go we czworo, postukiwał nim machinalnie o amarantowe sukno biurka, przybysz zaś milczał, wpatrzony w niego - na odpowiedź czekał cierpliwie, bawił się tymczasowo trzymaniem w ręku nożem do rozcinania.

Gość nieznajomy był niskiego wzrostu; twarz miał myślną, ruchliwą i zmienną, cała zaś jego powierzchowność, wyraźnie zdradzała się zdawała, kogoś ze sfer finansów, lub przemysłu.

Przeniósł niebawem wzrok z twarzy Dzierżymirskiego na otaczające go sprzęty w gabinecie, pobieżnie przyglądał mu się zaczął.

Rzuci³ więc okiem na stojący opodal stół duży, przykryty zielonym sukniem, a przeznaczony zapewne do sesji i narad, na otaczające go fotele, skóry kryte, na dwie, szafy książek, zegar - cacko starożytne; spojrz³ na parę konsol, stolików, i innych zbytkownych gracików - wreszcie, zniecierpliwiony dużym milczeniem gospodarza, zagadn³:

- Zatem... panie prezesie?

Dzierżymirski ockn³ się, i już otwiera³ wspaniale usta, by coś odrzec, lecz zatrzyma³ się nagle, drzwi bowiem skrzypane³y, i wszed³ lokaj, trzymając duży list na tacy.

- Jakiś pan to przyniós³, czeka³ bardzo długo, - objaśni³, - w końcu kaza³ mi list oddać jaśnie panu, a sam poszed³...

- Przepraszam pana!.. - rzuci³ Roman gościniowi swemu - pan pozwoli, nieprawdaż? - i rozerwa³ kopertę przyniesionego pisma.

Spojrz³ na awiatkę papieru formatu handlowego, z kilkunastoma tylko wierszami, pisanymi czytelnie na maszynie, i kilkoma hieroglifami podpisów.

Lokaj znik³ tymczasem, a, jednocześnie Dzierżymirski, skończywszy czytanie, ponownie zwróci³ się do gościa swego, lecz i tym razem znowu przeszkadzono mu.

Ktoś puka³ do drzwi dyskretnie.

- Proszę!.. - rzek³ Roman głośno.

Drzwi roztworzy³y się szybko. Do gabinetu wszed³ m³odzieniec bardzo wysoki, ubrany modnie, o powierzchowności wytwornej i pańskiej, oraz ruchach naturalnych, swobodnych, nerwowych nieco tylko i zbyt prędkich.

Przeprosiwszy pośpiesznie siedzącego przemysłowca, Dzierżymirski zerwa³ się na widok wchodzącego.

- Pardon... mille fois... pardon!.. Kochany prezesie, s³ówko tylko jedno - mówi³ już tymczasem przyby³y, a ujrawszy powstającego instynktownie gościa, doślad³ grzecznie rzuci³ w jego stronę.

- Przepraszam bardzo, stokrotnie... pana... sekundę tylko!.. - ująwszy za ramię Dzierżymirskiego, nachyli³ się ku niemu, odprowadzi³ dalej nieco i półgłosem mówiąc coś, z żywością i gestykulacją, stojąc z nim razem progiem gabinetu.

Po chwili, odprowadzony aż do drzwi, z atencją wyraźną, połączną się serdecznie z Romanem i znikn³ za portyerą i drzwiami.

Dzierżymirski tymczasem powraca³ już do gościa swego, a przeprosiwszy go raz jeszcze, doda³ na pozór niedbale:

- To wspaniale księżę-ordynat B... nie zna pan?... Mia³ do mnie interes bardzo pilny... Tu znów - wskaza³ na otrzymaną przed chwilą korespondencję, - zaproszenie na ogólne zebranie akcjonariuszów jednej z naszych kolei. Dziś mam piątą sesję... - cięgn³ dalej w tym samym tonie, - tam - uczyni³ g³ow³ niewyraźny ruch ku drzwiom, - czeka masa interesantów... Wszystkie godziny dnia policzone...

- Wobec tego - zatrzyma³ się znowu Roman - nie wiem doprawdy - mówi³ zwolna - czy przyją^æ mog^ê tak szacowny wybór panów... Po prostu nie mam w ogóle czasu... Nie, nie mog^ê !

Cieñ przeszed³ po obliczu nieznanego, chcia³ co[¶] zaprotestowa^æ, lecz Dzier³ymirski ju³ mówi³:

- Przykro mi tylko, i³ panowie z tego powodu ambaras prawdopodobnie mie^æ b^êd[±]... - zatrzyma³ się chwil^ê i wskaza³ na trzyman[±] do niedawna, w r^êku odezw^ê jednego z pierwszor^êdnych akcyjnych towarzystw w^êglowych, w kt^órej donoszono mu w³a[¶]nie o wyborze go podczas ostatniego zebrania akcyonaryusz^{ów} na przewodnicz[±]cego w komisji rewizyjnej.

- Lecz wyzna^æ musz^ê - ci[±]gn[±] dalej i u[¶]miechn[±] się przy tem z lekka, - ³e nawet czynno[¶]æ, proponowana mi przez panów, zastaje mnie ca³kiem nie przygotowanym. Po prostu - tu po wargach Romana przemkn[±] powtórnie u[¶]miech - dziedzina to rzeczy, dla mnie nie tak dok³adnie i zupe³nie znanych... Terra incognita... - sk³oni³ g³ow^ê ruchem lekkim - stanowiska podobnego nie mia³em jeszcze dot[±]d...

I Dzier³ymirski zamilk³ na chwil^ê poczem swobodnie dorzuci³:

- Ale! prawda... Zapomnia³em jeszcze powiedzie^æ szanownemu panu... Za par^ê dni wyje³d³am na czas d³u³szy za granic^ê, dla wypoczynku.

Roman zatrzyma³ się i pytaj[±]co spojrze³ na go[¶]cia swego.

- O!.. to najmniejsza... - odpar³ szybko przemys³owiec - czynno[¶]æ komisji w roku bie³±cym wypada dopiero za miesi^êcy kilka, a odbywa się w og^óle niez^êsto... Co za[¶] do pierwszego punktu... rzecz to równie³ ma³ej wagi...

- Nie chodzi nam bynajmniej o jednostk^ê tak dalece rutynowan[±], - przeproszam za wyrażenie i m³ody cz³owiek u[¶]miechn[±] się lekko - lecz o cz³owieka tych wp³yw^{ów} i stanowiska, oraz zaufania szerokich k^ó3 naszego miasta, jakie pan prezes po paru latach zaledwie zdoby^æ sobie potrafi³, i kt^óre niew[±]tpliwie, rzecz mo³na, posiada obecnie ju³ w zupe³no[¶]ci...

Dzier³ymirski teraz z kolei u[¶]miechn[±] się na tak jasne postawienie kwestyi.

Rzeczywi[¶]cie, lat temu kilka, gdy nieznanu tu zgo³a jeszcze przyby³ osiedli^æ się w mie[¶]cie, czy³by [¶]ni³o się nawet komu przyj[¶]æ doñ z tego rodzaju propozycy[±]. B³ysk zadowolenia mi³o[¶]ci w³asnej przemkn[±] w tej chwili po licach Dzier³ymirskiego.

- Nie traci³e[¶] czasu daremnie - mówi³ mu wewn^êtrzny g³os i uczucie pychy rozpiera³o piersi.

Milczeniu zaleg³e przerwa³ tymczasem g³os przemys³owca.

- Zatem - rzecz za³atwiona nieprawd³ ? Pan prezes - przyjmuje?...

Dzier³ymirski zawaha³ się sekund^ê jeszcze, pochlebstwo jednak, podane zr^êczenie, dzia³a^æ poczyna³o. Zdecydowa³ się da^æ odpowied¹/₄ przychyln[±].

- No... trudno!.. - wycedzi³ z wolna, oboj^êtnie i z pozornym przymusem. Pomimo obowi[±]zk^{ów} i odpowiedzialno[¶]ci, kt^óre wk³adaj[±] na mnie czynno[¶]ci

i stanowisko przewodniczącego w komisji, przyjechał już chyba muszę!..

- Wybór panów akcjonariuszów zresztą takiego związku, jakim jest Towarzystwo panów - tu Roman skłonił się grzecznie w stronę gościa swego, a będącego - cięgnął dalej - bez pochwały i przesady, w rozkwicie obecnym jednym z pierwszorzędnych w kraju - zaszczyt mi tylko przynosi - i Dzierżymirski w tym miejscu przemówienia swego pochylił z lekka głowę.
- Co za do czynności rewizyjnych, mam nadzieję również - kończy - i chyba im podobam, tymbardziej - uśmiechnął się tym razem nieco dumnie - że zajęł bardzo podobnych, choć tak różnorodnych, piastuje od pewnego czasu moc niezliczonych...

- O, naturalnie! - przywodził go skwapliwie, - zresztą przyjemnością miałem powiedzieć już panu prezesowi w toku rozmowy dzisiejszej, że zdaniem jest jedynym akcjonariuszów naszego Towarzystwa, i w całym mieście nie ma formalnie nikogo, kto by lepiej od pana prezesa czynności wzmiankowaną objął zdoła.

Dzierżymirski na to znowu pochlebstwo nowe w milczeniu nisko pochylił tylko głowę i powstał z siedzenia.

Gość jednocześnie z krzesła zerwał się szybko.

- Dziękuję i uciekam, panie prezesie, czas - to pieniądz, a przysowie to nigdzie chyba lepiej, niż tutaj, zastosowaniem być nie może.

- Proszę wyrazić tymczasowo moje podziękowanie panom z Rady Zarządzającej, - odparł uprzejmie Dzierżymirski. - W sprawie tej zresztą wpadł osobiście do biur Towarzystwa, przed moim wyjazdem.

- Sługa pański!.. - rzucił jeszcze przybyły w ukłon i w ślad za tym znikł za drzwiami. Dzierżymirski krokiem miarowym przechadzał się po pokoju.

- Wiem i ta akcyjna spółka węglowa - myślał - obracająca kapitałami, najpotężniejszymi może w kraju, ceniona, znana, wybrała go również! Wiem i oni doń przyszli! Wśród siebie nie znaleźli nikogo, godniejszego, by piastować urząd, tak pełen zaufania!.. - w umyśle Romana bezustannie nad innymi górowało wrażenie wizyty ostatniej.

Duma wciąż rozsądza mu piersi, uśmiech zadowolenia błąkał się po ustach; Roman, zamysłony, przebiegał cięgle swój gabinet wielkimi krokami.

Nagle rozmyślanie to, tak wielce dlań miłe, przerwane zostało wejściem lokaja.

- Jakaś nieznajoma pani w łóżku chce widzieć się z jaśnie panem - zaanonsowała.

- Jak się nazywa?

- Oto bilet, jaśnie panie...

Dzierżymirski wziął z ręki sługi kartkę brystolu i przeczytał wylitografowane na niej nazwisko; nic jednak nie powiedział mu ono.

- Proszę! - rzekł krótko.

Lokaj wyszedł, a Dzierżymirski zbliżył się z wolna do swego biurka i usiadł przed nim, spojrzawszy przy tym mimo woli na leżące tam porzucane papiery.

- A... prawda!.. - mruknął półgłosem do siebie i sięgnął jednocześnie po papier listowy, oraz kopertę.

Przed nim, jako wice - prezesem zakładów dobroczynnych, leżał list znanego w mieście i wpływowego księcia S., z prośbą o umieszczenie w jednym z przytułków jakiegoś schorzałego biedaka.

Odpowiedzi przychylniej w tej sprawie - którego dnia poprzedniego sam już załatwił osobliwie - nie dał jeszcze księciu; umoczywszy więc pióro, Roman począł pisać zamasywie.

W tej samej chwili do komnaty wsunęła się przysadzista, krępa postać czarno ubranej kobiety. Małymi kroczkami podeszła natychmiast do biurka i przemówiła głośno:

- Przepraszam bardzo, że tak natarczywie...

Dzierżymirski, niezadowolony nieco, że mu tak z nagłą przerwano wtek listu, spojrzawszy niechętnie z pod oka na nowo przybyłą.

Przed nim stała kobieta lat pięćdziesięciu może, o znękanych rysach, ubrana nieco z starożywiecka, dołbą zresztą poza tem układnej powierzchowności.

- Niech pani spocznie, proszę... za chwilę służę! - rzekł uprzejmie i począł pisać znowu.

- Doprawdy nie rozumiem sama, jak ośmieliłam się przyjść tutaj, ale szlachetnie, zacnie szanownego prezesa... - usłyszała znowu Roman.

Niecierpliwie tym razem wzniosł na przybyłą spojrzenie i przerwał jej grzecznie, lecz sucho:

- Przepraszam. Jak widzi szanowna pani, chwilowo zajęty jestem... Wszak pani nie pilno?..

- O, nie... przeciwnie... Tylko...

Roman spuścił oczy i myśliwieczo, oraz począł pisać dalej, najspokojniej w świecie. W pokoju zaległo milczenie, przerywane li tylko zgrzytem pióra po papierze.

Gdy Dzierżymirski list skończył, podniósł machinalnie oczy na nieznaną.

Uśmiechnął się mimo woli; spotkał się bowiem z dziwnie zabawnym i uszczypliwym wyrazem jej twarzy, oraz wejrzeniem zębem i jakby obrażeniem, które pod niespodzianym wzrokiem jego zągodniało jednak natychmiast, przeistoczyło się w sódki i potulne, jak u baranka.

Zaadresowawszy list, Dzierżymirski zadzwonił na lokaja. Gdy ten się zjawił, polecił mu odesłać pismo natychmiast.

- Czy jest kto? - zapytał.

- Pan hrabia z Melsztyna... Czeka w salonie - brzmia³a odpowied¼.

- Powiedz, ¿e przepraszam, i za chwilê go proszê! - rozkaza³ Roman, gdy za¶ lokaj znik³ za drzwiami, uprzejmie z kolei zwróci³ siê do nieznajomej.

- S³ucham pani±... Czem s³u¿yæ mogê?

Przyby³a poprawi³a siê na krze¶le, zrobi³a minê s³ods± jeszcze, i zmieszana nieco przemówi³a:

- Mój m±¿, znaj±c tak dobrze szanownego pana prezesa, tak czêsto wspomina³ mi o jego szlachetno¶ci, zacno¶ci, dobrem sercu, ¿e... - tu przerwa³a na chwilê, widz±c zdumion± minê Dzier¿ymirskiego, poczem ci±gnê³a znów dalej, straciwszy widocznie w±tek poprzednich my¶li, bo nie dokoñczy³a ju¿ poprzedniego zdania:

- Mój m±¿, Nepomucyn, zawsze mawia³ mi takich ludzi potrzeba nam wiêcej, jak prezes Dzier¿ymirski; ludzi hartu, ¿elaznej woli, inteligencji rzutkiej, prawo¶ci charakteru... O, mój m±¿ bardzo, bardzo ceni³ pana prezesa... - i zawik³awszy siê ponownie w wyg³aszane przez siê pochwa³y, nieznajoma zatrzyma³a siê chwilê.

Dzier¿ymirski, zniecierpliwiony nieco, skorzysta³ skwapliwie z przerwy.

- Przepraszam pani± - spyta³ grzecznie - jak godno¶æ i imiê mê¿a pani? Czy ¿yje?...

- Nepomucyn Wygrzywalski - odpar³a zapytana - zmar³ rok temu... ¿wieæ, Panie, nad jego dusz±! - westchnê³a.

Dzier¿ymirski zmarszczy³ brwi i zamy¶li³ siê chwilê.

- Nie przypominam sobie, bym mia³ przyjemno¶æ znaæ osobê tego nazwiska... - wycedzi³ z wolna.

Z pod u¶miechniętych s³odkawo i mile, si³± woli u³o¿onych rysów przyby³ej, b³ys³o ku Romanowi ura¿one i gro¼ne spojrzenie.

- Jak to ? - odezwa³a siê obra¿onym nieco i kwaskowatym jakby tonem. - Byæ nie mo¿e ?.. Pan prezes chyba przypomnieæ sobie tylko nie raczy...

- A jak dawno? - ¿agodniej nieco przemówi³ Dzier¿ymirski. - I ile razy - s³owa ostatnie podkre¶li³, u¶miechn±wszy siê ironicznie - widzia³ mnie m±¿ pani?

- O! kilka razy zaledwie mia³ sposobno¶æ... - po¶pieszy³a z odpowiedzi± przyby³a. - Dwa, trzy mo¿e... Ale widzenie siê to by³o dlañ przyjemnem nad wyraz - utkw³o mu w pamiêci...

- Ach, m±¿ mówi³ mi tyle razy - ci±gnê³a dalej s³odkawo, z wymuszonym okoliczno¶ciowym u¶miechem, - ¿e, naturalnie, poza zas³ugami spo³ecznymi, tak przyjemnego, sympatycznego, mi³ego cz³owieka, jak pan, nie zna³ by³ dot±d, i dla tego te¿ my¶la³am, ¿e i pan prezes... - tu urwa³a swe przemówienie pani Wygrzywalska, ¶ledz±c na twarzy Romana wrá¿enie s³ów swoich.

Ten jednak¿e, zra¿ony nieco rzucanemi mu w twarz ni przypi±³, ni przy³ata³, pochlebstwami ju¿ powtórnie, i ca³kiem notabene, niezrêcznie,

odrzek³ zimno:

- O, proszę pani... Ja widuję po trzydzieści, czterdzieści interesantów dziennie... Po³owa z nich nieznan[±] mi bywa zazwyczaj - liczbie tych więc znajdowa³ się zapewne m[±]ż pani... Dlatego te^ż nie przypominam go sobie.

Jak pocisk zjadliwe tym razem i ca³kiem ju^ż obra^żone uderzy³o w lica Dzier^żymirskiego spojrzenie pani Wygrzywalskiej.

- Dziwi mnie to niewymownie, że tak uporczywie pan prezes przypomnie^æ sobie mego m[±]ż a nie raczy... - odezwa³a się uszczypliwie, a w głosie jej czu^æ by³o śmierteln[±] obraz^ê.

- Przecież ostatecznie - mówi³a w tym samym tonie dalej - jak i mnie, tak i jego, tu w mie^ście zna³o du^żo osób... Nie dalej, jak hrabiowie Olscy, zacno^ści i pocziwo^ści ludzie, z którymi mnie ³czy nawet stosunek przyja^źni... Wyjechali za granicę wczoraj w³a^śnie... Następnie równie^ż i nieod^ża³owanej pamięci ksi[±]ż^ê Topór-Toporski Alfred tak ³askaw by³ za ^życia opiekowa^æ się nami... - kończy³a przyby³a z godno^ści[±].

- Chce zaimponowa^æ mi znajomo^ści[±] z ksi[±]ż^êtami, a to orygina³ baba, - przemkn^ê3o przez my^śl Dzier^żymirskiemu i u^śmiechn[±]3 się jednocze^śnie, zrobi³ bowiem i inn[±] w tej chwili uwag^ê, a mianowicie, że jako^ś za wiele by³o nieboszczyków w gronie ludzi, na których powo³ywa³a się sied^zca przed nim jejmo^ść.

Chc[±]c przytem przeci[±]æ zarazem zapowiadaj[±]c się prawdopodobnie znów na d³ugo tyrad^ê s³ów, pozbawionych, jak i poprzednie, ścis³ej logiki, rzek³ szybko:

- Przepraszam bardzo: Nie mog³a by mnie szanowna pani powiadomi^æ jednak, czemu w³a^ściwie zawdzięczam jej wizyt^ê?

Na tak jasno postawione ultimatum zmiesza³a się przyby³a i wy[±]ka³a:

- Nie wiem doprawdy, jak ja, wdowa nieszcz^êśliwa, zdoby³am się na tak[±] śmia³o^ść... Ale, przynaglona materialnem po³o^żeniem bez wy^ścia, ufaj[±]c w przyja^źń, któ[±] ^żywi³ mój m[±]ż nieboszczyk do pana prezesa, chcia³am prosi^æ o drobn[±] po^życzk^ê... - urwa³a na chwil^ê, poczem g³osem śmia³ym ju^ż teraz i godno^ści pe³nym, doda³a:

- Co do oddania - nie mo^że by^æ obawy ^żadnej, ponieważ ludzie mnie znaj[±]... A zreszt[±]... - tu u^śmiechn^ê3a się z dumn[±] - pochod^ê sama z arystokracji, więc...

To "więc" by³o wypowiedziane takim tonem, i ^ż rozwiewa^æ się zdawa³o wszelkie co do zwrócenia kwoty w[±]tpliwo^ści; jejmo^ść nie dokończy³a zdania, a spojrze³a tylko przenikliwie na s³uchacza swego, jakby pragn[±]c odgadn[±]æ, jakie wra^żenie na^ñ uczyni³o powiedzenie jej ostatnie.

Dzier^żymirski za^ś tymczasem, zdziwiony nieco tym epilogiem, u^śmiechn[±]3 się pod w[±]sem nieznacznie.

- Czy wolno wiedzi^æ - z której? - z kurtuazy[±] zapyta³.

- Rodz^ê się z domu kniazi³wna R[±]rowska - z godno^ści[±] i namaszczaniem odpar³a dumnie wdowa.

Dzier^żymirski ponownie u^śmiechn[±]3 się z ironi[±]. Rodzina ta prawie, że

już całkiem wygasła, aczkolwiek dawna bardzo, według heraldycznych i historycznych danych, nigdy nie miała praw do żadnych w ogóle tytułów, prócz kopertowych chyba.

Szysząc zatem wypowiedziane tak czelne kłamstwo, Roman nie odpowiedział nic, a tylko wpatrzył się badawczo, z uwagą, w twarz siedzącej przed nim kobiety.

Od początku już samego dziwiły go jej rozmowa i zachowanie całe, teraz więc, gdy wiedział cel wizyty, bystrym wzrokiem rozumnych oczu wpatrywał się wciąż w rysy przybyłej. Trwało tak minut parę.

I pod spojrzeniem tem nagle spuściła wzrok kobieta...

Po raz pierwszy od kwadransa spadała z twarzy jej obłądana, fałszywa i układowa, a przydziana li tylko w imię pozorów, maska. Zorane policzki wdowy okraśniał lekki rumieniec, a pod wpływem jakiejś myśli zapewne, wyraz jej oblicza, prawdziwy i szczery, mignął na chwilę przed oczyma obserwującego mężczyzny.

I to ocaliło nieboraczkę. Zniecierpliwiony bowiem dotąd obecności jej Roman, i zdecydowany już prawie wyprosić za drzwi kniaziównę "de domo", zamyślił się nagle.

Po chwili zaś, jakby wynik przelotnego egzaminu fizjonomii przybyłej, był dlań wystarczającym zupełnie, spuścił wzrok.

I snę wiele niekłamanego, a tajonego bólu, oraz nieszczęścia prawdziwego może wyczytałaby na tej twarzy gościa swego; bo po minutach jeszcze paru zastanowienia i wahania, milcząc, sięgnęła ręką klamki drzwiczek białej w ścianie ogniotrwałej kasy, i - wyjąwszy stamtąd paperek dziesięciorublowy, położyła go na stole.

Posunąłwszy zaś banknot ten z lekka ku siedzącej, rzekł tylko:

- Służę pani!

Poczem, gdy pieniądze ów schowała, obsypując ofiarodawcę swego potokiem srodka przyprawionych komunałów, zadzwonił na lokaja:

Posłuszny, zjawił się sługa za chwilę.

- Proszę pana hrabiego! - rozkazał Dzierżymirski.

- Już wyszedł. Mówi, że wpadnie kiedy indziej, bo czeka więcej nie miał czasu... Kazał przeprosić jaśnie pana, bardzo i zostawił tu bilet swój, na którym coś napisał, - i przy tych słowach lokaj podał bilet.

Roman rzucił nań okiem...

Pani Wygrzywalska jednak przerwała mu czytanie. Do swej roli wracała powtórnie.

- Przepraszam bardzo szanownego pana prezesa - począł mówić swym poprzednim tonikiem - ale wiedziałem chciałem wam jaśnie, jak adresować mam przy zwrocie tej kwoty, tak wspaniałomyślnie, szlachetnie, mi udzielonej... Pan prezes podobno na długo wyjeżdża?..

Roman na te słowa uśmiechnął się z obojętnością i odparł:

- O, askawa pani ! Adresem zupełnie dostatecznym będzie dwa słowa : "R. Dzierżyński." - egnam pani... - tu powstał z siedzenia i skierował się z daleka.

Pożegnany z kolei ukłonem sztywnym nieco odchodzącej "pseudo-arystokratki", Dzierżyński zwrócił się do lokaja:

- Jest kto? - zapytał.

- Jakiś pan powiada, że ja nie pana zna dawno, chce się widzieć koniecznie.

- Jak wygląda?

- Taki sobie... nie bardzo pokazywany...

Codziennie, od dziewiętej do dwunastej z rana, każdy miał wstęp wolny do "pana prezesa". Dzierżyński nie odstępował nigdy od powziętej raz reguły, tym razem więc zarówno rzucił obojętnie:

- Proszę!..

Sam zaś do biurka zasiadł, by skończyć czytanie biletu hrabiego z Melsztyna.

Minęło parę minut.

Zaczytany, nie spostrzegł by Roman, że na środku pokoju od pewnego już czasu stał młody człowiek, lat około trzydziestu pięciu, i patrzył nań uporczywie.

Pod siłą tego wzroku podniósł oczy Dzierżyński, a ujrawszy przybysza zbladł; poznał go bowiem od razu, nie dał jednak poznać tego po sobie, nie podniósł się z miejsca nawet, a tylko ruchem ręki obojętnym wskazał krzesło.

- Proszę pana... Przepraszam... za chwilę... Nieznajomy zarumienił się, nie rzekłszy nic jednak, usiadł pokornie na koniuszczku stołka, Dzierżyński zaś sięgnął po jakieś księgi, leżące - opodal i zagłębione w nich, ze skupieniem.

Ale tylko na pozór... W rzeczywistości zaś potrzebował czasu, by ochłonąć z doznanego przed chwilą wrażeń.

Przed nim znajdował się towarzysz, niewidziany już od lat siedmiu - jeden z dwóch pierwszych ludzi, z którymi się był zbratani, przyjechawszy niegdyś do kraju sam, nieznany i biedny!..

I nagle, wywołane przypomnieniem, stanęły mu w myśli jasno te chwile dawne !.. Ukazała mu się żywo w wyobraźni straszna noc moralnego przeżycia jego życia, noc udręceń w izdebce na poddaszu - noc walki z uczciwościami z jednej strony, a nędzą, uduśmięciem, pragnieniem życia - z drugiej!..

Wszak siedzący oto teraz przed nim młody człowiek był jednym z tych dwóch właśnie, którzy, gdy on nurzał ręce w kuszycielstwo go swą potęgą złością, stukaniem nagłem we drzwi izdebki wstrząsnęli nim tak silnie...

I Roman, przebiegając spojrzeniem w duchu to wszystko, mówi³ do siebie jednocześnie:

- Dziwnem jednak jest to życie nasze... O, jakże dziwnem !.. Gdyby nie to z³oto, a pół³niej Monte Carlo, Ola i Niemieræ jej ojca, oraz dziedzictwo po nim, nie by³bym przecie nigdy tem, czem dzi³ jestem!..

Przepastna ironia - ko³o bez wyj³cia!..

Dzierżymirski, pochylony nad grub³ księg³, której cyfr i kolumn ich nie widzia³ zgo³a - pogr³żonym się ci³gle byæ zdawa³ ca³kowicie, w rachunku i pracy.

Milczenie zupełne - panowa³o w pokoju, w ciszy zegar wydzwoni³ niebawem godzinę wpo³ do dwunastej. Roman się ockn³; zostawa³o mu ju³ tylko pół³ godziny czasu. Uczyni³ nad sobą wysi³ek i g³osem spokojnym zupełnie przemówi³ obojętnie:

- Z kim mam przyjemno³æ i czem s³użyæ mogê?..

- Herman Zieliński. Czy pan.. prezes naprawdę mnie sobie nie przypomina?
- odpar³ m³ody cz³owiek dobitnie.

Dzierżymirski zawaha³ się chwilę.

- Zielińskich znam wielu - rzek³ z wolna - nazwisko pańskie ma przedstawiciele tak licznych... Zreszt³... może... Przykro mi bardzo, lecz doprawdy nie przypominam sobie...

- Ja za to - odpowiedzia³ m³odzieniec, akcentuj³ silnie s³owa - przypominam sobie a³ nadto dobrze... Poznali³my się przed laty siedmiu; ja, pan i Jasio Zboiński stanowili³my przez czas jaki³ nierozzerwaln³ nawet trójkę. Potem... pan przesta³e³ stopniowo nas poznawaæ... Kolej to zwyk³a rzeczy wi³ata tego, prawo ludzkie - byæ może... Pan wznosi³e³ się po drabinie spo³ecznej wysoko, my ginęli³my w cieniu... Pan dosięg³e³ jej szczytów obecnie, my, to jest ja, zosta³em u jej podnó³a...

Zatrzyma³ się w przemówieniu swem m³ody cz³owiek, po chwili za³ doda³; z gorycz³:

- Jednak... my³la³em, że pan... prezes, pomimo to, raczy mnie sobie przypomnieæ. Cóż robiæ - omyli³em się!.. - m³odzieniec powsta³, gotów do wyj³cia.

- Ale có³ znowu !.. - wykrzykn³ s³uchaj³cy go dot³d w milczeniu wahaj³cem się Dzierżymirski, a zarazem, powstawszy ³piesznie z miejsca, przyja³nie wyci³gn³ rękę ku przyby³emu.

- Witam i przepraszam... Pamiętam te czasy doskonale, tylko pan zmieni³e³ się do niepoznania. Cóż Zboiński, có³ pan - porabiacie teraz?.. Niechże pan spocznie, proszę bardzo... - dorzuci³ Roman ³askawie i swobodnie, teraz bowiem panowa³ ju³ ca³kiem nad sobą.

Zieliński, poznany, usiad³ i o³mielony odpar³:

- Cieszy mnie niewymownie, że pan przypominasz sobie lata owe.. Dla mnie, wyznaæ muszę, okres ten ca³y życia mego stanowi przyjemne nader wspomnienie - urwa³, i u³miechn³wszy się ironicznie, zachowuj³ jeszcze swój ton sprzed chwili, dorzuci³ dobitnie:

- Ba, dawniej przecie my ze Zboińskim, we trójkê, mówiliŃmy sobie "ty" nawet!

- Cóż pana obecnie do mnie sprowadza? - przerwa³ DzierŃymirski poŃpiesznie, niechc±cy jakby, puszczaj±c mimo uszu ostatni± uwagê.

- Rad jestem niezmiernie z widzenia siê naszego, z przyjemnoŃci± us³uŃê, jeŃli bêdê móg³ to uczyniæ...- doda³ jeszcze, jak móg³ najprzychylniej.

Choæ zmroŃony nieco pocz±tkiem zdania, Zieliñski spojrze³ przyjaŃnie na Romana, poczem odezwa³ siê:

- Dziêkujê, i zobowi±zany jestem panu bardzo, bardzo, panie... prezesie!., - uŃmiechn±³ siê znowu, z gorycz± - pocz±tkowo jednak winienem w krótkich s³owach objaŃniæ go nieco o po³oŃeniu mem obecnem.

- S³ucham - przerwa³ szybko DzierŃymirski i spojrze³ na wisz±cy ma³y zegarek, wskazuj±cy w tej chwili trzy kwadranse na dwunast±.

Zieliñski dostrzeg³ ruch jego.

- O! to nied³ugo potrwa! - poŃpieszy³ z zapewnieniem.

- Nic nie szkodzi, proszê bardzo... - odpar³ Roman. - O pierwszej mam waŃn± sesyê, a Ńe wyjeŃdŃam juŃ za dni parê, obecnoŃæ moja jest tam bez opóŃnienia konieczn±. Ale... s³ucham pana... - powtórzy³ znowu uprzejmie.

- OtóŃ wiêc, streszczam - rzek³ Zieliñski.

- Ńycie moje odmiennem potoczy³ siê korytem od Ńycia pañskiego, a nawet Zboiñskiego Jana. Pan - nie ma co mówiæ o tem ; ca³e miasto godzi siê jednog³oŃnie, Ńe o zdolniejszego i bardziej wp³ywowego zarazem cz³owieka u nas trudno... Zboiñski jest lekarzem na prowincyi i wie dzie mu siê niezgorzej, a ja... - tu Zieliñski zatrzyma³ siê chwilê - zosta³em za wami, panowie, w tyle, o, bardzo w tyle nawet!... Dlaczego? któŃ odgadnie ?.. Zdawa³oby siê, Ńe los nie posk±pi³ mi zdolnoŃci; szko³y ukoŃczy³em, z medalem, prawo, z odznaczeniem, ale, niestety, los nie obdarzy³ mnie szczêŃciem do Ńycia! - M³ody cz³owiek znowu, wzruszony jakby mimowolnie, mówiæ przesta³.

- Trzy lata temu - ci±gn±³ dalej niebawem - oŃeni³em siê z mi³oŃci, bez grosza... - rysy, doŃæ regularne Zieliñskiego oŃywi³y siê promieniem wewnêtrznym - kocha³em j±, tê moj± Maniutê, tak, jak kocham j± do dziŃ dnia jeszcze, choæ jak nie mia³a, tak i nie ma ani szel±ga posagu!.. Obecnie mam troje drobiazgu... - tu z kolei twarz goŃcia Romana zasêpi³a siê smutnie, zatrzyma³ siê, jakby trudno mu by³o wykrztusiæ resztê, czo³o zaŃ bia³e pociemnia³o mu od rumieñca - jednym s³owem - dokoŃczy³ - w domu u mnie - nêdza!..

Umilk³, nie podnosz±c oczu. Po d³uŃszej chwili, ci±gn±³:

- Pomny naszej dawnej znajomoŃci, przyszed³em tu, do pana prezesa, z pokorn± proŃb± o posadê, o pracê, choæ byle jak±, ale - p³atn±, o zarobek, bo ja³muŃny nie zwyk³em przyjmowaæ!.. Byle z g³odu nie umrzeæ... byle os³odziæ Ńycie tej kobiecie, która mnie kocha, a której doli dot±d w Ńadny sposób ulŃyæ nie mogê!.. - wyrzuci³ z siebie z moc±.

Zamilk³ i wstydzi^c się jakby s³ów w³asnych, nie podnosi³ już wcale oczu na Romana.

Dzier³ymirski za³ z kolei przez czas ten ca³y ³ledzi³ s³owa i gr^e fizyonomii Zielińskiego, a w my³llach jego równocze³nie stan³ wyra¹/₄nie kontrast ra³cy, pe³ny ironii, między ³yciem jego, a ³yciem tego oto Hermana, znanego mu dobrze, jako najzdolniejszego studenta uniwersytetu - z przed laty... Stanowczo nie pop³aca by^æ idealist³!

O³eni³ się bez maj³tku... No, a gdyby tak on, Roman Dzier³ymirski, zgrzeszy³ by³ idealizmem, i biedak, ale nieposzlakowany, uczciwy, pozby³ się przed laty nietkniętych banknotów i o³eni³ się następnie z jak³ dziewczyn³ zupe³nie biedn³ ?..

- No, w ka³dym b[±]d¹/₄ razie, jako³ da³bym tam sobie rad^e! - odpowiedzia³o co³ butnie w duchu Roman natychmiast. - Posiadam hart, wol^e, rozum, rzutko³æ, dar oryentowania się trafnego, i spryt - to wiele; a on? Szlachetny, zdolny, lecz jednak troch^e... g³upi!

- Ale czysty ! - uk³u³o co³, jakby ³d³em Romana. Spu³ci³ g³ow^e i s³uchaj³c dalej losów kolegi Zielińskiego, mówi³ sobie zarazem:

- Jednak pomoc trzeba... nale³y. Dla wspomnie³, no, i dla zasady.

Gdy za³ dawny towarzysz mówi^æ już przesta³, odezwa³ się z kolei:

- Wi^ec ³yczy³by pan sobie otrzyma^æ zapewne miejsce na kolei, gdzie jestem prezesem... Niestety, nie mog^e, postanowi³em bowiem podczas ca³ego trwania tam moich rz[±]dów, od siebie nie narzuca^æ nikogo... Ale móg³bym pomie³cia^æ pana gdzie indziej. W Banku Handlowo-Przemys³owym, na przyk³ad, nale³ê do zarz[±]du... Czy znane s[±] panu: rachunkowo³æ kupiecka, buchalterya i j^ezyki obce biegle, jak francuski, niemiecki, a mo³e i angielski`?..

- Niestety, nie! - odpar³ Zieliński. - Fachowego wykszta³cenia nie posiadam, gimnazya klasyczne za³ i wydzia³ prawny uniwersytetu nie wyszkoli³y mnie dostatecznie w ³adnym z nowo³ytnych j^ezyków europejskich... Co innego grecki i ³acina... Co się za³ tyczy rachunkowo³ci, poza arytmetyk[±] i matematyk[±] wy³sz[±], t. j. algebr[±], geometry[±], trygonometry[±], inn[±] s³u³y^æ nie mog^e...

I machn[±]wszy przy tych s³owach rêk[±], w zniech^eceniu, m³odzieniec, westchn[±]wszy smutnie, doda³.

- Zreszt[±], panie prezesie, mówi³c szczerze ca³kiem, przekonuywam się teraz coraz bardziej, i³ szko³y nie da³y mi zgo³a ³adnej nauki ³yciowej i praktycznej.

- Ma pan s³uszn³æ, zapewne... - potwierdzi³ Roman. - Niedaleko, szczególnie przy obecnej nadprodukcji w naszym mie³cie ludzi fachowych, zajecha³by³ pan ze swym dyplomem, ale nie martw się pan... Spotka³e³ mnie na swej drodze. Ja zaproteguj^e pana po pierwsze w imi^e lat dawnych, po drugie, ³e nale³ysz pan, jak widz^e, do prawdziwie potrzebuj[±]cych pracy! - ostatnie s³owa silniej zaakcentowa³ Dzier³ymirski. - Czy ³adny i czytelny masz pan charakter pisma?

- Owszem, staranny i czytelny w zupe³no³ci! - po³pieszy³ z odpowiedzi[±] Herman.

- No, to dobrze - odpar³ Roman, i przy tych s³owach siêgn³ do stoj[±]cego na biurku pude³eczka po bilet wizytowy. - Napiszê s³ówko do Dyrekcyi Towarzystwa Ogniwego "Esperanza"... Z dyrektorem jestem w w³cis³ych bardzo stosunkach, w tych dniach oprócz tego sam z nim pomówiê - odmówiæ mi nie mo[±]e... Od pierwszego przysz³ego miesi[±]ca dadz[±] panu posadê. Przypuszczam, i[±]... na pocz[±]tek z jakie[±] 500 rubli... Bêdziesz pan obrachowywa³, sprawdza³, a potem przepisywa³ zapewne ubezpieczeniowe polisy... Jak siê pan za[±] wprawisz w owem przepisywaniu, wyrobiê, i[±] dadz[±] panu polisy do kopjowania w domu, w ten sposób zarobisz pan wiêcej. Zgoda?...

- Ale[±] naturalnie - dziêkujê stokrotnie, dziêkujê po tysi[±]c razy! Wdziêczno[±]æ moja, panie prezesie, nie ma granic!... - i zerwawszy siê z krzes³a, Zieliñski, wzruszony i uradowany, u[±]cisn[±] z przejêciem d³oñ Romana.

Ten ostatni, napisawszy s³ów kilka, zapieczêtowa³ list i powsta³, a podaj[±]c go m³odemu cz³owiekowi, rzek³:

- Wyczê szczê[±]cia i powodzenia!.. Bardzo kontent równie[±] jestem, [±]e pan zwróci[±]e[±] siê bezpo[±]rednio do mnie, i [±]e znajomo[±]æ nasz[±] odnowili[±]my znowu... Doktorowi Zboiñskiemu moje uk³ony, gdy go pan zobaczysz!..

I Roman Zieliñskiemu poda³ rêkê.

- Dziêkujê... Nie zapomnê tego panu nigdy!.. - z serdecznem ciep³em w g³osie odpar³ m³odzieniec, w³ciskaj[±]c d³oñ dawnego swego towarzysza.

Dzier[±]ymirski odprowadzi³ go uprzejmie do drzwi, a gdy z Zieliñskim znik³o mu z przed oczu przesz³o[±]ci widmo, odetchn[±] swobodniej, i zadzwoni³ na, lokaja.

Ten zjawi³ siê natychmiast, nios[±]c w rêku tacê z kilkoma biletami.

- Czeka[±] jeszcze? - zapyta³ Roman, i spojrze³ pobie[±]nie na bilety, a równocze[±]nie wyj[±] z kieszeni zegarek, wskazuj[±]cy ju[±] parê minut po dwunastej.

- Przepr[±] tych panów i powiedz, [±]e dzi[±] za pó^¼no!.. - rzuci³ czekaj[±]cemu s³udze.

Lokaj wyszed³, a Dzier[±]ymirski przechadzaæ siê pocz[±] z wolna po pokoju i cygare zapali³, wypuszczaj[±]c od niechcenia z ust ma³e kó³eczka dymu.

Ca³y by³ jeszcze pod wra[±]eniem ostatniej wizyty, oraz tej od[±]y³ej z ni[±] tak nagle w[±]wie[±]o minionej przesz³o[±]ci.

I Dzier[±]ymirskiemu czo³o poora³o siê w drobne bruzdy, zamy[±]lony wci[±] tak samo, nerwowym krokiem przebiega³ komnatê.

Od lat kilku, gdy o[±]eni³ siê by³ z Ol[±], nie zmieni³ siê Roman prawie [±]e wcale. Ta sama inteligentna i piêkna twarz po³udniowca, ta[±] sama m³odziêncza szybko[±]æ ruchów, oraz niezmienna wytworno[±]æ sylwetki ca³ej - cechowa³y go obecnie tak, jak i przed paru laty.

A ile[±], ile[±] zdarzeñ przewinê³o siê dot[±]d w [±]yciu jego!

Po odbyciu [±]a³oby na wsi, w Gowartowie, przyjecha³ z Ol[±] do miasta. Tu, dziêki dziedzictwu pana Januarego, po³o[±]eniu towarzyskiemu [±]ony i,

odnowionym własnym stosunkom, zdobył Roman to, co do dzisiaj posiada.

Energiczny, rzutki, giętki, sprytny i pełen ambicyj zaszedł wysoko. Ona kochała go dotąd niezmiennie, ludzie korzyli się przed jego rozumem, stosunkami, wpływami, a jednak nie był on zgoła szczęśliwym!..

I teraz po twarzy jego odgadnąć to również łatwo było. Cierpiał...

Rozpamiętując w myślach przeszłość własną, zapomniał widzieć zupełnie o teraźniejszości. Niby wczorajsze życie, we wspomnieniach życia znów te lata minione, dawne... Jak fata morgana ułudna miała wzrok duszy jego niedoścignąć, bo bezpowrotnie już dał, rozpięzchał się, nieuchwytnie, to znów wracał jawne - życie!

Widział się więc Roman w południowym roku miłości wzajemnej, haszyszów i upojenia, z dysonansem śmierci tego swego na końcu i widział siebie potem lata całe w ciągłych zabiegach, trudach, w prawdziwej, namiennej energii czynu, w bezustannej gonitwie za popularnością, wielkością i znaczeniem.

Wzniesł się!.. wzniósł ponad drugich, ponad tłumy - to stało się życia jego celem!.. Widział kornymi te ludzkie masy u stóp swoich - marzeniem - pomimo samopoznania w głębi duszy, że na to wszystko nie zasługuje się zgoła, pomimo gryzłcej go, jak jad, toczłcej go, jak robak, samowiedzy, że on moralnie nie godzien może żadnego z tych, którzy go ponad siebie wynoszą!..

Bo rzecz zaiste dziwna... Setki zdarzeń, tysiące ludzi przemknęły, jak w kalejdoskopie, w życiu Romana, a tajemnica jego odległego "wczoraj", pozostała nadal - tajemniczą... Nikt jej nie odkrył, nikt nie przypomniał. O właścicielu dwudziestu siedmiu tysięcy gócho i cicho było, jakby fakt ten cały był li tylko snem strasznym, zakłęt bajką z tysiąca i jednej nocy!

A tymczasem życie, toczł się wartkiem kołem, pochłaniało siebie Romana, pochłaniało go tak dalece, że bywały chwile, iż zapominał. Ale, niestety, były to tylko... chwile.

Sumienie uparcie czuwało bezustannie. Nie było dnia jednego, by Dzierżymirski w cichości ducha nie uchylił głowy przed przypomnieniem strasznym; nie mijał miesiąc, by godzin kilka, z dala od ludzi, nie był zmuszonym przepędzić sam na sam ze sobą i z wyrzutami sumienia.

O! jakże pragnął on nieraz oddać to zóto cudze, jak pragnął!..

Oddać! Ale komu?.. Zwrócić, ale jak, nawet gdyby się i znał wó właściciel zagadkowy, by nie splamiał nieskazitelnego porzysku czci własnej, honoru i opinii człowieka, przodującego społeczeństwu całemu?..

W tym samym, ozdobionym graniczkami koronami hrabiowskimi, pugilaresie, leżącymi odóone przezeń na miejsce, owe dwadzieścia siedem tysięcy, w banknotach i rulonach zóota, schowane w tajemnej i nikomu nie znanej skrytce. Przeznaczone dla zagadkowego właściciela - czekały one nań tam daremnie.

Bo gdybyż przynajmniej, choć promykami małym, rozdarła się ta tajemnicza ciemność, kryłca dotąd w swych czeluściach bezustannej zagadki prawego pieniędzy tych pana!

Och, wtedy, będc choæ trochê przygotowanym, niew±tliwie da³by on jako¶ sobie radê! Wola³by bowiem zobaczyæ nawet roztwieraj±c± siê przed nim przepa¶æ bez wyj¶cia, gdy¿ ufny w swój rozum, znalaz³by je na pewno, ni¿ widzieæ ci±gle przed sob± ten pe³ny milczenia sfinksowy spokój, id±cego przed nim ciemnego, nieodwo³alnego jutra!.. Przestrasza³ go on - przejmowa³ zgroz±...

Bo Dzier¿ymirski poza licznymi zajêciami swemi spo³ecznej natury, czyni³ dot±d niemal bez skutku wszystko, aby zrzuciæ z siebie, ju¿ raz na dobre, gnio±cy go skrycie ciê¿ar wspomnienia!..

Podawa³ wiêc kilkakrotnie nad wyraz przebiegle i sprytnie og³oszenia w pismach, nie tylko w kraju, ale i za granic±, w nadziei, i¿ wpadnie na trop w³a¶ciwy.

Sam pozatem odby³ kilka tajnych wycieczek do ludzi, o których wiedzia³, ¿e zgubili niegd¶, bez znalezienia, sumy wiêksze...

Zbadawszy ich jednak podstêpnie, z ostro¿na, wraca³ zawsze z niczem. Zagadka trwa³a.

Teraz wreszcie równie¿, nie dalej, jak za dni ju¿ kilka, postanowi³ Roman raz jeszcze uczyniæ próbê w tym wzglêdzie i wyjazd za granicê, zapowiedziany przezeñ, dla wypoczynku, "de facto" by³ zwi±zanym ¶ci¶le z ± tylko sam±, wiecznie jedn±, spraw±.

Przechadzaj±cy siê wci±¿ szybko po gabinecie Dzier¿ymirski, w chaosie j±tr±cych go my¶li i wspomnieñ, schwyci³ siê nagle za g³owê i szepn±³ do siebie przejmuj±co:

- Och, czemu¿, czemu¿, na Boga, natura obdarzy³a mnie sumieniem tak czujnym, wra¿liwym, czemu?.. By³bym po³o¿enie moje bra³ filozoficznie, pro¶ciej... Wszak z pieniêdzy znalezionych w rzeczy samej korzysta³em tak ma³o! Przegra³em je przecie wszystkie w Monaco, do ostatniego grosza, a wygra³em z pieniêdzy zupe³nie innych! - sofistmat, niezmiennie ten sam, powraca³ w umy¶le Romana.

O ile jednak dawniej pociesza³ on go chwilami, teraz, dzi¶ - nie dzia³a³ ju¿ bynajmniej.

Dojrza³szy obecnie, w niejednym jeszcze przekszta³cony ¿ycia szko³±, patrz±cy z odleg³o¶ci lat kilku zimniej daleko na uczynek swój w³asny "przyw³aszczenia", Dzier¿ymirski, nie wyzbywszy siê dot±d wcale wszczepionych silnie w dzieciñstwie zasad uczciwo¶ci, nieprzejednanej, prawej, czystej, - rozumia³, i¿, pomimo poch³oniêcia cudzego z³ota przez jaskiniê gry i dotychczasowej bezkarno¶ci - zb±dzi³, i ¿e wina jego zgo³a nie by³a mniejsz±. Czu³, ¿e ¿ycie moralne wykolei³o go niemi³osiernie, i cierpia³...

Roman przetar³ rêk± rozpalon± g³owê; atak apatii nerwowej pesymizmu, ¿alu i goryczy, szerok± fal± nap³ywa³ znowu do duszy jego.

W tej samej chwili na ¶ciennym zegarze wybi³o wpo³ do pierwszej. Roman siê wstrz±sn±³.

Sesya, obowi±zki, przodownictwo spo³eczne - trzeba byæ silnym!.. Odpochnie pó¼niej, gdy wyjedzie - za dni parê, teraz odwagi!.. spokoju!..

I uczyniwszy nad nerwami swymi i myśli wysiłek, Dzierżymirski wyprostował się. Rzuciwszy opodal do popiołu spopielał, cygaro, poczęporkowate pieśni porzucane na biurku papiery.

W tej samej chwili do drzwi zapukano trzykrotnie. Roman drgnął i odwrócił się. Poznał sposób stukania żony, co dzień bowiem, o tej porze, Ola zwykła była odwiedzać go po pracy.

- Entrez!.. - rzucił donośnie i czos jego wypogodził się natychmiast.

Ma już przecie, najdroższ, żonę, podporę-kochankę i przyjaciela! Wszak wzajemnie nie posiadają przed sobą żadnych tajemnic, prócz jednej - jedynej!

Przez próg komnaty do gabinetu wchodziła już Ola, ubrana do wyjścia, w kapeluszu i sukni, skrojonej elegancko i szeleszczącej jedwabiami spódnic.

I ona od lat tych pięciu nie zmieniła się prawie. Wypiękniała tylko jeszcze bardziej, bujniejszymi stały się kształty i linie jej ciała, ponętniejszymi, w całym swym czerwcowym rozkwicie, lat już niespełna trzydziestu.

Z uśmiechem, przywitali się małżonkowie; Roman ucałował żonę w czoło i zapytał:

- Dokądże to tak moja pani?

- Na ogólne zebranie pań Opieki I-go Franciszka z Assyżu; a ty wychodzisz także?..

- A jakże. Na sesję Związku Kredytowego.

- Na której godzinie?

- O pierwszej się rozpoczyna...

- Pysznie!.. - zawołała uradowana Ola.- Kazałam wam do powozu zaprzędz, podwieź cię... A wiadanie drugie już jadacie?

- Nie, kochanie, czasu mi nie starczyło. Przekaszę coś nie coś na mielcie...

- Mój ty biedaku!.. - i pogłaskawszy pieszczotliwie męża po twarzy, uściskała go Ola serdecznie, - taki zajęty zawsze, że nawet prawie nie mógł na nigdy pomówić z tobą swobodnie...

- A czyja wina? - przekomarzała się wesoło Dzierżymirski.- Gdy ja do domu wpadnę, nigdy pani mej nie ma... To zebranie I-go Antoniego, Kalsantego, Ambrożego, - wszystkich świętych jednym słowem... To znów z kolei opatrywaniu chorych, wenta na przytułki, obrady na zabawy filantropijne, rozdawnictwa, gwiazdki dla dzieci, rozbieranie ich, ubieranie... Czy ja w końcu wiem i pamiętam, wszystkie owe tam wasze damskie pseudo-prace?..

- No, no... Bardzo proszę, nie wymiawiaj mi się z nas... Niby to wy, panowie, robicie co na owych sesjach. A jakże! Rozmawiacie zgoła o czym innym, papierosy palicie, kłócicie się i rozchodzicie. Ho-ho, już ja wiem dobrze, co mówię!..- odparła z przekonaniem obrażona niby Ola.

I w ten sam sposób d³u¿ej jeszcze przekomarzaliby siê ¿artobliwie ma³¿onkowie, gdyby nie wej¶cie lokaja, który zaanonsowa³:

- Proszê ja¶nie pañstwa, powóz ju¿ czeka...

- Aaa... to dobrze! - rzek³ Roman ¿wawo, daleki ju¿ my¶± od drêcz±cych go do niedawna wspomnieñ.

- Nie przebierzesz siê Romciu? - zapyta³a Ola.

- Ani my¶lê, nie mam czasu! Patrz, dochodzi ju¿ pierwsza... C¿ to, moje ¿ycie, uwa¿asz mo¿e, ¿e nie po d¿entlemeñsku wygl±dam?... - zapyta³ lekko.

- Ale gdzie¿ tam... C¿ znowu?.. Tego my¶leæ siê nie o¶mielam - roze¶mia³a siê Ola. - tylko tak trochê... nie ¶wie¿o... Czekaj, przeczeszê ciê, poprawimy krawat i oczyszczê...

Dzier¿ymirski podda³ siê pokornie wymaganiom estetycznym ¿ony.

- No, fertig! Wygl±dasz zno¶nie!.. - zadecydowa³a Ola po chwili.

- Phi... tylko? To niezbyt pocieszaj±ce, - odpar³, ¶miejc siê, Roman - i wyszed³ z Ol± do przedpokoju.

W bramie domu czeka³ ju¿ powóz odkryty; Dzier¿ymirscy wsiedli doñ po¶piesznie, lokaj wskoczy³ na koz³y i ruszyli. Znany w ca³em mie¶cie pojazd "prezesowstwa", zaprzê¿ony w dwa ros³e mieszañce, krwi anglo-arabskiej, wytoczy³ siê na ulicê i pomkn±³ chy¿o.

Co chwila z po¶ród id±cej po szerokich chodnikach publiczno¶ci, lub z wymijanych powozów, k³ania³ siê kto¶ uprzejmie Dzier¿ymirskim, a oni, u¶miechniêci, weseli, tak samo grzecznie oddawali wszystkim uk³ony. Po d³u¿szej chwili milczenia, odezwa³ siê Roman:

- Ale, a propos, musisz siê tem zaj±æ, Oluniu, bo ja, doprawdy, czasu nie mam. Dzi¶, lub najdalej jutro, wysy³amy zaproszenia do wszystkich naszych znajomych... W sobotê damy raut po¿egnalny... J'espere, ¿e nie masz przeciwko temu, moje ¿ycie ?..

- Ale¿, naturalnie!.. - po¶pieszy³a z zapewnieniem Ola, - lecz musimy przecie¿ z³o¿yæ wizyty...

- Nie ja, nie ja, chérie!.. To ty za mnie nieodzownie zrobiaæ musisz, kochanie... Kto nie przyjdzie - pal go licha!.. A zreszt±, pas de crainte, stawi± siê wszyscy...

- Dlaczego nie chcesz jechaæ ze mn±?

- Nie nie chcê, lecz nie mogê. Mam przed wyjazdem jeszcze zajêcia huk! Nie mo¿esz mieæ nawet wyobra¿enia, moja droga, co to znaczy wyrwaæ siê na mieñcy kilka, jak tego pragnê, z tego ko³omych rozlicznych obowi±zków - c'est un vrai tour de force!.. - Dzier¿ymirski zamilk³ na chwilê, poczem koñczy³:

- Bo pomy¶l tylko... Tu znale¼æ na czas ten ca³y zastêpcê, tam znów wycofaæ siê zrêcznie, by nie obraziæ nikogo i za³atwiæ wszystkie czynno¶ci ju¿ z góry... Wiêc chyba rozumiesz teraz, i¿ w wizyty ¶wiatowe bawiaæ siê nie mogê, najwy¿ej do kilkunastu wybitniejszych osobisto¶ci, i

koniec.

- Ależ dobrze, już dobrze, nie tłumacz się, nie broń - zrobię wszystko, mój wado i panie! - z uśmiechem, pocieszy ją Ola. - Pytam się tak tylko... Czy wracasz dziś na obiad ?..

- Pas possible! - odpar Dzierżymirski stanowczo. - Akurat o szóstej zebranie nadzwyczajne akcjonariuszów i komitetu nowego przedsiębiorstwa, wiesz, Komercyjno -Agronomiczny Związek krajowy... Zjem na miejscu.

- A wieczorem? - pyta dalej Ola.

- Muszę być koniecznie u księcia Artura, w sprawie budowy nowego kościoła św. Jana Chrzyciela; zebranie prywatne w jego mieszkaniu - obiecałem.

- Niemożliwym jesteś człowiekiem !.. - rozemniała się Ola, - ja już o czwartej wracam do domu.

Umilkli. Wkoło nich zmiała się w słońcu miasto; wiosna czarodziejka nawet tu, w ciasne ogrodu mury, swój powiew balsamiczny tchnąć potrafiła - oddychała się swobodniej, szerzej, świeżość majowa pieściła twarze śpiących zewsząd tłumów, śmiejących się i wesołych.

- Stań! - rzucił nagle i rozkaz Dzierżymirski, dotykając z lekka łaskę liberyjnych pleców stangreta. Dojeżdżał do wspaniałego gmachu Związku Kredytowego.

Powóz zatrzymał się posusznie.

- A ce soir! - rzekł Roman, i lekkim uśmiechnięciem ręki pojęgnawszy żonę, wyskoczył z ekwipażu. Po kamiennych stopniach krąganka skierował się ku olbrzymim kutym drzwiom, które, w powitalnym, niskim ukłonie, otwierał już uszanie szwajcar miejscowy.

Na progu gmachu Dzierżymirski obejrzał się i spotkał ze wzrokiem Oli. Spojrzeniami wzajemnie pojęgnali się jeszcze pieszczotliwie, poczem Ola odwróciła się pierwsza, Roman zaś, ścigając ją oczyma, zatrzymał się i uśmiechnął...

W oddalającym się powozie, młoda kobieta po chwili, instynktownie jakby, raz drugi spojrzała za siebie. Dzierżymirski jednocześnie skinął głową i znikł za drzwiami, Ola zaś odwróciła się i niedbale rozpięła bieliznę, koronkami obszytą, parasolkę. Promienie i blaski majowe załśniły się jeszcze na jej postaci chwilę, i powóz znikł, pochłonięty wielkomięjskim wirem.

Kaskadę światła i blasków płonę rzęsiście apartamenty Romanowstwa Dzierżymirskich...

Z pół otwartych lilii z kryształu, zdobitych gazowe po bocznych ścianach kinkiety, z żyrandoli i lamp - tu jaskrawo, tam znówagodniej, drżące w dusznej atmosferze salonów pęki promieni, spadają deszczem na tłum wesoły, elegancki i strojny, grają, zamajaczą się w klejnotach kobiet - pieszczą ich nagie gorsy i ramiona, gaszczą je swym niewidzialnym dotykiem.

Gwar st³umiony prowadzonych z o³zywieniem rozmów, oraz t³ok i ciasnota panuje w kilku obszernych salonach; czê³æ tylko go³ci siedzi, wiêkszo³æ, waha³owym ruchem p³yn³cej fali, przechadza siê bezustannie, a raczej dyskretnie przeciska.

Nie omyli³ siê bowiem w przewidzeniach swych Dzier³ymirski. Ca³e towarzystwo i wszystkie jego sfery stawi³y siê na raut po³egnalny prezesa, wice prezesa, dyrektora i cz³onka licznych instytucji - rade i poczuwaj³ce siê do obowi³zku obecno³ci³ sw³ z³o³z³yæ daninê grzeczno³ci³ ³wiatowej temu, kto trzyma³ obecnie w silnej d³oni w³tek ich spraw i interesów - natury spo³ecznej, przemys³owej, filantropijnej, a czêsto g³sto i osobistej nawet.

Pe³ni uprzejmo³ci, dystynkcyi i go³cinno³ci szczerzej, w³ród t³umu swych go³ci, uwijali siê Dzier³ymirscy, zmieniaj³c siê kolejno w pobl³u wej³cia pierwszego salonu, dla witania wchodz³cych co chwila nowych przybyszów. W ko³cu jednak i ten czasowy posterunek ich okaza³ siê wprost niemo³liwym...

Roman i Ola zmuszeni zostali zmieszaa³ siê z t³umem rautuj³cych go³ci, ustêpuj³c sami naporowi ³cisku.

A kwadrans tymczasem mija³y szybko. Liczba nap³ywaj³cych osób powiêksza³a siê coraz bardziej, w³ród szeleszcz³cej za³, barwnej fali go³ci, w liberyi i po³czochach, ukazywaa³ siê poczêli, posuwaj³c siê z trudem, lokaje, z wielkimi srebrnymi tacami... U wej³cia za³ salonów, wyparta zwiêkszaj³c³ siê fal³ ludzi, stanê³a zwarta gromada mê³czyzn, tamuj³c w ten sposób po prostu komunikacyê do przepe³nionych nad miarê apartamentów.

M³odzieniec, ciemny szatyn, nieposzlakowanie elegancki, o impertynenckiej nieco, choæ wielko³wiatowej powierzchni³ci, wchodzi³ w tej chwili do mieszkania prezesowstwa Dzier³ymirskich.

Znalaz³szy siê niebawem poza zbit³ u drzwi garstk³ panów, na razie nie móg³ post³piæ ani kroku naprzód. Widz³c to, skrzywi³ swe w³skie usta, i wspi³ siê dyskretnie na palce.

Ponad zbli³onemi, wypomadowanemi g³owami stoj³cych mê³czyzn, ujrza³ dok³adnie ko³ysz³ce siê morze kobiecych biustów, g³ówek czarownych, piêknych, rô³nobarwnych tualet, gorsów i fraków i mrukni³ do siebie:

- Ho-ho!.. pas mal...

Spojrza³ nastêpnie na stoj³cych opodal rautowiczów. Nie zna³ ³adnego z nich. ³achni³ siê niecierpliwie i szepni³ znów z cicha do siebie, po francuzku:

- Que diable, je ne suis pas venu ici pour garder l'antichambre...

I jednocze³nie posun³ siê zrêcznie naprzód, potr³ciwszy za³ lekko po drodze swej paru s³siadów, rzuci³, z wytwornym uk³onem, kilka: "Pardon", w rezultacie jednak znalaz³ siê zaledwie o parê kroków naprzód.

Popatrzy³ znowu przed siebie, wspi³wszy siê na palce.

- Ach, przecie³ choæ jeden!.. - szepni³ z ulg³, tym razem ju³ po polsku, dojrza³ bowiem w³a³nie poznanego w przeddzień Emila ³ady³ńskiego.

Rzuciwszy po francusku parę ugrzeczionych przeproszeń, m^odzieniec post[±]pi^o znów kroków kilka, a^ż stopniowo, przeprasza[±]c dalej bezustannie, zdo^a dotrze^æ do Łady^żyńskiego.

Ten już go by^o zoczy^o. Podali sobie ręce, witaj[±]c się uprzejmie.

- Eh bien, ch^{er} comte - zagadn[±]o, z u[¶]miechem pierwszy pan Emil - jakie^ż wrażenie z rautu "koroniarzy?.." Trudno się dosta^æ, co? Et, ce qui touche, gospodarza, prezesa, vous ne le verrez probablement pas, bo jest akurat pod przeciwnym biegunem.

- A ja w^oa[¶]nie musz^ê, bo go nie znam. Pani Dzier^żymirska by^a tak bardzo uprzejm[±] zaprosi^æ mnie, bo z^oż^yem jej wizyt^ê, lecz prezesa, jako nader zwykle zaj^êtego podobno, nie widzia^oem...

- Ba... ba... c'est simple - potwierdzi^o Łady^żyński - nasz prezesunio jest to cz^oowiek, który jest wsz^êdzie, ale nigdy u siebie w domu... Voulez - vous, przedstawi^ê pana. W drog^ê zatem... P^oyńmy, p^oyńmy, póki czas!.. - zanuciwszy p^og^osem wyrazy ostatnie, rzek^o starzej[±]cy się kawaler, i prowadz[±]c za sob[±] przybysza, pu[¶]ci^o się naprzód.

Ostro^żnie, z wolna, dwaj panowie posuwa^æ się zacz^êli. Czynno[¶]æ to za[¶]nie^oatw[±] by^a. Prócz obawy niezr^êcznego potr[±]cenia kogo[¶] z wytwornego, a [¶]cie[¶]niego grona - musieli oni pozatem lawirowa^æ jeszcze bardzo zr^êcznie pomi^êdy d^ugiemi trenami pań... Łady^żyński jednak radzi^o sobie wybornie. Co chwila k^oania^o się komu[¶] uprzejmie z daleka, lub wita^o z bliska, przystawa^o, rzuca^o dowcipnych s^ow par^ê - rozst^êpowano się przed nim. Szed^o dalej.

- Uf, nous y voilà!..- rzuci^o po jakimś czasie towarzysowi swemu.

- Widz^ê Romana, jak peroruje, çà va sans dire, o spo^oecznych sprawach...
- Och, i pani Ola jest równie^ż niedaleko!.. Quelle chance...

I pan Emil, odwróciwszy się, skorzysta^o z wolniejszej nieco oko^o siebie przestrzeni, wzi[±]o pod rami^ê m^odego cz^oowieka i zbli^æ się pocz[±]o wolno, ku otoczonemu kilkoma rozmawia[±]cymi ^żywo panami, Dzier^żymirskiemu. Id[±]c za[¶], podrwiwa^o z cicha, cytuj[±]c dolatuj[±]c g^oo[¶]niejsze wyrazy i zdania.

- A co? nie mia^oem racji ? s^oyszy pan ? Cel spo^oeczny, - pot^êga dzia^oalno[¶]ci, - punkt kulminacyjny, - przesilenie finansowe - etc. i tak dalej. Jak dowodzi, co? Prawdziwa dystygowana wie^ża Babel szumnych frazesów!

M^ody cz^oowiek s^oucha^o uwa^żnie, u[¶]miechaj[±]c się z lekka, tymczasem za[¶] jednak znale^oli się obaj tu^ż ko^o grupy rozprawia[±]cych zapalczywie m^êżczyzn.

- Stój, panie hrabio, skromnie, a^ż ja zatamuj^ê, przerw^ê ten oto rw[±]cy potok dyskusyi!.. - odezwa^o się znów Łady^żyński.

Nie okaza^o się to jednak potrzebem. Dzier^żymirski, bierniej od innych bior[±]cy udzia^o w rozmowie, dojrza^o już w^oa[¶]nie zbli^æaj[±]cego się pana Emila. Wyci[±]gaj[±]c przyja^onie r^êk^ê ku niemu, z serdeczno[¶]ci[±], przemówi^o:

- Emilu? Jak się masz? có^ż tak pó^ono?

Romana z Ładyżyńskim³ ±czy³y obecnie stosunki przyja¹ni szczerej. Dzierżymirski polubi³ szczerze tego weso³ego zawsze, patrz±cego na życie trze¹wo bywalca, a przyjaciela rodziny - żony, nie mającego mu przytem za z³e - jak wiadomo - postępku ongi z Ol±.

- Bynajmniej nie za półno - odrzek³ swobodnie zapytany, - od godziny dzień tak rojno, niby u ministra... Doj¹æ do Jego Ekscelencyi nie mog³em... - z uk³onem, dokończy³ ironicznie.

- A... tak. Rzeczywi¹cie. Tegnaj± mnie czule, - w tym samym tonie odpar³ z u¹miechem Dzierżymirski.

- Czy widzisz, Romanie, - ci±gn±³ Ładyżyński - tego m³odzieńca w monoklu, z takim znawstwem dyskretnem ogl±daj±cego w tej chwili tors hrabiny P ?

- Widzê i nie znam!.. - zadziwi³ się Dzierżymirski.

- Co? pas possible!., - zadrwi³ pan Emil. - Nie znasz swoich go¹ci? O, panie prezesie, wstyd i hańba!.. No, ale nic, wybawiê ciê z k³opotu i przedstawiê ci go. Ja go znam!..

- Jak się nazywa? Il a l'air assez bien!..

- Parbleu, çà va sans dire. Potomek znakomitego rodu: hrabia Topola-Topolski - obja¹ni³ Ładyżyński, z ironi±.

- No, już "Topola", to pewnie dodatek twój, Emilu - za¹mia³ się Roman - ale sk±dże go wyrwa³e¹?..

- Przyby³ z Galicyi, rodem z Ksiêstwa Poznańskiego - zaprosi³a go twoja żona. Strzeż się, prezesie, pani prezesowa ma swoich protegowanych!..

- No, nie gawêd¹¼, przedstaw mi go, bo biedak się zanudzi, tak czekaj±c - rzek³ Roman, i uj±wszy ramiê przyjaciela, skierowa³ się ku Topolskiemu, id±c za¹, nachylony dyskretnie, szepn±³:

- Tylko nie przedstawiaj mi go comte Topolski, bo ja zmuszonym bêdê wobec drugich uczyniæ to samo... Przecież to nonsens wierutny tytu³owaæ jakiego¹ tam Topolskiego hrabi± tu u nas, gdzie roi się od autentycznych, historycznych rodów...

- E !.. daj pokój, obrazi się, zreszt± bogaty i epuzer... - odrzek³ z niechêci± Ładyżyński - in faut lui laisser son illustre illusion.

- Ależ w³a¹nie, przeciwnie! - przerwa³ Dzierżymirski. - "Bez z³udzeñ", to najlepsza regu³a. Et je t'en prie, zrób, jak ciê proszê...

- No, dobrze, dobrze... Uspokój się zreszt±... Po³knê "comte", ale je¹li mnie ten dudek wyzwie na pojedynek, to musisz byæ sekundantem! - zawyrokowa³, po swoim, Ładyżyński.

- Monsieur Topolski... - szybko wyrzuci³ po chwili, gdy znale¹li się ko³o czekaj±cego na nich m³odzieńca.

- Dzierżymirski...

Po¹pieszy³ osobi¹cie przedstawiaê się Roman uprzejmie i natychmiast zagai³ rozmowê.

- Bardzo mi mi^o widzieæ u siebie go[¶]cia z za Kordonu... Wszak pan przybywa z Galicyi?..

- Tak jest. Wczoraj w^aa[¶]nie mia^oem zaszczyt przedstawiaæ siê... i tam dalej - recytowa^o po[¶]piesznie Topolski banaln[±] ¶wiatow[±] odpowied^¼, wyja[¶]niaj[±]c[±] jego tutaj obecno[¶]æ i dotychczasow[±] znajomo[¶]æ z gospodarzem.

- Nie zna pan zatem pewnie wiele osób - wys^ouchawszy go cierpliwie do koñca, przemówi^o Dzier^zymirski - tymczasem przedstawiê pana par ci, par là, zgoda?.. Venons! - dorzuci^o przyja^¼nie.

- Bonsoir, monsieur le comte! - w tej samej chwili tu^z obok nich rozleg^o siê powitanie zwrócone do m^odzieñca, i przed trzema panami stanê^a Ola, w prze[¶]licznej jasnozielonej sukni balowej, mieni[±]cej siê, przetykanej srebrem, wdziêcznie ubranej kwieciami wodnych nenufarów.

Topolski sk^oni^o siê wytwornie i przywita^o z gospodyn[±] domu, oraz, z wpraw[±] obytego ¶wiatowca, rozpoc[±] natychmiast rozmowê.

Po twarzy Dzier^zymirskiego tymczasem na s^owa powitalne z^ony przemknê^o niezadowolenie widoczne i skrzywi^o siê nieznacznie. Posta^o chwilê w niepewno[¶]ci, poczem, zrezygnowany, rzuci^o Topolskiemu uprzejmych s^ow parê i znik^o w t^oumie go[¶]ci.

Topolski tymczasem, pomimo powierzchowno[¶]ci, na pierwszy rzut oka aroganckiej nieco, okaza^o siê mi^oym i wprawnym "causeur em", a id[±]c wolno obok Oli, z o^zywieniem rozmawiaæ z ni[±] nie przestawa^o.

- Jak to? - mówi^a Dzier^zymirska - wiêc to pan odziedziczy^o maj[±]tek w naszych stronach... Wolno widzieæ nazwisko dóbr pañskich?..

- Szczęsnaja - odpar^o Topolski.

- Ale^z to zaledwie o piêæ mil od Gowartowa, gdzie z mê^zem mieszkamy - obja[¶]ni^a towarzysza Ola. - ¶liczna rezydencja, znam z widzenia... Nie przypuszczam zgo^a, z e bête mia^a w pana s[±]siada. Bardzo mi mi^o! - dokoñczy^a uprzejmie. Topolski sk^oni^o siê, rzuciwszy jednocze[¶]nie zdawkowo - banaln[±] grzeczno[¶]æ.

- To pan dziedziczy po hrabi Teodorze Irenhauzie? wszak prawda? - pyta^a dalej Ola.

- Tak, pani; to by^o mój dziad stryjeczny... - Tak? no, widzi pan... Zna^oam doskonale swego czasu dziadka, pañskiego, nous sommes donc en pays de connaissance... By^o to bardzo dystyngowany, zacny i mi^oy cz^owiek...

- Oh, vous êtes bien aimable, madame...- zacz[±] sw[±] wytworn[±] francuszczyzn[±] m^odzieniec, lecz przerwa^a mu, snaæ niedos^oyszawszy, Ola:

- I obj[±] pan ju^z swe dobra ?..

- Nie, pani, jadê tam dopiero za parê tygodni...

- Pozna pan zatem Ukrainê, - ci[±]gnê^a dalej swobodnie m^oda kobieta, - kraj to cudny, ¶liczny, zobaczy pan... Ja go tak lubiê, tak kocham, z

ca³ego serca!.. - koñczy³a, z o¿ywieniem.

- Ot bynajmniej nie jest mi obc± Ukraina - po¶pieszy³ z odpowiedzi± Topolski. - Zazna³em ju¿ jej uroku, bywa³em bowiem u stryja dawniej, et je suis tout à fait de votre opinion madame, c'est un pays charmant... Tyle wdziêku, cichego czaru, w tych drzemicych stepach i polach, tyle poezyi, w jej dumkach, a tyle, tyle têsknoty we wszystkim!.. - z zapa³em, wyg³osi³ ostatnie s³owa Topolski.

Ola, po raz pierwszy, spojrz³a nañ uwa¿niej. Twarz m³odzieñca w tej chwili pozby³a siê ca³kiem na³o¿onej konwenansowej maski ¶wiatowca, z³agodnia³a jakby i wypieknia³a.

Przesun±wszy uwa¿nie swe rozumne spojrzenie po twarzy swego nowopoznanego s±siada wiejskiego w przysz³o¶ci, Ola zdziwi³a siê w duszy niepomiernie, tymbardziej, ¿e nie poza bynajmniej, ale przeciwnie, szczerop¶æ w ostatnich s³owach jego d¼wiêcza³a. Nie spodziewa³a siê podobnego zwrotu w rozmowie banalnej przeciêtnego salonowca, za jakiego wziê³a nowego go¶cia, zamy¶li³a siê zatem chwilê, umilk³a, i dopiero, w parê minut pó¼niej, przypomniawszy snaê sobie obowi±zki gospodyni, uprzejmie bardzo zwróci³a siê do Topolskiego.

- Gawêdzê z panem, et j'oublie tout à fait, comte, que vous connaissez ici très peu de monde... Wszak prawda? Przyjecha³ pan dni temu parê zaledwie... Przedstawiê pana... donnez moi votre bras, s'il vous plait.

Z wdziêkiem, Topolski poda³ natychmiast Oli swe ramiê, rozp³ywaj±c siê jednocze¶nie w podziêkowaniach, grzeczno¶ciach i zasypuj±c zrêcznymi komplementami m³od± kobietê... Uprzejma gospodyni tymczasem prowadzi³a go ku grupie siedz±cych starszych dam. Im naprzód przedstawia³y go¶cia, skinê³a nastêpnie na jednego z krê±cych siê beczynnim m³odych ludzi, a zapoznawszy z nim swego protegowanego, poleci³a zaprezentowaæ go m³odszyom paniom i pannom.

- Comte Topolski... hrabia Topolski... monsieur le comte Topolski...- rozleg³o siê po chwili tu i tam po salonach, w milk±cym w³a¶nie rozmów gwarze, t³o fortepianu bowiem, stoj±cego na zaimprovizowanej estradzie, zbli¿a³a siê w tej samej w³a¶nie chwili s³awna artystka, ¶piewaczka w³oska...

Akompaniowaæ jej zamierza³ znany profesor i muzyk.

Topolski zacz±³ przyciszonym g³osem zabawiaæ grupê pañ i panien, wespó³ z wyfraczon± i wymuskan± m³odzie¿±, uwaga za¶ powszechna zwróci³a siê jednocze¶nie na m³od± i piekn± W³oszkê.

Coraz ciszej i ciszej, choæ opornie, umilk³ w koñcu, niby morze, t³um wytworny i s³uchaæ poczêto, z pozornem zajêciem...

Wreszcie, w ciszy wzglêdnej jeszcze, odezwa³y siê pierwsze akordy, a w ¶lad zatem obi³ siê o ¶ciany salonów i uszy s³uchaczy melodyjny, o cudnem aksamitnem brzmieniu, kontralt kobiecy. Z³±czona w harmonijn± ca³o¶æ z muzyk± fortepianu, rozleg³a siê, zadr¿a³a uczuciem w³oska pie¶ni namiêtna i jak ¶wie¿e tchnienie z pod nieba Italii, sp³ynê³a urocza, na rojn± masê go¶ci...

Wstrz±sn±wszy za¶ gam± tonów przepe³nione salony, polecia³a pie¶ni± czysta, skrzydlata, daleko - wyrwa³a siê przez okna na ulice miasta potê¿na, silna, wcisnê³a siê do ka¿dego zak±tka mieszkania

Dzierżymirskich - zbudzi³a swym czarem dalekim siedzącego w zadumie w jednym z najbardziej oddalonych fumoir'ów, Romana.

Podniós³ g³owê instynktownie, ws³ucha³ siê w modulowan± artystycznie pieńni i westchn±³ po kilkakrotnie...

Korzystaj±c ze zwróconej ogólnie uwagi na maj±cy siê rozpocz±æ wkrótce popis koncertowy, Dzierżymirski znużony schroni³ siê by³ tutaj.

Myñli d³użej go przytrzyma³y. Teraz zañ, s³ysz±c daleki, cichn±cy stopniowo szmer t³umnego zebrania, a pó¼niej wyra¼ne tony pieñni znakomitej ñpiewaczki, z³agodzone oddaleniem, piękne, marz±ce, drgaj±ce uczuciem i si³± - Roman, w milczeniu s³ucha³ nieporuszony - jakby zaklêty... I odejñ±c st±d nie chcia³o mu siê wcale...

Poddaj±c siê bowiem urokowi s³uchanej pieñni, porusza³y siê, tr±cone jakby czyj±ñ d³oni± z lekka, jakieñ struny w jego duszy, kwili³y cicho, gra³y...

Tymczasem namiêtny glos W³oski rós³, potêżnia³...

Wreszcie w pożegnalmym rytmie ostatnie, donoñne, s³owa pieñni zabrzmia³y - pola³y siê law± jakby ekstazy, rozkoszy, upojenia, wstrz±snê³y ñcianami cichej komnaty, a dobieg³y a¼ tu, pod stopy Dzierżymirskiego, i zgas³y...

Nasta³a drobna chwilka zup³nego milczenia, poczem, zg³uszony nieco oddaleniem, zabrzmia³ oklask przeci³g³y, d³ugi, szczery...

Roman przetar³ d³oni± czo³o i powsta³... Trzeba by³o powracaæ do obowi±zków niestrudzonego gospodarza domu.

A tak dobrze by³o mu tutaj! Dawno nie pamiêta tak cichej, niczem nie zam±czonej chwili, bez zgrzytu żadnego, bez rozterki...

Rozterka!.. By³a przecież ona jego życiem. Tak. Nie tem zewnêtrznem, dla ludzi, dla ñwiata, ale tem prawdziwem, wewnêtrznem - dla siebie.

Cieñ smutku powlek³ piękne rysy Dzierżymirskiego; rozpamiêtuj±c coñ, zaduma³ siê on znowu.

Nagle brwi zmarszczy³, i jakby przypomniawszy coñ sobie, siêgn±³ szybko do kieszeni fraka, sk±d wyj±³ welinow± pod³użn± kopertê. Rzuciwszy uważnem okiem na wypisany, drż±c± rêk±, dok³adny adres, odczytywaæ go poczt±³. By³ to zañ list do niejakiego pana Wiktora Orleckiego w Paryżu. O pismo to chodzi³o Romanowi bardzo od kilku już tygodni, to jest od czasu, gdy siê dowiedzia³, że wzmiankowany powyżej, Wiktor Orlecki, zamieszka³ w stolicy ñwiata z oszczêdnoñci i musu po stracie -majątkowej, wynik³ej, jak mówiono, ze zguby, przed samym terminem licytacji majątkowej, sumy pieniêżnej.

Opowiadanie to, pos³yszane przypadkiem, uderzy³o Romana Dzierżymirskiego. Rodziny Orleckich nie zna³, szczegó³ów dowiedzieæ siê nie móg³... Wiadomoñ± ta jednak niepokoi³a go; ogarniaæ go poczê³a chêæ niezbadana stanowczego zobaczenia siê, z owym Wiktorem Orleckim, oraz wybadania go zrêcznego.

I od chwili tej nie zna³ już pragnieñ innych...

Wreszcie pozna³ się umy³lnie pewnego dnia z bogaczem, s³awnym odludkiem i dziwakiem, Hugonem Orleńskim, jedynym krewnym zamieszka³ego, w Paryżu Wiktora, by w jakikolwiek b[±]d^¼ sposób móc dotrzeæ przez niego do nieznanego mu zgo³a cz³owieka, a trzymaj[±]cego, mo³e, kto wie, niæ jego w³asnej zagadki! Dzi³ dopiero, na kilka godzin przed rautem, uda³o się zdobyæ list od starego samoluba, dla którego napisanie go nawet by³o ofiar[±] niew[±]tpliwie wiel[±], zerwa³ bowiem zupe³nie stosunki ze swym krewnym.

Pismo to by³o w kwestyi oderwanej ca³kim; tre³æ, poddana przez samego Romana, poleca³a tylko oddawcê w pewnej sprawie wzglêdem synowca starego bogacza, posiadaj[±]c jednak list ów w kieszeni, Dzier³ymirski odetchn[±]³. Łatwiej mu ju³ bowiem by³o, maj[±]c sposobno³æ poznania owego Orleńskiego, potr[±]ciæ w rozmowie z nim o temat pieniê³nej zguby, którego, jako obcy zupe³nie, prawdopodobnie tkn[±]æ by nawet z nim nie móg³.

- Ba!.. jeszcze jeden... - westchn[±]³ Dzier³ymirski i skierowa³ się ³piesznym krokiem ku rozbrzmiewaj[±]cym ju³ wrzaw[±] salonom.

Tam, po uczcie artystycznej ducha, przechodzono w³a³lnie do du³ej pustej jadalnej sali, by z kolei przyst[±]piæ do uczty cia³a i pokrzepiæ się jad³em, za stawionem poka^¼nie i suto, na olbrzymim pod³u³nym, przybranym kwiatami, stole.

Roman stan[±]³ w cieniu portyery, u wej³cia jednego z ustronnych buduarów, gdzie w tej chwili nie by³o nikogo, i obj[±]³ spojrzeniem swych go³ci.

W jego ogromnych salonach by³o ju³ nieco przestronniej; tu i tam siedziano jeszcze, rozmawiano, lub przechadzano się swobodniej... Wypuklej wystêpowa³y teraz wspania³e toalety kobiet, mieni³y się tęczowymi kolorami.

Na alabastrowych szyjach, piersiach i ramionach wachluj[±]cych się zalotnie dam, ³atwiej mo³na by³o dojrzeæ obecnie wspania³e klejnoty, po³yskuju[±]ce, na równi ze spojrzeniami ich oczu...

Na lewo za³, ku sali jadalnej, ³cisk natomiast panowa³. Wiele osób dyskretnie w ostatnim, trzecim z rzêdu, salonie, oczekiwa³o, rautuj[±]c tymczasowo, kolei swej, bo przy sto³ach biesiadnych pe³no ju³ by³o go³ci, posilaj[±]cych się, przewa³nie stoj[±], wystawn[±], urz[±]dzon[±] na zimno kolacy[±]. Paniom i pannom us³ugiwali panowie, jedz[±]c, flirtuj[±]c, ³mieju[±]c się i bawi[±]c weso³o.

Obejmuj[±]c sale wzrokiem, d³u³sz[±] ju³ chwilê sta³ tak Dzier³ymirski, a na twarzy jego, w ³lad za pewnym jakby odblaskiem wewnêtrznej pró³no³ci, zawita³ teraz melancholijny cieñ...

- Przyszli tutaj - my³la³ - tak, stawili się z ró³nych obozów, sfer, przybyli i wielcy, i mali, bawi[±] się obecnie swobodnie, weseli, splataj[±]c zarazem sw[±] obecno³ci[±] d³ug grzeczno³ci ³wiatowej, zaci[±]gniêty u niego - po³yczkê moralnych us³ug, czynno³ci, zabiegów...

Ha, zapewne! Lecz gdyby tak oto niespodzianie, nagle, dowiedzieli się tutaj oni wszyscy, co poza jego, Dzier³ymirskiego, pow³ok[±] się kryje, gdyby w zawrotn[±] g[±]b duszy jego zajrzeli!..

O, niew[±]tpliwie! Przeczytawszy ukryt[±] tam tajemnicê, odwróciliby się ze wzgard[±]...

Dzierżymirski nieuczciwy? Jak to?.. Prezes, wiceprezes, człowiek czynu, energii, żelaznej woli, nasz najzdolniejszy, znany i poważany w szerokich kołach miasta?..

Jakaś peña zgrzytów, pieśca ironia rozemnia się na głos w duszy Romana.

- Ha-ha-ha!.. ha-ha-ha !.. Oszukujesz ich ty!.. Ty, czczony, wielki! Zasypujesz im oczy byszczącym piaskiem, kpisz sobie w duchu z nich wszystkich!..

Roman wstrząsnął się... W przywidzeniu nagłym ujrzał on te klasy, sfery - tych wszystkich, przechadzających się przed nim, strojnych ludzi, unikających jego wzroku, ukłonu, uchylających się od podania mu ręki, ze wzgardą zimną, suchą na obliczu...

I Dzierżymirski, wzburzony nagle, podniósł głowę hardo, wstrząsnął bujną czupryną, niała twarz jego przybrała wyraz energii, oraz niezłomnej woli, i wyszeptał:

- Nie dam się, nie dam!.. - zacisnął instynktownie pięści i dokończy ciszej jeszcze: - Korzę się oni przede mną, kornymi zostaną; bo ja tak chcę i tak być musi!..

Dzierżymirski bowiem w tej chwili nie bał się rzeczywiście ciemnej, nierozwiązanej jeszcze życia zagadki - ufał w siebie!..

W ukryciu swym, niedostrzeżony przez nikogo, stał dłużej jeszcze... Uspakajał się stopniowo, a z równowagą umysłową, wywalczaną zwykle wolą żelazną - codzienny, tajony przed drugimi, smutek, peña samowiedzy, po raz setny znowu wstępował do duszy jego.

- Galernikiem jestem!... - szepnął Roman z goryczą. - Nie tym, z piętnem ludzkiej sprawiedliwości na czole, potępianym, ale może gorszym jeszcze, bo moralnym - tym, któremu honory pod nogi rzucają hojnie, a on je z rumieńcem wstydu ukrywał by rad przed sumieniem, lecz nie może!.. W ciemności zagadki wpatrzony bédnie, wijący się bezustannie w ducha rozterce, niewolnikiem bédnego koła przeznaczenia własnego jestem, bryzgającym światu fałszem mego "ja", potrafiącym go odurzyć komedią, graną znakomicie, nie mogącym zań, niestety, zagłoszyli tylko - siebie!..

(przypis - tu księżka jest spalona, elementy wzięte w nawias kwadratowy są dokończeniem wyrazu, b¹/₄ oznaczeniem przerwy w tekście)

I Dzierżymirski przesunął dłoń po czole, jakby pragnąc zetrzeć z niego ostatecznie myśli nieposłuszne. Stanął po chwili przed lustrem, rozczesał starannie włosy i brodę, poprawił szczegół[ny swej] toalety, a przybrawszy zwykłą codzienną pozę oblicza - przestąpił sprężyście próg z[bu]duaru... Rzucił znowu oczyma po salac[h].

Druga, czy trzecia partya gości []raz wieczorę, a tamci, syci, przechadzali się po nim. Nagle ujrzał w dali sylwetkę w[] szukającej uparcie wzrokiem kogoś w[] chwili oczy ich spotkały się, Ola uśmiechnęła się i przyzywała go poczęsą skinieniem głowy. [Równocześnie]nie ktoś szybko uchwycił za rękę Romana.

- Qua diable, ekscelencyo!.. - zabrzmiał głos Ładyżyńskiego. - Co z tobą się dzieje? Kolacja rozpoczęta, pani Ola cię szuka, gościście dopytują się

o ciebie bezustannie, a ty, jak w wodę wpadł... Bój się Boga, wielki człowieku, cóż z ciebie za gospodarz domu!?! - i pan Emil, wzięwszy pod rękę Dzierżymirskiego, prowadził go pocztą przez salony.

Roman zaś teraz dopiero zdał sobie sprawy dokładnie, jak widocznie drugo nie było go pomiędzy gośćmi.

- Telefonowano do mnie, interes bardzo ważny!.. Naprawdę załatwił musiałem korespondencję... - skłamał gładko.

- Ach, zawsze z ciebie ten sam interesoman - załamał się Ładyżynski - wiesz co? Ja myślałem, że jeżeli tak długo potrwa, to i w nocy będziesz przewodniczył sesjom, a niby p. Napoleon godzin parę tylko spoczywał w objęciach Morfeusza!..

(przypis - druga strona spalenizny)

[Roman] na tę uwagę nic nie odpowiedział, bo [] go. Panowie i panie przywłaszczyli sobie nieobecność tak drugo gospodarza do [] z nim w rozmowy, na których dzień, [] się i tu nawet, zresztą wyzyskujący [] interes osobisty.

[Dzierżymirski] zaś, że zwykł sobie pozornie poddawać się temu wszystkiemu uprzejmie rozmawiając z ożywieniem i niebawem znikł z oczu, [] fałt gości. W trybie swe, kóśeczka i kosa [] ją go znowu machina życia, cicerajęc walkę [] mi, wrażeń z przed chwili, barwnym, bawiącym się "towarzyskim światem", tak, jak wczoraj czynił to interesami, sesjami, pracą społeczną, lub czem innym wreszcie...

To właśnie życie czynne było największym może czasowym lekarstwem Romana - było jego morfiną, której za moralną dawką zapominał chwilowo o wszystkim.

Tymczasem czas mknął szybko. Po skończonej już zupełnie kolacji, przez czas krótki do kulminacyjnego punktu ożywienia doszedł rażący prezesowstwa Dzierżymirskich... Salony rozbrzmiały zdwojonymi zabawami i rozmowami. Na wszystkich prawie twarzach widniała szczere zadowolenie, co w wielkiej mierze zawdzięczano niezamordowanemu, gościnniej uprzejmości pełnym zabiegom Romana i Oli.

Eleganckie ich sylwetki, wśród barwnej lśniłej fali zaproszonych osób, migały szybko, znajdowały, zdawało się, wszędzie, by tylko uprzyjemnić, rozruszać i zabawić wszystkich, umiejętnym przedstawianiem, dobieraniem wzajemnym kół i kóśeczek swych gości.

Wreszcie stopniowo, z wolna, w salonach ukazywały się poczęto coraz więcej swobodnego miejsca...

Wybiła gdzieś godzina wpół do trzeciej. High life miejscowy pierwszy dał hasło do odwrotu, za jego przykładem, śladem poszły i sfery inne... Przed domem, oraz na asfalcie obszernego dziedzińca zatętniały liczne uderzenia kopyt końskich, zamajaczyły ogniki u latarń dziesiątek powozów i karet. Rozjeżdżało się tłumnie i coraz szybciej.

U wejścia wyludniających się coraz bardziej salonów, znowu stali teraz Dzierżymirscy, żegnając wszystkich serdecznie i grzecznie nad wyraz.

- N'est ce pas? do zahaczenia w Gowartowie?! - rzuciła na pożegnanie Ola odchodzącemu już w tej chwili Topolskiemu.

- Najmilszym to dla mnie będzie obowiązkiem!.. - zabrzmiała, w ukłonie
wytwornym skwapliwa jego odpowiedź.

Noc wiosenna, cicha, przez otwarte wszystkich apartamentów okna,
zajrzała w swej gwiazdzistej szacie do salonów Dzierżymirskich.

Ciepłym, rzeźkim powiewem zmieszała się ona z pozostał tu wonią perfum,
potu ciała i oddechów ludzkich, - tchnieniem swym dotknęła głów
siedzących w zacisznym buduarze Romana i Oli.

Ola z lubością wciągnęła w piersi oddech wiosennej nocy, poczem rzekła:

- Ach, jak przyjemnie... czujesz, Romciu? Co za miły i świeży powiew!..

Dzierżymirski, palący w zamyśleniu papierosa, spojrzawszy na wdzięczną
postać żony, opiesznie zgrabnie w rączkę dekolowaną sukni, i dłużej
zatrzymawszy na niej spojrzenie, milcząc, z uśmiechem skinął potakująco
głową; po chwili zaś rzucił papierosa precz od siebie i przysunąłwszy
fotel bliżej do kanapki; gdzie siedziała Ola, położył miękko dłoń swą na
jej ramieniu.

- Wiesz, kochanie - rzekła pogodnie i z wolna - że ja już jutro do Paryża
jechać muszę...

- Już jutro?.. - wykrzyknęła ze zdziwieniem Ola. - Mieliśmy jechać razem
do Gowartowa - dodała następnie z żalem - a ty za granicę dopiero
później...

I oczy Oli pociemniały nieco, na twarzy zaś odbiła się cień widocznego
jakby rozczarowania. Dzierżymirski uśmiechnął się na tę minkę
niezadowoloną.

- Dba jednak o mnie i kocha... - przemknęło mu przez myśl, poczem
pogodnie, gładząc dłoń rączkę Oli, mówił pieszczotliwie znów dalej,
palił go już bowiem gorączką: list schowany w kieszeni i nadzieja
wpadnięcia może na tak dawno poszukiwany trop.

- Wierz mi, zwlekać nie mogę, muszę jechać natychmiast... Zresztą
przyjadę do Gowartowa później.

- Ależ wczoraj jeszcze - żachnęła się Ola - mówiłem mi, że nic tak
dalece pilnego nie powoła cię...

- Ho-ho gniewy!.. - zauważyła lekko i żartobliwie Dzierżymirski. - Cóż
to, może moja pani chciałaby mnie mieć tak cięgle à ses trouses?.. - I
mówiąc to, powstała, zbliżyła się do żony, a ująwszy jej obie dłonie,
położył je uśmiechnięty sobie na twarzy i wargami muskał poczęst
delikatnie, bawiąc się jednocześnie brzościami na rączkach Oli
bransoletkami.

- Oj, kotku, koteczku ty mój drogi, kochany! wczoraj... - przedrzeźniała
z kolei - wczoraj nic nie wiedziałem jeszcze, a dziś... - tu Roman
spuścił oczy - na raucie wspaniale uchwaliliśmy razem z członkami
nowozakładającej się spółki Przemysłu Fabryczno - Krajowego, że ja,
jako delegowany, muszę, jechać czempredzej do Paryża, w celu obejrzenia
na miejscu udoskonalenia fabrycznych...

Roman umilk³, puŃci³ delikatnie d³onie Źony i wyj³ ruchem szybkim zegarek.

- Oho - po trzeciej... Pó¹/₄no, chérie, ju³ k³aŃæ siê pora - i koŃcz^{±c} jakby poprzedni[±] rozmowê, dorzuci³: - No, i có³, moje Źycie, widzisz teraz, i³ nie jechaæ jutro nie mogê...

- Zapewne. Ty zawsze nie mo³esz, gdy nie chcesz! No, ale có³ robiæ... Jed¹/₄... Tylko w takim razie proszê mi d³ugo tam nie siedzieæ i pisaæ listy codziennie. Koniecznie... By nie zapomnieæ o mnie zupe³nie - tu Ola z uŃmiechem pogrozi³a mê³owi palcem i doda³a jeszcze: - bo Pary³ - Pary³em, ho, ho, ja znam siê na tem!.. Nie oszukasz mnie tak ³atwo...

- Ale có³ znowu? - Źachn^{±3} siê Dzier³ymirski, ale tym razem zupe³nie szczerze. - Có³ za myŃli - uŃmiechn^{±3} siê, a potem dorzuci³ ca³kiem powa³nie: - Wiesz przecie, Źe prócz ciebie, Źadna na Ńwiecie kobieta nie obchodzi mnie zgo³a!..

Z wdziêcznoŃci[±] spojrze³a naŃ Ola.

- Wiem i wierzê - rzek³a - a poniewa³ i mnie têsknò bez pana mego bêdzie, wiêc i ja jutro pojedê...

Zatrzyma³a siê, spojrzawszy filuternie na mê³a, cieŃ bowiem mimowolny przebieg³ po twarzy jego...

- Nie, nie do Pary³a!.. - rozeŃmia³a siê szczerze, jakby myŃli Romana zgadu^{±c} - ale do Gowartowa!..

UŃmiechn^{±3} siê z kolei Dzier³ymirski.

- Dobrze! - wykrzykn^{±3} weso³o. - Zatem jutro - marsz! Poniewa³ zaŃ poci^{±g} mój wychodzi pó¹/₄niej od twego, wyŃlê pakunki nasze przez s³u³bê i odwiozê ciê na kolej powozem. A teraz - ci^{±gn}^{±3} dalej - spaæ!... Dobranoc, kochanie, zmêczon[±] jesteŃ.

Poca³owa³ Olê serdecznie w obie rêce i czo³o - ma³ ŹeŃstwo znu³one rozesz³o siê...

Niebawem w apartamentach prezesowstwa Dzier³ymirskich pogas³y wszystkie Ńwiat³a. Cisza i uŃpienie, prowadz^{±c} siê za rêce, wst^{±pi}³y do roj^{±c}ych siê tak niedawno od ludzi salonów, buduarów - rozpostar³y siê wszêdzie i mrokiem sennym otuli³y wszystko doko³a.

- Paris!.. Tout le monde descend!.. Paris!..

Okrzyk ten jêdrny, donoŃny, a wyrzeczony najczystszy francuskim akcentem, obi³ siê o s³uch pasa³erów poci^{±gu}, podje³d³aj^{±cego} pod oszklone arkady paryskiego dworca, i zbudzi³ drzemi^{±cego} w wagonowym przedziale Dzier³ymirskiego.

- Par... - ris !.. - zabrzmia³o przeci^{±gle} raz jeszcze pod samem oknem wagonu i drzwiczki szybko roztworzono nagle... Roman zerwa³ siê, a pochwywszy podró³ni[±] torebkê, wyskoczy³ Ńpiesznie na peron.

Bieganina, ruch, zgie³k, ogarn³ę go natychmiast, oszo³omi³y chwilowo ca³kciem; w parę minut dopiero, zorientowawszy się, poszed³ Dzier³ymirski do rewizyjnej sali, gdzie pobie³ z бага³em swym za³atwiwszy formalno³æ, w kwadrans pó³niej znalaz³ się ju³ w doro³ce, na bulwarach.

Zapaliwszy cygaro i rozpar³szy się wygodnie, z przyjemno³ci³ przypatrywa³ się on teraz od bardzo ju³ dawna nie widzianej nadsekwa³ńskiej stolicy.

!rodkiem bulwaru Sewastopolskiego, ulic³, wymija³ go ogromne, zielone tramwaje elektryczne, ró³ nobarwne omnibusy konne, ekwipa³e, samochody; ca³y zast³p ruchliwy pojazdów tamowa³ co chwila wir miasta, na sekund kilka wielokrotnie zatrzymywa³ się by³a zmuszona wioz³ca Romana doro³ka; policyjna w mantylach ciemnych krzykliwie czyni³a porz³dek - poczem ruszono znowu.

A pod wynios³emi drzewami, po bokach, snu³y się po³piesznie przechodniów roje; na werandach mnogich kawiarni, zajmuj³cych czę³æ chodnika, pe³no by³o równie³ i gwarno od konsumentów - p³ci obojga oraz ró³nych stanów.

I jaki³ przed kie³kuj³cego, czynnego bezustannie ³ycia, lec³cego na o³lep jakby przed siebie, niepomnego by³ego, znik³ego ju³ "wczoraj", w ci³g³ej, ³piesznej pogoni tera³niejszo³ci i jutra - bi³ od tych ugania³jących się mas ludzkich, zawrotn³ si³± ci³gn³ jakby ku sobie - poch³ania³ i wabi³...

W p³uca swe wci³gaj³c bezwiednie tchnienie tego ³ycia, tocz³cego się z ³oskotem swego perpetuum mobile, Roman dojecha³ wreszcie do jednego z centralnych hoteli, gdzie rozlokowawszy się niebawem, znu³ony po³o³y³ się i zasn³.

Przespawszy w kamiennym ³nie zm³czenia dobrych godzin kilka, Dzier³ymirski zabra³ się energicznie do celu swego tutaj przybycia. Wybieg³ na miasto.

Dla oryginalno³ci i pod wp³ywem przypomnienia u³ywanej za studenckich jeszcze czasów jazdy na "imp³riali" omnibusów, "pan prezes" usadowi³ się na dachu jednego z nich i z zadowoleniem, rozgl³da³ się pocz³ woko³o.

U stóp jego, blisko, w granitowym pod³o³u toczy³a sennie swe ciemne, stalowe fale Sekwana. U jej brzegów w oddali, na lewo, wznosi³y się ponure nieco kwadraty wie³yc katedry Notre Dame, w prawo za³ majaczy³ Luwr olbrzymi. Dalej znów b³yszcz³a ozdobami most Aleksandra III-go, odcina³a się na tle nieba wie³a Eiffel - w perspektywie, kopu³a pa³acu Inwalidów z³oci³a się w promieniach majowego s³o³ca...

A po Sekwanie, kr³±c, uwija³y się parowe statki, zatrzymywa³y się u licznych przystani, obs³uguj³c bezustannie mieszkańców stolicy.

Trz³±c niemi³osiernie, ³ó³tawy, w trzy siwe konie zaprz³ony, omnibus zatrzymywa³ się w³a³nie na jednym z przystanków, gdy obserwuj³cy ci³gle Pary³ Dzier³ymirski, zda³ sobie nagle spraw³, ³e mieszkanie Orle³ckiego mo³je by³ ju³ blisko, i pocz³± schodzi³ szybko po kr³tych schodkach, ³±cz³cych pi³tnastocentymow³ imp³riale z trzydziestocentymowym pado³em.

Znalaz³szy się na bruku, Roman przy³pieszy³ kroku, i wymin³wszy kilka w³skich zau³ków, znik³ w bramie jednego z domów. W chwil³ pó³niej dzwoni³ na kr³tych ciemnych schodach starej, jak ³wiat, kamienicy - u

drzwi pomieszkania Orlińskiego. Otworzy³a mu m³oda, fertyczna s³u¿±ca, w charakterystycznym bia³ym czepeczku na g³owie.

- Monsieur Orliński? - zapyta³ Dzier¿ymirski.

- Sorti et ne reviendra qu'a dix heures du soir - pos³ysza³ zwiêz³± odpowied¼.

Zawiedziony Roman skrzywi³ siê, z niechêci± i zagadn³±:

- A jutro o której godzinie zastaæ go bêdzie mo¿na?

- O, jutro zgo³a co innego. W Niedzielê pan przyjmuje od drugiej do obiadu - poinformowa³a przybysza m³oda Francuzka.

- A zatem przyjdê jutro o tej¿e godzinie - odpar³ Dzier¿ymirski, i siêgn±wszy po bilet wizytowy, oraz list Hugona Orlińskiego, wrêczy³ je s³u¿±cej,

- Proszê oddaæ to panu... Do widzenia!.. - skin±³ g³ow± uprzejmie.

- Bonjour, monsieur!.. - odwzajemniaj±c siê dzieñ dobrym, wed³ug miejscowego zwyczaju, po¿egna³a go dziewczyna u¶miechem i zalotnym b³y¶niêciem czarnych oczu.

Wydostawszy siê na ulicê, Dzier¿ymirski, niezadowolony ze zw³oki, a ca³y poch³oniêty nadziej± rozwi±zania za pomoc± Orlińskiego drêcz±cej go zagadki - szed³ naprzód przed siebie odruchowo czas d³u¿szy. Od otoczenia swego daleki jeszcze my¶lami, nagle zatrzyma³ siê jednak, spojrzawszy uwa¿nie doko³a siebie.

Znajdowa³ siê obok filarów wej¶ciowych Panteonu - przed nim za¶ w perspektywie ju¿ bliskiej zielenia³ za krat± ogród Luksemburski.

Pustymi chodnikami skierowa³ siê w t± stronê; wkrótce by³ ju¿ w ogrodzie i i¶næ zacz±³ bez celu szerokimi alejami, niebawem za¶ znalaz³ siê na obszernym tarasie. Na lewo, w oddali, zamajaczy³y wie¿yce Obserwatorium, przed nim wznosi³o siê muzeum Luksemburskie.

- Wpadnê tam i obejrzê, co jest!.. - pomy¶la³, zadowolony nagle na widok gmachu, a poniewa¿ wej¶cie do pa³acu nie by³o od ogrodu, lecz od strony bulwaru -go Micha³a, Dzier¿ymirski skierowa³ siê boczn± alej± parku ku wyj¶ciu, na prawo. Twarz chmurn±, znudzon±, okra³ mu u¶miech; przest±pi³ sprê¿y¶cie próg muzeum i spojrze³ jednocze¶nie na zegarek - mija³a czwarta, podwoje pa³acu za¶ zamykano o piêtej.

- Zd±¿ê chyba zobaczyæ wszystko!.. - mrukn±³, kontent ju¿ tym razem zupe³nie, z przyjemnego zabicia czasu.

I rzeczywi¶cie.. Pod wp³ywem bowiem pierwszego rzutu oka na salon sztuki, Dzier¿ymirski zapomnia³ o wszystkim, co go drêczy³o.

Znajdowa³ siê w otoczeniu, ustawionych w pierwszej sali, licznych rze¼b nowo¿ytnych...

Wiêc oto najprzód spojrzenie jego przyku³a ustawiona na ma³em wzniesieniu, w pobli¿u wej¶cia, rze¼ba Moreau-Vauthier'a, a by³a ni± postaç naga, le¿±cej na wznak, w lubie¿nej pozie i upojeniu, bachantki, z gronem winogron w lewej d³oni... Naturalno¶æ pozy i ruchu, a

szczególniej modelowane doskonale cia^o kobiece, tⁿⁱce po prostu w zimnym bia^ym marmurze, ^zarem krwi m^oodej - zatrzyma^o d^uzej na sobie wzrok Romana.

Rozgl^{daj} si^e, przystaj^c co chwila, poszed^s dalej!.. I niebawem znowu zapatrz^y si^e d^uzej, tym razem przed przegi^{et} w ty^s, w stoj^{cej} postawie, i unosz^c si^e jakby w przestrzeni, postaci^z nagiej r^{ownie} ^z dziewczyny. Oczy jej by^y przymkn^{iet}ymi, twarz owiana mg^z u^{pi}ienia, w r^{eku} trzymane chwia^o si^e kwiecie...

By^o to "Z^udzenie" F. Charpentier'a, oddaj^{ce} subtelnie pochwyc^{on} nieuchwytno^æ illuzji, jak sen, jak marzenie, nieuj^{etej} - rozp^ywaj^{cej} si^e jakby w przestrzeniach...

Niezr^{ównanem} bowiem oddaniem czaru u^{pi}ionych pi^{ek}nych rys^{ow} kobiecych, zdawa^o si^e, ^ze znajduj^{cy} si^e tutaj przedstawiciele rze^{1/4}by turniej urz^dzili sobie.

W^{sr}od wielu innych w tym^ze rodzaju pos^{og}ow, wyr^oznia^a si^e jeszcze rze^{1/4}ba, nader pi^{ek}na, zatytu^owana : "Wspomnienie". Tw^{orc}z jej by^s Mercie Autonin.

Przedstawi^a ona m^ode dziewcz^e, o rysach drobnych, z g^{ow}z przechylon^z w ty^s nieco, z obliczem, ton^{cem} jakby w g^{eb}okim, cichym ⁿⁱie. Na kolanach jej, na ziemi - wsz^{edzie}, widnia^y rozsypane kwiaty; dwa go^zbki, nios^c w dzi^{ob}kach r^{ownie} ^z kwiecie, lecia^y ku niej, rozmarzonej cicho, we wspomnieniu dalekiem...

Po^{wi}eciwszy wzgl^{ednie} do^æ czasu na rze^{1/4}b^e, Dzier^zymirski przeszed^s spieszenie do salon^{ow}, zawieszonych obrazami, dochodzi^a ju^z bowiem godzina zamkn^{ie}cia. Szybko, jak m^{og}s najuwa^zniej, pocz^z ogl^dda^æ obrazy wszystkie; w ten sposob^s dobieg^s do sali ostatniej. Pocz^{em}, wolniej nieco, powraca^æ zacz^z.

I teraz w jednym salonie uwag^e jego zwr^oci^s nader oryginalnie, bo, jakby ca^skiem po ^{wi}iecku traktowany, a mimo to nadziemsko^{ci}z tchn^{cy}, obraz: "Naj^{wi}etsza Marya Pocieszycielka..." Z ram patrzy^a na widza, natchnionego oblicza, o du^zych oczach czarnych, siedz^{ca} postaa^e Niebios Kr^olowej... Na kolanach Jej, rzucona na kl^{eczk}ach, opar^a si^e kobieta, z twarz^z ukryt^z, z r^{ekoma} za^samanami, w bezbrze^znym b^olu, szukaj^{ca} na ^onie ^{wi}etej Maryi pocieszenia! U st^{op} tych dw^och postaci kobiecych - poniz^{ej}, le^za^o wdzi^{ecznie} u^{pi}one dzieci^{tko}, ⁿⁱo, osypane ca^se, obrzucone puchem bia^ych r^oz ⁿⁱeznych, w rozkwicie...

Dzier^zymirski, zachwycony wdzi^{ekiem} i poezy^z, bij^{cem} z obrazu tego, p^{ed}zla "Bouguereau"; po chwili zn^{ow} pospieszy^s dalej.

Naraz zatrzyma^s si^e ponownie. Ujrza^s bowiem naprzeciwko siebie obraz do^æ du^zy, przez Detaille Edwarda. Nosi^s miano "Le r^eve (Sen)".

Na olbrzymiem oto polu, otuleni p^{aszc}zami, z czapkami nasuni^{et}ymi na czo^o, pokotem, jeden obok drugiego, le^zz setki odpoczywaj^{cy}ch, pogr^zonych we ⁿⁱie ^onierzy... Poranek cichy; niebo hen! daleko zar^ozawia si^e leniwie jutrenk^z, - w^{sr}od ^{pi}cznych ludzi b^syszcz^z w szarem ^{wi}taniu rz^{edem} poustawiane, u^oz^{one} w koz^y bronie, a gdzie^z z boku, blisko, dogasa ju^z ognisko...

Lecz c^oz to za cienie majacz^z tam, w g^{or}ze, nad nimi?

To gór±, w ob³okach, p³ynie mg³± przes³onięty jaki¶ hufiec inny, zwycięzki - mar i duchów, nie ludzi!.. Grzmi tam muzyka, bębni±, strzelaj±, proporce się chwiej±, chorągwie szumi±... tamci, tam, zwyciężaj± niezawodnie!..

I ponad g³owy u¶pionych ³o³nierzy, których potwór wojny mo¿e ju¿ jutro poch³onie, przesuwaj± się, jak marzenie, u³udne widzenie ostatnie: oni ¶pi±, widzą siebie, jak zwyciężaj±, pe³ni chwa³y!..

To sen...

Pi±ta wybi³a g³o¶no w salonach sztuki, i Dzier¿ymirski opu¶ci± muzeum. Niebawem znalaz³ się na bulwarach Pary¿a i równocze¶nie instynktownie poczu³ g³ód.

W³och z matki i dusz± ca³± artysta, my¶li± wspomina³ on jeszcze widziane przed chwil± dzie³a sztuki i pogodnym spojrzeniem ogarnia³ biegn±ce woko³o siebie t³umy, przepe³nione kawiarnie i hucz±ce pojazdy.

- La Presse!.. La Patrie... La Pres-se!.. - krzyczano mu nad uchem na wszystkie strony; w restauracjach, na platformach, spo¿ywano ju¿ posi³ek, popijano wino, absynt i inne wyskokowe napoje - ca³y Pary¿ obiadowa³.

Na ¶wie¿em powietrzu, przy jednym z takich stolików, zachêcony przyk³adem, zasiad³ i Roman, a kazawszy podaæ obiad, zapali³ swobodnie cygaro.

Niebawem przyniesiono pierwsz± potrawê. W¶ród przelewaj±cego się kaskad± paryskiego ¿ycia i huku ruchliwej stolicy, Dzier¿ymirski spokojnie zacz±³ spo¿ywaæ zupê, s³uchaj±c ciekawie, z u¶miechem, g³o¶nych rozmów swych przerozmaitych s±siadów i charakterystycznych czêstokroæ ich bulwarowych dowcipów.

Punktualny, pomiêdzy drug±, a trzeci± po po³udniu, wchodzi³ nazajutrz Roman do mieszkania Orliêckiego. S³u¿±ca wprowadzi³a go natychmiast do saloniku, zaledwie jednak wszed³ tam, roztworzy³y się ju¿ zamasy¶cie boczne drzwi komnatki i w ramie ich ukaza³ się mê¿czyzna ros³y, blondyn; ysawy i do¶æ oty³y, o siwiej±cym, z polska podkrêconym, w±sie.

- Jak¿e mi mi³o... Jak mi³o mieæ w swoich progach tak dostojnego go¶cia... rodaka!.. - zacz±³ od proga, z polsk± szczer¶ci± i uprzejmo¶ci± w g³osie, roztworzy³ przytem machinalnie ramiona, jakby chocia³ do piersi przycisn±æ niemi przyby³ego, po chwili opamiêta³ się jednak i wyci±gaj±c uprzejmie prawicê; czysto ju¿ tylko salonowym gestem, przedstawi³ się: Orliêcki... Wiktor... - siostrzeniec Hugona.

- Nie uwierzy pan - ci±gn±³ natychmiast bardzo grzecznie - jak± rzetelnie prawdziw± rado¶æ uczyni³ mi list stryja i zapowied¼ tej pañskiej wizyty... Proszê, niech pan prezes siada!... Proszê bardzo...

I Orliêcki wskaza³, z grzeczno¶ci±, fotele, widz±c za¶ zdziwienie na twarzy Romana, na d¼wiêk tytu³u "prezesa", u¶miechn±³ się, odgad³szy my¶l go¶cia.

- Dziwnem się panu prezesowi, jak widzê, wydaje - przemówi³, - ¿e tytu³uje go... Cóż to, przypuszcza pan mo¿e, - ci±gn±³ dalej, ze swad±,

- Źe my tu na obczyźnie nic nie wiemy, kto w kraju u nas przoduje? Przeciwnie, przeciwnie! - Źledzimy gorączkowo i z uwagą ruch naszych ziomek, wspóbraci!.. A jakże... a jakże!.. Ja sam osobiście trzymam wiele gazet polskich, wiem o wszystkim, a z nazwiskiem pańskim - tu skoni się grzecznie w stronę Romana - spotyka się w nich tylokrotnie, ceniąc zawsze ruchliwość pana prezesa i oddaniu się jego społeczeństwu naszemu...

Umilk, a po chwili

- Ale!.. przepraszam bardzo!.. Pan prezes wszak pali zapewne?.. szał natychmiast - i zerwał się miejsca, przynosząc wkrótce Dzierżymirskiemu pudełko papierosów.

Roman sięgnął po jednego z nich i błknął niewyraźnie:

- Dziękuję bardzo!..

Obserwując wciż ciekawie, spod oka swego gospodarza, chciał przytem już przemówić, lecz peńny bezustannej uprzejmości Orłêcki przerwał mu zanim usta otworzył zdoła:

- A może cygarko?.. Przepraszam stokrotnie... Za chwilę! - i nie czekając odpowiedzi, znikł za drzwiami przyległego pokoju, Dzierżymirski zaś uśmiechnął się.

Pocziwy człowiek jaki - pomyślał - i choć, zdaje się, blagier nieco, lecz szczerzy i z gatunku nieszkodliwych. Dowiem się prawdopodobnie, czego chciał...

Ledwie Roman określenie to w umyśle sformułował zdoła, gospodarz domu stał już przed nim, podając szerokie puzderko cygar.

- Doskonałe - pochwalił - prawdziwe pruskie... O, bynajmniej nie tutejsze, które są po prostu ohydne - zaopiniował.

- Dziękuję bardzo. Pan tak askaw... - poczuł się w obowiązku odrzec Dzierżymirski, powstawszy zarazem z miejsca swego.

- O, panie prezesie! - pospieszył, z odpowiedzi, Orłêcki, - Siadać proszę en bons amis... Ot - tutaj... - wskazał na kanapkę - wygodniej będzie! - i zapaliwszy równocześnie zapalniczkę, zbliżył się do koniuszka cygara Dzierżymirskiego.

- Merci!.. - skonił się tenże raz jeszcze, i wypuściwszy kóeczek dymu, odezwał się wreszcie, skorzystawszy z sekundy milczenia gościnnego gospodarza.

- Czyta pan list stryja, pana Hugona, wszak prawda?.. Wiadomy panu więc zatem cel mego tu przybycia... Nie znając nikogo w Paryżu, zdecydowałem się prosić stryja pańskiego, o tarte d'entree do pana...

- Och, i bez tego, panie prezesie - przerwał Orłêcki - każdego rodaka witamy tu z całego serca! Tembardziej zaś pana prezesa, tak w kraju zasługującego...

- Ach, tak, nie wątpię - z wolna potwierdził Roman - lecz i mnie chodzi o równie - tu uśmiechnął się z lekka - o specjalną protekcję do kogoś, by potrafił uatwić wiadomą nam sprawę przemysłową...

- A tak, tak! - przerwa³ znów Orłêcki, niezadowolony jakby, ¿e poruszano tê kwestyê. Pan prezes radby obejrzeæ drobiazgowo i gruntownie urz±dzenia fabryk tutejszych, przy mojej pomocy... Owszem, postaram siê, panie prezesie, choæ uprzedziæ muszê, ¿e ja... - zatrzyma³ siê - nie mam tak rozleg³ych stosunków ze sfer± handlowców... to jest, chocia³em powiedzieæ... ze sfer± fabrykantów... przemys³owców... Pary¿a... panie dobrodzieju... Jednak¿e... - tu zaj±kn±³ siê, zapl±ta³ w swem przemówieniu Orłêcki i zamilk³, widocznie zmieszany.

U¶miech niedostrzegalny okoli³ w±skie usta Romana.

- To nic nie szkodzi - odpar³. Mam niep³onn± nadziejê, i¿ razem z panem damy sobie z tem wszystkim radê... Zreszt±, to chyba drobnostka. Chodzi zaledwie o jakie¶ dziesiêæ fabryk tylko...

Roman zatrzyma³ siê i zapyta³ jeszcze, chc±c konsekwentnie doprowadziæ do koñca zmy¶lony swój interes i misyê:

- Wszak fabryki owe wymienione s± w li¶cie pana Hugona...

- Tak jest, tak jest... w istocie...- potwierdzi³ Orłêcki i zaj±kn±³ siê znowu.

- To dobrze, móg³by mi mo¿e szanowny pan powiedzieæ, czy w³a¶ciciele ich znani s± jemu?... Gdzie to zak³ady fabryczne znajduj±, w jaki sposób, oraz kiedy obejrzeæ je mo¿na by by³o?..

- Nic doprawdy nie mogê jeszcze panu prezesowi w tym wzglêdzie powiedzieæ - odrzek³ Orłêcki i doda³ natychmiast:

- Co siê tyczy, czy znam w³a¶cicieli, to... prawdopodobnie... Zreszt± zna siê tutaj osób tyle... - zatrzyma³ siê. - Tylko, vous savez, panie prezesie... otrzyma³em list dopiero wczoraj - urwa³, i dokoñczy³ po chwili - wiêc, vous comprenez, czasu nie mia³em...

- Ale¿ naturalnie!.. - pospieszy³ z uspakajaniem Orłêckiego Dzier¿ymirski. - Ja tylko dlatego siê pytam, i¿ to jest celem mego tutaj przybycia, i ¿e to mnie nader interesuje, jako delegata nowa zak³adaj±cej siê u nas w kraju wspó³ki Handlowo-Przemys³owo-Fabrycznej...

- A tak, s³ysza³em,.. Czyta³em nawet o tem gdzie¶ w gazetach - odpar³, z przekonaniem Orłêcki.

- K³amie, jak z nut - pomy¶la³ Dzier¿ymirski, i u¶miech dyskretny ponownie przemkn±³ po ustach jego. Zaci±gn±³ siê jednocze¶nie cygarem i wpatrzy³ badawczo w Orłêckiego. - Bonne pête d'homme... - my¶la³ zarazem - ale jak tu zacz±æ o tych zgubionych pieni±dzach?

Tymczasem, nie lubi±cy milczeæ Orłêcki, widocznie równie¿ pragn±cy zrêcznie odwróciæ rozmowê, ju¿ mówi³:

- Pan prezes zapewne nie po raz pierwszy i na d³u¿ej przyby³ do Pary¿a, nieprawda¿?..

- Och, tak... - odruchowo potwierdzi³ Roman, nie my¶l±c o tem, co mówi.

- No, to mam nadziejê - opowiada³ uprzejmy gospodarz dalej - ¿e bêdê

jeszcze mia³ okazyê przedstawiæ panu prezesowi moj± ÷onê i córkê... Dziñ pojecha³y do Versailles. Panu prezesowi wiadomo zapewne, i¿ w pierwsz± niedzielê ka¿dego miesi±ca puszczaj± wodê ze wszystkich fontann w Wersalskim parku... Widok zaiste bywa wówczas wspania³y. C'est charmant!.. - zatrzyma³ siê chwilê i siêgn±³ po zegarek do kieszeni. - O! trzecia ju¿ dochodzi... Niebawem wróc±...

Dzier¿ymirski tymczasem, s³uchaj±c, nie s³ucha³, pogr±¿ony wci±¿ w myñlach. Naraz twarz Ñniada jego o¿ywi³a siê, przelecia³ po niej promieñ... Strzepuj±c delikatnie popió³ z cygara, przemówi³ z wolna:

- Proszê pana... - zatrzyma³ siê. - Za niedyskrecyê pope³nian± mo¿e, najmocniej przepraszam... Czy¿by pan nie by³ rad powróciæ do kraju..

I Dzier¿ymirski badawczo spojrze³ w twarz Orleñkiemu, czekaj±c odpowiedzi, jednoczeñnie myñla³.

- Ka¿dy Polak na obczyźnie têsni za krajem, pewnik; dlaczegobym ja nie mia³ u¿yæ tego sposobu do osi±gniêcia mego prywatnego celu? No, zobaczymy...

Orleñki zañ ju¿ mówi³:

- Czy ja nie pragn±³bym powróciæ do kraju? Ale¿, panie prezesie, to moje najgorêtsze ÷yczenie! pragnienie ÷ony mojej, córki - codzienne marzenie nas wszystkich! - dokoñczy³, z zapa³em.

- No, dobrze, mam ciê!.. - przelecia³o przez umys³ Romana.

- Czy wolno zapytaæ jeszcze - przemówi³ - o rzecz jedn±, a mianowicie... Czy ÷yczenie to pañstw - marzenie - poprawi³, z uñmiechem - ma ju¿ dot±d jakie pewne i konkretne podstawy?..

Orleñki na te s³owa spuñci³ wzrok ku ziemi.

- O, bynajmniej - odpar³... - Tam, w kraju, stosunki zerwa³em wszystkie prawie... tu zañ zawi±za³em niektóre, potrzebne mi. Mam poza tem sta³e zajêcie, przynosz±ce mi dochód pewny...

- Tak, tak, zapewne, rozumiem - przerwa³ szybko Dzier¿ymirski - wchodzê w po³o¿enie i przepraszam bardzo za me pytania... - dokoñczy³ grzecznie, a widz±c równoczeñnie na twarzy gospodarza zak³opotanie widoczne...

- Nie ma za co jechaæ nieborak - to jasne, i ÷yæ by z czego nie mia³ -wñród swoich - pomyñla³ i w tej¿e chwili zapyta³:

- Lecz gdyby tak trafi³a siê na przyk³ad szanownemu panu okazy dobra do objêcia w kraju zyskowej posady? Przypuszczam, ÷e w takim razie przeszkody do wyjazdu nie by³oby ÷adne?..

- No, zapewne... Lecz o tem i myñleæ niepodobna, nie posiadam bowiem ju¿ ÷adnych w kraju stosunków - powtórzy³ Orleñki, ze smutkiem.

- A pan Hugo, krewny pañski?.. - zagadn±³ Roman.

- Och... ten... - przeci±gle odpar³ gospodarz, z niechêci± wyra³ni±, i z wybuchem szczeroci nag³ej, rzek³ z gorycz±:

- Stryj Hugo od czasu, jakem emigrowa³ i wieñæ mi siê w ÷yciu przesta³o,

znaæ mnie ju¿ nie chce, ani wiedzieæ nic o mnie... Dziwiê siê nawet niewymownie, i¿ raczy³ napisaæ pod moim adresem, w interesie prezesa, s³ów kilka...

Na twarzy Orleêckiego, przy tych s³owach, osiad³ cieñ, po chwili dorzuci³:

- Zwyk³a kolej ludzka... nic dziwnego. ¿wiat pamiêta o tych tylko, którym siê powodzi.

Dzier¿ymirski wpatrzy³ siê uwa¿nie w Orleêckiego; ostatnie s³owa, wypowiedziane przez niego, odkry³y mu utajon± stronê ¿ycia siedz±cego przed nim cz³owieka - nieszczê¶cie, gorycz skryt±, a powodów jej ³acno domy¶li³ siê Roman. Pomimo woli, ¿al mu siê Orleêckiego zrobi³o.

- To szkoda jednak - przemówi³ z wolna - ¿e panowie mieszkaj± tak od siebie z daleka... Pan Hugo, choæ odludek i egoista, poza tem jednak cz³owiek nieposzlakowanej opinii i nadzwyczaj przy tem wp³ywowy i bogaty.

Orleêcki na te s³owa uczyni³ niewyra¿ny ruch rêk±; - nasta³a chwila milczenia.

- Wypada mi raz jeszcze przeprosiæ stokrotnie pana - odezwa³ siê znów pierwszy Dzier¿ymirski - ¿e o¶mielam siê wkraczaæ w stosunki jego, tak osobiste, lecz po pierwsze wyj±tkowe po³o¿enie nasze tu, na obczy¿nie, jako rodaków, sk³ania mnie do tego; po drugie za¶, ¿e w tym wzglêdzie mo¿e mogê staæ panu u¿ytecznym...

Orleêcki, zdziwiony, spojrze³ na Romana.

- Tak jest - rzek³ Dzier¿ymirski, z u¶miechem - c¿by szanowny pan bowiem powiedzia³ na to, gdybym... -- tu zatrzyma³ siê sekundê - u³atwi³ mu... - Dzier¿ymirski przy tem zaakcentowa³ wyra¿nie ostatnie wyrazy - powróc do kraju... Stosunkami za¶ da³ mu jak± posadê korzystn±?..

- Ale¿, panie prezesie! - wykrzykn±³ Orleêcki, i zerwawszy siê z fotelu, uchwyci³ d³oñ go¶cia swego, ¶ciskaj±c j± serdecznie.. - Wdziêczno¶æ moja i sercu memu bliskich nie mia³aby granic!.. Lecz doprawdy, nie pojmujê... nie rozumiem!.. - urwa³ wzruszony... - Sk±d taka ³aska pana prezesa dla mnie?... Wszak poznali¶my siê tak niedawno! - dokoñczy³ i zamilk³, nie wiedz±c snaæ, co powiedzieæ, jak siê obróciæ i znale¿æ w sytuacji, tak dlañ niespodzianej...

Roman tymczasem powsta³ równie¿ z miejsca, i oddawszy serdecznie u¶cisk Orleêkiemu, po przyjacielsku ujm± go za ramiê.

Przeszli po pokoju tak razem kroków kilka, poczem Dzier¿ymirski, wci±¿ id±c pod rêkê z Orleêkim, rzek³ ca³kiem swobodnie:

- Przyznajê, poczu³em do szanownego pana szczer± sympatyê, rozumiem przy tem w zupe³no¶ci po³o¿enie jego tutejsze, i gotów jestem uczyniæ dla niego wiele...

- Dziêkujê, po ty³c razy dziêkujê! - u¶cisn±³ Orleêcki serdecznie trzymane ramiê Romana, z równowagi ca³y wyprowadzony.

Dzier¿ymirski mówi³ tymczasem dalej, pomny celu swego:

- Lecz daruje pan rzecz jedn±... Nim przyst±pimy mianowicie do obchodz±cej pana sprawy, wiedzieæ muszê dok³adnie - Roman zatrzyma³ siê - zupe³nie szczegó³owo - poprawi³ - przebieg dotychczasowego jego ¿ycia. Nic w tem dziwnego z mej strony, wszak prawda?... Znaæ mam przyjemno¶æ szanownego i kochanego pana od tak bardzo niedawna! - dokoñczy³, z przyjaznym u¶miechem, i jak najnaturalniej na pozór.

- Ale¿, rzecz prosta! Tajemnicy w tem zreszt± nie ma ¿adnej! - odpar³ Orlêcki szybko, przekonany zupe³nie. - Opowiem prezesowi wszystko natychmiast! - ci±gn±³ dalej rozradowany.

- No, to siadajmy!.. - rzek³ weso³o Dzier¿ymirski.

Usiedli jeden naprzeciw drugiego. Roman wpatrzy³ siê badawczo w twarz Orlêckiego, a w oczekiwaniu zwierzenia, którego w duszy tak bardzo pragn±³, twarz mu poblad³a mimo woli, aksamitne za¶ spojrzeñcie ciemnych oczu sta³o siê bardziej jeszcze przenikliwym i rozumnym.

- S³ucham pana - rzek³ powa¿nie.

U¶miechniêty, radosny, poprawi³ siê Orlêcki na krze¶le, i siêgn±wszy po cygara, zapali³ jedno, w roztargnieniu czêstuj±c niemi Romana.

- Dziêkujê, palê jeszcze - u¶miechn±³ siê niedostrzegalnie Roman, i spojrz±³ z pod oka na gospodarza. - Rôti à point! - zdecydowa³ w my¶li sarkastycznie.

- A, przepraszam! - odrzek³ Orlêcki i mówi³ dalej:

- Otó¿, co do mego, technicznie tak zwanego curriculum vitae, postaram siê opowiedzieæ je prezesowi w kilku s³owach. Rzecz ta przedstawia siê zatem jak nastêpuje:

- Urodzony lat temu, czterdzie¶ci i siedem, dobiegam ju¿ bowiem piêædziesi±tki - u¶miechn±³ siê - z ojca Ryszarda i matki Józefy z Lancjarskich de domo, przepró¿nowa³em, kszta³c±c siê w domu, do lat piêtnastu... Potem oddano mnie do Jezuitów, nastêpnie koñczy³em uniwersytet w Bonn, nad Renem, i wróciwszy do kraju, obj±³em klucz maj±tkowy, dziedziczny Orlin...

- Bywaj±c w ¶wiecie przez lat kilka, staraj±c siê o pierwsze w kraju partye, ¿yj±c nieco szeroko, straci³em maj±tek... Nastêpnie spotka³em dzisiejsz± ¿onê mojà, z domu hrabiankê Bo¿kowsk±... Przez ¿ - u¶miechn±³ siê Orlêcki, - bo s± i Borzkowscy przez rz, bez tytu³u i nie pochodz±cy wcale z karmazynów - zwyczajne szaraki - obja¶ni³.

Dzier¿ymirski w tem miejscu u¶miechn±³ siê pob³a¿liwie - sarkastycznie, lecz s³ucha³ w milczeniu dalej.

- Pobrali¶my siê, - ci±gn±³ tymczasem Orlêcki - i osiad³em na roli, ju¿ nie jako pan, ale jako skromny obywatel na kilkudziesiêciu w³ókach ziemi, i naturalnie, z czasem zerwa³em przy tem zupe³nie dawne ¶wiatowe stosunki... Gospodarowa³em sobie tak cicho lat kilkana¶cie, sta³em siê domatorem - przekszta³ca³em stopniowo, o ile mog³em, w czcigodnego pana s±siada... Wreszcie, niestety, jak piorun z nieba, spad³o na mnie zdarzenie pewne... Nie wspomó¿ony przez nikogo, sprzedaæ musia³em dobra, i przyby³em tu - za chlebem!..

Orlêcki umilk³ na chwilê, poczem, doda³ nieco smutnie :

- Jak najpiękniejsza od s³ońca p³owieje materya, tak i najbarwniejsze życie blaknie od nieprzychylnych ciosów życia. Szarzyznę ono dla mnie dzisiaj - trudno! - westchnę³, i zamilk³ znowu.

W nadziei, i ż dowie się jeszcze oczekiwanego przezeń "clou" historii tej ca³ej, milczenia tego nie przerywa³ Dzierżymirski. Po d³uższej jednak chwili, widz³c, że Orłêcki, poch³onięty my³llami, zapomina³ zdaje się nawet o jego obecno³ci, zagadn³ uprzejmie:

- I je³lli wiedzie³ wolno, cóż dalej?

Jakby ze snu jakiego dalekiego zbudzony, Orłêcki podniós³ powoli posmutnia³e oczy na Romana.

- Nic! - odrzek³ bezbarwnie, g³osem twardym.

- By³æ nie mo³że? - zadziwi³ się Roman, jak mógł³ najszczerzej. - I pomy³lle³æ - ci³gn³ swobodnie - że ja tam w kraju tyle przeró³zonych rzeczy o panu s³ysza³em...

Ura³ony jakby tem, co us³ysza³, Orłêcki zapyta³ z kolei sucho:

- No, i cóż takiego, ciekawym, wymy³lli³a na mnie luba opinia, czy wiedzie³æ mogé?

Roman niecierpliwie poruszy³ się na krze³lle.

- Cóż u licha! - pomy³lla³ - czyni³ę dot³ęd tyle, i prawda wci³ę wymyka mi się sprzed nosa...

Po chwili za³ll, jak gdyby nagle na co³ll zupe³nie już stanowczo zdecydowany, odpowiedzia³ z wolna, przetar³szy przytem r³ę³ę czo³o:

- Och!.. potem o tem... Teraz znowu powróci³æ musz³ę do j³ędra zajmuj³cej nas kwestyi. Pragn³ę da³ę panu posad³ę... Czy wolno zapyta³æ - jakie s³ę jego mocne - zaakcentowa³ - kwalifikacye fachowe?..

- Fachowych ³llci³lle żadnych - przerwa³ niezadowolonym troch³ę g³osem Orłêcki. - Posiadam jednak j³ęzyki: angielski, francuski, rosyjski i niemiecki, oraz zdobyte prac³ę i praktyk³ę obec³ę - rachunkowo³llæ i buchaltery³ę - w banku, gdzie urz³ęduj³ę i sk³ęd w razie potrzeby otrzyma³æ mog³ę ³llwiadectwo odpowiednie.

- A! - zadziwi³ się mimo woli Roman - to dobrze... to bardzo dobrze...

Wzrok jego przy tem, z zadowoleniem obj³ę d³uższ³ę chwil³ę ca³ę post³æ Orłêckiego, mówi³ę do siebie mimo woli wyra³nie; - Patrzenie?.. nie spodziewa³em się!..

- Zatem - odezwa³ się niebawem - obj³ę mo³że szanowny pan inn³ę, lepsz³ę nawet posad³ę od tej, któr³ę przeznacz³em w my³lli dla niego.

- Cóż to za miejsce? - zagadn³ Orłêcki.

- Une place de confiance...- wycedzi³ z wolna Dzierżymirski. - Przy tem równocze³llnie jedno z wy³szych przy korespondencyi i buchalteryi w Banku Komercyjno-Przemys³owym, otworzy³ę się maj³ęcym za miesiąc kilka... Do komitetu nale³ę, odmówi³ę mi nic nie mog³ę... Skoro za³ll pan w tej w³a³llnie

dziedzinie już posiada praktykę pewną, tem śacniej więc wybór mój zatwierdzi...

Roman skończył i spojrzał znów spod oka na obywatela - emigranta.

Zdziwienie radosne było z twarzy Orłêckiego.

- No, teraz chyba wyśpiewasz mi wszystko - pomyślał Roman, w duchu.

- Pensja znaczna - cięgnę dalej całkiem obojętnie, - ile, nie wiem jeszcze na pewno... W każdym razie tysiący kilka .. - urwał niedbale.

- Ależ to miejsce idealne! - wykrzyknął żywo Orłêcki. - Dziękuję po raz wtóry! - ułcisną dłoń Romana.

Dzierżymirski uczynił wysiłek nad sobą, by nie zdradzić się przypadkowo nerwowym głosu brzmieniem i przemówił:

- Tylko zachodzi tu jeszcze kwestia jedna... A mianowicie - zawahał się...

- Bo to, widzi szanowny i kochany pan, ci panowie, tam, w Zarządzie, są bardzo trudni... Czepiają się byle czego...

I znów Roman mówił przestał, poczem załł, poirytowany nagle, że będzie zmuszony iść prosto do celu i palcami dotykał kwestyi, którą zręcznie obejść zamierzał, wyrzucił z siebie twardo:

- Mówiono mi tam, o jakichś pieniądzach, zgubionych przez pana, nieodnalezionych, czy coś tam podobnego... Pojmuje pan zatem, że ja, protegując - zatrzymał się Roman sekundę, i uprzejmie nieco dorzucił, z wymuszonym uśmiechem. - Powiedzieć muszę wszystko, wszak pan to rozumie chyba?.. Nic załł o tem dotąd szanowny pan mi nie mówił...

- Ależ nie powiedziałem? - obruszył się urażony widocznie Orłêcki. - Bo uważałem to, jak i uważam dotąd, za sprawę czysto osobistą...

- Masz sobie! - omal że nie wykrzyknął Dzierżymirski, że złościł, lecz opamiętał się w porę, i zapytał w łład za tem spokojnie, wpadłszy zarazem na pomysł przebiegły.

- No tak, zapewne... Czyjeż to jednak pieniądze były?..

- Aaa! - wyrwał się z ust Orłêckiego natychmiast, i powstawszy gwałtownie z krzesła, wykrzyknął:

- To prezesowi tak powiedziano!.. Rozumiem teraz i przepraszam... Łotry dopiero, infamisy!.. - wyrzucił z siebie z oburzeniem.

Dzierżymirski śpiesznie położył swą kobietę miękko dłoń na żylastej ręce szlachcica i pomimo woli rzucił niecierpliwie:

- Ja również bardzo przepraszam! - zawahał się - i słucham... - dokończył.

Orłêcki usiadł, wzburzony jeszcze odsapnął i przemówił:

Powiesz mi półniej, prezesie kochany, kto mnie tak oszkalował. Pierwsza rzecz, gdy do kraju powrócę, wyzwę go na pojedynek, jak mi Bóg miły, a

teraz s³uchaj:

- By³o to tak: Posiada³em maj±tek na Litwie, gdzie, jak wiadomo, hipoteki nie ma, ni Towarzystwa Kredytowego... S± tam tylko tak zwane "Banki Ziemskie", które w razie nie uiszczenia siê z wyp³aty na termin, egzekwuj± bardzo szybko... Otó¿ w jednym z banków owych mia³em grub± po¿yczkê... Min±³ termin jeden, drugi, trzeci, p³aci³em ma³o, zebra³y siê zaleg³o¶ci, wystawiono mi dobra na sprzeda¿... Zap³aciæ musia³em zaleg³o¶ci - razem dwana¶cie tysiêcy... Nie mia³em ich, po¿yczy³em wiêc sumê ¿±dan± u paru osób i w drodze, gdym jecha³ p³aciæ na miejsce, w ostatniej niemal chwili pieni±dze te zgubi³em... Maj±tek mi naturalnie sprzedano...

- To bolesna prawda!.. Chyba pan prezes przysiêgi ¿±daæ ode mnie nie bêdzie, a zreszt±?.. Gotowym! - i Orleñcki powsta³ uroczy¶cie...

- Ale, có¿ znowu?.. - rozleg³ siê w milczeniu suchy g³os Dzier¿ymirskiego, a s³owa te, wymówione zimno, zabrzmia³y niemi³ym dla ucha d¹wiêkiem:

Od chwili bowiem, gdy z ust Orleñkiego pad³a cyfra "dwana¶cie tysiêcy", Roman zmieni³ siê ca³kiem. Giestem, pe³nym zniechêcenia, wypu¶ci³ z r±k trzymane cygaro, twarz za¶, przybrawszy wyraz obojêtny, ch³odny, poora³a siê w drobne zmarszczki. Wiêc ponownie oto rozprys³a mu siê w palcach mydlana bañka!.. Wycie, z przera¿aj±c± logik± dawa³o mu do zrozumienia, ¿e kpiæ z usi³owañ jego nie przestaje... I drwina ta nowa, szydercza, zrani³a go bole¶nie, jednocze¶nie za¶ gniew niewyt³umaczony, instynktowny, zawrza³ w Dzier¿ymirskim.

Có¿ go, zaiste obchodziæ móg³ Orleñcki, historye i przysiêgi jego?

- Osio³!.. My¶li mo¿e - rzuci³ w duchu gniewnie - ¿e obecnie, kiedy nie dwadzie¶cia siedm, a dwana¶cie tylko zgubi³ tysiêcy, zajmowaæ siê nim bêdê!.. Ba, nie g³upim! - i u¶miech z³y, sarkastyczny wykrzywi³ w±skie usta Romana.

Powsta³ sztywno, maj±c za¶ ju¿ z wieloletniej swej praktyki na ustach gotowy do pozbycia siê ludzi zdawkowy komuna³, wyci±gn±³ rêkê na po¿egnanie...

Lecz oto niespodzianie fakt na pozór drobny pomiesza³ mu ca³kiem szyki - zadzwoniono. Gadatliwy Orleñcki, rozpoczynaj±cy w³a¶nie, ma³o ju¿ obchodz±cy teraz Romana, dalszy ci±g swych ¿ycia kolei, przeprosiwszy, wybieg³ do przedpokoju, w ¶lad za tem rozleg³y siê dwa g³osy kobiece, szelest okryæ i sukien damskich. Rozbierano siê, potem szeptaæ zaczêto, po chwili za¶ znów dwa wykrzykniki zdziwienia i rado¶ci obi³y siê o s³uch Dzier¿ymirskiego.

S³ysz±c je, skrzywi³ siê Roman nieznacznie, chrz±kn±³ i znudzony zbli¿y³ siê powoli ku oknu salonika. Nie trudno by³o domy¶leæ siê, ¿e tam, w przedpokoju, ten "pocziwy" Orleñcki wygada³ ju¿ rodzinie swej niemal wszystko.

- Wpad³em! - pomy¶la³ Roman, i zdenerwowany, stukn±³ palcami w powietrzu.

Drzwi za¶ poza nim roztwiera³y siê ju¿ spiesznie. Odwróci³ siê.

Naprzeciwko niego sz³y dwie kobiety, zaró¿owione, u¶miechniête. Jedna z

nich, starsza, brunetka, piękna jeszcze, dobrze zakonserwowana, - druga, dziewczę m³odziutkie, szesnastoletnie zaledwie mo³e, ho³e i ³wie³e...

- Prezes Roman Dzier³ymirski, nasz obecny zbawca, opiekun, a jak ci mówi³em przed chwil³±, najszlachetniejszy z ludzi, których dot³d w ³yciu pozna³em! - przedstawi³ szumnie Orle³cki go³cia ³onie, g³osem ciep³ym, jakby wzruszonym jeszcze od doznanych z przed chwili wra³eñ.

Sk³oni³ si³e Dzier³ymirski, a na d¹/₄wiek ostatniego zdania lekki rumieniec pokry³ mu lica. Wstydzi³ si³e za swe my³li - za siebie...

Tymczasem ruchem wspólnym, uprzejmie wyci³gn³e³y si³e ku niemu dwie ma³e kobiece r³czki.

- Bardzo mi mi³o pozna³e pana, bardzo mi³o! - mówi³a, ³ciskaj³c d³oñ jego, pani Orle³cka. - Tembardziej, ³e jak mi w³a³nie m³±³ powiada, pan prezes staje si³e anio³em opieku³nczym naszych losów, przysz³o³ci - zwiastunem, i³ zobaczymy kraj nasz, za którym ci³gle tak bardzo t³sknimy! - ko³czy³a wzruszona.

- Moja córka, Mita - przedstawi³a z kolei Romanowi m³odziutk³ pann³e.

Dzier³ymirski trzyma³, ³ciska³ w³a³nie w d³oniach drobn³ jej r³czk³e, a cho³e nie powiedzia³o mu dziewcz³e nic zgo³a, z u³cisku jednak przyjaznego, ciep³ego, ze spojrzenia jasn³ych, niebieskich oczu, w których czyta³y si³e w owej chwili wdzi³eczno³æ bez granic, rado³æ i nadzieja - poczu³ Roman, i³ okrucieñstwem niemi³osiernem by³oby teraz z jego strony cofni³cie obietnicy.

I jednocze³nie reakcja nag³a wst³pi³a weñ. Jaki³ przyp³yw jakby dobroci zala³ mu dusz³e, serce; zarazem za³ pomy³la³:

- Nazwano mnie "najszlachetniejszym", ha-ha-ha!.. Ironii mo³e w tem wiele, ale... jednak... dlaczegó³bym i ja czasami nie mia³ by³e szlachetnym? A poza tem, có³ de facto winien ten oto Orle³cki, ³e nie jest tym w³a³nie, którego tak szukam bezowocnie?.. Jestem wp³ywowym, silnym, dlaczegó³ wi³ec nie dopomó³g³bym cz³owiekowi, pokrzywdzonemu b³d¹/₄ co b³d¹/₄ przez nieznanego pieni³dy jego znalazc³e, tak, jak pokrzywdzonym jest mo³e przeze mnie równie³ i ten osobnik nieznan³y - "mój!.."

I starczy³o w ³lad za tem jednej chwili, by w g³owie Dzier³ymirskiego powsta³ plan gotowy.

- Ciesz³y mnie niewymownie, ³e los pozwala mi sta³e si³e - tu zwróci³ si³e, z u³miechem, ku pani Orle³ckiej - Anio³em Stró³em tego domu... Dzi³ zaraz zatelegrafuj³e do panów z komitetu nowego banku o kandydaturze pana - wskaza³ nieznacznie Orle³ckiego ruchem g³owy.

W milczeniu, wzruszony szlachcic u³cisn³ d³oñ Dzier³ymirskiego. Ten ostatni za³ zastanowi³ si³e chwil³...

Kiedy czyni³e co³, to czyni³e zupe³nie i wszechstronnie, - pomy³la³, a si³egn³wszy do kieszeni, dyskretnie pocz³± d³ugo szuka³e czego³ w portfelu... Znalaz³szy wreszcie tam przekaz na okaziciela w "Credit Lyonnais", wskazuj³cy sum³e dwóch tysi³cy franków, rzek³ swobodnie:

- Cho³e to niegrzecznie bardzo z mej strony tak zaraz niemal po poznaniu opuszcza³e panie, - sk³oni³ si³e uprzejmie w stron³e dwóch kobiet - jednak panie wybac³±, uczyni³e to b³d³e zmuszony, i...

- Ależ, cóż znowu... - obruszy³a się Orłêcka. - Obiad, podadz[±] w tej chwili, prosimy bardzo... Mito! - zwróci³a się do córki - każ dawaæ!..

- Dziękujê serdecznie! - sk³oni³ się z u^{¶¶}miechem Dzierżymirski w stronê m³odego dziewczêcia. - Wychodzê natychmiast, a to z powodu nagl[±]cych spraw, które nieodzownie dzi^{¶¶} jeszcze za³atwiæ muszê...

- Ęgnam panie! - wyci[±]gn^{±3} uprzejmie rêkê do pani domu, a nastêpnie do panny.

Ta ostatnia poda³a mu j[±], z niewys³owionym wdziêkiem i cicho rzek³a:

- Przyjm pan, panie prezesie, i ode mnie szczere podziêkowanie za to, co czynisz dla ojca mego... Jeste^{¶¶} szlachetnym, dobrym i wdziêczno^{¶¶æ} moja nie zapomni panu tego - nigdy!..

- Szczê^{¶¶}ciem prawdziwym dla mnie, że i pani bêdzie z tego korzystaæ... Bo, o ile zgadujê, pani tu chyba najwiêcej wróciæ by rada do rodzinnego kraju?..

- O! tak... - przyzna³a, z zapa³em, szczerze: Wyko³ysa³y mnie nasze ³any i lasy, wychowa³a ta ziemia nasza, tak piêkna chyba, jak żadna!..

Z sympaty[±], spojrz³ Roman na dziewczê, i sk³oniwszy się raz jeszcze, zwróci³ się z kolei do Orłêckiego.

- A do kochanego pana to mam jeszcze i interesik drobny... - wzi^{±3} gospodarza za ramiê i poprowadzi³ ku oknu:

- Rzecz przedstawia się, jak nastêpuje - rzek³, o ile móg³, najpoważniej. - Na zasadzie jednego z paragrafów ustawy, urzêdnikom nowego banku, naturalnie protegowanym, daje się z góry na instalacyê... Kwestyê te jednak obmówiæ trzeba poprzednio na zebraniu. Otóż, ponieważ pan, pomimo, że bank nie funkcjonuje jeszcze, za miesi[±]c najdalej musisz już byæ na miejscu, a to, w celu ulokowania się i objêcia, de nomine, wakansu ofiarowanej posady, ja za^{¶¶} dopiero za miesiêcy kilka tam bêdê - zatem...- Roman urwa³, dobieraj[±]c jakby w umy^{¶¶}le wyrazów. - Zatem - powtórzy³ - awansujê tu kochanemu, panu przekazem, sumê w³a^{¶¶}ciw[±]... Przypuszczam, bêdzie ona odpowiadaæ mniej wiêcej kwocie, któr[±] w swoim czasie przyznaj[±] panu na zebraniu Rady... Cóż, zgoda? Dobr[±] my^{¶¶} mia³em? - dokończy³ Roman.

- Ależ z kochanego prezesa anio³ prawdziwy, nie cz³owiek!.. - wykrzykn^{±3} Orłêcki i po staropolsku, u^{¶¶}cisn[±]wszy go szczerze, podziêkowa³, z zapa³em.

- Klociu, czy s³yszysz? - zawo³a³ na żonê. Pan prezes na instalacyê awansuje mi, przekazem! - i szlachcic poinformowa³ dobrodusznie, szczegó³owo ma³żonkê o wspania³omy^{¶¶}lno^{¶¶}ci Romana. Nast[±]pi³y w ^{¶¶}lad za tem ponowne podziêkowania, wykrzykniki...

Odprawiony aż do drzwi, żegnany serdecznie i czule, Dzierżymirski wydosta³ się nareszcie na schody, a potem na ulicê, sam pomimo woli wzruszony, z g³ow[±] pe³n[±] najsprzeczniejszych my^{¶¶}li.

Gdy po jakim^{¶¶} czasie, wracaj[±]c z wolna do rzeczywisto^{¶¶}ci, podniós³ g³owê, spostrzeg³ w pewnym oddaleniu przed sob[±] z³ocon[±] kopu³ê tumu Inwalidów. Tkniêty nag³± my^{¶¶}li, z miejsca natychmiast skierowa³ się ku

furtce, a wymin±wszy j± i strzeg±cego wej¶cia kulawego inwalid±, znalaz³ si± na obszernym placu tumu, odgrozonego krat± od ulic miasta.

Wkrótce, po stopniach wschodów wst±powaæ poczt± do wn±tra przybytku, kryj±cego w swych murach grobowiec wielkiego Napoleona.

W gmachu milczenie i jakby uroczysty powiew jaki¶ pot±gi niewidzialnej i grozy obj±³ Romana natychmiast.

Cichym tylko szmerem rozlega³y si± tu kroki kilkunastu os±b... Na dole, w szerokim, na kszt±t basenu, pog±bieniu, drzema³ olbrzymi sarkofag, z ceglasto - wi¶niowego marmuru...

Dzier¿ymirski zbli¿y³ si± do balustrady grobowca, i stan±³ smutny, cichy...

Wobec prochów mo¿nego w³adcy poczu³ si± równocze¶nie drobnym, nik³ym... Hucz±ce jego troki zmala³y równie¿ - uspakaja³ si±...

I my¶li jego nagle wzi±³y równie¿ obr±t zupe³nie inny.

- Wi±c to tu - mówi³ sobie Roman - le¿y zwyci±zca z pod Marengo, Ulm, Austerlitz, i.t.d., i.t.d. Wi±c tu spoczywaj± snem, nieprzebudzonym, wiecznym, prochy tego, wielkiego duchem - ma³ego imperatora!..

Dawno bardzo nie bawi±cy ju¿ w Pary¿u, pami±taj±cy go zaledwie w zamglonem tylko wspomnieniu, z minionych lat m±dzieñczych, Dzier¿ymirski, w skupieniu i z nabo¿eñstwem w duszy, wpatrzony, milcz±cy, z g±ow± pochylon±, zaduma³ si± przed trumn± cesarza Francji.

Woko³o niego z prawej i lewej strony, w wewn±trznym p±kr±gu tumu, widnia³y wkl±s±e pog±bienia, z grobowcami ma³ymi; przed nim za¶, poza drzwiami do grobu, wznosi³ si± rozpi±ty na krzy¿u Syn Bo¿y um±czony...

Dzier¿ymirski po chwili ockn±³ si± z zamy¶lenia i post±pi³ wzd±¿ kolistej baryery grobowca, w kierunku jego wej¶cia:

Zamkni±te szczelnie drzwi pomnikowe po³yskiwa³y hebanem czarnego marmuru; u progu ich i wschodów, wiod±cych do wn±tra "tombeau", w mundurze granatowym, powa¿ny, ze wst±gami i orderami, brodaty, stary, str±¿owa³ inwalida...

Na g±rze za¶ b³yszcz± wielki napis z³ocisty: "Je d±sire, que mes cendres reposent sur le bord de la Seine - au milieu de ce peuple francais, que j'avais tant aim±" *).

[*] "Pragn±, aby me prochy spocz±³y u brzegów Sekwany - w¶ród tego ludu francuskiego, który tak bardzo kocha³em."

Dzier¿ymirski patrzy³, przej±ty mimowolnie do g±bi powag±, skupienia pe³n±, i jak±¶ melancholi± rzewn±, wiej±c± od tego grobu zmar³ego geniusza despoty, ¶ni±cego tu cicho, zapomnianego jakby w samym sercu republikañskiego dzi¶ Pary¿a.

Nagle, gdy poruszony, niemy, sta³ tak, wci±¿, zamy¶lony, drgn±³ gwa³townie.

Bo oto w tej¿e samej chwili wybi³a w ciszy g±o¶no godzina czwarta, a z jej uderzeniem, jako sygna³ zamykania ju¿ gmachu, raptowny, rozleg³ si± w³a¶nie odg±os b±bna.

Grano bojow± pobudkê... Dono¶nie rozchodzi³ siê w milczeniu uderzenia krótkie, wzbija³y siê pod strop wysoki, echem dudni³y w zag³êbieniach, arkadach, owalnej kopule wysokiej.

- Messieurs et dames sortez!.. sortez, s'il vous plait, sortez, sortez!.. - rozleg³ siê jednocze¶nie twardy g³os szwajcara, stró¿a Napoleonowego grobowca... Postukuj±c grub± lask±, i¶æ pocz±³ on i rozpêdzaæ energicznie przed sob±, ku wyj¶ciu rozsypanych po gmachu tam i ówdzie go¶ci.

- Sortez! - rozkazuj±cy, wojskowo - lakoniczny, - bezustanny rozbrzmiewa³ g³os jego i miesza³ siê! z bojow± fanfar± bêbna!..

Dzier¿ymirski jednak nie rusza³ siê wcale z miejsca przeciwnie. Wrós³ jakby w ziemiê; ucho jego ³owi³o ³apczywie dono¶ne, jêdrne tony pobudki, wyobra¿enia, podsycana nerwami, w rozstroju - poruszona, snu³a mu przed oczyma obraz fantasmagoryczny.

W gmachu panowa³ mrok...

Ostatnie d¼wiêki surmy bojowej kona³y, a Romanowi zda³o siê, i¿ z milkn±cem coraz ju¿ dalszem echem bêbna, poczynaj± oto zaludniaæ tum wspania³y jakie¶ wyros³e jakby zewsz±d mary i cienie poleg³ej dawno Napoleoñskiej gwardyi starej, i wyra¿ny o s³uch jego objaja siê przy tem stuk ich butów i ostróg o kamienie posadzki!..

Id±! Ustawieni w szyku, gotowi do walki, stoj± oto niezliczeni woko³o grobu wodza swego... Przebóg, có¿ to jest?..

Huk jaki¶ rozlega siê w gmachu - to marmur grobowca pêka, unosi siê...

W trójgraniasty kapelusz przybrana, z za³onemi na piersiach rêkoma, staje wyra¿nie przed wzrokiem Romana postacæ Napoleona - wodza!..

- Paf, paf!.. - w tej samej chwili tu¿ ko³o Dzier¿ymirskiego o posadzkê uderza kto¶ zamazy¶cie.

- Sortez, sortez donc, monsieur!.. Quatre heures... la consigne!.. - rozlega siê g³os twardy i szorstki.

Roman budzi siê, rozgl±da... A zirytowany natychmiast, ¿e tak obcesowo przerwano mu jego widzenie marz±ce, gotów ju¿ jest a to rzuciæ w twarz staj±cemu nad nim miejscowemu szwajcarowi jak± ostr± okoliczno¶ciow± uwagê... Otwiera ju¿ usta, spojrzawszy jednak na twarz wyblad³±, pooran± zmarszczkami, o wyrazie pe³nym melancholii i smutku, milknie.

W tych rysach bowiem czyta wyra¿nie gniew t³umiony, lecz nie bezmy¶lny, - bynajmniej. Nie, przeciwnie. Oburzenie to jakie¶ inne, szlachetniejszej, podnio¶lejszej jakby natury, i mówiæ zda siê:

- Ach id¼cie, ju¿ id¼cie!.. Odejd¼cie wy wszyscy, profanatorzy wstrêtni, kalaj±cy te progi ciekawo¶ci± banaln± - nieprzystojnym szumem, ha³asem, gadanin± i gwarem m±c±cy bezmy¶lnie spokój i sen wieczny wielkiego imperatora!..

- Cóż wy? - mówi³y z pogard± te szare smutno oczy starca. - Cóż wy, kar³y, nie ludzie dzisiejsi, mali -wiedzieæ mo¿ecie? Co s±dzicie o czynach olbrzymich "Jego?" Co odczuæ? Cóż rozumieæ jeste¶cie zdolni?..

Dzierżymirski z uwagą wpatrywał się dalej w stojącego przed nim niecierpliwie szwajcara - inwalidę.

Czyżby istotnie w umyśle tego starca uczucia podobne się kryły? - myślał i zatopiwszy raz jeszcze, milcząc, badawcze spojrzenie w mętnych źrenicach starca, bez słowa, skierował się ku wyjściu z tumu.

Otworzono przed nim, zamknięte przed chwilą: z hukiem drzwi wchodowe, i zatrzaśnięto je poza nim.

Wydostawszy się na ulicę, Roman, znużony, wszedł do pierwszej drożki; tu zaś, ochłonawszy nieco od wzruszeń i wrażeń, porządkowałam zaczął w głosno zdarzenia minionych godzin kilku.

- Raz jeszcze zatem, miast rzeczywistości, chwyciłam marę, cień ułudny!.. - mówił sobie w duchu, z nagłą goryczą. - Pochłonięty wcięż jedną myślą, przybiegiem tutaj nadziei pełny, i znowu nic - zero!..

- O, ironio, niezrozumiała, dziwna!.. - dumał dalej. - Czyż nigdy nie trafię na ślad pewny? Czyż wiecznie, biczowany sumieniem, dręczone tak będę, zmuszony?

Dzierżymirski opuścił ręce na kolana, w zniechęceniu i pochylił nisko głowę. Z chwilową samotnością, z pogłębieniem się w siebie, wracała bezlitosna samowiedza, błędne koło tajonego w duszy cierpienia zacieśniało się, wirowało, rzucając mu jednocześnie na ekran duszy wizerunek nagły własnego moralnego "ja".

Nie krył go obsyony zóciste, utkane z pozorów, zdolności osobistych, rozumu, energii, czynu, bezinteresownego poświęcenia dla drugich, szlachetności i wielu innych przymiotów, w które, jak w śniegu, lamowaną purpurą, togę patrycyusza - przed ludźmi, przed światem, stroił się prezes Dzierżymirski...

Nie, był to szkielet tylko!.. Otulony w pachnącą jaskrawą szalonej ambicji, krył on za jej fałdami bagno moralne pamiętnej w życiu Romana chwili, gdy dla osobistego szczęścia, użycia, pogwałcił on był etykę społecznego prawa!..

Z tej kałuży jednak brudnej, a pozornie już zapomnianej, wyrastał kwiat - niby niepokalana biała lilia - zasiany ziarnem silnych, choć podeptanych zasad, wszczepionych za miodu - kiełkujący, przy pomocy czujnego sumienia!..

Kwiatem tym - była chęć szlachetna, instynktowna, konieczna, oddania bądź co bądź, prawemu właścicielowi przywłaszczonych pieniędzy. Ona, wytrwała, popychała bezustannie Romana naprzód przed siebie; ona - ześrodkowywała w sobie również najpiękniejsze pierwiastki jego charakteru - zniewalała go - do czynów, tam i ówdzie szlachetnych. Jej to niewątpliwie zawdzięczał Dzierżymirski swój postępek z Orłeckim!..

I Romanowi w tej chwili mignął obraz wdzięczności tych trojga ludzi ku niemu.

Znowu tu więc fałsz mimowolny - życia ironia!..

Dzierżymirski westchnął. Pomimo jednak, iż czuł zgrzyt w duszy, rosło tam w nim jednocześnie pewne zadowolenie, zazwyczaj odczuwane przez

subtelniejsze natury, po spełnieniu dobrego, lub szlachetnego czynu.

Spojrza³ woko³o weselej nieco... Dorożka mija³a w³a³nie bardzo ożywion[±] dzielnicę miasta.

Na lewo widnia³a wieża St. Jacques, a tuż obok kości³ St. Germain -l'Auxerrois; naprzeciw ogromem rozwi³moży³ się Luwr wspania³y.

Roman, zap³aciwszy wo³anicę, wyskoczy³ z dorożki i skierowa³ się ku muzeum.

Odcięty w podróży od zwyk³ego, pe³nego czynu, życia, poch³aniającego go ca³kowicie - Dzierżymirski poczu³ nagle potrzebę nieodzown[±], konieczn[±], odwrócenia j[±]trzących mu mózg my³li czemkolwiek, ucieka³ się więc znowu do kościelki-sztuki.

Niebawem przez jedno z licznych wej³æ wchodzi³ do jej ³wi[±]tyni, pogr[±]żonej w milczeniu, tchn[±]cej majestatem zapatrzonych w siebie twórców ludzkiego geniusza, szybującego na skrzyd³ach sztuki we wszelakich jego odmianach i fazach - wcielającego piękno, by sz³o, niby tchnienie żywe, do dusz ludzkich, umię[±]cych wznie³æ się i oderwa[±] od poziomów!

Znajdowa³ się w salach dolnych. Zabytki starożytniej rze³by rzymskiej, greckiej otacza³y go zewsz[±]d. Setki ich z epok róż³nych patrzy³y na niego piękna wyrazem, r[±] mistrzów zakutym w kamień i marmury...

Dzierżymirski, rozgl[±]daj[±]c się woko³o, szed³ wolno, zamy³lony.

Jak w kalejdoskopie, przesuwa³y się wci[±]ż kolejno przed nim pos[±]gi, coraz piękniejsze.

Tutaj więc wychyla³y się oto rz[±]dem ku niemu biusty i srogie oblicza wszystkich prawie imperatorów rzymskich - tam znów wykwi[±]nie modelowaniem cia³em pochyla³y, gię³y pos[±]gi Apollinów - rzymskiego d³uta, o rysach grubszych, pe³nych m[±]sko³ci i si³y, - greckiego, traktowane daleko subtelniej z finezy[±], o ciele jakby mi[±]kszym i drobniejszym, przedziwnie wykończ³one w szczegó³ach i wyrazach twarzy...

W oddzielnej sali, naprzeciw siebie, drzema³y, na wzór orygina³ów w Watykanie, olbrzymie odlewy, z brązu: ³pi[±]cej Aryadny, Laokoona, Apollina i Dyany; dalej znów, z Tripolisu w Afryce sprowadzona, bez końca nóg i g³owy, unosi³a powabnie draperye piękna Venus, bieli³y się bez liku dziesiątki rze³b pomniejszych - sta³ Apollo z Lycyi, oparty o pień, ko³o którego obwija³ się w[±]ż zdradliwy... Apollo z Paros, patrzy³ ³agodnie na widza; o rysach drobniutkich, w draperyi fa³dach - wdzi[±]czy³a się grecka muza...

Dzierżymirski, z powodu braku czasu spieszy[±] się zmuszony, szed³ pomimowolnie szybko, zatrzymuj[±]c się jednak co chwila to krócej, to d³użej, zniewolony ku temu pięk[±]m, hojn[±] r[±] i dzięki niestrudzonej zabiegom, nagromadzonemu, tak obficie woko³o.

Tak więc, pomiędzy wieloma, wieloma innymi zaj[±]a go jeszcze rze³ba Tyberiusza cesarza, okrytego fa³dami togi, z r[±] wyci[±]gni[±] przed siebie, w oratorskim ge³cie, tak wymownie, iż zdawa³o się, że oto już zaraz przemówi... Tam znów uwagę zwróci³y dwie postacie kobiece, zabytki, przeniesione z greckich cmentarzy. Jedna z nich, owiana szat[±] przejrzyst[±], w stoj[±]cej postawie, zadumana sm[±]tnie, - druga, w takiejże pozycji, z wieńcem laurowym na g³owie, w bolesnym pogr[±]żona skupieniu, z

przełlicznie przytem wyrzeźbionem obliczem, przybrana w draperyę, które fałdy, wykończone subtelnie w marmurze, za lada powiewem porusza się w oczach zdawały.

Dzierżymirski wpadł w labirynt sal, salek, i szedł coraz dalej i dalej... Jednocześnie poddawał się stopniowo coraz bardziej urokom sztuki, a przypatrując się cięgle, z uwagą, okazom starożytnego dęta - zapominał coraz bardziej o dręczących go myślach z przed chwili; czarne i smętne niepostrzeżenie pierzchały one cicho...

I niebawem Romana znowu zajęł marmurowy posąg z wyspy Paros... Przedstawia on Aleksandra Wielkiego, z postawą wosów z aksamitu i biustem, bez ręk, z twarzą natomiast zachowaną doskonale. Później zachwycił go z kolei "Venus accroupie" w marmurze, również bez ręk, ze śladem na plecach odłamanej ręki Amora, potem znów dziesiątki rzeźb innych, jedne charakterystyczniejsze, piękniejsze od drugich...

Po chwili, oparty o pień drzewa, zatrzymał go jeszcze, względnie do otaczających maleńki bardzo posąg, zatytułowany "Amor, jako Hercules", następnie inny: "Walczący Gladiator", a w końcu, cudna w swej prostocie, postać muzy poezji lirycznej: "Polymnie..."

Była to rzeźba wzięta z profilu kobiety, opartej, w zadumie, bokiem o kolumnę, w zwojach fałd draperyi. Głowę pochyloną miała nieco, a upiększały ją włosy, falujące z lekka w marmurze, jedną ręką podpierając oblicze, natchnione, o rysach drobnych i subtelnych - drugą dotykała niebawem swą suknię, z ujmującym wdziękiem...

Wymijając tłum nieruchomych posągów, gubił się wśród tych rzeźb, zadumanych, cichych, śniących jakby o wielkiej swej przeszłości - znalazł się wreszcie Roman niebawem w salce kwadratowej, małej, gdzie, otoczona sznurówką baryerą - na wzniesieniu, ubraną w bordo tkaninę, stała, królując, zda się, nad wszystkim dokoła, perła zbiorów posągów Luwru - Venus grecka z Milo.

Zmęczony nieco, Dzierżymirski usiadł na ławeczce, zdjął kapelusz i wpatrzył się w stojącą, bez ręk, półnagą postać z marmuru.

Pozornie kroczyła ona...

Wprzód pochylona niedostrzegalnie, przytrzymując fałdów upadającej w pasie draperyi, zdawała się, że idzie, z szybką swą, wyciągniętą nieco naprzód, z oczyma przymrużonemi jakby, z włosami, karbowanemi z lekka i uwiązanemi z tyłu w węzeł, z twarzą blondynki, anielską - boską!..

Od twarzy tej i półnagą do draperyi, Dzierżymirski oczu oderwał po prostu nie był w stanie...

On w obliczu tem czytał - a przynajmniej tak mu się w danej chwili zdawało - zapatrzenie się w siebie i dumę, ale zarazem i śródycz, zakutą w przedziwnej regularności rysie kałdym, i choć sam osobiście nie odczuwał w rysach twarzy tej silnego promienia wewnętrznego, jak zadumy lub marzenia - to jednak piękno linii królowało w nich - tak niepodzielnie, że zachwyty tylko wzbudzały mogło... A cię?..

Po prostu była ono, nie tylko za nagię, dla oka widoczne... Z przodu, pod fałdami draperyi - czyniła wrażenie, iż spada - w kilka za zgięciem karbowanej z tyłu - tęczą ono, ożywe jakby, nie martwe, w ruchu krocącego, wzniesionego nieco kolana, w odkrytych piersiach i biuście

bez ręk, przegięty w prawo z zachowaniem przedziwnie w marmurze, miękko, jak w ciele żywym - subtelnie linię przegięcia...

Czas mija... Przesiadawszy na ławeczce do końca dnia, Roman z trudnością powstał i oderwał się od arcydzieła sztuki. Spojrzał na zegarek - dochodziła piąta - godzina zamknięcia Luwru. Postanowił obejrzeć jeszcze, choć pobieżnie, galerie obrazów...

Skierował się spieszenie na pierwsze piętro gmachu. Minął salę pierwszą, zatrzymał się w drugiej, maleńkiej. Dwa, dlań osobliwie przepiękne, obrazy zajęły całością jego uwagę.

Na jednym z nich, w aureoli blasków nad głową, umarła, cicha, po fali sennej płynęła postać blada z twarzą anielską i pogodną, - to sławne dzieło Delaroche'a "La jeune Martyre". Wisiało ono na prawo, równoległe z wejściem do sali, na ścianie za bocznej od tego wejścia, w lewo, od innych odbijała wdziękiem, pędziła "Girodet - Trioson'a" Przebudzenie Apollina, pięknego, jak marzenie, w postawie leżącej, pogrążonego we śnie głębokim. Na cudne oblicze boga Olimpu i zamknięte jego uśmiechu, z wysoka, prostopadły padał promień światła!.. Roman po chwili ruszył dalej...

Mijał teraz z wolna jedno za drugim olbrzymie sale.

A w salach tych milczących, wielkich, unosił się jakby nadprzyrodzony jakiś duch idei piękna, zaklęty, olbrzymi i brał despotycznie w posiadanie każdego, kto korzył się przed kultem sztuki, czyja dusza, drgnieniem zachwyty, wyciągała w ekstazie ku jej nieśmiertelnemu czarowi pragnące swe ramiona!

Najpierw mistrzowie szkół włoskiej, flamandzkiej, francuskiej, hiszpańskiej i innych - wielcy w swym majestacie, w aureoli wiekopomnej sławy, wyglądali z ram dziełami, niewidzialnie dłońmi zatrzymywali, jakby przed sobą, mówiąc, zdawało się, do Romana dumnie: - "podziwaj nas!.."

Idąc wciąż przed siebie w ten sposób, dotarł wkrótce Dzierżymirski, do sal ostatnich.

Było ich dwie; w jednej, podług niej, wielkiej, a tak zwanej "Rubensa", pełno było przepysznych obrazów, wziętych przeważnie z życia królowej Maryi Medici - w drugiej, przedostatniej i mniejszej, noszącej miano "Van-Dycka", zwrócił uwagę Romana, wśród kilkunastu może dzieł tego mistrza, portrety: Dzieci Karola I-go; jego samego, stojącego na tle krajobrazu, obok giermka, z rumakiem, i kardynała Richelieu'go, całego w purpurze.

Dotarłszy do końca pałacowych sal, Dzierżymirski puścił się w powrotną drogę, zaglądając tam i ówdzie, idąc, wracając - wśród tych drzemających w chwale własnej, nieprzeliczonych dzieł pędziła - twórców talentu ludzi cenionych i wielkich...

Setki obrazów przeoczonych, nowych, zastępowały mu drogę...

I Dzierżymirski przystawał ciągle... Zachwycał się niejednym obrazem, ustępującym może innym, pod względem piękna, lecz przemawiającym żywiej do indywidualnego jego poczucia i pojęcia sztuki.

Tak więc w jednej z sal zatrzymał się dłużej wśród licznych głów szkół francuskiej, "Greuz'a", z otawą blond, z oczyma, wzniesionymi smutnie, w

zamyśleniu b³±dz±cemi gdzieś daleko, może w ideał³ów niepochwytnych krainie, z wyrazem twarzy, tchn[±]cym melancholi[±] i rozmarzeniem...

Tamże również zaję³y go dwa obrazy tegoż mistrza: pierwszy "La laitère" przedstawia³ rozwój[±]c± nabia³ m³od± wiwanderkê - wspart[±], w zadumie cichej, o karego z bia³ym ³bem konia; drugi pod tytu³em: "Rozbity dzban", wdzięczny nad wyraz, wyobraż³a³ dziewcz[±]tko w bieli... W³osy mia³a ona rozczesane skromnie na dwie strony, stroi³o je bia³e kwiecie, - w fartuszku róż[±]owo - blade róż[±]e, na r^êku zawieszony rozbity niebacznie dzban, a w ca³ej twarzyczce miluchnej nieporównany wyraz dziecinnej naiwnej rozpaczy.

Dzierżymirski coraz szybciej wymija³ sale; nie znalaz³ się w galerii pod³uż[±]nej i olbrzymiej, w kształ³cie salonowego korytarza, szerokiego i przestronnego.

Na ścianach wisia³o tu wiele pięknych okazów; między innymi zatem dzie³a Rafaela Sanzio, jak na przyk³ad portret Joanny d'Aragon, w purpurowej sukni, przetkanej z³otem, -go Jana Chrzciciela, oraz śliczny portrecik m³odego cz³owieka, o w³osach blond, w czapeczce czarnej, podpartego, w zamyśleniu i parę innych tegoż mistrza.

Patrzy³y tu również na Romana rzêdem liczne dzie³a Marina, jak Urodzenie Najświętszej Panny Maryi, cud San Diego, czyli anielska kuchnia... Opodal obraz, przypisywany malarzowi hiszpańskiemu Riberze, wystêpow³ z ram postaci[±] umar³ego Chrystusa, o twarzy przedziwnie spokojnej, w wypoczynku jakby po bólu pozostaj[±]cej - z cia³em ran pe³nem, ociekaj[±]cem, zda się, krwi[±] ciep³± jeszcze... Bitwa Salvatora Rosy tamże nêci³a oko realizmem i groz[±] - dziesi[±]tki, setki obrazów zatrzymywa³y spojrzenie, a wreszcie dwa z nich najbardziej; pędzla Leonarda da Vinci: Jan Chrzciciel i Bachus...

Oba przedstawia³y ciemnookich, pięknych m³odzianów, o bujnie i naturalnie krê[±]cych się w³osach, cerze śniadej i dziwnie wiele, mówi[±]cych twarzy, zbliżonych rysami do siebie...

Obrazy te, w ogólnym zarysie, również zlewa³y się ze sob[±]. Nag³em skojarzeniem myśli, przypomn³ały one Romanowi, podobnie, nieco traktowan[±] g³owê o w³osach, z³otawo - miedzianych, pędzla Ferrari'ego, w Pinakotece Medyolańskiej. Przedstawia³a ona Matkê Boż[±], ca³± w czerwieni, z przechylon[±] w ty³ g³ow[±] i przymkniętymi oczyma, z wyrazem nadziejskiego upojenia, gdy Dzieci[±]tko Jezus równocześni³nie wyci[±]ga przed siebie w przestrzeń swe r[±]czyny maleńkie, jak gdyby nimi pochwyciæ co³ w powietrzu pragnê³o...

I z przypomnieniem tem nagle do duszy Dzierżymirskiego sp³ynê³a fala wspomnień...

Mign[±]³ mu więc przed wewnêtrznym wzrokiem duszy Medyolan, rodzinne gniazdo matki i tam "Cimitero Monumentale", gdzie zapomniane przezeń leż³ały jej prochy, wreszcie rysy matczyne, jak żywe, przesz³emi latami zamglone...

Z powiewem za³ lat tych minionych, z przesz³o³ści tchnieniem, w mózgu Romana znowu za³widrowa³y wyrzuty sumienia, dawne - te same.

Zadumany, powraca³ Dzierżymirski, kieruj[±]c się w olbrzymie sale ku wyjściu, opanowany na nowo - wewnêtrzn[±] trosk[±] - niezdolny obecnie po prostu patrzeæ na dzie³a sztuki.

Poza tem zreszt± i czasu na to nie by³o... Zamykano ju¿ Luwr.

Spieszono siê powszechnie. Rozrzuconi tam i ów tury¶ci - malarze, dyletanci pêdzla, kopiuj±cy tu zapamiêtales od samego rana na rozstawionych stalugach wszêdy, ha³a¶liwie sk³adali swe przybory, a odg³os ich rozmów, zarówno jak i kroki odchodz±cej t³umnie gromady ludzkiej, przeci±g³em echem odbija³y siê o ¶ciany i pró¿niê olbrzymich sal muzeum.

Wyludnia³y siê one nader szybko; niebawem cisza utulaæ zaczê³a stopniowo twory cz³owieczego geniusza, a jeden jeszcze samotny i niewidzialny pozosta³ tu tylko, zda siê, król Piêkna - bóg Sztuki!..

W dziesiêæ mo¿e minut pó¼niej Dzier¿ymirski wychodzi³ na ulicê, gdzie zoczywszy niebawem napis podziemnej kolejki elektrycznej zwanej : "Metropolitain", po schodach spuszczaæ siê zacz±³ ku stacyi.

Zag³êbiony w my¶lach, kupi³ Roman machinalnie bilet na prawo jazdy i wyszed³ na peron podziemnej poczekalni. W g³owie jego, w¶ród my¶li wielu, nieukszta³towany jeszcze, niewyra¼ny, zakie³kowa³ projekt opuszczenia Pary¿a, nieprzedstawiaj±cego dlañ ju¿ teraz, jako pobyt, celu ¿adnego, i udania siê do - Mediolanu...

W tej samej chwili, z chrzêstem, ¶wistem, wpad³ na platformê zrêczny, ma³y, elektryczny poci±g miejski.

- Louvre!.. Louvre!.. - wrza¶niêto dono¶nie, kilkana¶cie drzwiczek u wagonów otworzy³o siê spiesznie... Wysypa³a siê z nich garstka ludzi, partya druga szybko zajê³a ich miejsce, Dzier¿ymirski wskoczy³ za innymi do poci±gu, z wielkim po¶piechem, nie minê³a bowiem minuta, gdy ju¿ zatrza¶niêto na powrót z ha³asem u wagoników wszystkie drzwiczki.

Kolejka ruszy³a z miejsca pêdem prawie, zanurzy³a siê i zniknê³a, jak zmyta, w o¶wietlonej gdzieniedzie tylko elektrycznymi lampami czelu¶ci ciemnej podziemnego tunelu, biegn±cego, jak wiadomo, pod wiêksz± czê¶ci± nadsekwañskiej stolicy.

Letnie, upalne popo³udnie drzema³o jeszcze nad ziemi±, skwarne jednak s³oñca promienie zni¿aæ siê ju¿ poczyna³y stopniowo...

Ochoczo uwija³y siê po polach dziewczêta robocze, w swych krótkich kolorowych spódnicach i haftowanych barwnie koszulach - z sierpami w rêku, ¿n±c zbo¿e, uk³adaj±c je w snopy i kopy, a z ±k i ±anów dalszych odzywa³o siê od czasu do czasu rytmiczne ostrze¿enie kos i ich chrzêst w ¶lad za tem, ¶cinaj±cy trawy, owsy i jêczmienie, rozlega³ siê echem miarowem.

W otaczaj±ce go, têtni±ce ruchem i prac± pola zapatrzony, na ciemnym tle parku nieposzlakowanie bia³y milcz±co ws³uchiwa³ siê dwór gowartowski w odg³osy, id±ce z ±anów dalekich.

Na werandzie, w g³êbokim fotelu siedzia³a marsza³kowa Warnicka, pracuj±c z zajêciem nad robótk± rêczn±; dalej nieco, w parku, poprzez drzewa alei miga³a jasna letnia suknia kobieca i sylwetka siedz±cego obok niej mê¿czyzny; przez otwarte na ¶cie¿aj wreszcie tu¿ ko³o balkonu okno

saloniku dolatywa³y dwa m³êskie g³osy, zmieszane z miarowemi uderzeniami kul bilardowych.

W saloniku owym grali w karambole £ady¿yñski z Krasnostawskim.

- Patrz, m³odzieñcze, i ucz siê! - mówi³ w tej chwili pan Emil, pochylony nad bilardem.

Bia³a bila jego, musn±wszy poprzednio lewy bok czerwonej drugiej kuli, wraca³a w³a¶nie teraz pos³uszn³a, dotykaj±c lekko stoj±cej opodal trzeciej ¿ó³tej bili.

- Aha!.. - wykrzykn±³ z tryumfem £ady¿yñski. - Uderzenie znakomite, a rzadkie, jak kruk bia³y!..

Spojrza³ na Krasnostawskiego. Ten ostatni, bez ceremonii zwrócony do okna, sta³ gdzie¶ zapatrzony, przez grzeczno¶æ w ostatniej tylko chwili obróciwszy siê szybko ku mówi±cemu.

- Barbarzyñco! - wykrzykn±³ £ady¿yñski, oburzony szczerze.

- Jak to? - pyta³ zdziwiony dalej. - Na seryo zatem nie widzia³e¶ pan wcale ?

- Ale có¿ znowu, i owszem! - zaprotestowa³ Krasnostawski, zmieszany nieco.

Partner z pod oka spojrze³ na m³odzieñca i mrukn±³ z³o¶liwie:

- Co pan ciekawego wypatrujesz w¶ród alei? Nikt tam, que je sache, nie spaceruje, prócz Oli i kochanego Topolsia, hrabiego na Szczęsnojej... A tu tymczasem straci³e¶ pan coup de maître, cug i¶ciê wspania³y...

I wskazuj±c d³oni± stoj±ce kule, obja¶ni³ ju¿ spokojnie:

- Przez czerwon±... Zamiast zwyczajno-pospolicie - ty³em, przez piêæ band, i serya notabene gotowa - pochwali³ siê.

- Wiele mam? - zapyta³ po chwili. - A, prawda... - odpowiedzia³ sam sobie pan Emil, - osiemdziesiąt sze¶æ!... Przepad³e¶ pan z krete sem. Za chwilê - requiescat in pace!..

Przy tych s³owach, £ady¿yñski pochyli³ siê znów bilardem. Pod wprawnym uderzeniem jego kija, dotykane, cofane, kierowane zrêcznie, posypa³y siê niebawem liczne karambole.

Krasnostawski, od pocztku partyi kilkakrotnie do gry zaledwie dopuszczony, ziewn±³ skrycie, znu¿ony.

- Ta zdradzi³a Radziwi³³a!.. - wykrzykn±³ w tej chwili pan Emil. - Chybi³em - graj pan!..

Krasnostawski z kolei zrobi³ kilka do¶æ umiejêtnych karamboli.

- Brawo, bravissimo! - potakiwa³ £ady¿yñski - Z jakim przestajesz, takim siê stajesz, niedarmo tak g³osi przys³owie...

A ze znanstwem, ¶ledz±c dalej uwa¿nie grê partnera, dorzuci³ jeszcze, w rodzaju pochwa³y:

- Czo³em, czo³em!.. Wstêpujesz w me ¶lady.... bardzo dobrze, wcale nie¼le!...

Krasnostawski, z przymusem, u¶miechn±³ siê lekko, po paru uderzeniach wreszcie chybi³.

- Przesz³a, minê³a, jak sen jaki z³oty! - zadeklamowa³ £ady¿yñski, z patosem. - zgubiony¶ m³odzieñcze! - dorzuci³, i pochyli³ siê nad sukniem zielonym.

- Gram z ty³u - poinformowa³ - ostatni, ¶miertelny cios...

Pchniêta, nakredowan± poprzednio starannie, muszk± kija - bia³a kula, obleciawszy szereg band, w skomplikowanej geometrycznej figurze - niebawem pokorna, grzeczna, za jednym uderzeniem, musnê³a cicho dwie pozosta³e bilardowe kule.

- N, i... ni - c'est fini !.. - odsapn±³ z ulg± pan Emil.

- No, teraz siadamy! - ci±gn±³ dalej.- Dziêkujê panu za partyê! - poda³ uprzejmie rêkê Krasnostawskiemu, poczem wyj±³ papiero¶nicê.

- S³u¿ê panu! - rzek³, wyci±gaj±c j± w stronê m³odego cz³owieka.

- Dziêkujê bardzo! - odpar³ Krasnostawski, sk³oniwszy siê grzecznie, wzi±³ papierosa, podsuwaj±c jednocze¶nie £ady¿yñskiemu zapalon± zapa³kê.

- Merci! - mrukn±³ pan Emil. - Ha, zmacha³em siê nie gorzej od mo³odycy, na polu przy burakach! - westchn±³.

Usiedli, i zapanowa³o chwilowe milczenie.

W ciszy pokoju s³ychaæ by³o teraz wyra¼nie jednostajne brzêczenie much; zni¿aj±ce siê s³oñce ¶cieli³o swe promienie po zielonej powierzchni bilardowego sukna - salonik ton±³ ca³y w pó¶wiat³ach koñcz±cego siê letniego popo³udnia.

Nagle firanki u okien poruszy³y siê gwa³townie - kto¶ drzwi otwiera³...

Na progu, w szarem sukniennym, liberyjnym ubraniu, stan±³ lokajczyk, m³ode ch³opiê...

- Zamykaj, do kroæset! - zagrzmia³ £ady¿yñski, porzuciwszy silny przeci±g i zwróci³ siê równocze¶nie do Krasnostawskiego. - Ma pan jeszcze ochotê na partyjkê?... bo ja - to nie!

- O, ja równie¿! - odpar³ szybko Krasnostawski - Zreszt± nie mogê, mam dzisiaj pilne zajêcie jeszcze i wracaæ muszê! - ÷egnam pana! - dorzuci³ uprzejmie i powstawszy, wyci±gn±³ rêkê do £ady¿yñskiego.

- Adieu!.. - od niechcenia, ale grzecznie, nie ruszaj±c siê z miejsca, odwzajemni³ mu ten¿e u¶cisk d³oni.

Krasnostawski, niby szukaj±c czego¶ po pokoju, zbli¿y³ siê zrêcznie do okna, pos³awszy wywiadowczy wzrok raz jeszcze do ogrodu.

Siedz±c wci±¿ na swym miejscu, £ady¿yñski ¶ledzi³ spod okna, a usta skrzywi³y mu siê przy tem sarkastycznie.

- Cóż to tak zapamiętała pan szukasz? - rzuciła ironicznie - serca, czy górowy?

- O, nie... tylko kapelusza!.. - odciął chłodno Krasnostawski, i rzuciwszy siedzącemu powtórnie pożegnanie uprzejme, wyszedł z saloniku.

- Hm... hm!.. - mruknął do siebie stary kawaler, i powstał.

- Wyczytał bilard szczerze tak, jakem cię nauczył na wskos, nicponiu!.. - rozkazał kręcić się po pokoju lokajczykowi, i strzepliwszy ubranie, opuścił bilardową salkę, zmierzając ku werandzie.

- Zawsze przy pracy, pani marszałkowi! - powitał siedzący przy robótce pani Melanję i usiadł wygodnie na bujającym się fotelu.

- No, i pan, panie Emilu, pracowałeś tak i e - uśmiechnęła się pogodnie matrona. - Stąd słyszałam, jak stukają karambole i postępową rażą wykład gry bilardowej...

- Ano, trudno!.. Trzeba pouczać młodych! - odparł pan Emil i uśmiechnął się swoim zwyczajem. A gdzie to młoda para? - rzucił.

Marszałkowa nie zrozumiała pytania. - Jak to? - zdziwiła się.

- No, pani Ola i kochany hrabicz! - objaśnił niedbale, kołysząc się leciutko w fotelu.

- Aaa !.. - załmiała się marszałkowa - stała w ogrodzie - dodała spokojnie.

- A pan Bolesław gdzie się znajduje? - zapytała z kolei.

- Przegrawszy partyę karamboli i posławszy trzydzieści i jedno spojrzenie tęsknych w stronę ogrodu i przechadzających się tam ludzi, uciekł do domu - odpowiedział pan Emil.

- Te też pan ciągle tak samo niepoprawny i zawsze musi widzieć coś niepotrzebnego! - obruszyła się, z widocznym niezadowoleniem, marszałkowa.

- To tak tylko dla kontrastu z panią marszałkowie! - odparł sardonicznym tonem, układnie pan Emil i uśmiechnął się szyderczo.

- No, no!.. - udobruchana nieco, pokiwała głową staruszka. - Teby to tylko tak było w istocie! - Ależ upewniam panią marszałkowie - podchwycił Ładyński. - Wracajcie jednak do poprzedniej prozy życia, i jego wypadków - ciągnął wolno - ciekawym, czemu ten Roman nie wraca?..

- A! - żywo odparła pani Warnicka. - Zapomniałam powiedzieć panu... Wczoraj wieczorem był list od niego... Donosi, że z Ostendy, dokąd udał się prosto z Paryża, dla odpoczynku, przybył już do Mediolanu, gdzie zabawi dłużej...

- Hm, hm! - chrząknął pan Emil. - Te też przesunięci kochanemu nie tęskno: do żony primo, do mnie - secundo, to się wydziwić temu nie mogło - wygłosił caikiem seryo.

Marszałkowa na te słowa uśmiechnęła się do siebie, w milczeniu, Ładyński mówił dalej, wydobywszy zegarek z kieszeni:

- Patrzcie państwo, już wpół do ósmej!.. O wpół do szóstej zaczęliśmy

graæ z Krasnostawskim partyjkê, a pani± marsza³kowê pozostawili¶my
wszyscy tu na balkonie samotn±... Tiens... tiens... jak to czas leci.

Pan Emil spojrz³ na ogród, szukaj±c co¶ oczyma i w tej¿e samej chwili
zerkn±³ na marsza³kowê. Ta ostatnia równie¿ wys³a³a spojrzenie do parku.
Z³o¶liwie nieco wykrzywi³ usta pan Emil i wpatrzy³ siê badawczo w twarz
staruszki, lecz ta obojêtnie ca³kiem odwróci³a po chwili g³owê i
koñczy³a spokojnie robótkê.

Zapanowa³o milczenie.

- Dziwny aforyzm przychodzi mi do g³owy! - odezwa³ siê £ady¿yñski, w
parê minut pó¼niej.

- Bardzo, ciekawam, co tam znowu przychodzi panu do g³owy?.. - za¶mia³a
siê staruszka.

- Piêkna kobieta - wyg³osi³ z patosem pan Emil - to czêstokroæ wcielenie
¶lepego trafu igraszki!.. Obdarza ona bowiem królewsk± sw± ask± nie
zas³u¿onych, lecz szczê¶liwych, choæ wszyscy, niby gracze, pragnêliby w
duchu wygraæ najwy¿sz± tylko stawkê...

Siwe oczy marsza³kowej na chwilê zab³ys³y rozumnie, i odpar³a lekko, w
tym samym tonie:

- Ho-ho, co za porównania, jaka poezya nagle objawi³a siê w panu! -
pochwali³a ironicznie i doda³a: - Ja nie wiem, doprawdy, czy potrafiê,
skromna, wznie¶æ siê na takie wy¿yny... Lecz i mnie równie¿, dziwnym
zbiegiem okoliczno¶ci, aforyzm ¶wita w my¶li:

I po chwili pani Melanja wyg³osi³a z przyciskiem:

- Podejrzliwo¶æ - to wcielenie satanizmu!.. Oczerniaæ, zbrukaæ potrafi
najczystsze, ¶nie¿ne jagnie, tem gorsze za¶ ono, ¿e uwierz± mu ludzie,
goni±cy, z rozkosz±, za obmow±, choæby ni± by³ i fa³sz wierutny!..

- Les beaux esprits se rencontrent! - wycedzi³ w pó³uk³onie pan Emil, i
zamilk³.

- No, ¿egnam kochanego pana! - odpowiedzia³a marsza³kowa, i powsta³a
ciê¿ko z fotelu. - Idê - ci±gnê³a - wydaæ rozporz±dzenia do wieczery,
bo gosposia nasza, jak widzê, zapomni³a siê dzisiaj, a pana - tu
uczyni³a rêk± niewyra¼ny ruch w powietrzu - pozostawiam sam na sam z
aforyzmami!.. - za¶mia³a siê przy tem staruszka z³o¶liwie nieco, i
znik³a we drzwiach salonowych.

£ady¿yñski, po wyj¶ciu marsza³kowej, zapali³ papierosa i zamaszycie
pocz±³ ko³ysaæ siê na biegunach fotelu.

- ¶miejsiê, ¶miejsi, babuleñko! - mrukn±³ z cicha. - Ja mam swój rozum i
wêch ¶wietny. O, co do tego, to zapewniæ mogê, ¿e nos mam wyborny!.. -
dotkn±³ twarzy, za¶mia³ siê do siebie, wci±gn±³ powietrze, i powstawszy,
zeszed³ po stopniach schodów balkonu.

Spojrz³ znowu na zegarek i mrukn±³:

- Ósma dochodzi... Sapristi, o czem¿e dwie i pó³ godziny sam na sam
mówiaæ ze sob± mog± dwoje m³odych ludzi, je¶li nie o mi³o¶ci... Psst! -
sykn±³ g³o¶no i po³o¿y³ sobie na ustach palec. - Podejrzliwo¶æ albowiem

jest to wcielenie satanizmu... i tak dalej, - dokończy³, i zaflmiał³ się znowu cicho. - No, zobaczymy! - szepną³ do siebie jeszcze i skierowa³ się do ogrodu.

S³ońce zachodzi³o w³aflnie. Bia³e flciany gowartowskiego domu gorza³y czerwieni[±], b³yszczają, z³oci³y się okna, dach blaszany żarzy³ się, jak g³ownia, a tam w parku, w oddali, wstydliwie żarżowia³y się, rumieni³y brzozy, mieni³y od gasnących promieni, w odbłaski polerowanej miedzi, dęby, lipy, topole...

Ładyżyński, zag³ębia³ się dalej i dalej w ogród, idąc krokiem pewnym, a ż znik³, poch³onięty cieniami ciemnowej już, drzew wiercho³kami zros³ej ze sobą alej; poszukiwania jego jednak mia³y spe³zn[±]æ na niczem. M³odej pary, jak j[±] pan Emil żartami nazwa³, nie by³o już w ogrodzie.

Topolski i Ola, przed p³ godzin[±], znalaz³szy się na skraju parku i ³anów szerokich, opuflcili ogrodow[±] alej[±], poci[±]gnięci w³sp³wzajemnie czarem przechadzki po zielonej, biegn[±]cej wflród pól, ugorów, ³±czce, w przedwieczornej flwieżo³flci sk[±]panej ca³ej.

Gawędz[±]c, flmiej[±]c się i przekomarzaj[±]c na przemian bezustannie, oddalili się oni nawet już do³flæ ode dworu, nie spostrzeg³szy tego naturalnie wcale.

Wbrew zapowiedzi, danej pani Oli jeszcze na raucie, przyflpieszy³ Topolski swój przyjazd do odziedziczonych w pobliżu Gowartowa dóbr swoich "Szczęsnaja".

Bawi³ już tu przesz³o od sze³flciu tygodni, bę[±]c nader częstym go³flciem osamotnionej prezesowej Dzierżymirskiej; Ola za³fl, nie mająca prawie tu ni rozrywki, ni towarzystwa żadnego, zazwyczaj niezmiernie mu rada by³a.

Topolski za³fl ze swej strony podoba[±] się móg³ tylko. Og³adzonych form flwiatowych, przystojny i mi³y, by³ również bardzo inteligentnym, a lekki pok³ad idealnego marzycielstwa, w kontra³flcie p³±czony ze szczypt[±] sceptycyzmu, czyni³ go interesuj[±]cym bardzo, szczególnie dla kobiet. W kole p³ci pięknej czu³ się zawsze panem... Posiadaj[±]c wrażliwo³flæ czu³ostkow[±] przyrodzon[±], rozumia³ on kobiety przytem stokro[±] lepiej od innych m[±]żczyzn, odczuwa³ je subtelnie, - w podbijaniu za³fl serc niewie³flcich, cierpliwem i umiej[±]tnem, - mistrzem go nazywano.

Próżniacze życie jego, zjadaj[±]cego dochody "panka", zabarwione tylko z lekka tam i ówdzie dyletanckiem zainteresowaniem się sztuk[±], oraz podróżowaniem po flwiecie - sk³ada³o się też przeważnie z krótszych lub d³uższych mi³ostek, z ³ańcucha: "bonnes fortunes", które, jak ogniwa, ze sobą bezustannie ³±czy[±]æ się stara³.

Poznawszy Olę Dzierżymirsk[±], Topolski postanowi³ zdoby[±]æ j[±] nieodzownie. W tym celu więc dowiedziawszy się o bytno³flci Romana Dzierżymirskiego za granic[±], przyspieszy³ wyjazd na Ukrainę, i od dwóch już niespe³na miesięcy pracowa³ wytrwale, powoli, ze znanstwem swej sztuki, cegie³ka za cegie³k[±], buduj[±]c swe przysz³e, jak nazywa³ - szczę³flcie!

Z pocz[±]tku by³o mu niezmiernie trudno skierowa[±]æ, pchn[±]æ Olę, cho[±]æ nieznacznie tylko, na swe tory.

Gra ta, z³ożona z setek subtelnych odcieni, opartych na gruntownej znajomo³flci "kobiety," parokrotnie srodze zawiod³a go z Ol[±] Dzierżymirsk[±]. Lecz po paru już tygodniach uczu³ Topolski wreszcie grunt

pod nogami, aczkolwiek jeszcze bardzo niepewny. Tryumfowa³ skrycie - i szed³ dalej...

Dzi³ za³, po tygodniach sze³ciu pobytu, mia³ on ju³ za sob³ ma³± przesz³o³æ w tym wzglêdzie; miêdzy nim, a Oli³ mianowicie bieg³a niê trwa³a obcowania wzajemnego, wspólnych rozmów, dociekañ, paradoksów, okre³leñ - gar³æ faktów jednak na pozór nic nie znacz³cych prawie...

A wiêc, na przyk³ad, gdy w gronie osób postronnych, trzecich, toczy³a siê rozmowa o temacie, poruszonym ju³ przez nich dwojga niegd³ w pogawêdce sam na sam wspólnej - czy to w zakresie sztuki, literatury, muzyki, czy wreszcie w dziedzinie wypadków pospolitych codziennego Źycia - usta ich u³miecha³y siê nieznacznie, a równocze³nie oczy spotyka³y siê, pos³uszne...

To znów kiedy indziej, nim jedno z nich zd³Źy³o wymówiæ my³ jak³, czêstokroæ drugie, chwyt³o j³ szybko ju³ w lot i na nie wypowiedziane, a przeczute s³owa, dawa³o trafne³ odpowied³, lub rzuca³o aforyzm dwuznaczny, maj³cy li tylko dla nich dwojga znaczenie, dla innych niezrozumia³y czêsto wcale - poruszaj³cy za³ sob³ wspomnienie, zdarzenie osobiste, wspólne...

Szukali siê wzajemnie równie³, unikaj³c towarzystwa drugich, pragn³c zawsze byæ ze sob³, wy³cznie sami.

A po za tem? Och, okre³liæ nawet trudno.

Dziesi³tki, setki, tysie³ce maleñkich, nik³ych zdarzeñ, powik³añ, chwil, chwilek, s³ów, s³ówek, gestów, drgnieñ twarzy, u³miechów, niedomówionych spojrzeñ, u³ci³nieñ d³oni, przyja³niejszych, czulszych - w nieskoñczono³æ biegn³c, zacie³nia³y ich dwie duchowe ja³nie coraz bardziej, mota³y ich ze sob³ i z nitki pocz³tkowo pojedynczej tylko, czas uprz³d³ tkaninê przêdzê niewidzialn³, a nierozzerwaln³ ju³ jednak, co silnie, a trwale z³czy³a ich w koñcu ze sob³!

I Topolski, b³±kaj³cy siê z pocz³tku w swej grze trudnej zapl³ta³ siê sam wkrótce, nie wiedz³c nawet kiedy, w zastawione zrêcznie na Oli³ sieci.

Serce w nim obudzi³o siê po raz pierwszy mo³e w Źyciu!.. On, motyl niesta³y, powierzchownie tylko kochliwy, w ka³dej zamê³nej, wdziêcznej buzi - zakocha³ siê na seryo w Oli!

Dzi³ od dwóch godzin przesz³o, w s³ów dobieranych szermierce, flirtowa³ z ni³ - teraz ju³ dlañ ukochan³, a przez to samo upragnion³ jeszcze bardziej.

Mówili dnia tego jak zwykle o literaturze, muzyce i sztuce, to jest o tem, co zajmowa³o ich wspólnie najbardziej w krainie, oderwanej od przêdzy codziennego Źycia.

On wspomina³ i opowiada³ barwnie wra³zenia licznych podró³y, dowcipkowa³, ¶mia³ siê, przytomny bezustannie gry swojej; Oli³ s³ucha³a mówi³a, opowiada³a z kolei wiele sama... Jak w z³ocie ³anów zbo³a, jednostajnem od maków purpurowych i b³awatnych chabrów, roi³o siê w tej ich s³ów gawêdzie od dwuznaczników, w lekk³ formê obleczonych ze strony Topolskiego o¶wiadczyn i pó³s³ówek - po³owicznem niedomówieniem wiele mówi³cych nieraz rzeczy!..

Przed chwilą, słońce ułożyło się do snu. Topolski kończył jednocześnie wywołane faktem tym opowiadanie wspomnienia, tymczasem się wschodu słońca obserwowanego z wierzchołka góry "Mont Blanc," spowiadając się z wrażenia podniosłego, doznanego wysoko!..

Słowa pełne zapachu, efektowne, zamierzały mu wstać na ustach, na których spojrzeniem całym zawisła artystyczna dusza idącej obok niego kobiety.

Zapanowało pomiędzy nimi chwilowe milczenie:

Ze stepu tymczasem, z traw, z kwiatów, i polnych kwiatów; żeby i chrząki odzywały się w moczarach - czar letniego gasnącego dnia chwycił za duszę...

- Wie pan, jesteśmy porządnie od domu daleko! - pierwsza wesoło zakrzyknęła się Ola.

- A tak? - zdziwił się niby Topolski. - To wracajmy! - rzekł niechętnie.

Zawrócili. Szli wolno czas jakiś, pomimo woli zamierzali.

- Tak, pani - przemówił Topolski, snać będzie jeszcze myśli hen, daleko, na szczytach Alp, w Szwajcarii - wrażenie to było tak silne, iż nie zapomnę go do końca życia. - I wie pani? - dorzucił, z uśmiechem dziwnym i nagłym - o czym mimo woli pomyślałem w owej uroczystej chwili, gdy pierwszy promyk słońca ozłocił cypl "Mont Blanc?" Nigdy pani nie zgadnie.

- No, ciekawam bardzo? - zapytała Ola i spojrzenie piękne utkwiła w twarzy młodego człowieka.

- O kobiecie!.. - odrzekł Topolski, i zakrzyknęła się; nie otrzymawszy za nią na to żadnej odpowiedzi, spojrzawszy po chwili spod oka na Olę.

Z pięknej twarzy młodej kobiety, jakby odpędzany uśmiechnięty, pierzchał cień wyraźnego niezadowolenia; Topolski się spostrzegł, iż postąpił niezręcznie, wiedział bowiem z wieloletniej praktyki doskonale, że nie należało nigdy wobec kobiety, o której wglądał ci chodzi, wspominać dobitnie, że przed nią była inna. Poprawił się natychmiast.

- To jest... może mówi!.. - rzekł seryo całym, uśmiechnięty się atoli w duchu do siebie - o kobiecie, nie jednostce, bynajmniej myślałem wówczas, ale o ogólnym w niej symbolu kobiecości!..

- Jak to! nie rozumiem dobrze pana... - zdziwiła się Ola. - Cóż bowiem wspólnego ma wschód słońca...

- O, i bardzo! - przerwał Topolski - przynajmniej dla mnie... Bo gdy, stojąc na wysokościach niebotycznych, - ciśnie się, zapalając się do słów ważnych - ujrzałem nagle, jak zaróżowiona silnie jutrenka prysła snopem promieni, jak cała jakby po prostu okoliczne szczyty, niepokalane, świeżone - objęła w ramiona zwycięskie światła, tak rozpromieniony za jej przybyciem, tak wyraźnie szczęśliwy! - Topolski umilkł na chwilę...

- Skojarzeniem myśli, może dziwnym w istocie w chwili danej - kończył już spokojnie - porównaniem majestatyczne, królewskie słońce do uczucia kobiety - miłośnicy bezbrzeżnej, wielkiej, która również swą potęgą i

blaskiem rozjaŝniaæ, uszczêŝliwiæ moŝe cz³owieka, tak, jak "ono," tam, na wysokoŝciach - ŝwiat ca³y!..

- Och, jaki ŝ poeta z pana! - zauwaŝy³a, z uŝmiechem, Ola i umilk³a, poczem jednak dorzuci³a ca³kiem powaŝnie:

- Aczkolwiek mnie osobiŝcie na razie myŝli ta do g³owy nie przysz³aby moŝe, gdybym siê tam znajdowa³a na paŝkiem miejscu, rozumiem j± jednak i odczuwam doskonale...

- Prawda? - uradowany mimo woli podchwyci³ Topolski. - Pani przyznaje - ci±gn±³, - ŝe egzystuje poniek±d w poŝciach tych analogia pewna... S³uchaj±c pani jednak, przychodzi mi do g³owy jedno spostrzeŝenie... - zatrzyma³ siê...

- Musia³a pani - i instynktownie Topolski nada³ g³osowi brzmienie ðagodne, czu³e - w ŝyciu swem kochaæ kogoŝ bardzo...

- Dlaczego? - zapyta³a z uŝmiechem Ola.

- Bo inaczej nie zrozumia³a i nie odczu³aby pani wraŝenia mego! - rzuci³ po francusku Topolski.

- Kocha³am! - odpar³a stanowczo, w tymŝe jêzyku, Ola.

- Kogóŝ, jeŝli spytaæ wolno i jeŝli to nie jest ŝadn± tajemnic± stanu?

- Mêŝa! - odpar³a po polsku, lakonicznie Ola, patrz±c ironicznie nieco Topolskiemu prosto w twarz. Ten ostatni skrzywi³ siê z lekka.

- Ach, ja nie myŝla³em o tem zgo³a... Mêŝa powinno siê kochaæ... Zreszt± - uŝmiechn±³ siê z³oŝliwie - uŝy³a pani czasu przesz³ego... Kocha³am, j'ai aimé - ci±gn±³ ironicznie, - wszak, o ile mnie pamiêæ grammatyki francuskiej nie zawodzi, to passé défini... - zaakcentowa³ wyraz ostatni.

- Och, jak ŝe pan ðapiesz za s³owa! - zaŝmia³a siê nieszczerze trochê Ola. - Przy tem zapagn±³eŝ pan pochwaliaæ siê znajomoŝci± francuskiej grammatyki, i nie uda³o siê... J'ai aimé - to passé, indéfini - odciê³a.

- Ach, alors votre amour, madame... est indéfini? - nie pozosta³ d³uŝnym Topolski.

- Ech, nieznoŝnym siê pan stajesz! - zaŝmia³a siê m³oda kobieta. - Ot lepiej, niech pan spojrzy na prawo - wskaza³a ruchem rêki niebo, widocznie pragn±c zmieniaæ temat rozmowy. - Jakie piêkne chmurki, nieprawdaŝ?..

Topolski wolno zwróci³ g³owê, we wskazanym kierunku.

- Przeŝliczne! - potwierdzi³.

Niby zaróŝowione, zdrowe, w aureoli z³ocistych w³osów, buziaczki zasypiaj±cych rzêdem obok siebie smacznie dorodnych dzieciak, uk³ada³y siê do snu na niebieskawo-per³owym tle nieba ob³oczki ma³e, koralowo-z³ote, - zaklête jakby cudownie w ostatnim odblasku ŝpi±cego juŝ s³oŝca.

D³uŝszy czas stali Topolski z Ol±, zapatrzeni w grê ŝwiate³ wieczora; po

niejakim¶ czasie, odwróciwszy wzrok od nich, kobieta spojrz³a przed siebie.

- Regardez! - przerwa³a milczenie swym mile brzmi±cym g³osem. - Wszak to Krasnostawski, prawda? - zwróci³a siê do towarzysza, pokazuj±c mu ruchem g³owy zbli¿aj±cego siê pêdem ku nim je¼d¼ca.

- Tak. Zdaje siê, ¿e to ja¶nie pan plenipotent pomyka - odpar³ z przek±sem Topolski, z zaakcentowan± rozmy¶lnie obojêtno¶ci± w g³osie.

Tymczasem kasztanek z³otawy, parszaj±c cicho, przemkn±³ tu¿ ko³o nich i ruchem uprzejmym, aczkolwiek ch³odnym nieco, i nie zatrzymuj±c siê wcale, sk³oni³ siê Krasnostawski stoj±cej parze.

Topolski i Ola w ¶lad zatem ruszyli powoli miejsca, rozmawiaj±c znów ¿ywo ze sob±, je¼dziec za¶, na wskos przeci±wszy ±czkê, wspinaæ siê zacz±³ po pochy³o¶ci jaru. Z lekkiego pocz±tkowo pod górê truchcika, koñ przeszed³ w wolnego stêpa...

W ciszy wieczornej, do uszu Krasnostawskiego dochodzi³y wyra¼nie s³owa i ¶miechy id±cej ±czk± pary.

M³ody cz³owiek, uderzywszy gniewnie konia butami i spicrut±, pochwyci³ cugle, i pomkn±³ dalej...

- ¯e te¿ im nigdy nie zbraknie tematu do rozmowy! - mrukn±³.

Obecno¶æ ci±g³a Topolskiego przy Oli gniewa³a niepomierne m³odego plenipotenta. Zna³ on, jak wiadomo, dzisiejsz± dziedziczkê Gowartowa od lat blisko dziesiêciu. Dziewczêciem jeszcze podoba³a mu siê ona bardzo.

A potem?.. Wszak pamiêta doskonale tê chwilê, gdy dowiedzia³ siê on od starego Gowartowskiego, ¿e Ola uciek³a z Dzier¿ymirskim... Dziwnego, och, niepojêtego dlañ nawet, na razie dozna³ wówczas wra¿enia! Po ¶mierci za¶ pana Januarego i przyje¼dzie m³odych, przypadek bardziej jeszcze zbli¿y³ go do niej, a by³o nim powtórzenie zbola³ej córce dos³ownie ostatnich chwil ojca i s³ów jego, pe³nych przebaczenia...

Fakt ten, na pozór drobny, sta³ siê jednak dla Krasnostawskiego wysoce powa¿nym, postawi³ go bowiem wobec nowych chlebodawców na przyjaznej, poufa³ej niemal stopie, i takim dot±d bez zmiany pozosta³.

Co rok, gdy Dzier¿ymirscy przyje¿dzi³i do siebie na wie¶, pierwszy wita³ ich na progu Krasnostawski, bywaj±c potem zawsze stale co dzieñ niemal w Gowartowie... Dzier¿ymirscy traktowali go, jak równego im zupe³nie, naturalnie, uprzejmie przyjmowali zawsze - bez ró¿nicy, o ka¿dej dnia porze, ze wzglêdu za¶ na dobre wychowanie jego, i wspomnienie, i¿ do snu wiecznego zamkn±³ by³ Gowartowskiemu powieki, uwa¿ano go nawet jakby za nale¿±cego do rodziny.

Czu³ siê zatem m³ody pan plenipotent w pa³acu, jak u siebie w domu, zastêpowa³ mu on strzechê rodzinn±, której nie posiada³ wcale i trwa³o tak rok rocznie przez kilka letnich miesiêcy. Potem znów nastêpowa³a dlañ d³uga przerwa; - gospodarstwo, samotno¶æ, nuda i wyczekiwanie z upragnieniem chwili przyjazdu Dzier¿ymirskich! Powtarza³o siê to bezzmiennie przez lat ubieg³ych parê, i przez czas ten ca³y sta³a siê rzecz, której z ±atwo¶ci± domy¶leæ siê mo¿na by³o...

Krasnostawski, dawniej Don-Juan wielkowiejski, jeszcze obecnie na wsi

ba³amuc±cy wszystkie ³adniejsze dziewczyny w okolicy - niepostrzeżenie, początkowo nie zdaj±c sobie nawet wcale sprawy, zakocha³ siê na zabój w swej pięknej, m³odej dziedzicze i pani...

Łatwe sercowe zdobycze pom³ociały siê na lekkomy³lnym panu plenipotencie. Mi³o³æ prawdziwa, silno powali³a go już w drugim roku pobytu u Dzierżymirskich.

Zabra³a mu serce kobieta, dla niego ca³kiem, i rzecz można, na zawsze, niezdojta, niepochwytna nawet, ze wzglêdu warunków s³użebnej różnicy po³ożenia jego w ogóle z jednej strony, a z drugiej - z powodu charakteru Oli, jak siê zdawa³o, bez skazy, niez³omnych jej zasad, oraz bezgranicznej, niezmiennej, a dot±d jedynej - mi³o³ci jej dla mêża.

Przebola³ zatem Krasnostawski wiele, lecz zapanowa³ nad sob±. Nikt nie zbada³ dotychczas tajemnicy jego serca, nawet "ona."

A dzi³, uczucie drze³±ce i ukryte na dnie duszy przed sarkazmem ócz i jêzyków ludzkich, przeobrazi³o siê już by³o w prawdziwy kult... Codzienny go³æ Gowartowa, Krasnostawski, poza obowi±zkami, Ÿy³ "prawdziwie" w dniu godzin tylko kilka, t.j. tych parê w³a³nie, podczas których obcowa³ z Ol±, m³oda kobieta za³ stanê³a w duszy jego, nie z³ożonej, nieprzesubtelnionej, lecz szczerzej, pięknej i prostej - na piedestale ³wiêto³ci prawdziwej! Krasnostawski modli³ siê niemal do Oli!..

I oto teraz przysz³o mu cierpieæ podwójnie: dot±d odbiera³a mu ubóstwian± konieczno³æ Ÿycia, w postaci mêża... - Dzi³ przy boku jej siê zjawi³ inny... Krasnostawski znienawidzi³ pana na Szczęsnej...

Zazdro³æ, ta mi³o³ci siostrzyca, pochwyti³a go w swe szpony krogulcze, drêcz±c bez lito³ci... Mêkê tê za³ powieksza³o jeszcze poczucie w³asnej niemocy.

My³±c o tem po raz setny, Krasnostawski pêdzi³ wci±ż szybko, nagl±c niemi³osiernie spicrut± wierzchowca.

- S³ug± jestem i na wieki s³ug± zostanê!.. Psie Ÿycie, psie!.. - rzuci³ g³o³no z gorycz± obszarom, ³ni±cym w mroku. - On mi j± we³mie, pokala, ja to czujê, przeczuwam!.. Lecz co czyniæ mam, co robiæ? - wo³a³ do siebie wzburzony przyjaciel, domownik pa³acowy Dzierżymirskich. - Zastrzeli³bym go, to lisi±tko! - mrukn±³ ciszej.

W tej samej chwili koñ siê potkn±³, Krasnostawski ³ci±gn±³ instynktownie cugle, i pocz±³ jechaæ wolno.

Woko³o niego, otulony szarzyzn± mroku, ko³ysa³ siê step ma³y, wysoka trawa ³echta³a mu opuszczon± w dó³ siod³a rêkê. W oddali rysowa³y siê już cienie folwarku Tomaszówki, tak zwanej ukraiñskiej fermy, z³ożonej tylko z toku, to jest: stodó³, spichlerza, paru jeszcze zabudowañ gospodarskich, i jego w³asnego, niskiego, mieszkalnego domku - króluj±cych w cieniu kilkunastu drzew w³ród pól i ³anów szerokich.

Krasnostawski zdj±³ czapkê i przetar³ chustk± czo³o. W krêg niego lata³y tysi±ce muszek ma³y, brzêcza³y Ÿa³o³nie roje komarów; b±k gra³ gdzie³ w moczarach, a przepiórka zab³±kana, wêdruj±ca jeszcze po polach, odzywa³a siê gdzie³ nie³mia³o samotna...

Przejechawszy wolno kawa³ek stepu, Krasnostawski pu³ci³ siê znów poprzez

bodziaki i trawy szybkiego nader, tak zwanego sz³apaka. Prychaj±c nozdrzami, czuj±c stajnie blisko, pomkn±³ kasztan ochoczo. Pêdem powietrza i koñskiego biegu, wysokie trawy zako³ysa³y siê trwo¿nie - zaszumia³o na stepie...

Lecz oto po chwili wierzchowiec skoczy³ w bok gwa³townie: to uk³adaj±cy siê ju¿ do snu b³ogiego zaj±c pomkn±³ mu chy¿o spod nóg i znik³ w wieczornym mroku... Niebawem je¼dziec z koniem wpadli na trakt szeroki.

- Zginie mi Ola moja ubóstwiana, najdro¿sza!.. A szkoda - szkoda! - szepta³ do siebie podniecony Krasnostawski.

- Co czyniæ? jak przeszkodziæ temu? - hucz³o mu dalej w g³owie.

Lecieli wci±¿... Domostwa Tomaszówki stawa³y siê coraz wyra¼niejsze, bli¿sze... Wymin±³ ich wóz; jad±cy w przeciwn± stronê, ch³op pok³oni³ siê nisko, lec±ce za wozem ¼rebiê przy³czy³o siê do wierzchowej klaczy Krasnostawskiego.

- Ksiou, ksiou, ksiou! - zawo³a³ ch³op przeci¿gle: ¼rebczyk zastrzyg³ uszami, prychn±³ i zawróci³ galopem.

- Ach, czemu¿, czemu¿ nie wolno mi kochaæ ciebie, najdro¿sza? - wyrzuci³ z siebie Krasnostawski wymówkê, pe³n± goryczy. - Ja bym ciê oz³oci³, klêcza³ przed tob± - zmiata³ proch u stóp twoich!..

Je¼dziec z koniem, jak huragan, wpadli we wrota i na dziedziniec ma³ego dworku. Zatrzymali siê... Krasnostawski zeskoczy³ z kasztanka i hukn±³ dono¶nie.

Niebawem zjawi³ siê wyrostek, w rozchylonej koszuli, bosy, odebrawszy wierzchowca, znik³ z nim pomiêdzy strzechami pod³u¿nych budynków; m³ody cz³owiek za¶, szepc±c jeszcze smutnie co¶ z cicha do siebie, schyliwszy g³owê, wszed³ do wnêtra ma³ego, krytego s³om± dworku.

Odemkn±³ drzwi kluczem, a przest±piwszy próg, zatrzasn±³ je z ha³asem. W ¶lad za tem potar³ zapa³kê, a zapaliwszy lampê, zbli¿y³ siê do biurka, stoj±cego pod oknem, w¶ród skromnie umeblowanej izby, wybielonej, z niskim sufitem, o du¿ych wystaj±cych u pu³apu belkach.

- Nie mnie, marnemu pionowi, marzyæ i kochaæ, nie mnie!.. Do pracy, s³ugo, p³ac± ci za to! - szepn±³ Krasnostawski, z bezmiern± gorycz±. Roz³o¿ywszy jednocze¶nie na stole olbrzymi± rachunkow± ksiêgê, umoczy³ pióro w ka³amarzu i usiad³ ciê¿ko przed biurkiem.

Cisza zaleg³a pokoik. Przerzywa³ j± tylko szelest papieru i zgrzyt dono¶ny stalki w obsadce - czasami za¶ akordem w tê muzykê milczenia i pracy wplot³o siê z rzadka st³umione westchnienie ciche.

Ukraiñskie lato upalne dobiega³o koñca, zanika³o, wypierane jesieni± wczesn±, w tym roku piêkn± bardzo - przezroczt±...

ycie w Gowartowie p³ynê³o cicho, a dni mija³y tutaj za dniami, wszystkie bez zmiany niemal bardzo do siebie podobne. £ady¿yñski zatem tak samo zawsze szyderczy z marsza³kow± siê sprzecza³ i rozmy¶lnie przeszkadza³ flirtowi Oli z Topolskim... Krasnostawski, t³umi±c w sercu

ból, żal, gorycz i zazdrość, przyjeżdża tu jak zwykle, co dzień, a bawiąc w paacu coraz krócej, po partyjce bilardu z panem Emilem, ucieka do swej wśród pól samotni.

Czasem zajrza do Gowartowa ktoś z dalszych, lub bliższych sąsiadów, i jak to bywa zazwyczaj na wsi, zjeżdżają całym rodzinnym taborem, na godzin kilka rozgaszcza się w paacu. Dom cały naturalnie zniewolonym byłby na usługi gości, działo się to jednak zawsze ku wielkiemu zmartwieniu Ładyńskiego. Bywalec eleganckich miejskich salonów, z chodzą wówczas w kąt w kąt, ziewając skrycie i pokpiwając nieznacznie z przybyłych w gościnę; sąsiadów Gowartowa nie lubią bowiem pan Emil i z góry stale traktować, ochrzcisz wszystkich rycząc mianem "serwatki towarzyskiej"...

W niedzielę wszyscy z paacu jeździli do kościoła - w tygodniu, dla ubarwienia jednostajnego skądinąd życia, oddawano sąsiedzkie wizyty... Pan Emil wtedy zostawał zawsze w domu, a namawiał panie, byjechały, starała się zwykle wybrać na to dzień, w którym spodziewała się odwiedzin Topolskiego.

Hrabia ze Szczęsnej, przyjeżdżający teraz, regularnie, co drugi dzień prawie, stawia się wówczas niezmiennie. Ładyński, uśmiechnięty z obojętnością, przyjmował go z otwartymi ramionami, do karamboli natychmiast werbował, nic najchętniej przy tym nie mówił o wyjeździe pań, wymijając zręcznie jego pytania w tym względzie. Dopiero później, po party, wychodził na chwilę, wracał, i spokojnie oznajmiał mu o tem, mniej więcej w ten sposób: "Wszak hrabia kochany o panie mnie się pytał? n'est ce pas? Pardon... na śmierć zapomnieliśmy... wybrał pan sobie, wyjechały przed godziną na spacer, pewny był... A tu, concevez... Dowiaduję się wspaniale, i żalnie sobie wizytę!.."

Topolski rad nie rad niebawem odjeżdżał, pan Emil zaś, ironiczny, zjadliwej uprzejmości pełny, odprowadzając go do powozu - zacierał ręce z radości.

Pomimo jednak usiwań zręcznych Ładyńskiego, stosunek Topolskiego i Oli zacieśniał się coraz bardziej; przyjaźń fermentowała już, potęgowała zaś stosunek ten przedłużana coraz bardziej nieobecnością Dzierżymirskiego, od którego, po liście oznajmianym wyjazd do Mediolanu - nie było żadnej wiadomości.

Był wieczór letni, kojący, cichy...

W paacu gowartowskim zgaszono już wszystkie światła, prócz jednego - w jadalni, gdzie marszałkowa przeglądała wieże gazety. Niebawem odłożony je na bok, ze zmęczonych oczu staruszka zdjęła okulary, a przetarła powieki, powstała i skierowała się ku balkonowi.

Tam, wsiadłszy w ręce łaskę, zeszła do ogrodu, zagłębiwszy się w jedną z cienistych alei.

Ola, Topolski i nieodstępny ich satelita, pan Emil, używali przejażdżki łódki po stawie, w tę stronę więc skierowała kroki marszałkowa. Wkrótce przed nią zaskliła się tafla stawu, staruszka usiadła na aweczce i posłała spojrzenie w dal...

Do uszu jej jednocześnie, w wieczornej ciszy wybrzyna, doleciała pieśń, śpiewana zgodnie silnym męskim tenorem Topolskiego i cieniutkim sopranem Oli, z przeciwieństwem do wtóru gwizdaniem pana Emila. Barka znalazła się

niebawem po środku stawu. Pień, urwana nagle, zcichła, marszałkowa krzyknęła, jak tylko mogła najgłośniej: - Hop!.. hop!..

- By... waj! - odpowiedział natychmiast pan Emil, rozległy się szybsze uderzenia wiosła, plusk wody i śród chycio kierowała się począty ku brzegowi, Ładyński po chwili przyłożył do oczu rękę i krzyknął;

- Per Bacco! Wszak to pani marszałkowa!..

- O, ciociu! Czemu cioteczka przysła aż tutaj? Jakże można... wilgoć ze stawu, opary niezdrowe! - rozległ się z kolei cieniuchny głosik Oli.

- Nic, dziecko, nie szkodzi... Posiedź sobie, taki śliczny i ciepły wieczór... Jedźcie, jedźcie, jak się zmęczą, to powróć! - odkrzyknęła pani Melania.

- E, cóż znowu? - zagrzmiła basem Ładyński. - I my wracamy. Księżyc zresztą dzień nie dopisuje i chowa się cięgle... Naprzód!.. - zakomenderowała donośnie.

- Nieprawdaż? - dodał ciszej, zwracając się ku siedzącej w śródce młodej parze.

- Ależ naturalnie! - potwierdziła szybko Ola, widząc, iż Topolski milczy dyplomatycznie. - Cioteczka zaziębi się, jak ją pozostawimy tu dłużej, a sama do domu tak rychło nie pójdzie...

Po chwili, śród stanęła u brzegu. - Ciotuniu, jesteście. - żywo krzyknęła Ola, i wysiedli wszyscy.

Topolski z Olą poszli naprzód, pan Emil zaś pozostał, systematycznie ułożony wiosła i zamknął na klucz śród u ańcucha, przytwierdzonego do barki, poczem zapalił z wolna papierosa.

- Pa -nie E - mi - lu! Wra -ca - my! - rozległ się z góry, na brzegu, wołający głosik Dzierżymirskiej.

- Idę, idę! - odpowiedział w ten sam sposób Emil, nie ruszył się jednak wcale. Po chwili warknął do siebie półgłosem:

- O, nie podoba mi się coraz więcej ten farbowany na hrabiczka! Lecz swoją drogą pozycja moja tutaj jest w zupełności idyotyczna... Marszałkowa, jak ślepa: nic nie widzi; on, wścibski, zębami na mnie po cichu zgrzyta ona się dęsa... Que diable! Nie byłbym dotąd nigdy stróżem cnot młodych mętek!..

I Ładyński wzruszył ramionami, poczem z wolna skierował się ku pałacowi.

Pozostała zaś trójka była już daleko. Topolski podawał kornie ramię marszałkowej, Ola szła obok niego - rozmawiali wszyscy żywo i wesoło; niebawem znaleźli się na werandzie i usiedli, zmęczeni nieco przechadzką.

Topolski, zatrzymany i uproszony przez panie, zostawał na noc w Gowartowie, obecnie zaś namawiał Olę do zagrania na fortepianie.

- Ale kiedy mówi panu - broni się, śmieję, młoda kobieta, - że teraz wspaniale czuje się niemożliwie usposobioną do muzyki... Upewniam pana, iż

go boleæ bêd± uszy!..

- O, mnie nigdy! Chyba pana Emila? - odpar³ Topolski.

£ady¿yñski nie znosi³ muzyki. Nazywa³ j± zawsze "gnêbicielk± i pierwszym stopniem do histeryj i neurastenii."

- Je¿eli nie dla mnie - nachyli³ siê w tej chwili Topolski ku siedz±cej obok Oli - to niech zagra pani dla pana Emila za to, ¿e nam ci±gle swem towarzystwem przeszkadza³...

- Przeszkadza³?... w czym? - spyta³a Ola, z u¶miechem i zalotnem b³y¶niêciem oczu.

- Powiadaj±, i¿ przys³owia s± m±dro¶ci± narodów, a jedno z nich mówi pono: "m±drej g³owie, do¶¶æ..." i.t.d. Pani nie zrozumia³a - to trudno.

- Ha, ha, ha! - za¶mia³a siê Ola - zdrobnia pan przys³owia, stosownie do okoliczno¶ci, ale bogi odmówi³y panu talentu rymowania. Ja szczerze zupe³nie powiadam, i¿ nie zrozumia³am pana.

- Honny suit, qui mal y pense. Lecz pozwolê; sobie tymczasem nie wierzyæ pani...

Rozmowa ta ca³a prowadz± by³a pó³g³osem, tak, i¿ siedz±ca w przeciwnym rogu balkonu marsza³kowa nie s³ysza³a jej wcale. Odezwa³a siê wiêc, przerywaj±c:

- Widzê, ¿e na pró¿no pan Topolski ciê prosi. Zagraj, Oluniu, zagraj, dziecko, w taki cichy wieczór ¶licznie siê wyda g³os fortepianu.

- No, jak cioteczka ka¿e, to i owszem! - rzek³a z u¶miechem Ola. - Ale czyniê to tylko dla niej; avis au lecteur...

Zwróci³a siê do Topolskiego, spojrzawszy mu prosto w oczy, poczem przest±pi³a próg pokoju. M³ody cz³owiek sk³oni³ siê, i powstawszy, pod±¿y³ do salonu w ¶lad za ni±.

- Któz zbada³ rzeczywist± pobudkê czynów kobiety? - szepn±³ dyskretnie, pochylwszy siê ku id±cej.

- Przepraszam! - za¶mia³a siê weso³o Ola - proszê wracaæ na balkon dotrzymaæ towarzystwa cioci Melanii, a zreszt± - tu, siadaj±c do fortepianu, uczyni³a rêk± ruch w stronê werandy - oto pan Emil...

- A... wiêc pani jednak gra... dla niego - rzek³ z wolna Topolski i pos³uszny zawróci³.

Ola nie odpowiedzia³a... Gamma tonów z pod jej palców zabrzmia³a dono¶nie... Fantastyczna pie¶ñ norweska odbi³a siê o echa parku i g³êbie ¶ni±ce do stawu - namiêtna, burzliwa, pop³ynê³a w dal cich± pól i stepu...

- Te te¿ pani Ola nie ma lito¶ci nad ptaszkami, co ¶pi± sobie w parku tak cicho. Gdy us³ysz± bowiem parê podobnych fortepianowych trelików, og³uchn± do rana zupe³nie. - odezwa³ siê w tej¿e chwili ironiczny g³os £ady¿yñskiego.

- Cóz to pan, jak widzê, prócz ptaków tylko o sobie nie zapomina, a nas

z pani marszałkowej z żyjących wykreśla! - pół artem, pół serjo odciś
panu Emilowi Topolski.

Ładyżyński nie odpowiedział; wszedłszy do niewświetlonego salonu, gdzie
grała Ola, odezwał się w ukłonie:

- Wszak pani pozwoli, nieprawdaż?... Bym zagrał sobie prozaicznie, terre
à terre, w karambole sam ze sobą... Czy zgrzeszę bardzo?

- Mais pas du tout, owszem... Staraj się pan karambolować w takt gry
mojej; może cię drogi wreszcie nauczysz się pan kiedyś odczuwać muzykę...

- O, dzięki ci, pani! - trzymaj się za serce, skłonił się pan Emil i
zadzwońszy na lokaja, kazał zapalić światła w bilardowej salce, a po
chwili, cały zatopiony w grze, z pietyzmem wykonywał zaczął karambole.

Piękną Schumana rzewnie skrzył się cicho teraz fortepian, pakał,
smucił się żałośnie... Ola grała pięknie, z techniką i uczuciem.
Siedzący na balkonie Topolski słowił tony z lubością, przez grzeczność
tylko prowadził rozmowę z marszałkową i klnął zarazem w duszy jej
obecność, przeszkadzał mu we flirtach z Olą.

Niebawem wybiła w ciszy domu godzina jedenasta. Staruszka, zmęczona snem
całym dniem, powstała ciężko i rzekła:

- No, słuchajcie tu sobie muzyki, moi panowie, ja za idę spać... A pan
Emil gdzie - nie widzę go? - zapytała naraz.

Topolski zauważył dawno, że Ładyżyński postukuje na bilardzie; nie chcąc
jednak informować o tem marszałkowej, odparł szybko:

- Och, nie, wiem. Wszedł przed chwilą, wróci zapewne niebawem! - i na
dobranoc - pocałowała, z uszanowaniem, rękę staruszki.

Marszałkowa, nic nie mówiąc, weszła do salonu i zbliżyła się ku
fortepianowi.

- Bonsoir, chérie! - rzekła, całując Olę w głowę.

- Dobranoc, cioteczko! - zerwawszy się z krzesła uściskała marszałkową
Dzierżymirską; poczem pani Melania skierowała się wolno do swych
pokojów.

Znikła... Fortepianem wstrząsnęło gwałtowne intermezzo; do pokoju,
tonącego w cieniach, cicho, jak kot, wsunął się Topolski.

Usiadł na niskim foteliku obok Oli: -Nareszcie!.. - szepnął.

- Nareszcie... Co? - ze spojrzeniem zalotnym, zapytała, nie odrywając
paluszków od klawiszy.

- Jesteśmy z pani sami...- dokończył Topolski zdanie. - I ten satyr,
któremu tu tak wszystko wolno i uchodzi...

Topolski urwał, a widząc, że Ola już otwiera usta by coś powiedzieć,
wyrzucił z siebie szybko, czyniąc nieznaczny ruch ręką:

- Och, wiem już z góry, co pani mi powie... Pan Emil - przyjaciel
nieboszczyka ojca pani, druh marszałkowej, wreszcie zna pani od

dzieciństwa. - Wszak to wszystko wiadomem mi jest doskonale... Co nie przeszkadza - ci±gn±³ - i ¿ denerwuje mnie ten pan do niemo¿liwo¶ci... Bo, np. dzisiaj: od rana nie pozwoli³ nam byæ chwilki nawet sam na sam...

- Ho, ho, có¿ to za gorycz i niezadowolenie! - zdziwi³a siê niby Ola, a usi³uj±c nadaæ g³osowi brzmienie twardsze, doda³a: - Nie pojmujê zreszt±, sk±d te ¿±dania uporczywe sam na sam i urojone jakby jakie¶ prawa...

Nie dokończy³a... Trel gwa³towny przebieg³, jak dreszcz, po klawiszach, spojrzenie za¶ m³odej kobiety, które dojrza³ Topolski w pó³cieniu i blask jego, co, jak pieśczoła, przesun±³ mu siê po twarzy, zada³y k³am wyra¼ny wymówionym przez Olê s³owom. Topolski zapomnia³ o nich. Zapamiêta³ wzrok tylko i pokorny na pozór pochyli³ siê ku r±czce Oli.

- Przepraszam stokrotnie!.. przepraszam!.. - i poca³owa³ biegn±c± po fortepianie bia³± r±czkê, wychylaj±c± siê z fa³dzistego rêkawa - wy¿ej s³okcia. - Przepraszam siê ni¿ej! - rzuci³a ¿artobliwie Ola.

- Ciemno¶æ winna temu... -- rzuci³ lekko Topolski.

Milczenie parku i domu przerywa³y teraz tylko tony fortepianu, coraz namiêtniejsze jakby, gwa³towne, burz± ognistego zapa³u i pragnieñ wstrz±saj±ce spokojn± cisz±, oraz nerwami dwojga ludzi, s³uchaj±cych tej orgii d¼wiêków rozpasanych, zamkniêtych w z³ocone ramy artyzmu i techniki.

G³os Topolskiego wkrótce przeszed³ w szept przyciszony, pieśczołliwy, miêkki. Z da³a odzywa³o siê jednostajnie, co sekund kilka, uderzenie kul na bilardzie zajêtego wci±¿ karambolami pana Emila... I Topolski, flirtuj±c tak dyskretnie z Ol±, podsycaj±c± pó³s³ówkami s³ów jego igraszki, od czasu do czasu wysy³a³ spojrzenie przelotne na wywiady, czy pan Emil przypadkiem nie wraca; lecz ten nie my¶la³ o tem wcale.

Widz±c to, Topolski przysun±³ siê bli¿ej do m³odej kobiety. Ruch ten jednak zauwa¿y³a Ola i widaæ chêæ przekorna sprzeciwienia siê mê¿czy¼nie przebieg³a jej nagle przez g³ówkê, bo odezwa³a siê w tej chwili:

- Chcia³am w³a¶nie, oto zagraæ panu co¶ przepiêknego, i zapomnia³am... Masz tobie! - zatrzyma³a siê. - Trzeba zapaliæ ¶wiecê! - dokończy³a, z filuternym u¶miechem.

- Ale, có¿ znowu? - podchwyci³ Topolski. - Po raz pierwszy dostrzegam u pani - ci±gn±³ niezadowolony widocznie - brak odczucia nastroju chwili danej... Tak mi mi³o by³o s³uchaæ gry pani w tym w³a¶nie pó³cieniu, tak znakomicie godz±cym siê z muzyk± i cisz± wieczorn±.

¶miech szczery Oli rozleg³ siê w tej chwili. Zapali³a ¶wiece i rzek³a swobodnie:

- Có¿ robiæ! widzi pan teraz, ¿e wcale nie jestem doskona³o¶ci±.. Nareszcie pan sam empirycznie przekona³ siê o tem. A mówi³am tyle razy...

Urwa³a, i otworzywszy nuty, dotknê³a siê rêk± klawiatury.

- Niedobra pani... - nadaj±c g³osowi brzmienie poci±gaj±ce, °agodne, przemówi³ Topolski. - Niedobra! - powtórzy³ ciszej, i podniós³ do ust,

jej d^oń.

- Z okazji czego - za^omia^a si^e Ola.

Topolski na pytanie wprost nie odpowiedzia^a, lecz mówi^a dalej:

- Rozwia^a mi pani z^udzenie! - umilk^a na chwil^e.

Pytaj[±]co spojrz^a naⁿ Ola.

- Tak jest - powt^orzy^a m^eżczyzna - bo uwierzy pani, jak dziwnego dozna^aem wra^zenia, gdy oto tak przed chwil[±] siedzieli[¶]my w zapomnieniu, ciszy, przy fortepianu d¹/₄wiekach - zupe^onie sami...

- No, ciekawam? C^oż panu si^e zdawa^o? - ironicznie nieco rzuci^a Ola, a oderwawszy zarazem r^ece od klawiatury na chwil^e, s^uucha^a, patrz[±]c mu w oczy przeci[±]gle:

- Po prostu zda^o mi si^e, i^ż jeste[¶]my m^eżem i żon[±]...

- Tylko tyle? - za^omia^a si^e Ola z^o¶liwie. - No, po prologu spodziewa^aam si^e czego[¶] nadzwyczajniejszego przyznaj^e! - dorzuci^a lekko, a odwróciwszy spojrzenie, u^oży^a zeszyt nut na stalugach fortepianu, i zn^ow gra^e pocz^ea, tym razem co[¶] sm^etnego, koj[±]cego jakby - pe^onego cichej t^esknoty...

- Co to jest? - z^lymn[±] si^e w duchu Topolski, rozgniewany: - T^eż ta kobieta zawsze zbije mnie z panta^oyku! - Nie wiedzia^a po prostu, co mówia^e dalej muzyka za[¶] jednocze[¶]nie ^agodna, p^oyn[±]ca mi^ekk^o z pod palców kobiety, nerwow[±], dra^zliw[±] natur^e jego nastraja^a dziwnie na nut^e, wr^ecz przeciwn[±] s^owom, jakie same cisn^ey mu si^e do ust przed chwil[±]...

- Jednak, jak ona, niecnota, zna mnie, dobrze! - zauwa^zy^a jeszcze w my[¶]li, spojrzawszy z pod oka na Ol^e, kt^ora, z b[±]kaj[±]cym si^e w k[±]cikach ustek u[¶]miechem, gra^a w^a¶nie, z uczuciem, coraz, subtelniejszym, mi^ekk^{sz}em, a^z fortepian martwy skar^zyæ i p^oaka^e si^e zdawa^a.

Po chwili, Topolski przem^owi^a znowu, g^osem jednak ju^z ca^okiem innym, ni^z poprzednio:

- Pani si^e ¶mieje, tymczasem to, co mówi^e, wszak takie naturalne...

- Na - tu - ra! - ne! - przedrze¹/₄ni^a lekko Ola. - Ha - ha - ha! - za^omia^a si^e - vous ^etes incomparable!..

- Permettez! - przerwa^a porywczo nieco m^eżczyzna - niech skończ^e...

- Ale^z s^ucham, s^ucham od kwadransa, et vous n'en finissez pas. Wi^eć, jakie^z ultimatum?

- Bardzo proste. Odczuwamy si^e z pani[±] wzajemnie, rozumiemy, jak rzadko kto mo^ze... Dusze nasze - to jakby niewidzialny kamerton, kt^ory, za uderzeniem my[¶]li, uczu^eæ nam wsp^olnych, brzmi zawsze jednakowo... A m[±]ż i żona przecie^z, poza...

- Ha, ha, ha.. - urwa^a przezornie O1a. - Ot^oż mylisz si^e pan zupe^onie, bo ja, na przyk^oad teraz, nic, ale to nic pana nie rozumiem...

A zresztą - kończy³a, powstawszy szybko od fortepianu - en voilà
ascez... - zamknę³a fortepian. - Al mi pana Emila, który pewnie już
darował mi nie może, że gram tak d³ugo, bo oto w³a¶nie nadchodzi..

- A bodajże e¶¶! - zgrzytnę³ szeptem Topolski i zerwał się ¶piesznie,
począwszy odruchowo uk³adać niby porządnie nuty na etażerce.

- Silence a mon approche - quelle galanterie, madame, de votre part!..
Podziwiam, zaiste! - odezwał się na progu pan Emil, w uk³onie, a
zwracając się ku zmieszanemu pomimowolnie Topolskiemu, rzuci³, z ukrytym
sarkazmem:

- Czy to... może panu zawdzięczam?..

I podtrzymywana przez £adyżyñskiego g³ównie, popłynę³a przez czas krótki
jeszcze rozmowa ogólna, poczem panowie powiedzieli Oli dobranoc i
rozeszli się, pozostawiając ją samą. Zapalone przy fortepianie ¶wiece
rzuci³y teraz na salon migoczące ¶wiat³o, lekki zefirek ko³ysa³ ich
p³omieñ z lekka, porusza³ firanki i portyery... Ola skierowali się ku
werandzie, i opar³szy o balustradę, zaduma³a się g³ęboko.

- Co to jest, co się z nią dzieje? - my¶la³a. Od wyj¶cia za mąż, od lat
sze¶ciu kocha³a dotąd niezmiennie Romana tylko, choć bezustannie
ociera³a się o dziesiątki nadskakujących jej mężczyzn, na żadnego jednak
uwagi nie zwraca³a nawet. I dopiero teraz, teraz!..

Uję³a g³owę w rozpalone d³onie i ¶cisnę³a niemi skronie...

Ten Topolski dzia³a na nią w sposób i¶cie niezwyk³y. Tak ją odczuwa, tak
dobrze rozumie, tak rozzmys³awia po prostu umiejętnie prowadzoną grą
intrygi, flirtu - tak pociąga ku sobie nieprzeparcie!... Ten jego
ujmujący, niezwyk³y jaki¶ i zwodniczy wdzięk osobisty, którym tchnęła się
zdaje postać jego ca³a, zwycięża ją coraz natarczywiej, uparciej...
Broni się przed nim, w żart jego s³owa obraca, a jednak ona, Ola, czuje,
że je¶¶li tak samo potrwa jeszcze d³użej, kto wie, czy zdo³a oprzeć mu
się?..

Och, gdybyż przynajmniej Roman przyby³ już prędzej, gdyby! A tu sama
walczyć musi!.. Jeden £adyżyñski tylko po swojemu bronii ją przed "nim" i
przed nią samą...

I Ola przy ostatniej powyższej my¶li podnosi zwolnioną g³owę, a pociągnięta
kojącą ciszą parku i ¶wiat³em drżących promieni księżyca, schodzi z
balkonu i zapuszcza się samotna w cieniście ogrodowe aleje.

Na piasku cień jej rysuje się ma³y i kroki rozlegają się dono¶nie; przez
li¶cie niebieskawo-srebrne plamy ¶wiat³a ¶cielę się u jej stóp
dyskretnie, ukazując się, to znów nikną...

- Kocham go, kocham,.. i pragnę! - szepce Ola. - A on?

- Czyż można nawet wątpić o tem? - odpowiada samej sobie. - Przyleci na
jej pierwsze skinienie, gdyby tylko... zechcia³a...

Zechcia³a? - Ola przeciera czo³o d³onią i czuje, jak krew m³oda igra jej
w żyłach niepos³uszna, jak pragnienie poziome, zmys³owego użycia,
rozkoszy - nieprzeparcie, silne ją samą ogarnia wszechpotężnie.

Idzie coraz wolniej, coraz bardziej pogrążona ca³a w my¶lach i

wewnętrznej walce.

Doszedłszy do końca alei, Ola zawraca machinalnie, kierując się ku domowi.

- Romanie!.. Romciu... wybac mi! - szepce, kładąc załamane ręczki na rozpalone czoło. - Przyjeżdżaj i obroń mnie!.. Obroń! - woła rozpaczliwie, czując burzę w piersi, rozsadzanej uczuciem, pragnieniem i rozterką!

Broniła się dotąd, ale teraz czuje, iż siły jej zbraknie na pewno...
Ile godzin w dniu samotnych, ile nocy bezsennych, przemysłła, przecierpiała w walce z pokusami, z sercem, wyobraźnią, duszą, - rwącemi się do ukochanego mężczyzny - w jego ramiona, które czekały tylko jej skinienia, by ją opleść pieśczętami - unieść w krainę miłości i rozkoszy!..

- Marzenia! Ona nie ulegnie!..

- Nigdy, przenigdy! - szepce Ola, spowiada się przed zasłuchanymi, cichymi drzewami parku. - Tylko ty, Romanie, ty, co po raz pierwszy w życiu otworzyłeś mi uśmiech, szczęścia, ty, którego dotąd ponad życie kocham - przyjedź, ratuj mnie, bądź obecny wesprzyj!!!

Ola już jest w pobliżu pałacu.

- Nigdy cię nie zdradzę!.. nie zapomnę obowiązku... nigdy! - szepce po raz wtóry jeszcze i z żywo bijącą w arteriach krwią - wzburzona, z ostatnim wyrazem "nigdy" na ustach, wstępuje po schodkach pałacowego skrzydła. Daleka myśli od szczegółów drobiazgowego życia - zapomina o pozostawionych w salonie światłach - o wszystkim i skrzyknęszy drzwiami, znika za nimi.

W ciszy upionego już domu, gdzie, w dali, wydzwania tymczasem po chwili godzina dwunasta.. Kwadrans mijają stopniowo, a noc letnia, w milczeniu przyrody cicho, woniami swymi miarowo oddycha poczynając...

W salonie pałacowym dopalają się powoli światła u fortepianu, promienie ich drżą bezustannie od nocnych powiewów, oświetlają fantastycznie pokój; czasem wpadnie tu zniechciany księżycowy promień - i zagości swym blaskiem ciche światło...

I trwa to tak do świtu jeszcze...

Nagle jednak drzewa parku szumieć poczynają wraz głośniejszymi, księżyc gdzieś ginie, przepada, chmurki za drobne pokrywa zaczynają coraz gęściej niebo dotąd pogodne... I zefirek leciutki, wpadłszy do salonu przez balkonowe drzwi, hula po nim poczynając...

Jeden promyczek u światła gaśnie, drugi w pobliżu okna pali się w ciemności, dygocąc...

Swobodny wietrzyk tymczasem wzdyma teraz firanki, a podrzuciwszy jedną z nich, nakrywa nią promień światła przy stojącym obok okna fortepianie i jakby pragnąc przypatrzeć się swej psocie, nagle przestaje powiewem poruszać wszystko dokoła!..

Stopniowo firanka zapala się z wolna; promień obejmuje ją pieśczętliwie w swój uścisk gorący...

Wpada znów podmuch zefiru. I p^oomień idzie w górę zwycięski, zapala lambrekin. Minut kilka... Okienne ramy już p^oon^o z^oocistym ogniem, z trzaskiem prze^oamuj^o się po chwili, szyby pękaj^o znienacka, i wszystko to razem upada na ziemię. Dywan puszysty kopci^o zaczyna... Od firanki zaj^o się rozrzucone na pianinie nuty, drobiazgi...

Wietrzyk, jak szatan z^oo^oliwy, dodaje tymczasem animuszu p^oomieniom, przyspiesza pochod ich po salonie...

Ogniste w^oże obejmuj^o już niebawem w ^omiertelny u^ocisk fortepian, skarż^o się on ^oa^oo^onie... Meble pękaj^o od gor^oca - dym, ^oar, nape^onijaj^o pokój ca^oy, kobierzec już p^oonie - posadzka pod nim trzeszcze^o zaczyna!..

Wiatr ustaje tymczasem, chmurki stopniowo rozchodz^o się jak przysz^oy, rozpraszaj^o... Sierp ksi^ożycyca ukazuje się znowu, i zagl^oda ciekawie do wnętrza pa^oacu...

W^oród ciszy ^opi^ocego domu pali się już teraz ca^oa prawa strona salonu; drzwi przymkni^ote od s^osiedniej jadalnej sali, pod naporem ognia, wal^o się, z trzaskiem - w tej^o chwili hufiec p^oomieni wsuwa się podstępnie do innych, przyleg^oych komnat...

Nikt nie spostrzeg^o jeszcze w pa^oacu ognia. Cicho.

W pokoju, na pierwszym pi^otrze, ^opi smacznie Topolski, a u^omiechni^oty, rozmarzony, ^oni zapewne o Oli.

Mija jeszcze z kwadrans. W komnacie rozlega się nagle trzask silny, w ^olad za tem pod^ooga wstrz^osa się...

Topolski budzi się, a ledwo otworzywszy oczy, kaszle^o zaczyna: co^o dusi go, w oczy się w^oera...

Zrywa się wystraszony i przytomnieje natychmiast. Instynktownie otwiera okno...

- Co to, na Boga, co to? - przenika mu jednocze^onie mózg pytanie. Patrzy w d^o przez okno - ksi^ożyc ^owieci, ^opi wszystko!.. S^oucha... W^oosy je^o mu się na g^oowie, zapala ^owiece, i widzi siebie w ob^ookach dymu.

- Pożar!.. - ^owita mu w g^oowie. Niepewny jeszcze, ubiera się po^opiesznie, par^o chwil za^o p^oniej jest już na korytarzu - za drzwiami...

Dymu wsz^odzie pe^ono. Echo ^ooskotu p^oomieni na dole dochodzi tu wyra^onie... Poza tem wsz^odzie panuje milczenie zupe^one...

- Na Boga, czy Ola ^opi? - nikt sna^o o ogniu nic jeszcze nie wie! - przemyka przez umys^o m^odzieńca. Chce krzykn^o: - Ogień, gore! - waha się...

Staje strwożony... Mo^oże jemu tak tylko się zdaje?.. Po sekundzie namys^ou, rzuca się jednak na lewo, ku schodom, i biedz na d^o zaczyna..

- Ola... Ola!.. - szepce p^og^oosem, pomny i tylko najdroższej sercu istoty, i znalaz^oszy się na dole, skr^oca gwa^otownie w prawo, ku pokojom pani domu...

Po omacku, przewracając meble, biegnie Topolski przed siebie, jak nieprzytomny...

We względnej ciszy, towarzyszy mu tylko coraz wyraźniejszy odgłos palącego się pałacu...

Nagle rozjaśnia się przed nim krwawo-złoty płomień przestrzeni ciemna pokoi, guchy załoskot, pochłony z sykiem i świstem, odbija się donośnie..

To pomienie wdarł się już do sąsiadującego z sypialnią Oli buduaru... Odblask ich oświetla jaskrawo białe drzwi, prowadzące doń... Topolski na ten widok, korzystając z wolnego jeszcze od ognia, miejsca, rzuca się gwałtownie ku nim. Słucha...

Do uszu jego dolatują jakieś wołania, krzyki:

"Gore, gore! pali się... Ratunku! ratować!.. Bywaj!" - krzyczą teraz zewsząd zapamiętałe, rozpaczliwie jakieś głosy, a pod samym domem rozlega się równocześnie przyspieszona bieganina, tupot licznych kroków ludzkich...

- Już alarm dany - to dobrze! - czyni sobie w duchu Topolski uwagę i odruchowo wchodzi do sypialni Oli, zamknąwszy drzwi za sobą.

Tu jeszcze cicho... Nocna lampka nadem tylko światłem oświetla komnatę; księżycowy promień drżący ściana się po ścianie i słońcu, na którym leży Ola, pogrążona we śnie spokojnym.

Z pod kapy lekko narzuconej, unosi się jednostajnie pierśmłodej kobiety i rysują wdzięcznie kształty ciała...

Pomimo grozy położenia, Topolski zachwytu powstrzymać nie może. Chwilę stoi nieruchomy...

Huk tymczasem jakiegoś mebla, pękającego, pod naporem ognia, odgłosem swym budzi Olę... Strwożona, zrywa się, zrzuca kapelusz, i w bieliźnie nógkami bosymi, dotyka ziemi...

Jednocześnie dym napełnia sypialnię poczyna, a przez dolną szparę u drzwi wciska się przemocą, niby wąż jadowity, krwawe pasemko ognia... Ola rzuca okrzyk strasznej trwogi, i wcale nie widząc jeszcze Topolskiego, porywa stojący na małym stoliku dzwonek i rozpaczliwie dzwoniąc poczyna...

Topolski, widząc i słysząc to wszystko, szybko otwiera na ścieżkę okno i rzuca się ku Oli... Ona spostrzegła go wspaniale...

- Co to?... Pan tu?... O, jakżeż można!.. i Ola zarumieniona milknie, a wstyd zarazem staje się silniejszym od trwogi, bo ruchem nagłym obwija się faktami porzuconego obok na krześle szlafrocza...

Huk ponowny tymczasem wstrząsa murami pokoju. Ogień zwycięzca wkracza jednocześnie w komnatę, drzwi pękają i płoną! Topolski porywa drżąc ze strachu i wstydu młode kobiety w swe silne ramiona.

- Co... to?... Co... to?... - szepcze Ola jeszcze, z lękiem... Mężczyzna pragnie co odpowiedzieć, lecz w tej chwili, z loskotem i chrzęstem, wpadają do sypialni drzwi roztrzaskane, a zięćca paszcza płonących

komnat pa³acu ukazuje siê, jak na d³oni, w ca³ej swej grozie i majestacie...

Jednocze³nie rozlega siê przera³liwy krzyk kobiecy!..

To zbudzona dzwonieniem swej pani, ³pi³ca w s³iednim pokoju s³u³ca, wo³aniem, b³aga o pomoc!

W sypialni za³ ju³ nie ma nikogo. Wyskoczywszy zrêcznie oknem, Topolski stoi teraz w parku i obrzuca spojrzeniem p³on³cy pa³ac. Widzi w oddali ludzi kilkana³cie, ekonoma, parobk³ów i s³u³bê dworsk³, a w dali zapomnian³ przeze³ ca³kciem sylwetkê marsza³kowej...

W ³r³ód gwaru s³yszy zarazem dono³ny g³os pana Emila: "Hej! hej! ludzie, tu! do mnie!! - wo³a energicznie. - Ratowa³ m³od³ pani³!!.. W rogu dworu!! prêdziej!!!"

S³uchaj³c tego rozkazu, kilku ludzi natychmiast odrywa siê do ogólnej gromadki s³ug i lecie³ poczyna ku pokojom m³odej dziedziczki - ku niemu!..

Wystraszona p³omieniem i krzykiem Ola zarzuca równocze³nie Topolskiemu na szyjê swe nagie ramiona! On, wstrz³sn³wszy siê pod tem dotkniêciem, porywa siê nagle z miejsca, jak szalony, i mknie chy³o w ogród... Krew gor³ca, m³oda, gra³ w nim poczyna... Zapomina o wszystkim, prócz tul³cej siê do jego piersi kobiety i ucieka dalej i dalej...

Do uszu jego dolatuj³ wo³ania coraz cichsze, okrzyki!.. Topolski biedz nie przestaje ku znanej sobie altanie, po³o³onej na ko³cu ogrodu.

Prowadz³ca do niej aleja parku rozbrzmiewa echem gwa³ownego jego biegu, szele³ci mu nad g³ow³ li³ci pogwarem.

Z zarzuconemi na szyjê m³czyzny ramionami, tuli siê wci³ ku niemu, jak powój wiotkie cia³o Oli... Topolski, dot³d zapatrzony wci³ w przestrze³, opuszcza naraz g³owê i wzrokiem pie³ci chwilê trzyman³ w u³cisku kobietê...

Oczy jej przymkniête - zemdla³a!..

Topolski zatrzymuje siê. Z mi³o³ci³ bezbrze³n³, pragnieniem, spogl³da ci³gle na Olê... Krew uderza mu nagle do g³owy!..

- Mój ty skarbie najdro³szy!.. moje ty wszystko!.. - szepce dr³cemi usty, i jak szalony, ca³owa³, pie³ci³ poczyna jej wargi, oczy i cia³o!..

W kilka minut p³niej, dopada cienistej altany i niknie, ginie w jej g³êbiach... Niedyskretny, ciekawy wsuwa siê za nim ksi³yc błady, a kopu³a altany, mieni³c siê od jego promieni, dr³y leciutko - tajemnicza...

W dalekim zak³tku parku znów cicho...

.....

Ko³o p³on³cego pa³acu natomiast ruch panuje nie do opisania.

Co chwila od pobliskiego stawu i z powrotem p³dz³ galopem konie, wioz³ce beczki z wod³; wszystkie miejscowe sikawki s³ w ruchu, dyryguj³cy za³

parobkami i s³u³ b³ ekonom Gowartowa kręci się, jak mucha w ukropie, krzyczy, gniewa się, rozkazuje...

Mê³ czy³ni zalewaj³ wod³ dach, p³on³ce belki, wdrapuj³ się na piêtra, wyrzucaj³ oknami nietkniête jeszcze przez ogieñ pa³acowe meble. Zbudzone wiejskie kobiety, w ponarzucanych p³achtach i koszulach, przypatruj³ się bezmy³nie po³arowi, gwarz³c z cicha pomiêdzy sob³, lamentuj³c, z³orzecz³c...

Grupa ich wystraszona rzuca się nagle w bok, z okrzykiem...

To przelêkniony ha³asem i p³omienist³ ³un³, pêdzi wprost na nie kary, pó³krwi arabskiej, ogier, wyrwawszy się z pozostawionej bez opieki stajni.

Ucieka strwo³ony, b³êdny... Wymin³wszy za³ rozpierzch³ gromadkê, umyka przed ogniem i lud³ami do parku, budz³c jego drzemi³ce cisze przera³żeniem.

Jednocze³nie na czele kilkunastu tomaszowieckich fornali, wpada przez bramê, z impetem, Krasnostawski, a z przybyciem jego wszystko wre doko³a, ze zdwojon³ energi³.

I oto niebawem krwawa ³cia³na ognia, wzbijaj³ca się ku niebu, miejscami z³ocista, tam znów, niby krep³, przes³oniêta czarnym gryz³cym dymem, zaczyna zni³aa³ się, zmniejsza³ powoli... Ju³ obecnie huk po³aru coraz czê³iej przerywaj³ syki gasn³cych p³omieni - opanowany nieco ³wio³ mniej gro³nym się staje, pokornieje, cichnie...

Lewe pod³u³ne i największe pa³acowe skrzyd³o pali się jeszcze, p³omieñ nadal zwyciêsko sieje tam zniszczenie, praw³ stronê jednak domu ugaszono ju³ zupe³nie. Z p³aszcz³ego się tu dymu wy³aniaj³ się teraz bia³awe, osmalone mury; w³ród zgliszcz, ju³ zwêglonych, pe³zaj³ jeszcze tam i ówdzie ogniste wê³e, ca³uj³c lubie³nie, li³c ³cian poczernia³ych podnó³e.

I w porównaniu gwaru, zgie³ku, które panuj³ u p³on³cego w dali pa³acowego skrzyd³a - cisza króluje tu wzglêdna...

Tam ruch, krzyki, krzy³uj³ce się rozkazy, ³una ognia, huk jego, syk, oraz zupe³ne oddanie się wszystkich ca³kowicie d³awieniu i walce z ³wio³em...

Tu - srebrz³ce się, czyste promienie ja³niej³cego wysoko na niebie niepokalanie miesi³ca, co b³yszcz³ na okopconych ³cianach, stanowi³c dziwny w sobie, a pe³en spokoju, kontrast, z wrzaw³ i krwawo-z³ocist³ po³og³...

Szelest kroków tymczasem przerywa nagle milczenie. Za wêg³em stercz³cego samotnie od³amu murów pogorzeliska, pojawia się Krasnostawski, i stan³wszy w zamy³leniu, ³le wzrok badawczy w stronê parku.

- Tam pu³ci³em ju³ w ruch wszystko!.. - mówi g³o³no do siebie. - Dokoñcz³ gasiæ i dadz³ sobie radê beze mnie... - mru³czy dalej. - Ja za³ ich muszê znale³æ - muszê!..

Krasnostawski milknie, i rozgl³gaj³c się bacznie doko³a, kieruje się w g³b parku, idzie z wolna zamy³lony, a trzyman³ w rêku d³ug³ nahajk³ co chwila uderza się machinalnie po wysokich, okopconych butach...

Od czasu, jak tu przybył na ratunek i piął przez dziesiąte zdołał rozpytać się o początek i przebieg pożąru, myśli jedna i ta sama dręczą go bezustannie: gdzie są Topolski i Ola?... Te nic z tego im się nie stało - wiedziało... Co robił zatem sami tak dłużej?..

Kochając Olę i odczuwając przez to podwójnie zacieśniania się stosunek jej z Topolskim, młody człowiek przeczuwał więcej od marszałkowej i Ładyżynskiego... Oni, pochłonięci pożarem, jak wszyscy zresztą, potracili głowy!.. A on?..

Myślał o Topolskim i Oli nie przestawał, jak szalony przy tym się odpędzał od siebie myśli niektóre.

Obecnie, tknięty przecuciem jakby, szedł w stronę alej, prowadząc do ustronnej altany...

Duszą Krasnostawskiego miotał niepokój. Zazdrościł szarpał nim bez miłosierdzia, syczył swój jad zatruty, niepewnością mężczyzny - obawa, że sprawdził się skryte jego podejrzenia, tamował mu oddech w gardle i zniewalał w bezsilnej wścikiści zaciskał dłoń.

Poza dziedzinę przeczuwał bowiem, ów niepokój Krasnostawskiego miał również ¼ródło i w następującym, konkretnym fakcie.

Komenderując i uwijając się przy pożarze, spotkał Krasnostawski pomagających również innym, znoszących wodę, dziewczynę służebną, ulubienicę Oli...

Ta zaś, gdy ją zapytał o panią, opowiedziała mu bezadnie: - Powiadają paniczowi... Boże, Boże, jakie to było straszne! Jałnie młodsza pani dzwoni, i się budzi, ubieram prędko, słyszeliśmy jakiś szum... Otwieram drzwi, a tu - ogień, ogień jak daleko spojrzeć na pańskie pokoje... Tylko pościel młodej pani pusta i okno otwarte!..

Ktoś rozdzielił ich i dalszą indagację przerwał Krasnostawskiemu szerzący się pożar, zamęt i wrzask. Poprzestał musiał tylko na tem.

Teraz szedł coraz prędzej. Nagle zatrzymał się, jak wryty.

Już od minut paru zauważył na wilgotnym piasku alei ślad kroków męskich, obutych w zgrabny trzewik, teraz zaś leżała przed nim dobrze mu znana papierosnica Topolskiego, a opodal widziany często we wosach Oli grzebień, z szyldkretu.

Wstąpił do niej już być nie mogło... Krasnostawski pochwycił machinalnie oba leżące przedmioty i biec począł...

Szalała w nim burza.. Nienawidził męczycy, pogardzonego przez ubóstwianą kobietę na korzyść rywala rozpałał mu krew, napełnił ją jakby niepoohamowaną i zdził pastwienia się i zemsty!..

Spocony, blady, stanął wkrótce u wejścia do altany, i począł nadsłuchiwać, z zapartym oddechem. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło, usta zacisnęły się boleśnie, oczy zamigotały dzikim ogniem.

Z cichej, sennej altany dochodziły wyraźnie dwa głosy - dwa szepty...

Krasnostawski rozchylił głowę... Na szelest ten w ciemnościach zerwał

się kto¶¶ piesznie i u progu stan³ Topolski. W pó³mroku nocy zamajaczy³a jego twarz bia³a, rasowa, i dwaj mê¿czy¿ni spojrzeli sobie, milcz±c, prosto w oczy.

Trwa³o to sekundê, lecz wystarczy³o Krasnostawskiemu, bo to, co wyczyta³ na wzburzonym obliczu Topolskiego, a¿ nadto uzasadni³o jego obawy.

Wysi³kiem woli, och³on±wszy z wra¿enia, przemówi³ pierwszy Topolski, wskazuj±c swobodnie na pozór ruchem rêki widnokrêg, gdzie dogorywa³a ju¿³ una ognia:

- A zatem, chwa³a Bogu, ju¿ po po¿arze!.. My w³a¶¶nie...

- Nikczemny! - zabrzmia³o w ciszy s³owo jedno.

Wymówi³ je g³osem dr¿±cym Krasnostawski, i niepomny niczego, rozszala³y, schwyciwszy Topolskiego za gard³o, drug± rêk± przerzuci³ go poprzez siebie i z pasy± ok³adaæ pocz±³ trzyman± w rêku nahajk±...

W milczeniu zak±tka rozleg³ siê krzyk bitego i w ¶¶lad za tem okrzyk inny - kobiecy!..

Ku dwóm mê¿czyznom wypad³a Ola... Jak lwica, rzuci³a siê natychmiast pomiêdzy nich, a obroniwszy Topolskiego, gwa³townie, szybko, wymierzy³a Krasnostawskiemu dwukrotny policzek...

Jak ra¿ony obuchem, zachwia³ siê pod tem uderzeniem mê¿czyzna, cofn±³ siê wstecz, blady, jak ¶¶ciana, oszala³y, straszny.

Zaleg³a chwila milczenia...

Oswobodzony Topolski znik³ we wnêtrzu altany, a z ust stoj±cej na wprost Krasnostawskiego kobiety wybieg³o dr¿±cym, urywanym szeptem, pe³nym oburzenia i zimnej - gorszej od policzka, pogardy:

- Pod³y... s³ugo!.. Jak ¶¶mia³e¶¶? - Precz!..

Ze wzruszenia umilk³a Ola, po chwili dopiero i powtórzy³a raz jeszcze, przejmuj±co - ciszej:

- Precz!..

Tego nadto ju¿ by³o dla rozbola³ego zazdro¶¶ci± i bólem mêskiego serca! Nie czynnie, lecz moralnie spoliczkowany po raz drugi, Krasnostawski zachwia³ siê powtórnie, jak nieprzytomny, w oczach pociemnia³o mu - zawirowa³y altana i drzewa parku...

- Kocham ciê! - szepnê³y w oddechu cichutko, jak skarga, usta jego i omdla³y run±³ u stóp kobiety, zdeptany jej postêpkciem...

.....

¶wit zorzy wyrza³ nie¶¶mia³o spoza stepu, pól szerokich, orze¶¶wi³ siê w toni sennego jeszcze stawu i w¶¶lizn±³ do altany ciekawy...

Nie by³o w niej ju¿ jednak nikogo, zarówno jak i nigdzie, w pobl¿u:

Niebo zaró¿awia³o siê stopniowo, pocz±tkowo ledwo dostrzegalnie, boja¿liwie, pó¿niej za¶¶ coraz silniej i ¶¶mielej.

Przeci¿gaj±c siê lubie¿nie, wstawa³a jutrzienka z ob³oków puszystych po¶¶cieli.

Na powitanie jej tryumfaln± fanfar± rozbrzmia³ park ca³y ¶¶wiergotem ptasz±t; zbudzone, zrywa³y siê one do lotu, otrzepywa³y zamasy¶¶cie skrzyde³ka z porannej rosy, rozlatywa³y siê na wsze strony, siada³y na zczernia³ych ruinach spalonego pa³acu. Dym jeszcze ¶¶cieli³ siê tu gdzieniegdzie... Na pogorzeli³ku, jak karbunku³y, b³yszcz³a³y tam i ówdzie, dopalaj±c siê, belki i inne szcz±tki pa³acu, tli³y siê w zgliszczach - tuli³y do okopconych zwalisk...

A woko³o drzema³o, spa³o wszystko!..

Ze spuszczone³y ¿aluzyami, spoczywa³y zatem pa³acowa oficyna, stajnie i gumna, ¶¶ni³y tak¿e liczne, rozsiane za pa³acow± bram±, bia³e wie¶¶niacze chatki...

Potê¿ny, wspania³y zab³ys³ pierwszy promieñ s³oñca i obojêtny zaja¶¶nia³ nad wszystkim doko³a...

Nie zbudzi³ jednak nikogo... Na gazonie tylko, pod górn± wyrzuconych z pa³acu, le¿±cych na kupie mebli, du¿y pies podwórzowy otworzy³ oczy, m³asn±³ jêzykiem, przeci¿gn±³ siê i zasn±³...

Zadumanej ciszy nie przerywa³o nadal nic zgo³a.

Pomimo, i¿ przez szpary okiennic Tomaszowieckiego dworku w¶¶lizgiwa³o siê ju¿ s³oñce, w tak zwanym kancelaryjnym pokoju pali³a siê jeszcze du¿a lampa, o¶¶wietlaj±c biurko, przy którym Krasnostawski pisa³ co¶¶ szybko i zamasy¶¶cie. Obok niego sta³a szklanka z herbat± i le¿a³y porzucone na ziemi, niedopa³ki od papierosów... Nagle m³ody cz³owiek porzuci³ pióro, z ha³asem odsun±³ krzes³o od biurka i zamkn±wszy ksiêgê, powsta³.

- Nareszcie! - westchn±³ g³o¶¶no z ulg± i zbli¿ywszy siê do okna, odemkn±³ je, odczepiwszy zarazem wewnêtrzne haczyki okiennic.

Fala s³onecznego ¶¶wiat³a, wraz z powietrzem letniego poranka, wp³ynê³a do pokoju. Krasnostawski zgasi³ lampê i spojrze³ przed siebie...

Od po¿aru minê³a doba tylko, patrz±c jednak na m³odego plenipotentã, pomy¶¶leæ mo¿na by³o, i¿ od tej chwili oddziela³y go lata; nie m³odzieniec bowiem obecnie, pe³ny hartu i ¿ycia patrzy³ przez otwarte okno, ale mê¿czyzna, na pozór wiêcej, ni¿ dojrza³y, który zapomina³ ju¿ jakby, ¿e m³odym by³ tak niedawno.

Jak burza, przesz³a po nim pamiêtna noc rozterki, cierpieñ, upokorzenia i bólu, ¶¶lad wiecznotrwa³y zostawiwszy po sobie...

Twarz Krasnostawskiego blad± by³a, oczy przymglone i podkr±¿one, a na skroniach gdzieniegdzie, w¶¶ród czarnych pukli w³osów, biela³a nitka przedwcze¶¶nie siwa.

I kontrast przykry prawdziwie stanowi³ ten cz³owiek, stoj±c tak w owej

chwili w ramie okna... Przed nim, w perspektywie, jak okiem sięgnąć, kraina cała zociła się od żółtych kóp zbożowych, zieleni a od niw i stepów, śpiewała setkami głosów: uśmiechała się rozkosznie!..

- Ycia!.. Ycia!.. Mioci, szczęcia!.. - wielkim głosem wołało wszystko, a on jedyny tylko, nieczuły na nic głosa, stał wciąż tak samo nieruchomy, zapatrzony nie w dal jasną, lecz w cienie cierpiącej duszy własnej..

Po nocy pożaru do Tomaszówki uciekł Krasnostawski piechotą, obudzony się z omdlenia, sam jeden wśród szumiącego mu głogiem nad głowami parku.

Tu, u siebie, przemógł się, jak nieprzytomny, w bólu - do rana. W końcu jednak zmęczenie fizyczne zabiło moralną troskę. Snem kamiennym, a zbawczym dlań, przespał Krasnostawski większość dnia, bo aż do godziny szóstej po południu. Zbudził się za chwilę nieco innym...

Zebrawszy myśli i wspomnienia, przede wszystkim postanowił uciec co rychlej z tych miejsc, rzucić się w wir pracy w warunkach całkiem odmiennych.. Powietrze dusiło go poczęsto, ziemia parzyła stopy!.. Chciał już wskoczyć na konia i opuścić wszystko na zawsze.

W porę jednak zastanowienie i zimna logika trzeciego rozumu powstrzymała go na szczęście od tego kroku...

Wszak, poza dziedziną moralnych jego cierpień, stał przecież jeszcze mur rzeczywistego życia, które chleb mu dotąd dawało - istniał świat obywateli dotychczasowego jego stanowiska tutaj.

Rzucając tak wszystko byłoby lekkomyślnością iście chłopiactwem.

- Nie, ja tego nie uczynię! - zdecydował. - W jak najcięższym porządku przekażę na odjeździe wszystkie gospodarskie księgi, rachunki,

kasę i.t.d.

Po skromnym posiłku, zabrał się Krasnostawski do wyczerpującej pracy, całych nieledwie dziewiętnaście godzin pisał, rachował bezustannie. Wreszcie wyczerpany skończył przed chwilą...

Był wolnym!.. Za godzin parę będzie mógł opuścić te strony - na zawsze...

Zadumany smutnie, stał Krasnostawski wciąż pod oknem; zapatrzony, nie zauważając, że wcale zbliżającego się do niego wyrostka.

Dźwięk jego głosu zbudził młodego człowieka. Spuścił wzrok i zapytał głosem:

- Ha!.. szczo każesz?..

Wyrostek, był to chłopiec stajenny, wysłany przezeń do Gowartowa, by sprowadzić tamtejszego starego i zaufanego rzemieślnika, któremu chciał Krasnostawski zdać klucze kasy, księgi, i przekazać ostatecznie rozporządzenia. Z relacji chłopca okazało się, że rzemieślnik wyjechał do miasteczka.

- A pany? - spytał machinalnie Krasnostawski, ułyszony utartego pomiędzy

ludem miejscowym wyrażenia, oznaczającego w liczbie mnogiej, w³a¶ciociela danej wioski.

- Nykoho ne baczy³! - odrzek³ zapytany i doda³ zarazem, ¿e Szmul, ¿yd z karczmy wiejskiej, powiedzia³ mu, ¿e pañstwo na dobre wyjechali. - Ka¿ut, szczo do Szczesnoi, do jasnoho grafa Topolskoho! - poinformowa³ znowu wyrostek.

Na wyblad³em licu s³uchaj³cego tych nowin m³odzieñca zakwit³ rumieniec oburzenia.

- £otr!.. - zgrzytn³ cicho, niedos³yszalnie przez zêby. - Snaæ potrafi³ ka¿dego z osobna podej¶æ, oszukaæ! Prawdy nie domy¶li³ siê nikt, widocznie...

Wiêc teraz ugascza wszystkich u siebie... Co za ironia prawdziwa! - dokoñczy³ w my¶li, i w¶ciek³o¶æ nag³a opanowa³a go...

- Czego, durniu, stoisz! - hukn³ w twarz parobczakowi, a¿ zatrzê³y siê szyby dworku.

- Osiod³aj mi zaraz konia! - dokoñczy³ spokojniej nieco.

Niebawem z³otawy kasztan, z bia³± gwiazdk± na czole, parska³ ochoczo pod Krasnostawskim, jad³cym na prze³aj przez pola do Gowartowa.

Woko³o niego praca wrza³a. Krz±taj±cy siê lud roboczy: parobcy i gospodarze k³aniali siê nisko czapkami panu plenipotentowi; czarnookie, czarno brewe mo³odyce i dziewczêta, w jaskrawych spódnicach i chustkach, pozdrawia³y, równie¿ ¿yczliwie m³odzieñca zerkaj±c z u¶miechem i lubo¶ci± na "harnoho ch³opca*").

[*) Piêknego ch³opca.]

W kwadrans pó¼niej, Krasnostawski zje¿d¿a³ ju¿ stêpa na groblê gowartowsk±...

W g³êbiach stawu, otoczonego zieleni± parku, odbija³y siê dawniej, jak w lustrze, mleczn± bia³o¶ci± ¶ciany dworu. Teraz czernia³y zarysy pogorzelska, a tam - na górze, zgliczcza, zakopconem pa³acowem skrzyd³em, królowa³y smutnie nad le¿±cem doko³a sio³em...

Je¼dziec odwróci³ oczy i wspi³ konia. Jak strza³a, przelecia³ przez groblê i stan³ niebawem przed zamkniêt± wjazdow± bram± pa³acu; tu hukææ pocz±³, by mu j± otworzono.

Nadbieg³o kilku stajennych; oddawszy im spienionego konia pocz±³ Krasnostawski wypytywaæ siê o mieszkañców pa³acu. Okaza³o siê, i¿ dom ca³y wyjecha³ nazajutrz po po¿arze, rankiem i bawi³ teraz w go¶cinie u Topolskiego, w Szczêsojnej.

- A to co? - zapyta³ nagle, furmana zdziwiony Krasnostawski, wskazuj±c spicrut±, na ca³e stopy czego¶, ponakrywanego p³achtami.

- To, paniczu, meble z pa³acu; pan ekonom kaza³ poprzykrywaæ tymczasem! - odpowiedzia³ zapytany.

Krasnostawskiego zirytowa³o to niedbalstwo, wzglêdem ocala³ych, i cennych, a tak dobrze mu znanych, mebli pa³acowych. Zdecydowa³ g³o¶no.

- To tak zostaje nie może! - i ruszy³ spiesznie ku środkowi gazonu, gdzie leża³y meble. Kazawszy pozejmowa^æ w r³lad za tem wszystkie przykrycia i opony, ujrza³, i³ mebli uratowanych by³o sporo.

- S[±] parobcy na toku? - zapyta³.

- S[±]... s[±]! - po³wiadczy³a krz[±]taj[±]ca si^ê woko³o niego s³u³ba.

- Siergieju! - rozkaza³ Krasnostawski po ma³orusku starszemu furmanowi, - id¹/₄cie powiedzie^æ, niech zaprz^êgaj[±] do wozów, ile si^ê da i zaje³d³aj[±] tutaj, a gumieny, niech da klucze od pustej stodo³y!.. Trzeba to wszystko - wskaza³ ruchem r^êki meble - tam zaraz zawie¹/₄æ tymczasem i zamkn[±]æ!..

Plenipotenta d³obr gowartowskich lubiano powszechnie i s³uchano ch^êtnie.

Natychmiast zatem furman skierowa³ si^ê do gumien; wyprzedzi³ go ch³opiec stajenny, by rozg³osia^æ pierw³ej rozkazy "panycza."

Krasnostawski pozosta³ sam i uwa³nie zacz[±] przegl[±]da^æ nagromadzone meble. Tam i ówdzie rozpoznawa³ na wpó³ uszkodzony sprz^êt i przypomina³ sobie miejsce, gdzie on sta³ dot[±]d w pa³acu...

Spojrza³ na pogorzelnisko... Groz[±] i bolesnym smutkiem wia³o od tego zak[±]tka - ruina zwyci^êska szczyr³a trupi[±] paszcz^êk^ê - r³mia³± si^ê jakby szyderczo...

Z mimowolnym wstr^êtem, odwróci³ si^ê Krasnostawski i na nowo pocz[±] przygl[±]da^æ si^ê, z uwag[±], pa³acowym sprz^êtom. U³miechn[±] si^ê smutnie...

Obok na wpó³ p^êkni^êtego du³ego salonowego zwierciad³a, z³amane tuli³o si^ê o³je poz³acane, w stylu "empire," z pokoju Oli Dzier³ymirskiej. Tam znów jej szafa odemkni^êta, z kilkoma pozostawionymi w po³piechu sukniami - wala³a si^ê obok szcz[±]tków pianina...

Dziwna rzecz jednak - pomy³la³ w tej chwili - jak sprz^êt przypomina cz³owieka!.. Ola, Ola i jeszcze Ola!.. Widzia³ on j[±] tu - wsz^êdzie, te od³amy zachowa³y jakby cz^êr³æ jej osoby - dusza ukochanej przeze³n kobiety b³±ka³a si^ê w nich, martwych i oboj^êtnych...

M³ody cz³owiek znalaz³ wiele rzeczy nieuszkodzonych prawie; niektóre z nich sam odsuwa³ od innych, segregowa³.

- Ooo!.. - wyrwa³o mu si^ê nagle z ust, z ubolewaniem.

Przed nim, zdruzgotane, przepalone nielito³ciwie do po³owy, le³a³o w pyle pi^êkne, ulubione biurko Romana, antyk pami[±]tkowy, z mahoniowego drzewa, wyk³adany bogato srebrem, subtelnie inkrustowany per³ow[±] mas[±]. Krasnostawski zacz[±] maca^æ uwa³nie doko³a przepalony sprz^êt drogocenny. Obejrza³wszy go dok³adnie, zajrza³ do kilku szufladek i skrytek.

Lecz nagle ko³o pobliskich gumien zat^êtnia³o... Wykonywaj[±]c rozkaz, nadje³d³a³y ju³ wozy. Turkot przybli³a³ si^ê coraz wyra³niejszy, dono³niejszy, bli³szy. Krasnostawski, zaj^êty biurem, drgn[±], lecz nie na odg³os wozów bynajmniej.

To ruszona w tej chwili bezwiednie d³oni[±] jego zgrzytn^ê³a niebawem jaka³ spr^êzyna i szufladka, dot[±]d dla oka niewidzialna - roztworzy³a si^ê przed nim, a w niej, o, dziwo... le³a³ oto spokojnie portfel niewielki, z

eleganckiej, brunatno - wiśniowej skóry. W rogu pugilaresu poyskiwa³a granatów korona hrabiowska, - b³yszcz±c m±tno - czerwonym ogniem. Och³on±wszy ze zdziwienia, Krasnostawski roz¶mia³ si± swobodnie i wzi±³ portfel w r±ce.

W tej±e chwili jednak na dziedziñcu zadudni³y drabiniaste wozy, parobcy, zdejmuj±c czapki, witali go weso³o i dziarsko, a zeskoczywszy na ziemi±, bra± si± zacz±li do roboty.

Chc±c nie chc±c, musia³ Krasnostawski st³umia± na razie ciekawo¶±, i schowawszy tajemniczy pugilares do kieszeni, pocz±³ energicznie wydawa± rozkazy.

Wozów by³o kilkana¶cie. W p³ godziny, plac przed zgliszczami pa³acu opustosza³; wozy, jeden za drugim, skierowa³y si± powoli ku tokowi.

Do gumien przyjechano niebawem; przed otwart± pust± stodo³± zawrza³ ruch; wkrótce u³ono porz±dnie pa³acowe meble, przykryto je, drzwi zamkni±to szczelnie i Krasnostawski, rad z ostatniego na s³u±bie spe³nionego obowi±zku - wyjecha³ z wioski.

Pu¶ciwszy konia luzem, zamy¶lony, znalaz³ si± w kwadrans p³±niej w lesie, gdzie, znu±ony, zsiad³ z konia i roz³o³y³ si± swobodnie na murawie. Zdj±wszy kapelus z g³owy i wci±gn±wszy w siebie ¶wie±, aromatyczn± woñ boru, si±gn± on do kieszeni po pugilares, roztworzy³ go i pocz±³ szpera± ciekawie.

W portfelu le³a³y u³one porz±dnie banknoty, w osobnych przedzia³kach rulony z³ota.

- No, no! - mrukn±³ parokrotnie Krasnostawski i z coraz wzrastaj±cem zdziwieniem, pieni±dze zacz±³ liczy± sumiennie.

Wszystkich razem by³o dwadzie¶cia siedm tysi±cy kilkaset. U³ywszy na powr³ot banknoty i z³oto, Krasnostawski portfel zamkn±³ i spojrzawszy raz jeszcze na koron± z granacików, potrzyma³ go jaki¶ czas w d³oni, poczem wpu¶ci³ do kieszeni. Widoczne zak³opotanie malowa³o si± na jego twarzy. Czu³ si± zaambarasowanym, co czynia± z tym fantem?..

Wypada³o go zwróci± niezw³ocznie, w zast±pstwie prawego w³a¶ciciela, jego ±onie - Oli. Zatem jecha± do Szcz±snej osobi¶cie?..

- Nigdy w ±yciu! - rzek³ g³o¶no do siebie m³odzianek. Zas±pi³ si±. Nagle my¶li jaka¶ nowa zrodzi³a mu si± widocznie w g³owie, bo zerwa³ si± ±ywo i wskoczywszy na konia, wjecha³ w las dro±yn±. Wkrótce w borze rozleg³y si± g³o¶ne ujadania psów, i Krasnostawski, op±dzaj±c si± od natarczywych kundli, wchodzi³ do ma³ej chatki le¶niczego...

W cha³upie panowa³a cisza. Rozci±gni±ty na ±awie, spa³ snem sprawiedliwego m±czyzna, w sile wieku, barczysty, ubrany w kurt± my¶liwsk±; dubeltówka le³a³a opodal, w k±cie drzema³ pies legawy.

Krasnostawski potr±sn±³ energicznie ramieniem ¶pi±cego le¶nika. Ten ostatni zerwa³ si±, a ujrzawszy plenipotent±, zawstydzony pocz±³ b±ka±...

- S³ucham panicza, s³ucham... Padam do n³g... Tak mnie jako¶ zmroczy³o... Zasn±±em, ale to, jak Boga kocham, nigdy mi si± nie zdarza...

- Nic nie szkodzi, mój Rzemieński! - uspokoi³ go natychmiast Krasnostawski, klepiąc poufale po ramieniu. - Potrzebuj³ was, i to natychmiast... Pojedziecie z pieniędzmi i z listem do Szczęsnojej, gdzie s[±] teraz państwo... Ja oto teraz sam jad³ konno do domu, a wy w [¶]lad za mn[±] id¹/₄cie do Tomaszówki piechot[±]. Tylko id¹/₄cie³ zaraz!

- Duchem, prosz³ panicza, duchem! - odpar³ ³ wawo le[¶]niczy w [¶]lad za odje³ d³ aj[±] cym.

W pó³ godziny pó¹/₄niej, m³ody plenipotent siedzia³ ju³ przy biurku w Tomaszówce i kre[¶]li³ s³ów par³ do pana Emila.

Jako nic niewiedz[±] cemu o zaj[¶]ciu z Topolskim i Ol[±], napisa³ Łady³ yńskiemu tylko, i³ musi niezw³ocznie jecha^æ do miasta rodzinnego na wakuj[±] c[±] intrat[±] posad³, nie chc[±] c zamyka^æ karyery tutaj, bez widoków na przysz³ o[¶]æ...

Nadziej[±] otrzymania miejsca natychmiast motywowa³ tak³ e wyjazd bez po³ egnania, jak i przesy³ k³ równie³ kluczy od kasy, ksi[±] g rachunkowych, oraz znalezionej pugilaresu. W końcu listu, Krasnostawski przeprosza³ pana Emila za trud i dodawa³ sucho, ³ e pensji nic mu si³ e nie nale³ y, bo czyni niespodziany zawód swym dotychczasowym chlebodawcom.

We wrotach dziedzińca tymczasem majaczy³ a ju³ barczyst[±] postac³ Rzemieńskiego, pies legawy, poszczekuj[±] c rado[¶]nie, wyprzedza³ go...

U[¶]wiadomiwszy o czem nale³ a³ o starego s³ ug³, wr³czy³ mu Krasnostawski: papiery, ksi³ egi i klucze, oraz portfel znalezionej, z nadmienieniem zawarto[¶]ci jego, a przerwawszy szereg utyskiwań i szczerych ³ alów tycz[±] cych si³ e jego st[±] d odjazdu, - wyprawi³ do Szczęsnej.

Sam za[¶] do kancelaryi powróci³ i znu³ ony pad³ na otoman³...

Widocznem by³ o przy tem, i³ w mózgu jego odbywa³ a si³ e jaka[¶] walka...

- Nie, nie daruj³!... To ponad si³ y moje! - rzek³ wreszcie kilkakrotnie, urywanym szeptem, porywczo.

- Nie daruj³! - powtórzy³: - On o wszystkim wiedzie^æ musi! Tak ka³ e sprawiedliwo[¶]æ, tak by^æ musi, tak b³ dzie! - g³ o[¶]no ju³ zupe³ nie wyrzuci³ z siebie wzburzony, a przysun[±] wszy fotel do biurka, si³ egn[±] ponownie po papier listowy, i umoczy³ pióro w atramencie.

Zatrzyma³ si³ e... Po chwili cisn[±] pióro, wsta³ i znów zacz[±] chodzic³ gor[±] czkowo po pokoju.

- Jak to? - szepta^æ zacz[±]. - Ja mia³ bym, niby pies sponiewierany, odej[¶]æ st[±] d, usun[±] æ si³ e, znikn[±] æ?... Ja mia³ bym zamkn[±] æ w sercu ich wspóln[±] tajemnic³, i tem samym ocalic³ tego ch³ ystka!.. Prawda, jednak, ³ e i o ni[±] tu chodzi, najdro³... - nie dokończ³, sponsowia³...

Nie! W nim tli³ a jeszcze mi³ o[¶]æ dla niej, ale policzek kobiety i poniewierka - zdeptana mi³ o[¶]æ w³ asna, - wszystko by³ o od iskry tej silniejszym.

W dziesięt³ minut, m³ody cz³ owiek uspokoi³ si³ e zupe³ nie; zna^æ z gotowym ju³ w g³ owie planem, list pisa^æ pocz[±] szybko, zamaszy[¶]cie...

W ciszy pokoju rozległ się nerwowy zgrzyt pióra i dźwięku, dźwięku nie ustawał.

Cały żal, całą gorycz na papier przelewał z duszy swej Krasnostawski.

Opisał szczerze życie własne... I swą miłość ku Oli, tajoną od lat pięciu, idealną, czystą!.. Własne bóle cierpienia przez czas ten cały, i ostatnie podejrzenia, co do Topolskiego oraz zachowanie się tych dwojga, i pożar pałacu wreszcie, i zdradę i noc straszną - wszystko!..

List skończył, podpisał, złożył, i sięgnąłwszy po kopertę, zaadresował: Italia, Milano, Signor Roman Dzierżymirski, Hotel "Europa," Corso Vittorio Emanuele 9.

Odrzuciwszy pióro, ujął Krasnostawski głową w dłonie.

- Stało się!.. - szepnął po chwili i powstał.

- Nic cię już tu nie wiążę!.. - Jechał, jechał stąd czem prędzej! Obszaru, świata i ludzi, byle nie Ukrainy i Gowartowa!..- zawrzął w nim i odemknął drzwi, huknął poczęst na szałbę.

W pół godziny potem na całym folwarku wrząło... Jak grom, spadła na wszystkich wieńca, że pan plenipotent, "panycz," wyjeżdża na zawsze. Zlecieli się wszyscy. W domu pakowano na gwałt rzeczy, daleko bowiem było do kolei, a Krasnostawski - koniecznie chciał zdążyć jeszcze na wieczorny pociąg.

Promienie zniżającego się słońca cała już strzechę i rumieniły białe ściany domu, gdy odprowadzany, otoczony, całowany po rękach przez czeladź i szałbę, żegnał się ze wszystkimi Krasnostawski, rozdawał tam i ówdzie sprzęty własne, rzeczy i pieniądze, sam wzruszony, smutny...

Wreszcie ulokował się na bryczce, konie ruszyły, przed oczyma mignęły mu ogorzałe twarze żegnającego go tak serdecznie ukraińskiego ludu - wrota skrzypnęły żałosnie po raz ostatni, i bryczka potoczyła się, brzęcząc, po gładkim drogowym szlaku, zginąłszy wkrótce wśród roztoczy łąk z żętego zboża, ugorów i kurhanów.

Do stacji kolejowej było już tylko wiorst parę... Czwórka Krasnostawskiego spuszczała się wąskimi z pochyłości jaru na niepewny dziurawy drewniany mostek, gdy konie, z lękiem poczęły się nagle wspinać cofając, nie chcąc przejechać przez grobelkę. Furman zaklął po mórsku, i parokrotnie uderzył biczem konie...

- Stań! - rzucił naraz krótko Krasnostawski i zeskoczył z bryczki.

- Kto tam jide! Baczysz? - zciekawiony zwrócił się nagle do mruczącego wcięż furmana, wskazując ręką zbliżający się na bocznym trakcie obok kurzawy.

- A kto ich znaję!.. Pewno zwitkił pany! - odburknął furman, który złazszy także z kosa i poprawiając uprzęż u koni, częstował wąskimi jednego z nich energicznym w pysk uderzeniem.

[*] Skądś!

Krasnostawski nie zauważył tego znęcania się nad ulubionymi dotąd przezeń koñmi...

- Dlaczego pany? - spyta z roztargnieniem, a półnżej zaraz w tym samym języku dorzuci: - A, prawda, poznajesz po turkocie...

Odmienny bowiem rzeczywiście od furkotu kó bryki, czy też innego pojaździku, stumiony, jednostajny i nieco guchy przerywa ciszę przestrzeni turkot powozowy, regularny. Niebawem też zgrabny faeton wyoni się z oboków py; konie siwe, w angielskich szorach, zaprzęone w leje, i dwoje ludzi siedzących na kole, ubranych w liberyê granatow, ze złotymi guzikami.

Zaprzę w parę minut stan przy moście. Krasnostawski wyda okrzyk zdziwienia, taki sam drugi wypowiedzia mu z zewnątrz powozu i odemknwszy z hasem drzwiczki, wyskoczy z niego zapyłony ładyński.

- No, goniem pana, ale nie spodziewaem się, że go zapię! - załmia się weso o pan Emil i ułcisn wyciągnię d oñ Krasnostawskiego.

- Witam, witam!.. - cięgnę dalej. - Cóż to, buanki kaprysz i przez most nie chcę przejść? Obserwowaem... no, siadaj pan ze mn; zobaczysz, jak hrabiowskie angliki przejdę spokojnie.

Ładyński pocięgnę Krasnostawskiego do powozu.

- Cóż to, pan także na kolej, czy tylko po mnie? - ułmiechnę się Krasnostawski, nieco zmieszany i zaskoczony widokiem pana Emila.

- Wyjeżdżam - odrzek tenże krótko, i dorzuci swobodnie, zauważywszy wyraz twarzy modego czowieka: - Nie bój się pan, nie trwó!.. Nie myłłé wcale i nie mam polecenia zwracaæ pana z drogi do dawnych obowiázków... Przeciwnie, mojem zdaniem czynisz pan bardzo dobrze, i ż rucasz te kty...

W Gowartowie nie doszedbył nigdy do niczego, a szkoda m odołæ swoję zamykaæ tu i traciæ!..

I Ładyński wyciągnę, przy tych s owach, ręk do Krasnostawskiego, a łcisnwszy ję silnie, rzek jeszcze.

- Powinszowaæ mogę tylko, że się pan otrzęs z skrupów, i życzyæ powodzenia na przysz ołæ!..

Krasnostawski skoni się, milcząc. Pan Emil zał, przechodząc natychmiast na inny temat, już mówi:

- Wiesz pan co?.. Siadaj pan ze mn!.. Mam panu X rzeczy ciekawych do opowiedzenia. Cóż, zgoda?

Krasnostawski usucha; bryka cofnęa się nieco, a powóz, przejechawszy spokojnie przez mostek, potoczy się znów równo i szybko dalej.

- S użê panu! - rzeki Ładyński, częstując Krasnostawskiego cygarem. Zapalili...

Oparszy się wygodnie o poduszki i zacięgnwszy cygarem, pan Emil rzek.

- Nadstawiaj pan uszu!... Tandem tędy, zaczynam...

- S³ucham, s³ucham! - potwierdzi³ m³odzieniec, kontent w duszy, ¿e go co¶¶, choæ na chwilê, odrywa od smutnych my¶¶li.

- Przedstaw pan sobie zatem, panie kochany, ¿e jeste¶¶ w teatrze na jednoaktowej szaradzie. Uwa¿a pan: sza - ra - dzie...

Rzecz dzieje siê, mówi±c w³a¶ciwym stylem, za naszych czasów, na Ukrainie, w Szczêсноjej, maj±tku grafa Topola - Topolskiego. Popo³udniowa, przedobiednia godzina - cisza... Pa³ac pogr±¿ony w milczeniu... W tej samej jednak chwili stoj±cy na ganku strzelec, w pokornym zgiêty uk³onie, podaje co¶¶ mê¿czy¿ynie, ubranemu w smoking. Mówi±c nawiasem to ja - u¶miechn±³ siê pan Emil, po chwili ci±gn±³ dalej:

- Kurtyna spada, nastêpuje ods³ona druga: Sala portretowa jadalna, do sto³u zasiada ze trzydzie¶ci eleganckich os³ob... Jedno tylko krzes³o wolne... Wchodzi ten sam mê¿czyzna w smokingu, trzymaj±c co¶¶ w rêku. Wita tam i ówdzie os³ob parê, zbli¿a siê do m³odej nadobnej damy i wrêcza jej z uk³onem portfel, mówi±c co¶¶ obja¶niaj±co... Nagle siedz±cy obok sam "graf" zrywa siê od sto³u, jak oparzony, i robi±c arcyg³upi± minê, wpatruje siê w portfel... Zaintrygowanie ogólne, sytuacja jednak wyja¶nia siê wkrótce...

W tej chwili spojrzawszy na zas³uchanego towarzysza, pan Emil roz¶¶mia³ siê serdecznie.

- No, dosyæ ma ju¿ pan tych efektów scenicznych, dokończê panu zatem tê szaradê zwyczajnemi tylko s³owy...

- Dziwi pana zapewne - mówi³ dalej, - arcyg³upia mina Topolsia, gdy ujrza³ portfel, z po³yskuj±c± koron±, symbolem jego wielko¶ci!..

- Otó¿ w tem ma siê rzecz ca³a, ¿e portfel ten nie Dzier¿ymirskiego, i nie jego pieni±dze, ani pani Oli, lecz, ni plus ni minus, tylko Topolskiego...

- Nie mo¿e byæ! - wykrzykn±³ Krasnostawski, szczerze zdziwiony.

- No, có¿! szarada dobra... co? - rzuci³ weso³o £ady¿yñski.

- Niez³a - u¶miechn±³ siê z kolei m³odzieniec - bo dot±d przynajmniej nic a nic jej nie rozumiem.

- Cierpliwos¶ci! Zaraz pan pojdziesz wszystko - uspakajaæ zacz±³ pan Emil swego s³uchacza.

- Zapaliæ musimy poprzednio cygara, bo i pañskie zgas³o, nieprawda¿? - rzek³ w ¶¶lad za tem, a wydobywszy zapa³ki, zapaliæ jedn± z nich usi³owa³, lecz wietrzyk swawolny zgasi³ mu j± i nastêpnych kilka. - Sapristi! - zakl±³ z cicha. - Stañcie-no, hej! tam! - krzykn±³ na furmana.

Konie zatrzymane stanê³y; wspomagany przez m³odego plenipotentã, £ady¿yñski zapali³ wreszcie cygaro, a podniós³szy g³owê, spojrze³ przed siebie.

- Có¿ to? Wy¿yczpol? - zapyta³ s³u¿by.

- A tak, proszę jaśnie pana! - potwierdzi lokaj, zdejmując liberyjną czapkę.

- Tiens, tiens, widzi pan jak to czas leci - zwróci się do Krasnostawskiego; - za jakie pół godziny będziemy na stacy, patrz pan, - i wskaza ręką krajobraz.

Byszczył w mroku, lśniła się opodal wstęga rzeki, na górze malowniczo rozrzucone dołki i miasteczko mrugało dziesiątkami światłeczek...

- Jechał! - rozkazała lady Żyńska.

Powóz ruszył; pan Emil, po chwili milczenia, przemówił nagle:

- Przepraszam stokrotnie, że widzę ciekawość w oczach pańskich, nie kończę opowiadania... Pozwolisz pan, że mu zadam dwa pytania: czy masz pan dobrą pamięć i dokąd pan jedziesz?

- Jadę do rodzinnego miasta, a pamięć mam wyborną! - uśmiechnął się Krasnostawski.

- Otóż to - bardzo dobrze. Napisałem, bo widzi pan, list do Romana, ze szczegółowym opisem tego, co teraz tu opowiadam. Mam pamięć jednak fatalną... Zapomnę listu wrzucić na pewno! Mój panie kochany, weź go i wrzuć na dworcu... Cóż, dobrze? Przy tych sprawach, lady Żyńska wyjeżdża pośpiesznie z surduta gruby list i podaje go Krasnostawskiemu. Ten machinalnie schowa go do kieszeni, gdzie spoczywa i jego do Romana pismo.

- No, więc kończę!.. - zaciągając się dymem, rzekł pan Emil.

- Słucham i to bardzo ciekawie - przerwał z zainteresowaniem Krasnostawski.

- Dziwi się więc pana fakt, - ciągnął lady Żyńska - że pugilares i tysiączki są wprawdzie hrabiczka, choć znalazły się w szufladzie Romka?... W tym sęk wprawdzie, że Topolski dopiero przekonał się, iż są one w innym, niż przypuszcza, reku.

Wyobraź pan sobie bowiem, jaki był przebieg zguby tych pieniędzy...

- Temu lat sześć, czy siedem, Topolski miał przyjaciółkę w teatralnych sferach.. Otóż pewnego wieczora, zaprzysięgając sobie w duszy uroczystość, że puści w trzębę swoją magnifikę, idzie Topolski do niej na ostatnie rendez vous... Naturalnie w kieszeni kilka tysiączków mając w zapasie - lady Żyńska urwała, zafakcjała się i puściwszy z ust kółko dymu, mówi dalej.

- Lecz i tym razem spotyka pana na Szczęsnojej niepowodzenie... Nadobna córka Melpomeny nie chce nawet słyszeć o rozstaniu... Scena więc z tego naturalnie, przecie! On przeprasza - ona w końcu daje się przebagać - amor vincens tuszuje wreszcie wszystko!..

Pan Emil odsapnął - i swobodnie po chwili ciągnął dalej:

- Nad ranem, z miłością gruntownie odegrzaną w sercu, przysięgając sobie, iż przyjaciółki nie porzuci nigdy, powraca Topolski do siebie... Nagle, dotknąwszy się kieszeni surduta, nie znajduje tam - pugilaresu! Ona, ta nieprzejednana, zagrała z nim komedję; za mała jej było

dziewięciu tysiêcy, które jej pono dawa³, najbezczelniej okrad³a go więc, po prostu na ca³e dwadzie³cia i siedm, znajduj³ce siê w portfelu.

Topolski jednak wobec powy³szego faktu, po g³êbszem wnikniêciu w siebie, decyduje, $\frac{1}{4}$ co $\frac{1}{4}$ pozby³ siê baby...

Oddychaj³c zatem pe³n³ piersi³ - swobodny wyje³d³za do dób³ swych "krzy³yk na ³wi³niêty³m pugilaresie postawiwszy" - jak powiedzieliby bracia nasi, Litwini...

Tu pan Emil przerwa³ opowie³æ raz jeszcze, zapali³ na nowo zgas³e cygaro i koñczy³.

- Od tej chwili minê³o lat o³mm, a tych dwoje nie widzia³o siê wcale.

Skoñczy³em...

£ady³zyñski odetchn³ i umilk³.

- Dziêkujê panu za opowiadanie - po³pieszy³ z odpowiedzi³, Krasnostawski. - Rzeczywi³cie, szarada prawdziwa... Ale w Szczêsnojej zdziwienie by³o wielkie?

- Ogromne! - odpar³ pan Emil. - Notabene, wyobra³ pan sobie, w Szczêsnojej pe³no go³ci... Mieszka tam więc stale: primo jaka³ powa³na wielce krewna Topolskiego, zapewne dlatego, by do kawalerskiej siedziby pana na Szczêsnojej mog³y przybywa³e i damy; secundo, prócz mêskiego towarzystwa, przyby³ego niespodzianie z kolei dzi³ z rana - a w których to gronie nie brakowa³o i jednego prezesa, spo³ecznego kole³ki Romana - znajdowa³o siê te³ w siedzibie Topolska kilka osób, które przyjecha³y specjalnie do naszych: pañ, z kondolency³ po po³zarze.

Wiêc powiadam panu! - mówi³ weso³o dalej £ady³zyñski - gdy to co mówi³em, nam, mê³czyznom, opowiedzia³ Topolski po kolacyi przy cygarze, i kiedy wiadomo³æ ta do pañ siê przedosta³a, Topolski zosta³ bohaterem dnia!..

- No, a pani Ola nic o istnieniu tego portfelu nie wiedzia³a?

- Ale³, nic zupe³nie! - podchwyci³ £ady³zyñski. Tem wiêksze zaintrygowanie, domys³y!.. Wszyscy, a szczególnie panie, wsiad³y na mnie, bym natychmiast opisa³ to wszystko Romanowi, chocia³y nawet, bym specjalnie w tej sprawie pojecha³ do niego... Prezes za³, ksi³ze Szyd³owiecki, zrobi³ nawet w li³cie moim dopisek, $\frac{1}{4}$ eby Romek powiadomi³ go telegraficznie o swym przyje³dzie, to on wyprawi wówczas raut na cze³æ jego i Topolskiego, jako bohaterów tej zagadkowej sprawy... Jednym s³owem, powiadam panu - komedia...

£ady³zyñski mówi³æ przesta³, strzepuj³c popió³ z cygara. Lecz trwa³o to krótko...

Rozmowa wkrótce potoczy³a siê znowu b³yskotliwa, lekka...

A powóz tymczasem dudni³ w³a³nie teraz po mo³cie, rzuconym przez rzekê, i wtoczy³ siê w w³skie brudne uliczki $\frac{1}{4}$ ydowskiego miasteczka; niebawem wymin³ je i znalaz³ siê na szerokim trakcie, prowadz³cym do kolejowego dworca.

Jednocze³nie w oddali ukaza³y siê trzy gorej³ce ³wiat³a: - to poci³g zbli³a³ siê ju³ do stacyi. Pierwszy dojrza³ go Krasnostawski. Siêgn³

szybko po zegarek i spojrzę:

- Oho, już po dziewiętej! to pański pociąg...

- Do djaska! - zły mną się pan Emil i - wytężył wzrok w kierunku pociągu.

- Janie! galopem! - krzyknął, zwracając się energicznie do furmana...
Dam ci na mohorycz... nocowa tu ani myśli!.. Może zdziemy! Jazda, a ostro!..

Stangret trzasnął z bicia, czwórka pułciła się pędem po gładkim szlaku.

Zzajane już konie, galopując, sapały i tak dojechano aż pod sztachety drewniane, okalające stację... Tu pełno już było wozów, bryk, obywatelskich czwórek, oczekujących na swych panów.

Gdy elegancki ekwipaż pana Emila wtoczył się na brukowany plac przed stacją, jednocześnie na platformie rozległ się dzwonek i wpadł tam, z hukiem pociąg, zatrzymujący się tu tylko parę minut.

- Zuch z ciebie! - pochwalił Ładyński furmana, i rzuciwszy mu półimperya, wyskoczył szybko. Rzeczy, przytwierdzone za powozem, odwiazywano już; dwaj panowie, zarządziwszy po piech, pobiegli do sali.

Tu ruch panowa nielada..

Pasażerowie przyjezdni wysypywali się z wagonów i toczyli do wnętrza dworca; jadący kupowali bilety, służba kolejowa nosiła ręczne bagaże, zdawała kufry, biegała gorączkowo, kręciła się, jak w ukropie.

Przecisnąwszy się energicznie przez tłum, pan Emil zdobył bilet pierwszej klasy i w minutę potem, wychylony z wagonowego okna, rozmawiał z najczym go Krasnostawskim.

Uderzył trzykrotnie dzwonek, konduktor gwizdnął, lokomotywa odpowiedziała mu przecięgle - pociąg ruszył powoli z miejsca.

- Do widzenia!... Powodzenia na nowej drodze życia!..- mówił pan Emil, uśmiechając się przyjaźnie, serdecznie ścisnął dłoń Krasnostawskiego.

Ten ostatni zał, widocznie pod wpływem jakiejś nagłej myśli, pułcił szybko rękę Ładyńskiego, skonił się, i wydobywszy szybko z kieszeni dwa listy, podbiegł ku uchodzącemu wagonowi pocztowemu. Dogonił go i zręcznie wrzucił w otwór waciwi oba pisma.

- Addio... dziękuję! - posłyszał jeszcze głos pana Emila, i pociąg znikł niebawem.

Krasnostawski pozostał sam. Następny pociąg miał przyjść już wkrótce, poszedł więc do kasy, kupił bilet, a wróciwszy na platformę, usiadł na aweczce samotny.

Zamyślił się...

Poza nim zamykał się teraz na zawsze jeden okres dotychczasowego jego życia.

Patny suga bogatszych od siebie ludzi żył się on jednak, zbrata z

ich życiem - z nimi... I po co?.. Po to, by obrachunek ten poświęca
wspólnego zakończyć tak marnie?..

Krasnostawski pochylił się głową, uśmiechnął się w stronę. Jakiś bunt mimowolny
podnosił się w nim przeciwko życiu, losowi i ironii jego.

Po co tu przybył lat temu kilka, po co przywiózł się do tego cudzego
kawałka ziemi, po co tak gorąco ukochał Ołę?

Dlaczego to wcielenie wdzięku, czaru, wiosny, miłości i piękna, w osobie
tej kobiety, stało się, jak cień niepochwytne, na drodze jego życia?..

Krasnostawski pochylił się bardziej jeszcze i długi czas pozostał
nieruchomy.

Nagle drgnął ciałem ciałem i podniósł głowę. Gwizd donośny przeszył
powietrze, na dworzec z hukiem, szumem, w kółkach pary wpadł pociąg
kuryerski.

Krasnostawski począł szukać miejsca w wagonach. Ulokował się
wreszcie, zbliżył się do okna wagonu i wyjrzał.

Zamykano już wspaniale z pościelą drzwiczki, wśród zgiełku rozlegał się
trzeci dzwonek.

Krasnostawski ostatnim spojrzeniem smutnym objął raz jeszcze wszystko i
cofnął się w swój wagon...

Zagrała w tej chwili trąbka drożnika, mignęły latarnie sygnałów i
pociąg kuryerski znikł, pochłonięty cieniami nocy.

Na dworcu zagościł znowu spokój. Wszyscy rozeszli się teraz na dobre,
pogaszono latarnie, a w oknach stacyi niebawem również znikły światła.

Na bagnach chór śpiewał tylko swą pieśń jednostajną gdzieś w dali, w
pobliskim lesie słyszeć się dawały jakieś, szmery i senna noc cicha,
zasiadłszy, jak królowa, na tronie z tkanego z otoczeniem szafiru -
rozpostarła panowanie nad światem...

Cisza zupełna zawładnęła okolicą.

Mierzyc tylko mknący chyżo czas, olbrzymi zegar stacyjny wydzwaniał
godziny miarowo...

W milczeniu ogólnym, jak szeptał człowieka, głos jego odzywał się
bezustannie:

Tik - tak! tik - tak! tik - tak!..

W centrum Mediolanu, na placu "Del Duomo," w powodzi jaskrawych promieni
upalnego, kończącego się już popołudnia, leniwie snuły się po chodnikach
sylwetki niezbyt licznych przechodniów, kryjąc się od słońca pod kolumny
frontowe i oszklone galerie "Vittorio Emanuele."

Wokoło klombów, zajmujących środek placu, i otaczających stojący tam
pomnik, kręciły się jednostajnie elektryczne tramwaje, dzwoniąc co
chwila, rozbiegając się i ginąc w sieci ulic miasta, sam zaś na koniu

majestatyczny Wiktor Emanuel II, z brązu, z piedestału pomnika, wpatrywając się zdawać ciekawie w otwarte drzwi królującego tu na placu katedralnego tumu, pociągającego z oddali tajemniczą wejścia góbin... Koronkowej roboty marmurowe jego ściany, dach, kilkadziesiąt wieżyc i zdobiące go statuy, w liczbie około dwóch tysięcy, wznosiły się dumnie, i wystrzelały wysoko w niebo woskie, szafirowe, czyste, zadziwiająco misternym wykończeniem, dając sobie najlepsze nieśmiertelne świadectwo genialnej pracy człowieka.

Po marmurowych stopniach schodów tej okazałej, gotyckiej katedry, mogłej w swoim wnętrzu pomieścić do 40,000 ludzi, co chwila wchodzi ktoś do jej progu, lub wychodzi na ulicę - z której ciszy wiatryni wpadając nagle w hałaśliwy wir miasta, i natężenie jego mieszkańców, w osobie spacerującego po trotuarze tuż koło tumu przekupnia, ciszącego w ręce każdego gwałtem mozaikowe wyroby weneckie.

- Uno liro, signore, solamente uno liro! - na pół rozpaczliwym, na pół przekonywającym głosem napiera się w stronę ten ostatni, niady Włoch, o przebiegiem spojrzeniu, i trzymając w ręku jakby podejrzaną robotę broszki, zagradza drogę młodemu mężczyźnie, wstępującemu, w zamknięciu; po stopniach katedry.

Dziękujący przystanął; podniósł głowę, i spojrzał w oczy natężeni, a żachnąwszy się niecierpliwie, rzucił mu coś energicznie po wosku. Przepięwszy próg kościoła, zdjął kapelusz i odetchnął z ulgą.

Przyjemnym chodem w przeciwstawieniu do panującego na dworze upału; powiało nań z wnętrza tumu i milczeniem skupionem, powagi i - majestatu pełnym... Cień, pustka i tajemniczość niewytłumaczona objęły go zarazem niepodzielnie. W ciszy; po mozaikowej posadzce, z marmuru, donośnie, rozległy się kroki Romana.

Poza amfiladą 52 kolumn olbrzymich, kolosów, szesnastu kroków każda obchodu mających - w perspektywie, daleko, widniał wielki ołtarz, chór i rzędy plecionych krzesła świecących przyjemnym blaskiem kolorowe szkła okien, ponad głowami zaś Dzieńmińskiego, opiekuńczo jakby, wznosiły się marmurowo wyniosłe gotyckie arkady; z wierzchołków kolumn, zdobiąc je grupami każdego z osobna, patrzyły na niego dziesiątki statuetek marmurowych...

Odblask słoneczny dotknął delikatnie pięknych rysów przybysza, jego smagłych policzków, wypukłego czoła, i oświetlił je przelotnie.. Rażony światłem w oczy, Roman usunął się w cień, i spuściwszy głowę na piersi, zadumał się głęboko.

Godzin temu dwie zaledwie odebrał jednocześnie dwa listy...

Pierwszy od Emila Ładyńskiego, sarkastycznie - szyderski, opisujący mu szczegółowo i swobodnie fakt znalezienia pugilaresu, - powalił go w pierwszej chwili, niby uderzenie obucha.

Drugi, przepięknie miarę jeszcze!..

Ze słów tak szczerych, i że nie mogły nasunąć nawet momentalnej wątpliwości, wyrwanych prosto z boleśniej duszy ludzkiej, dowiedział się Dzieńmiński o zdradzie Oli...

Chwili tej nie zapomni do grobu!..

Otchłan, zda się, głęboko i bezdenno rozwarła mu się pod stopami, dusząc

go w gardle poczę³o, w g³owie powsta³ zamêt - w piersiach dotkliwy ból!.. Wybieg³ jak nieprzytomny na ulicê... Pó³ob³±kany prawie przyby³ pod stopnie marmurów katedry po ukojenie...

Za progiem ¶wi±tyni, rzeczywi¶cie cudem po prostu jakim¶, powróci³a mu samowiedza i wzglêdna równowaga umys³owa..

I oto teraz Roman porz±dkowaæ zaczyna uci±¿liwie my¶li. Wzrok jego machinalnie b³±dzi po wspania³ych freskach, z dzie³ami mistrzów, o³tarzach, marmurowych rze¼bach i pomnikach, zatrzymuje siê instynktownie na siedmioramiennym kandelabrze olbrzymim, kosztownej roboty, w kszt±cie drzewa... Potem oczy jego spoczywaj± bezmy¶lnie na kopule, przed chórem i znajduj±cej siê pod ni± podziemnej kaplicy ¶wiêtego Karola Boromeusza, ozdobionej bogato drogimi kamieniami i z³otem...

Dzier¿ymirski siêga nagle do kieszeni i wyjmuje otrzymane listy... usi³uje przeczytaæ je po raz wtóry...

Przed nim, prze¶wiecane b³y¶niêciem s³oñca, zmatowanym blaskiem³agodnie ¶wiec± w zmierzchach katedry wspania³e trzy okna chóru, jak mówi±, największe na ¶wiecie ca³ym.

Niby ¿ywe, patrzą na Romana z okiennych witryn miniaturowe postacie ¶wiêtych; malowane barwnie na szk³e, na ma³ych kwadratowych tafelkach - 350 obok siebie reprodukcj scen religijnych, wzorowanych na najszawniejszych mistrzach wychyla siê, p³onie setkami kolorów i cieni...

Dzier¿ymirski wypuszcza listy z rêki i ukrywa twarz w d³onie...

Pod wp³ywem bowiem jednego rzutu oka tylko na pisma, cierpienie bezbrze¿ne i rozpacz t³ocz±c± fal± zalewaj± mu duszê...

Wiêc zdradzi³a go!.. Zdradzi³a nikczemnie, dla zmys³owego upojenia - dla sza³u!.. Zdepta³a jego mi³o¶æ, uczucia, oszuka³a go - zapomni³a!..

Wiêc takim ironii zgrzytem nagradza jego los szyderca, za to, co dla kobiety tej niegdy¶ uczyni³!..

Ale¿ on dla niej przecie¿ po¶wiêci³ wszystko!.. Siebie odda³!.. Sw±cze¶æ, uczciwo¶æ - sumienie!..

- Przez ciebie wszystko tom uczyni³, przez ciebie! - g³uchy jêk unosi pier¶mê¿czyzny. - O, Olu!.. Olu!.. przez ciebie!..

I milknie skarga...

A potem niezrozumia³ego ju¿ co¶ co¶ tylko, niedos³yszalnego poczynaj± naraz szeptaæ cicho do siebie Dzier¿ymirskiego usta.

Klêka i jakie¶ bóle i ¿ale p³yn±æ siê zdaj± pod strop milcz±cego tumu, biegn± trwo¿nie pod wynios³e jego arkady, odbijaj± siê o statuy, rze¼by i pomniki - na kolana padaj± u o³tarzy - lec±, tam, gdzie¶ wysoko... do Boga!..

Lecz oto nagle spokój ¶wi±tyni brutalnie przerwany zostaje...

- Yes, yes, yes!.. - odzywa siê co chwila i dowcipy francuskie wtóruj±

angielszczyźnie, - z przewodnikami Baedeker'a w rękę przesuwają się tuż koło Romana garstka osób, z udaniem znanstwem oglądając wszystkie zabytki tumu.

Gwarząc wesoło, dzielą się turyści na dwie grupy. Jedna z nich zmierza zobaczyć wnętrze kaplicy św. Karola Boromeusza, druga, pobrząkując pieniędzmi, kupuje niebawem prawo obejrzenia dachu katedry, przy stoliku, postawionym we wnętrzu ławicy, na prawo, w głębi, u wejścia do prowadzących tamże schodów.

Roman powstaje i z kościoła uchodzi pośpiesznie. Na ulicy wskakuje do dorożki, i rzuca głośno jakiś rozkaz woźnicy.

Powozik rusza... Stopniowo, coraz szybciej wymija ulice, uliczki, place targowe; starożytny kościół i pałace... Ruch miejski wokół zmniejsza się poczyną i powóz wjeżdża niebawem w szeroką aleję, gdzie, oprócz bieżących gdzieś tramwaj, nie ma zgoła nikogo.

W ślad za tem również rozwiera się perspektywa...

Poza obszernym placem, bieleje kwadrat wielkiej kolumnady, zieleni wieża ramuje ją wdzięcznie. To już miasto umarłych, - jeden z najpiękniejszych włoskich pomnikowych cmentarzy, medyolańskie "Cimitero Monumentale."

Powóz podjeżdża bliżej nieco, Dzierżymirski wysiada i idąc piechotą, kieruje się ku rysującej się teraz całkiem już wyraźnie i okazale, cmentarnej kolumnadzie wejściowej. Krocząc zań tak powoli, myśli: Nareszcie... tu, u grobu matki, dadzą mi spokój przynajmniej ludzie!.. Tu zdobędzie samotności chwilę z jej prochami tylko i z samym sobą!..

Wstępując po stopniach schodów, Dzierżymirski znajduje się niebawem pod dachem kolumnady, kwadratowym frantom, ozdobionym wieżycami, zamykającej z zewnątrz widok i wejście na cmentarz.

U stóp Romana obecnie, w potokach słonecznych promieni, na tle zieleni gaju, bieleją setki marmurów, wystrzelają w niebo dziesiątki gotyckich wieżyczek, mauzoleów i pomników...

Nie patrząc nawet na nie, obojętny, Dzierżymirski, skręca w lewo, a wzrok jego przesuwają się machinalnie po małych zadrukowanych tabliczkach marmurowych wprawionych gęsto obok siebie w ścianę kolumnady, a oznaczających miejsce trumienek, z popiołami nieboszczyków.

I Roman w ten sposób dochodzi do kęta frontowego czworoboku, widząc zań naprzeciw siebie mur, skręca, idąc wciąż jeszcze pod dachem kolumnady, pospiesznie, na prawo...

Zadumany, mijają wprawiony w ścianę pomnik rodziny Volonte, pełny sztuki, piękny bardzo w oddaniu grozy i bólu...

Na ciału już oto martwego pięknej męczycy i leżące w pościeli na stole z kamienia, w zgieściu bolesnej postaci całej, rzucona w szale rozpacz, klęczy młoda kobieta i całuje drogą dla siebie twarz zmarłego... Całuje, pieści w zapamiętaniu śmiechem, upojeniu strasznym, bo ostatniego, a nieodwołalnego już pożegnania!..

Roman, wszedłszy po schodach bocznego skrzydła kolumnady, jest już na cmentarzu.

Idzie wolno, kierując się bezwiednie alejami znanymi, wiodącymi ku mogile matczynej.

Wkoło niego wznoszą się zewsząd wspaniałe grobowce: Verazzich, Sonzognich, Nasonich, Turatic, Brambillich, Pagnonich i innych woskich rodzin i rodów. Pieściłcica kamieniarskiej, rzeźbiarskiej i budowlanej roboty, mauzolea, w kształcie gotyckich kapliczek, z pięknymi ołtarzykami, mozaikami, obrazami i innymi ozdobami wewnątrz. Liczne, odcinają się licznie na tle zieleni drzew cmentarza... Po wsze strony załł, gdzie okiem rzucić tylko, w tych wszystkich biały grobowych sylwetach pochwycony artystycznie, w kamieniu martwy i marmury rzeźbiarskim dźwiękiem zakuty, drżący, zdawało by się wszędzie... ból!..

Słońce, zniżając się już stopniowo coraz bardziej, zsiada teraz rzęsiłcice rój biały postaci... W pobliżu Dzierżymirskiego, z krawędzi odłamu - na wprost obrosłego zielenią, a doskonale imitowanej skały górskiej - z jej szczytu, iskrzący się w blaskach słońca, spogląda wyniośle dokoła wspaniałą orzę z bromu.

To odznaczający się od drugich oryginalnością pomysłu, grobowiec Poggich...

Dalej załł nieco pomnik rodziny Rusconi; rzeźba kobiety, o oczach, pełnych wyrazu, wpatrzonych smutnie w dal, z testamentem nieboszczyka w ręku, na którym wyryte widnieją zapisy..

W innej znów stronie, wdowa w półleżącej pozycji, zapłakana; twarzy jej nie widać wcale - ukryta w dźwięku. Cała postać wyraża ból niezmierny.

W swej wśród grobowców wędrownicy, Dzierżymirski przystaje nagle... W zamyśleniu - zbłądził... Oryentując się, zawraca, i ponownie mijając mnóstwo grobowców, okazalszych, skromniejszych - przechodzi mimo pięknego nader pomnika.

Na grób z marmuru rzucona duża kotwica; pod krzyżem siedzi na mogile anioł-kobieta, o przełicznym wyrazie twarzy, pogrążona w smutnym zamyśleniu, z wieńcem w dźwięku...

Niebawem, tuż obok idącego wcięż Romana, wyrasta znów pomnik z kamienia. Na wierzchołku jego, z rękoma wzniesionymi do góry, modli się wielki Anioł, z pięknymi bardzo rysami twarzy, u stóp grobu klęczy kobieta, ze wzrokiem spuszczonej wdzięcznie, w ekstazie jakby bólu, odziana całą w zwoje subtelnie odrzeźbionych koronek.

Wkrótce przed grobowcem, banalnym nieco, a w porównaniu z innymi nader skromnym, Dzierżymirski pochyla się, zdejmując kapelusz i klęka, oparłszy głowę o zimny kamień pomnika. Na grobie wyrzeźbiony subtelnie w białym marmurze biust pięknej kobiety, oczyma wielkimi, pełnymi wyrazu, z odcieniem litości, czy bólu, patrzy się zdaje badawczo na pochyloną postać i głowę mężczyzny...

Tymczasem rozsiana dokoła cisza, tchnąca spokojem, momentalnie ukajać zaczyna Romana. Z chaosu, dotychczas panującego mu w mózgu, jedna po drugiej wywołują się doniesione mu fakty, ustawiają rzędem w symetryczną całość i niby ogniwa, logiki, rozumu spojone, wiążą się ze sobą, grupują...

I kara życia, nieubłagana, zimna, choć moralna tylko, staje Dzierżymirskiemu teraz przed oczyma wyraźnie...

Pozornie otrzyma³ on wszystko: W obliczu Π wiata pozosta³ bezkarnym; by³ bogatym, wp³ywowym i wielkim, k³aniano mu si³e, ζ ebrano jego ³aski, protekcji.

~ ycie ca³e dot \pm d opromienia³a mu Ola mi³o Π ci \pm sw \pm , bez granic...

Posiada³ skarb największy - kocha³ i by³ kochanym...

To by³o wczoraj jeszcze, a dzi Π ?.. Dzier ζ ymirski, pod ci ζ arem cierpienia, pochyli³ si³e w tej chwili bardziej jeszcze, skuli³ si³e, zmala³...

I w jasnowidzeniu jakby nag³em, ujrza³ on równocze Π nie, co innego jeszcze...

Przysz³o Π æ w³asn \pm !..

On wi ζ c, w spo³ecze Π stwie swem jeden z pierwszych niemal; on, stoj \pm cy na jego Π wieczniku, nie ska ζ ony moralnie, "na zewn \pm trz" - niczem, sponiewierany mo ζ e, zbrukany pos \pm dzeniem, lub domys³ami, a wreszcie, - kto wie, czy nie stoj \pm cy w obliczu t³umów, pod pr ζ gierzem prawdy, tajonej skrycie do dzi Π dnia na dzie duszy?

- O Bo ζ e!.. Bo ζ e! - j ζ k mimowolny wydobywa si³e z piersi Romana, oczy za Π jego wznosz \pm si³e jednocze Π nie i spotykaj \pm na grobie, z wizerunkiem matczynym. Oblicze rodzicielki patrzy teraz na niego, z wyra ζ onym wsp³oczuciem, wsp³boleje z nim jakby. Jak ζ ywa, spogl \pm da na Romana matczyna, twarz smutna; kilka kropelek rosy, czy deszczu, ukrytych dot \pm d w za³omach kamienia, sp³ywa nagle po wykutem obliczu pi ζ knej kobiety...

Zachodz \pm ce s³o Π ce zakrwawia je swym blaskiem...

I krwi \pm oto serdeczn \pm , zdaje si³e matka p³aka ζ e nad synem - ³zami lito Π ci i b ζ lu.

A Roman jednocze Π nie, w porywie cierpienia, wyci \pm ga ramiona do rze ζ by twarzy drogiej, obejmuje niemi g³ow ζ z marmuru i krzy ζ pomnika, a dotkn \pm wszy czo³em czo³a matki, szepce co Π jak dziecko, kwili...

- Matko... mate Π ko! - s³ycha ζ e dok³adnie, i cicha skarga z piersi mu si³e wyrwa! Z b ζ lem jutra, ³ \pm czy si³e w nim zarazem jaki Π bunt niewyt³umaczony do Π wiata, do ludzi - do ζ ycia!... I w szepcie s³ów urywanych, zmieszanych, wym ζ wka wnet cierpka s³ysze ζ e si³e daje.

- Matko! - szepcze Roman, z wyrzutem. - Dlaczego ζ e po tobie odziedzicz³em gor \pm c \pm krew tej ziemi? Czemu, ach, czemu, z mlekiem twem wyssa³em zapalczywy ogie Π pragnie Π , zmys³owego sza³u, który zniweczy³ we mnie wszystko, kt ζ remu oprze ζ e si³e nie zdo³a³em, i upad³em tak nisko... tak... nisko!

Nie mog³em odm ζ wia ζ sobie posiadania kobiety, kt ζ \pm ukocha³em, bo w ζ y³ach mych p³on ζ a, jak lawa twych, matko, ojczystych wulkan ζ ów, krew dzieci po³udnia, bo natura ich gwa³towna, przewrotna, bez niez³omnych uczciwo Π ci zasad, zakorzeni³a si³e w mej istocie... Podepta³em wszystko... wszystko...

- Matko, ty Π temu niewinna, ja wiem, ty Π niewinna! - skar ζ y³ si³e dalej Roman, przeprasza ζ c jakby, - ale, czemu ζ twym wp³ywem, kiedy ojca

straci³em tak wcze¶nie, nie stara³a¶ siê z³agodziæ we mnie tej natury narodu twego? Dlaczego nie mog³a¶ wytêpiæ ze mnie z³ego ziarna? Czemu?.. czemu?.. czemu?..

I pytanie to Dzier¿ymirskiego ostatnie, rozpaczliwe, ulecia³o, pó³pokorne, pó³gro¼ne jakby i zamar³o w ciszy!

A rodzicielka Romana mówi³a piêknym, wyrazistym w bia³ej rze¼bie wzrokiem - odpowiada³a mu, zda siê równie¿:

- Nie blu¼nij, synu, nie rozpaczaj!.. Nie ja tu winnam!.. Wierz mi!.. Czyni³am, co mog³am... Wpaja³am w tw± duszê niez³omne zasady, wzmacnia³am twój umys³, twe serce! Nie miej ¿alu do mnie, me dzieciê!.. Popsu³ siê ¶wiat, co skala, zbruka niejedno swem b³otem!.. Zb³±dzi³e¶!..

A tymczasem zbiela³e usta Dzier¿ymirskiego, wij±cego siê wci±¿ u stóp grobowca, w bólu i niepewno¶ci jutra, zaszep³y znów rozpaczliwe, z cicha...

- Co czyniæ? co czyniæ? - Wszak tam wszyscy czekaj± teraz ode mnie wyja¶nienia o pieniê¿nej zgubie, którego daæ im, niestety, nie potrafiê. Cóż im powiem? co wymy¶lê, a zreszt±, có¿ mi po tem? Gdybym po wysi³ku mózgowym i znalaz³ mo¿e przem±dre nawet rozwi±zanie jakie, czy¿ nie takim samym, nie do zniesienia piek³em, sta³oby siê to moje jutro! - odpowiada³y w duchu Romana: bezmierne zniechêcenie i gorycz.

- W ci±g³ej, podwójnej jeszcze, ni¿ dot±d, obawie skandalu, z tajon±, t³umion± w duszy tajemnic±, bez mi³o¶ci, bez niej, bez Oli, sam, opuszczony, z widmem wyrzutu sumienia?.. - Nie! - wyrzuci³ z siebie Dzier¿ymirski, z moc±. - Ja tak ¿yæ nie potrafiê!..

Szept urywany Romana usta³. Tu±c wci±¿ w ramionach ciemny marmur grobowca, milcz±c± snaæ ju¿ teraz z rodzicielk± sw±, a mo¿e i z Panem Wszechrzeczy, prowadzi³ on rozmowê.

Nagle jednak w st³oczonej piersi Romana cierpienia d³u¿ej nie zdo³a³o ju¿ siê ukryæ - spazmem ³kania wydoby³o siê na zewn±trz!

Milczenie cmentarnego zacisza wstrz±sn±³ p³acz mêski, przejmuj±cy, g³êboki i przykrem nader echem rozleg³ siê doko³a.

A tymczasem nad Medyolañskim przepiêknem "Campo Santo," w ca³em swym majestacie zachodzi³o s³oñce...

Mieni³y siê w odbłaskach jego dachy i wie¿yczki licznych kapliczek, mauzoleów; przez kolorowe w±skie szyby okienek, drzwi i kraty w¶lizgiwa³a siê wewn±trz ich cicho czerwieñ promieni, pe³za³a po mozayce posadzek, muska³a ubrane wdziêcznie kwiatami o³tarzyki, kandelabry, pos±gi i piêkne ¶wiêtych obrazy...

Wspania³a wej¶ciowa kolumnada iskrzy³a siê równie¿ têcz± blasków; ¶ciany, dach i wie¿yczki pó³o¿onego na drugim koñcu cmentarza "Tempio di Crematione" gorza³y p±sow± gr± ¶wiat³a...

A mleczno-bia³e, ciche i zadumane dot±d sennie pos±gi pomników ocknê³y

się po prostu jakby ożyły...

Kształty ich, misternie w kamieniu wykute, rysy, odrzeźbione, przebudziły się niby z martwoży dotychczasowej na drobny, przelotny chwilkę - na mgnienie!..

I nie są to już alegoryczne postacie, ni podobizny zmarłych dawno - nie, to wszak żywi ludzie, z krwi i kości! Ciało ich przecię, zaróżowione leciutko, drżące oto zda się, porusza, w żyłach krew płynie, usta coś mówią, a oczy ich, rysy, wyrazu pełne, boleśnie, przecię, smucę się - myśli!..

Patrzcie... patrzcie!..

Tam, na, wspaniałym grobowcu, po obu stronach siedzącej na szczycie, zadumanej symbolicznej postaci kobiecej, dwaj aniołowie zalewają się gorzkimi łzami, szlochają!.. Tu znów, przy innym pomniku, po stopniach jego porusza się, kroczy wzwyż niewiasta młoda, - ku dwóm postęgom, stojącym na górze grobowca, prowadzi chłopczyka, ślicznotę, w którego dłoń zaciśnięty kwiatusek się chwieje... A tam, znów dalej, w innej stronie...

W otwarte drzwi małego mauzoleum, po stopniach schodów wchodzi wolno, szeleszcząc jakby fałdami swej sukni, ze spuszczonego wzrokiem - w trzymany w dłoń rękawiec wpatrzona, cudnej piękności kobieta...

I tak dalej, i tak dalej...

Dziesiątki białooskrzydłych aniołów, wdów bolejących, żałujących dźwiękami, tarzających się gwałtownie, czy też pogrążonych w martwoży rozpacz, - setki biustów, postaci - zda się, w cmentarnej ciszy nuci oto hymn bólu, w zgodnym akordzie z piersi jakby wyrzucają wszechgólny krzyk cierpienia!..

A promienie zachodu zniżają się tymczasem coraz bardziej...

Purpura ich ciemnieje w końcu, niebawem niktą powoli zaczyna tam i ówdzie. Zakładki cmentarza dalsze, pod murem, stoją już w cieniach - środkowe kładki się jeszcze w ostatnich połączonych drgnięciach czerwieni i złota...

Wokoło klęczącego Romana, i obejmującego wciągnięty w jednej i tej samej pozycji pomnik, z postęgiem matczynym, palą się w całej pełni jeszcze dogasająco słońca blaski.

Dziękujący, szukając dalej ulgi w cierpieniu, jak nieprzytomny, wciągnięty szepcze coś niezrozumiałego do skłanej w purpurze promieni rzeźby z marmuru... I niebawem, w ciszy, przerywanej tylko łagodnym szmerem poruszanych u drzew liści, drżące głośnie znów skarga poczyna.

- Nie, matko! - szepce Roman - nie, matko! zrozum mnie, nie gań!.. Ja tam, do nich wrócić nie mogę, to przechodzi siły moje!.. Wszak ja jego, kochanka Oli - tłumaczy się dalej Dziękujący - jego, mego wroga, zabijać powinienem! A jakże ja to uczynię? Przecię oczyszczaę pojedynkiem nawet mego honoru nie mogę! - z gorczy w głosie, niby żywej osobie, perswaduje Roman, coraz ciszej, żalonym szepcem... - Zrozum, matko!.. Nie... mogę!..

Milknie na chwilkę, poczem urywanym głosem, z beznadziejną rozpaczą,

mówi, zwierza się jeszcze... - Tak, matko! bo honoru wszak ja... sam... nie... posiadam!..

I Dzierżymirski kończy głos: - On w twarz mi to rzucił moją, jeźli się dowie o wszystkim, a wtedy?.. Nie, matko! - powtarza głosniej Roman nie daj tego ode mnie! - Ja, z piętnem pogardy na czole, bez czci tych umów, które ujarzmiłem - żać nie potrafię!..

A szczególnie z jej... Oli możliwość pogardzić - bez jej uczucia żać - nie mogę!..

I tym kończy spowiedź przed rodzicielką syn z bólem, a po chwili dorzuca, z mocą. - I... nie chcę!!!

Milnie Dzierżymirski, twarzy nie odrywa jednak od marmuru grobowca, pogrzebując się w jakimś podrzędzeniu głębokiem.

A wkońcu tego tymczasem gwałnie już całkiem jedna zachodu... Jak przed chwilą, niby dotknięte czarownicą różdżką, ożywiała się postać z marmurów, tak teraz kolejno do martwoty swej powracają.

Pozostawiony tylko tuż obok Dzierżymirskiego symboliczny grobowiec jaśnieje jeszcze... Na wprost różowy od blasków czerwonych, bledniejąco wspaniale coraz bardziej poczyta w tyż przegięty, eteryczny i wielki na grobie tym anioł z marmuru, o rysach precyzyjnych, o rysach kobiecych, dziwnie nadziemsko zadumanych, a postaci całej wiotkiej i ustawionej na piedestale w ten sposób w powietrzu unosi się, leciać...

Anioł patrzeć się zdaje na Romana, ze współczuciem, spod rzęs spuszczonej, oczyma życzliwiego jakby ducha. Nad umi, którą trzyma w dłoniach i tuli do piersi i unieję z sobą jakby pragnie w światy, odrzeżbiony, palący się ognik prawie rzeczywistym światłem, pieszczony ostatnim promyczkiem słońca!..

Wreszcie i on zupełnie gwałnie.

Korowód wieczornych cieni z mrokiem, wodzem na czele, wsuwa się teraz cicho na "Campo-Santo" i welonem szarym wkrótce przesłania z wolna wszystko... W oczekiwaniu jutrzejszej różanej, która ich znowu przebudzi - zasypiają, symbole snu wiecznego, marmurowe rzeźby białe, doczesną zda się tylko drzemką...

Stopniowo ściągają się zarysy postągów, kapliczek, mauzoleów...

Zmierzchnie ciemnieje. Świeć swój tryumf, a ściągają słońca po coraz bardziej mrocznych zakątkach "Cimitero" cienie wieczoru plisają już obecnie swobodnie całkiem - drżyna ich weseli się, tańczy, pusta, skracać godziny do przyjścia nocy-władczyni.

Po pewnym czasie jednak staje się wśród tego grona jej pańców co niewątpliwie szczególnego bardzo... Wszystkie sylwety bowiem bawiczych się cieni złączają się oto w jedną grupę, zwartym kołem otaczają któryś z licznych grobowców.

Obejmując ramionami krzyż i postąg marmurowy, klęczy tu nieruchomo, zlewając się prawie z pomnikiem, pochylona, biała sylwetka męczycy... Cienie pochylają się ciekawie nad nią, dotykają jej ciała, zagładają w twarz, dziwnie bladą.

I raptownie szept jaki¶ trwo¿ny przelatuje po szeregu paziów nocy... Bezradni stoj± wci±¿ gromadk±, przeléknieni czem¶ jakby, prze¿eci, cisi... Niektórzy z nich nawet za³amuj± rêce, drudzy krêc± z niedowierzaniem g³owami - inni wpatruj± siê smutnie w majacz±c± postaæ ludzk±.

Nagle ko³o ich rozprêga siê gwa³townie, milkn± - pozostawiaj± w zapomnieniu zupe³nem pomnik i znajduj±cego siê u stóp jego cz³owieka. Momentalnie, szybko, ustawiaj± siê sk³adnie w dwa szeregi, pochylaj± z gracy± i pokor±, szacunku pe³n±, w powitalnym uk³onie...

To pani ich i królowa - Noc, strojna, wspania³a z wy¿yn na ziemie zest±pi³a w³a¶nie w tej chwili, w czarnym swym p³aszczu i w gwiazd aureoli.

Poranek sierpniowy u¶miecha³ siê tego dnia rado¶nie do têtni±cego zwyk³ym ruchem wielkiego miasta. Pogodny, jasny, niós³ on jednak w powiewach swych, ch³odniejszych ju¿ nieco i ¶wie¿szych, zapowied¼ id±cej wczesnej jesieni, tej czarownej, piêknej jesieni polskiej, tak zadumanej zda siê i marz±cej cicho, po otulonych mg³ami p³aszczyznach i tak pe³nej porywaj±cej sob± têsknoty.

Na jednej z g³ównych ulic miasta uwijano siê ¿wawo. Przechodnie, wszyscy skwapliwie spieszc±cy w jedn± stronê, wymijali siê gor±czkowo, dzwoni³y tramwaje, doro¿ki turkota³y g³o¶no - lekko, z cicha przesuwa³y siê liczne, na gumowych ko³ach, ekwipa¿e i karety, d±¿±c równie¿ w tym¿e, co i piesi, kierunku.

Niebawem jednak liczba jad±cych powozów poczê³a siê zmniejszaæ stopniowo coraz bardziej, w koñcu za¶ usta³a zupe³nie.

Ulicê ruchu ko³owego zamkniêto. Ostatnie, zab³±kane doro¿ki zawracano, zmuszaj±c do natychmiastowego skrêcania w pierwsz± lepsz± boczn± ulicê, a we wzglêdnej, panuj±cej obecnie, urozystej ciszy rozlega³ siê tylko zg³uszony szmer licznych stóp id±cej po trotuarach gromady ludzkiej.

Pó³-milczenie to dyskretne trwa³o dobre pó³ godziny.

Wreszcie z wie¿yc jednego z pobliskich ko¶cio³ów odezwa³y siê powa¿nie i rzewnie ¿a³obne dzwony i smutne - zabrzmia³y dono¶nie.

Ruch powsta³ na chodnikach... Zbierano siê grupami, przystawano, policya i ¿andarmi na koniach poczêli czyniaæ porz±dek, niebawem za¶ w perspektywie wielkomiejskiej, opustosza³ej ¶rodkiem ulicy, ukaza³ siê kondukt pogrzebowy. Na progach magazynów, balkonach i w oknach domów zaroj³o siê od widzów ciekawych...

Z kilkunastoma ksiê¿mi i licznym klerem, ¿a³obny korowód przesuwaæ siê zacz±³ z wolna alej±.

Ramowa³y go wdziêcznie niewinne g³ówki id±cych regularnie rzêdami ch³opaczków i dziewczynek - a wychowañców z licznych miejscowych ochronek, zak³adów dobroczynnych - za trumn± za¶ okaza³±, z³o¿on± na bogatym sze¶ciokonnym karawanie i jad±cymi w ¶lad za tem, uginaj±cymi siê od wieñców, ¿a³obnymi wozami, postêpowa³ t³um niezliczony - ko³ysa³o siê morze g³ów ludzkich...

Hen! daleko za[[, poza ci[b[±, gin[±c gdzie[[w perspektywie ulic miasta, I[[ni[si[w promieniach s[o[±ca sznur powoz[i karet.

W[[r[ud uczestnicz[±cej w pogrzebie rzeszy rozlega si[st[umiony gwar og[lnie prowadzonych rozm[. Na wszystkich za[[ustach by[o teraz jedno tylko imi[!

Bez zmayı i skazy wobec [[wiata zeszed[do grobu - Roman Dzier[ymirski.

W ostatnich dniach lipca spo[ecze[stwem miasta, w kt[re[m]y[±, pracowa[±, kt[re[mu na r[[nych polach dzia[alno[[ci przewodzi[±, wstrz[±sn[±a wiadomo[[± niespodziana, zakomunikowana przez gazety. Telegramem mianowicie doniesiono lakonicznie o [[mierci prezesa Dzier[ymirskiego, we W[oszech, w Medyolanie, na grobie matki, z aneuryzmu serca. Powodem nag[ego zgonu by[o, jak m[owili jedni, silne wstrz[±[[nienie moralne i bolesna wiadomo[[± z kraju, jak utrzymywali po cichu inni - straty powa[±ne, czysto finansowej natury i po[[lenie bez wyj[[cia!..

Cia[o sprowadzono do kraju i dzi[[oto to same miasto, kt[re[mu Dzier[ymirski tak wiele zas[u[±y[± si[za]ycia, oddawa[o by[emu przodownikowi ostatni[± pos[ug[.

Stawi[± si[wszystkie sfery i stany - wszyscy za[[z niek[±amanym]alem, szli obecnie za trumn[± cz[owieka, z kt[orego [[mierci[±, zdaniem og[lnem, ubywa[±a miastu i krajowi nawet powa[±na spo[eczna si[±a...

A do[[± by[o pos[ucha[± tylko uwa[±nie tam i [wdzie co m[owiono o zmar[ym, by przekona[± si[±, jak szczerym, jak powszechnym prawdziwie by[ten]al po nim!

Jednog[±nie bowiem i wszecog[lnie wynoszono po niebiosa czyny prezesa Dzier[ymirskiego, po[[wi[±cenie dla og[±u, zdolno[[ci, rozum, szlachetno[[± i energi[± - jednobrzmi[±co ubolewano nad strat[± jego niepowetowan[±! Czasami, naturalnie, wpl[±ta[±a si[± i tu fa[±szywa g[±dziejgdzie nuta, lecz gin[±a natychmiast w akordzie powszechnego uwielbienia i]alu z przedwczesnego zgonu, tak zas[u[±onego spo[ecze[stwu cz[owieka...

Z trudno[[ci[± przeciskaj[±c si[± pomi[±dzy dwoma sznurami ciekawych na chodnikach, wspania[±y pogrzebowy korow[±d oddala[± si[± tymczasem stopniowo w perspektywie ulicy, - wreszcie ksi[±[±a, karawani i d[±[±ce za trumn[± t[±my skr[±ci[±y w lewo, i po pewnym czasie znik[±y...

Na pierwszor[±dnej ulicy w mie[[cie przywr[±cono ruch natychmiast. Z bocznych ulic wysypa[±y si[± dziesi[±tki zatrzymanych dot[±d pojazd[±w, potoczy[±y si[±, dzwoni[±c, ponownie tramwaje, zadudni[±y doro[±ki, omnibusy - do spowodowanych [[ciskiem wypadk[±w kilku, wpad[±o na ruchliw[± arteri[± grodu wezwane Pogotowie Ratunkowe, dono[[n[± na tr[±bce pobudk[± toruj[±c sobie drog[±!

Uroczysty nastr[±j sprzed chwili pierzch[± bezpowrotnie. Szerokim korytem]ycie brutalnie depta[±o [[mierci widmo - w codzienn[± szat[± gor[±czka codziennego bytu przyoblek[±o si[± wszystko doko[±a.

Na ustach tylko, snuj[±cych si[± po trotuarach przechodni[±w, biernych widz[±w]a[±obnego konduktu, b[±ka[±o si[± jeszcze nazwisko Dzier[ymirskiego, roznosiciele za[[dziennik[±w zaroili si[± niebawem, a korzystaj[±c z chwilowego nastroju publiczno[[ci, sprzedawa[± poc[±eli z powodzeniem nadzwyczajne dodatki do gazet, z portretem i]yciorysem zmar[±ego.

Min±³ rok czasu...

Powodzi± ¶wiat³e³ w mglisty wiecz³r pierwszego Listopada gorza³ cmentarz miejski rozleg³y, i roje ludzi t³oczy³y siê na nim. Pouk³adane wzorzy¶cie pali³y siê na bogatych grobach i ubogich mogi³kach kolorowe lampiony, kwiaty i wieñce stroj³y umar³ych zak±tek...

Przy grobowcach niektórych, ubranych wspania³a, nie by³o ¿ywej duszy. Przy innych formalne odbywa³y siê zebrania. ¶rodkiem za¶ ulicy wystrojony, "szykowny", a przewa¿nie bezmy¶lny, w¶ród dowcipów brukowych, wyg³aszanych dono¶nie, spacerowa³ t³um ciekawskich obojêtny.

Tu i tam z rzadka czernia³a przy ¶wie¿ym pomniku postaa³ schylona, zadumana têsknie, cierpi±ca... Tam i ówdzie na skromnej mogi³ce, w bardziej oddalonej cmentarnej alei, szlocha³a cicho jaka¶ kobiecina, gdzie indziej znów klêcz±cy syn, czy m±¿, samotny, modli³ siê, lub nie widzc±c nic zgo³a, nie s³ysz±c, zapatrzone w ból w³asny - po³yka³ ±zy.

W samotnej bocznej alei cmentarza weso³a m³oda para, pochylona wzajemnie, szepta³a sobie czu³e czule s³ówka mijaj±c obojêtnie groby, a pomiêdzy innymi i mogi³kê jedn± darniow±, skromniutk±... Zap³akana dziewczynina kilkunastoletnia, ze z³o¿onemi pobo¿nie r±czkami, klêcza³a na niej i sama jedna, biedzi³a siê w tej chwili z jedyn± zapalon±, a gasn±c± za ka¿dym podmuchem wiatru, ¶wieczk±, któr±, wespó³ z dziesiêciogroszowym z choiny wianuszkciem, i bia³ym wielkanocnym barankiem - ustroi³a grobek matuli.

Od ¿ebraków, bab i dziadów, mrucz±cych mod³y, zawodz±cych ¿a³o¶nie, roi³o siê na cmentarzu.

Co chwila kto¶ z publiczno¶ci zbli¿a³ siê do nich i daj±c ja³mu¿nê, dodawa³: - Za duszê nie¿yj±cego Piotra, Maryi i.t.d.

- Lito¶ci godna osobo! - skar¿y³ siê g³o¶no ¿ebrek stary, wyci±gaj±c d³oñ ko¶ci± do przechodz±cych w³a¶nie alej± trzech ±adniutkich podlotków, rozmawiaj±cych weso³o.

- Czekajcie! - do rówie¶nic odezwa³a siê ¿ywo jedna z panienek, zatrzymuj±c siê przed dziadem. - Dam mu, niech siê pomodli za duszê mego pana Stanis³awa...

- Ale¿ kiedy on ¿yje! po co? - zadziwi³a siê naiwnie najm³odsza z trójki.

- Ha-ha-ha! - za¶mia³a siê pierwsza serdecznie, - a có¿ to szkodzi, niech siê tam za niego, grzesznika, pomodli!..

I wrêczaj±c nastêpnie dziadowi szóstaka, rzek³a: - Macie, dziadku, za Stanis³awa!..

- Wieczny odpoczynek racz mu daæ Panie, a ¶wiat³o¶æ wiekuista niechaj mu ¶wieci! - zaintonowa³ ¿ebrek uroczy¶cie.

!miech rozleg³ siê w alei; koncept podoba³ siê figlarnej trójce, a kilka babek i dziadów, znajduj±cych siê w pobliżu, skorzysta³o na tem, bo obdzielono ich groszakami na t±ż sam± intencyê. Pan Stanis³aw zosta³ za życia pogrzebanym, modlono siê już z góry za niego, a pusta, niefrasobliwa m³odo¶æ, nie znaj±ca zapewne jeszcze, co to ból prawdziwy i żal po drogiej sercu stracie - posz³a dalej, ¶miech za¶ jej srebrzysty odbi³ siê raz jeszcze na zakrêcie alei o ukryty w drzew cieniu pomnik okaza³y.

Na wysokiej kolumnie z po³yaskuj±cego marmuru widnia³ jaki¶ pos±g stoj±cej osoby... Na grobowcu nie by³o żadnego kwiatka i żadnych ¶wiat³... Zapatrzone jakby smutnie sam w siebie, sta³ on ciemny na uboczu, opuszczony i widocznie zapomniany. Jarz±cy siê tylko blask lampek czerwonych, któremi ozdobiono grób s±siedni, rzuca³ nań niepewne, dalekie ¶wiat³o. W pó³¶wietle tem, kto zna³ za życia Romana Dzierżymirskiego, z ³atwo¶ci± móg³ go poznaæ teraz w stoj±cej rzeźbie z marmuru.

I id±cego przechodnia przykuwa³o do miejsca zdziwienie nag³e.

- Jak to? - zadawa³ sobie mimowolnie pytanie. - W powodzi ¶wiat³, blasków tysia±ca, daj±cych tak wymowne i chlubne ¶wiadectwo, że żywi pamiętaj± jednak o umar³ych, dzisiaj o Dzierżymirskim już zapomniano?.. Czyż to możliwe, by ¶wiat by³ tak niewdziêcznym, żeby wykre¶la³ z pamięci jednostki, tak g³o¶ne za życia - tak mo¿now³adne!...

I dziwi³ siê przechodzieñ... Dziwi³ siê w dalszym ci±gu naiwnie, nie zdaj±c sobie sprawy z tego pewnika życiowej ironii, która prawem "terañniejszo¶ci" siê zowie, a która, z ma³yimi wyjątkami, uwielbia tylko żyj±cych i na widowni obecnych, umar³ych zasypuj±c py³em zapomnienia.

I spaceruj±cy po cmentarzu widz ciekawy przybli¿a³ siê do grobowca, z trudno¶ci± odczytywa³ napisy, a póñniej szed³ dalej, zamy¶lony mimo woli nad nietrwa³o¶ci± doczesnego bytu.

Lecz o niewdziêczno¶æ tym razem pos±dza³ ludzi nies³usznie. Bo los szyderca, któryby mo¿e i rzeczywi¶cie star³ u ¶wiata wspomnienie innego, prawdziwie i wszechstronnie zas³użonego cz³owieka, niezbrukanego życiem, czystego - okaza³ siê ³askawszym jednak, dla ubranego w togê pozorów moralnego wykojeñca!

W kwadrans póñniej, trzy osoby, ogl±daj±ce siê woko³o, skupi³y siê przed grobem Dzierżymirskiego. Wkrótce, tamże zjawi³ siê równie¿ mê¿czyzna, z kobiet± m³od± do¶æ jeszcze i garstk± dziełek.

Przed gin±cym w cieniach wieczora pomnikiem Romana, poklêkli oni niebawem wszyscy...

Byli to Orleccy: ojciec, matka i córka, oraz Zieliñski Herman, z rodzin±.

M³ody g³osik dziewczêcy pierwszy przerwa³ nie¶mia³o milczenie cmentarnego zak±tka. Silny, jêdrny zawtórowa³ mu g³os mêski i szept otaczaj±cych...

W¶ród dalekiego echa kroków gromady ludzkiej, ¶miechu i p³aczu - pop³ynê³a z serc wdziêcznych za duszê zmar³ego modlitwa!..

.....

Nazajutrz osamotnienia i zapomnienia żywych wstydziać się już nie
potrzebować przed innymi - wspaniały grobowiec prezesa Dzierżyńskiego.

Czyja troskliwa ręka ustawiła na grobie palmy i wieńce kwiaty... W
krzyżowanych różnokolorowych lampionów kilkanaście nieci tu oko i
skromny, aczkolwiek gustowny wieniec zielony u pomnikowego tuli się
podnóża. Tamże bąszcza o nieboszczyku napis zócisty, złożony z samych
tytułów i godności...

I w blasków powodzi, na szczycie kolumny jaśniała zarówno teraz
wdzięcznie odrzeżbiona sylweta pięknego, młodego jeszcze młodzieńca.

Króluj nad wszystkim dokoła, niepokalanie biały, stał on i patrzył
zamknięty! Na ustach z kamienia błąkała się zdawałoby dyskretny uśmiech
zwycięskiej ironii...

A poniżej - u stóp posągu, na czarnym tle marmuru, wielkimi literami,
rzucił się w oczy te oto wyryte słowa:

Uczciwy, szlachetny i prawy,
Ukocha bliźnich i społeczeństwu oddał życie całe -
Nagrody go, Panie!..

End of the Project Gutenberg EBook of Ironia Pozorow, by Maciej hr.
Lubiński

*** END OF THE PROJECT GUTENBERG EBOOK IRONIA POZOROW ***

This file should be named rnpz108.txt or rnpz108.zip
Corrected EDITIONS of our eBooks get a new NUMBER, rnpz118.txt
VERSIONS based on separate sources get new LETTER, rnpz108a.txt

Etext produced by Michalina Makowska, Szczecin, Poland,
Eve Sobol, South Bend, IN, USA, and Julia Jezierska, Stawiszyn, Poland.

Project Gutenberg eBooks are often created from several printed
editions, all of which are confirmed as Public Domain in the US
unless a copyright notice is included. Thus, we usually do not
keep eBooks in compliance with any particular paper edition.

We are now trying to release all our eBooks one year in advance
of the official release dates, leaving time for better editing.
Please be encouraged to tell us about any error or corrections,
even years after the official publication date.

Please note neither this listing nor its contents are final till
midnight of the last day of the month of any such announcement.
The official release date of all Project Gutenberg eBooks is at
Midnight, Central Time, of the last day of the stated month. A
preliminary version may often be posted for suggestion, comment
and editing by those who wish to do so.

Most people start at our Web sites at:
<http://gutenberg.net> or
<http://promo.net/pg>

These Web sites include award-winning information about Project Gutenberg, including how to donate, how to help produce our new eBooks, and how to subscribe to our email newsletter (free!).

Those of you who want to download any eBook before announcement can get to them as follows, and just download by date. This is also a good way to get them instantly upon announcement, as the indexes our cataloguers produce obviously take a while after an announcement goes out in the Project Gutenberg Newsletter.

<http://www.ibiblio.org/gutenberg/etext03> or
<ftp://ftp.ibiblio.org/pub/docs/books/gutenberg/etext03>

Or /etext02, 01, 00, 99, 98, 97, 96, 95, 94, 93, 92, 91 or 90

Just search by the first five letters of the filename you want, as it appears in our Newsletters.

Information about Project Gutenberg (one page)

We produce about two million dollars for each hour we work. The time it takes us, a rather conservative estimate, is fifty hours to get any eBook selected, entered, proofread, edited, copyright searched and analyzed, the copyright letters written, etc. Our projected audience is one hundred million readers. If the value per text is nominally estimated at one dollar then we produce \$2 million dollars per hour in 2002 as we release over 100 new text files per month: 1240 more eBooks in 2001 for a total of 4000+ We are already on our way to trying for 2000 more eBooks in 2002 If they reach just 1-2% of the world's population then the total will reach over half a trillion eBooks given away by year's end.

The Goal of Project Gutenberg is to Give Away 1 Trillion eBooks! This is ten thousand titles each to one hundred million readers, which is only about 4% of the present number of computer users.

Here is the briefest record of our progress (* means estimated):

eBooks Year Month

1	1971	July
10	1991	January
100	1994	January
1000	1997	August
1500	1998	October
2000	1999	December
2500	2000	December
3000	2001	November
4000	2001	October/November
6000	2002	December*
9000	2003	November*
10000	2004	January*

The Project Gutenberg Literary Archive Foundation has been created to secure a future for Project Gutenberg into the next millennium.

We need your donations more than ever!

As of February, 2002, contributions are being solicited from people and organizations in: Alabama, Alaska, Arkansas, Connecticut, Delaware, District of Columbia, Florida, Georgia, Hawaii, Illinois, Indiana, Iowa, Kansas, Kentucky, Louisiana, Maine, Massachusetts, Michigan, Mississippi, Missouri, Montana, Nebraska, Nevada, New Hampshire, New Jersey, New Mexico, New York, North Carolina, Ohio, Oklahoma, Oregon, Pennsylvania, Rhode Island, South Carolina, South Dakota, Tennessee, Texas, Utah, Vermont, Virginia, Washington, West Virginia, Wisconsin, and Wyoming.

We have filed in all 50 states now, but these are the only ones that have responded.

As the requirements for other states are met, additions to this list will be made and fund raising will begin in the additional states. Please feel free to ask to check the status of your state.

In answer to various questions we have received on this:

We are constantly working on finishing the paperwork to legally request donations in all 50 states. If your state is not listed and you would like to know if we have added it since the list you have, just ask.

While we cannot solicit donations from people in states where we are not yet registered, we know of no prohibition against accepting donations from donors in these states who approach us with an offer to donate.

International donations are accepted, but we don't know ANYTHING about how to make them tax-deductible, or even if they CAN be made deductible, and don't have the staff to handle it even if there are ways.

Donations by check or money order may be sent to:

Project Gutenberg Literary Archive Foundation
PMB 113
1739 University Ave.
Oxford, MS 38655-4109

Contact us if you want to arrange for a wire transfer or payment method other than by check or money order.

The Project Gutenberg Literary Archive Foundation has been approved by the US Internal Revenue Service as a 501(c)(3) organization with EIN [Employee Identification Number] 64-622154. Donations are tax-deductible to the maximum extent permitted by law. As fund-raising requirements for other states are met, additions to this list will be made and fund-raising will begin in the additional states.

We need your donations more than ever!

You can get up to date donation information online at:

<http://www.gutenberg.net/donation.html>

If you can't reach Project Gutenberg,
you can always email directly to:

Michael S. Hart <hart@pobox.com>

Prof. Hart will answer or forward your message.

We would prefer to send you information by email.

****The Legal Small Print****

(Three Pages)

*****START**THE SMALL PRINT!**FOR PUBLIC DOMAIN EBOOKS**START*****

Why is this "Small Print!" statement here? You know: lawyers. They tell us you might sue us if there is something wrong with your copy of this eBook, even if you got it for free from someone other than us, and even if what's wrong is not our fault. So, among other things, this "Small Print!" statement disclaims most of our liability to you. It also tells you how you may distribute copies of this eBook if you want to.

***BEFORE!* YOU USE OR READ THIS EBOOK**

By using or reading any part of this PROJECT GUTENBERG-tm eBook, you indicate that you understand, agree to and accept this "Small Print!" statement. If you do not, you can receive a refund of the money (if any) you paid for this eBook by sending a request within 30 days of receiving it to the person you got it from. If you received this eBook on a physical medium (such as a disk), you must return it with your request.

ABOUT PROJECT GUTENBERG-TM EBOOKS

This PROJECT GUTENBERG-tm eBook, like most PROJECT GUTENBERG-tm eBooks, is a "public domain" work distributed by Professor Michael S. Hart through the Project Gutenberg Association (the "Project"). Among other things, this means that no one owns a United States copyright on or for this work, so the Project (and you!) can copy and distribute it in the United States without permission and without paying copyright royalties. Special rules, set forth below, apply if you wish to copy and distribute this eBook under the "PROJECT GUTENBERG" trademark.

Please do not use the "PROJECT GUTENBERG" trademark to market any commercial products without permission.

To create these eBooks, the Project expends considerable efforts to identify, transcribe and proofread public domain works. Despite these efforts, the Project's eBooks and any medium they may be on may contain "Defects". Among other things, Defects may take the form of incomplete, inaccurate or corrupt data, transcription errors, a copyright or other intellectual property infringement, a defective or damaged disk or other eBook medium, a computer virus, or computer codes that damage or cannot be read by your equipment.

LIMITED WARRANTY; DISCLAIMER OF DAMAGES

But for the "Right of Replacement or Refund" described below, [1] Michael Hart and the Foundation (and any other party you may receive this eBook from as a PROJECT GUTENBERG-tm eBook) disclaims all liability to you for damages, costs and expenses, including legal fees, and [2] YOU HAVE NO REMEDIES FOR NEGLIGENCE OR UNDER STRICT LIABILITY, OR FOR BREACH OF WARRANTY OR CONTRACT, INCLUDING BUT NOT LIMITED TO INDIRECT, CONSEQUENTIAL, PUNITIVE OR INCIDENTAL DAMAGES, EVEN IF YOU GIVE NOTICE OF THE POSSIBILITY OF SUCH DAMAGES.

If you discover a Defect in this eBook within 90 days of receiving it, you can receive a refund of the money (if any) you paid for it by sending an explanatory note within that time to the person you received it from. If you received it on a physical medium, you must return it with your note, and such person may choose to alternatively give you a replacement copy. If you received it electronically, such person may choose to alternatively give you a second opportunity to receive it electronically.

THIS EBOOK IS OTHERWISE PROVIDED TO YOU "AS-IS". NO OTHER WARRANTIES OF ANY KIND, EXPRESS OR IMPLIED, ARE MADE TO YOU AS TO THE EBOOK OR ANY MEDIUM IT MAY BE ON, INCLUDING BUT NOT LIMITED TO WARRANTIES OF MERCHANTABILITY OR FITNESS FOR A PARTICULAR PURPOSE.

Some states do not allow disclaimers of implied warranties or the exclusion or limitation of consequential damages, so the above disclaimers and exclusions may not apply to you, and you may have other legal rights.

INDEMNITY

You will indemnify and hold Michael Hart, the Foundation, and its trustees and agents, and any volunteers associated with the production and distribution of Project Gutenberg-tm texts harmless, from all liability, cost and expense, including legal fees, that arise directly or indirectly from any of the following that you do or cause: [1] distribution of this eBook, [2] alteration, modification, or addition to the eBook, or [3] any Defect.

DISTRIBUTION UNDER "PROJECT GUTENBERG-tm"

You may distribute copies of this eBook electronically, or by disk, book or any other medium if you either delete this "Small Print!" and all other references to Project Gutenberg, or:

[1] Only give exact copies of it. Among other things, this requires that you do not remove, alter or modify the eBook or this "small print!" statement. You may however, if you wish, distribute this eBook in machine readable binary, compressed, mark-up, or proprietary form, including any form resulting from conversion by word processing or hypertext software, but only so long as *EITHER*:

[*] The eBook, when displayed, is clearly readable, and

does *not* contain characters other than those intended by the author of the work, although tilde (~), asterisk (*) and underline (_) characters may be used to convey punctuation intended by the author, and additional characters may be used to indicate hypertext links; OR

[*] The eBook may be readily converted by the reader at no expense into plain ASCII, EBCDIC or equivalent form by the program that displays the eBook (as is the case, for instance, with most word processors); OR

[*] You provide, or agree to also provide on request at no additional cost, fee or expense, a copy of the eBook in its original plain ASCII form (or in EBCDIC or other equivalent proprietary form).

[2] Honor the eBook refund and replacement provisions of this "Small Print!" statement.

[3] Pay a trademark license fee to the Foundation of 20% of the gross profits you derive calculated using the method you already use to calculate your applicable taxes. If you don't derive profits, no royalty is due. Royalties are payable to "Project Gutenberg Literary Archive Foundation" the 60 days following each date you prepare (or were legally required to prepare) your annual (or equivalent periodic) tax return. Please contact us beforehand to let us know your plans and to work out the details.

WHAT IF YOU *WANT* TO SEND MONEY EVEN IF YOU DON'T HAVE TO?

Project Gutenberg is dedicated to increasing the number of public domain and licensed works that can be freely distributed in machine readable form.

The Project gratefully accepts contributions of money, time, public domain materials, or royalty free copyright licenses.

Money should be paid to the:

"Project Gutenberg Literary Archive Foundation."

If you are interested in contributing scanning equipment or software or other items, please contact Michael Hart at: hart@pobox.com

[Portions of this eBook's header and trailer may be reprinted only when distributed free of all fees. Copyright (C) 2001, 2002 by Michael S. Hart. Project Gutenberg is a TradeMark and may not be used in any sales of Project Gutenberg eBooks or other materials be they hardware or software or any other related product without express permission.]

*END THE SMALL PRINT! FOR PUBLIC DOMAIN EBOOKS*Ver.02/11/02*END*

Livros Grátis

(<http://www.livrosgratis.com.br>)

Milhares de Livros para Download:

[Baixar livros de Administração](#)

[Baixar livros de Agronomia](#)

[Baixar livros de Arquitetura](#)

[Baixar livros de Artes](#)

[Baixar livros de Astronomia](#)

[Baixar livros de Biologia Geral](#)

[Baixar livros de Ciência da Computação](#)

[Baixar livros de Ciência da Informação](#)

[Baixar livros de Ciência Política](#)

[Baixar livros de Ciências da Saúde](#)

[Baixar livros de Comunicação](#)

[Baixar livros do Conselho Nacional de Educação - CNE](#)

[Baixar livros de Defesa civil](#)

[Baixar livros de Direito](#)

[Baixar livros de Direitos humanos](#)

[Baixar livros de Economia](#)

[Baixar livros de Economia Doméstica](#)

[Baixar livros de Educação](#)

[Baixar livros de Educação - Trânsito](#)

[Baixar livros de Educação Física](#)

[Baixar livros de Engenharia Aeroespacial](#)

[Baixar livros de Farmácia](#)

[Baixar livros de Filosofia](#)

[Baixar livros de Física](#)

[Baixar livros de Geociências](#)

[Baixar livros de Geografia](#)

[Baixar livros de História](#)

[Baixar livros de Línguas](#)

[Baixar livros de Literatura](#)
[Baixar livros de Literatura de Cordel](#)
[Baixar livros de Literatura Infantil](#)
[Baixar livros de Matemática](#)
[Baixar livros de Medicina](#)
[Baixar livros de Medicina Veterinária](#)
[Baixar livros de Meio Ambiente](#)
[Baixar livros de Meteorologia](#)
[Baixar Monografias e TCC](#)
[Baixar livros Multidisciplinar](#)
[Baixar livros de Música](#)
[Baixar livros de Psicologia](#)
[Baixar livros de Química](#)
[Baixar livros de Saúde Coletiva](#)
[Baixar livros de Serviço Social](#)
[Baixar livros de Sociologia](#)
[Baixar livros de Teologia](#)
[Baixar livros de Trabalho](#)
[Baixar livros de Turismo](#)